

Pięciokrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla

ANNA KAŃTOCH



TAJEMNICA
GODZINY
TRZYNASTEJ



Anna Kańtoch

TAJEMNICA GODZINY TRZYNASTEJ



Copyright © by Anna Kańtoch, MMXVIII
Wydanie I
Warszawa, MMXVIII

Spis treści

Rozdział pierwszy, w którym panuje mróz i jest mnóstwo pytań, a bardzo niewiele odpowiedzi.

Rozdział drugi, w którym Nina kolejny raz rusza w podróż, nie znając zupełnie celu.

Rozdział trzeci, w którym Nina przypomina sobie przeszłość (choć niecałą), a potem poznaje opuszczone miasto.

Rozdział czwarty, w którym Nina znajduje coś, czego się nie spodziewała.

Rozdział piąty, w którym Nina znowu dedukuje, a poza tym stara się przeżyć w opuszczonym mieście.

Rozdział szósty, w którym Nina jest świadkiem coraz dziwniejszych zdarzeń i zaczyna się poważnie niepokoić.

Rozdział siódmy, w którym Nina rozwiązuje wreszcie tajemnicę zagadkowego zwierzęcia, ale pytań i tak jest wciąż zdecydowanie zbyt dużo.

Rozdział ósmy, w którym Nina i pozostali wreszcie zaczynają działać jak drużyna.

Rozdział dziewiąty, w którym Nina zadaje mnóstwo pytań, ale na żadne nie otrzymuje odpowiedzi.

Rozdział dziesiąty, w którym Nina wykazuje się odwagą, a potem szuka artysty.

Rozdział jedenasty, w którym Nina otwiera zamknięty pokój.

Rozdział dwunasty, w którym Nina idzie na bal.

Rozdział trzynasty, w którym Nina przeprowadza autopsję.

Rozdział czternasty, w którym Nina po raz pierwszy w życiu
budzi w kimś lęk.

Rozdział piętnasty, w którym Nina znowu wykazuje się uporem.

Epilog

Rozdział pierwszy, w którym panuje mróz i jest mnóstwo pytań, a bardzo niewiele odpowiedzi.

Obudziło ją zimno.

Nie takie zwyczajne zimno jak wtedy, gdy w styczniową noc człowiek przypadkiem zrzuci z siebie kołdrę, ale paskudny, przenikliwy ziąb, docierający do najgłębszych zakamarków ciała i wygryzający z nich resztki ciepła.

Zimno, to była jej pierwsza myśl. I niewygodnie – to była druga. Leżała na czymś twardym i lodowatym, jakby zasnęła na ściętej mrozem tafli jeziora. Wstawaj, podpowiadała jej rozsądna część umysłu, musisz wstać, bo inaczej zamarzniesz. Jednak ta mniej rozsądna część wciąż się ociągała, jakby liczyła, że jeśli dziewczyna zwinie się w naprawdę bardzo ciasny kłębek, zdoła odnaleźć w sobie odrobinę ciepła.

Wstawaj.

Otworzyła oczy i poruszyła się, płacąc za to kolejną falą zimna, które z wściekłością zaatakowało ukryty dotąd pod włosami kawałek szyi. Przed oczami miała teraz niewyraźny obraz czarno-białej posadzki zasłanej czymś przezroczystym, co wyglądało jak drobinki lodu. Albo szkła. Zamrugnęła, obraz się wyostrzył. To zdecydowanie było szkło, a nie lód, mnóstwo ostrych jak igły odłamków, jakby z sufitu spadała ogromna szyba.

Tak bardzo zimno.

Dziewczyna uświadomiła sobie jeszcze jedno – bała się. Coś tu było mocno nie w porządku. Dlaczego leżała na podłodze wśród odłamków szkła? I przede wszystkim: GDZIE właściwie leżała? A potem do tych pytań dołączyło kolejne, to najstraszniejsze. Pytanie, którego nawet nie odważyła się do końca sformułować.

Gdy zmusiła do ruchu zeszywniałe mięśnie, coś ześliznęło jej się po plecach. I po ramionach. Poczowała delikatne ukłucie w szyję, jakby kot drapnął ją pazurem. Znowu szkło. Cała była pokryta odłamkami,

miała je we włosach i na sukience. Podnosiła się powoli, milimetr po milimetrze.

Powoli.

Najpierw wsunęła ręce pod brzuch, tam gdzie podłoga była wolna od kawałków szkła, i uniosła się odrobinę. Potem – nadal bardzo powoli – przekręciła się na bok i uklękła. Za każdym razem, kiedy któryś z odłamków zaczynał wbijać jej się w skórę, zastygała w bezruchu, a potem ostrożnie strząsała go z siebie albo zdejmowała. Trwało to długo, ale wreszcie stanęła na zimnej posadzce. Stanęła i natychmiast usiadła z powrotem, bo zdrętwiałe bose stopy za nic nie chciały utrzymać jej ciężaru, zupełnie jakby próbowała stać na dwóch nieforemnych kawałkach drewna.

Roztarła jedną stopę, a potem drugą, przywracając krążenie. Lepiej. Spróbowała podnieść się jeszcze raz i tym razem złapała jako taką równowagę. Wyglądało na to, że właściwie jest cała i zdrowa, jeśli nie liczyć strużki krwi spływającej jej po szyi. I oczywiście zmarzniętych stóp, które wystawały... hmm... spod różowej staroświeckiej sukienki? Takiej z gorsetem, jakie noszono dawno temu? Na ramionach miała białą pelerynkę z kapturem obszytym futerkiem, ale całość i tak była zdecydowanie zbyt lekka jak na zimę. Różowe atłasowe pantofelki leżące pół metra dalej też nie nadawały się na taką temperaturę.

Dziewczyna zadygotała.

GDZIE JA JESTEM?

JAK SIĘ TU ZNALAZŁAM?

DLACZEGO JESTEM TAK DZIWNIE UBRANA? CZEMU ZGUBIŁAM BUTY? BIEGŁAM DOKĄDŚ?

A MOŻE PRZED KIMŚ UCIEKAŁAM?

I wreszcie odważyła się sformułować pytanie, które już od jakiegoś czasu nie dawało jej spokoju:

KIM JESTEM?

Rozejrzała się, ale znalazła odpowiedź tylko na pierwsze z pytań. No, przynajmniej częściową odpowiedź.

Stała w podłużnej sali znajdującej się na piętrze jakiegoś budynku – pałacu? muzeum? Po lewej stronie ciągnął się rząd okien, z których najbliższe miało wybitą szybę. Po prawej ścianę od podłogi aż po sufit zajmowały lustra. Całe mnóstwo lusterek, częściowo popękanych, które odbijały kilkanaście sylwetek kasztanowłosej nastolatki w różowej sukience.

Przez okna widać było kwadratowy rynecek niewielkiego miasteczka, cały zasypany świeżutkim śniegiem. Po gładkiej jak stół powierzchni ślizgały się czerwone promienie zachodzącego słońca. Dziewczyna patrzyła na wieżę ratusza okrytą białą czapą, na zaśnieżony skwerek i grubą warstwę puchu na cembrowinie nieczynnej fontanny. Patrzyła i wiedziała już, że wcześniej miała rację – coś tu było bardzo nie w porządku.

Idealnej gładkości śniegu nie naruszał najmniejszy nawet ślad. Wyglądało na to, że kiedy przestało sypać, żadne dziecko nie wyszło na dwór, żeby ulepić bałwana albo porzucać w kolegów śnieżkami, żaden dorosły nie przeszedł przez rynek w drodze do sąsiada czy do sklepu. To niemożliwe, pomyślała. Po prostu niemożliwe.

Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Musiała skupić się na tym, co powinna teraz zrobić. Słońce zachodziło, a to oznaczało, że temperatura wkrótce spadnie jeszcze bardziej. Dziewczyna nie była pewna, czy można zamarznąć zimą w pomieszczeniu z wybitym oknem, ale nie zamierzała tego sprawdzać. Potrzebowała schronienia, miejsca, w którym mogłaby rozpaść ogień i trochę się ogrzać. I ciepłych butów. I porządnego okrycia. Musiała zejść na dół, na rynek. A potem... potem się zobaczy.

Nie panikuj, powtórzył ten sam rozsądny głos w jej głowie. Będzie dobrze.

Nie będzie, upierał się drugi głos. Nie pamiętasz nawet, jak się nazywasz, i nie masz pojęcia, gdzie jesteś. Możesz się tylko domyślać, że w tym miasteczku zdarzyło się coś bardzo, bardzo złego.

Oddechnęła głęboko raz, a potem drugi, aż rozluźniła się ściskająca ją za gardło obręcz. Panika w niczym przecież nie pomagała. Dziewczyna ostrożnie sięgnęła po atlasowe pantofelki i założyła je, wytrząsnawszy kawałki szkła. Przy okazji zauważyła, że

na serdecznym palcu ma niewielką ranę, jakby ukłuła się ostrym odłamkiem albo szpilką. A może wrzecionem, jak w bajkach?

Odsunęła podobne myśli i rozejrzała się jeszcze raz, tym razem zwracając większą uwagę na salę, w której się znajdowała. Na suficie złociły się pulchne amorki, fruujące wśród błękitnych obłoczków. Barok, pomyślała. To barokowy pałacyk, sądząc po farbie odpadającej z obłoczków oraz amorków, trochę zaniedbany.

Przed sobą miała drzwi prowadzące zapewne na klatkę schodową, za sobą, na końcu sali, podium dla orkiestry, a przy nim stojącą pionowo drewnianą skrzynię. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Była to solidna skrzynia przedzielona w środku przepierzeniem, wysoka i szeroka akurat na tyle, że swobodnie zmieściłoby się w niej dwoje dorosłych ludzi. I pusta w środku – widać to było wyraźnie, bo z przedniej ściany skrzyni zostały tylko rozrzucone wokół drzazgi, zupełnie jakby wewnątrz coś wybuchło.

Z jakiegoś powodu ta skrzynia budziła lęk znacznie większy niż całe opustoszałe miasto. Po co ktoś miałby wnosić coś takiego na piętro zabytkowego pałacu?

Nieważne. Najwyższa pora znaleźć ciepłe miejsce i tam na spokojnie zastanowić się, co dalej.

Ruszyła przed siebie. Szkło chrzęściło jej pod stopami, a wzdłuż kregosłupa tam i z powrotem biegały dreszcze.

Tak bardzo zimno.

Wyszła z sali na okrągłą klatkę schodową z rzeźbioną balustradą i schodami wijącymi się spiralą w dół. Przyśpieszyła i chwilę później niemal biegła, klapiąc podszwami atlasowych pantofelków o marmurowe stopnie.

– Jest tu ktoś?! – zawołała, ale jej głos odbił się od zimnych murów.

Zbiegła na parter i zatrzymała się jak wryta, czując, że strach, który ścigał ją przez dwa piętra, teraz wreszcie dopadł ją i złapał za gardło.

Na ścianie naprzeciwko widniał transparent z czerwonym napisem:

26 LUTEGO
13:00
PAMIĘTAJCIE!

Cofnęła się, z trudem tłumiąc wrzask. W pierwszej chwili pomyślała, że to krew, ale na szczęście to była tylko czerwona farba – dziewczyna zauważyła stojącą pod ścianą puszkę i wetknięty w nią pędzel. Odetchnęła, choć napis nadal wyglądał niepokojąco, ociekające czerwienią litery zdawały się krzyczeć z białego płótna.

Nieważne, powtórzyła z uporem w myślach. Trzeba znaleźć coś ciepłego do ubrania, teraz tylko to się liczy.

Rozejrzała się. Pomijając sypiący się gdzieniegdzie tynk, pałacyk wyglądał zaskakująco czysto: posadzkę co prawda znaczyły błotniste ślady butów, ale nigdzie nie było ani śladu kurzu, tak charakterystycznego dla porzuconych budynków. A więc bywał tu jakiś dozorca albo stróż. A dozorca powinien mieć kanciapę, żeby przebrać się czy odpocząć po pracy. Na parterze, bo pewnie nie chciało mu się niepotrzebnie biegać na piętro.

Pięć minut później dziewczyna znalazła malutki pokójek niedaleko schodów. Były w nim piecyk, stary, wytarty fotel, cały pokryty kocimi albo psimi włosami, kwadratowy stoliczek i rozchwiane krzesło. Na stoliczku leżały zatłuszczona gazeta, nóż i pięćka zeschniętego chleba. Obok pusta szklanka, a w niej resztki mętnego płynu w brudnożółtym kolorze: słaba herbata albo, co bardziej prawdopodobne, bimber. Na wieszaku obok pieca wisiała kurtka na wacie. Dziewczyna włożyła ją, nie zdejmując pelerynki, a potem zmieniła aksamitne pantofelki na ubłocone kalosze, które stały przy drzwiach. Zarówno kurtka, jak i buty były na nią zdecydowanie za duże, ale przynajmniej nie marzła już tak bardzo.

Sprawdziła jeszcze datę w gazecie: 25 lutego 1954. Przeczytała kawałek artykułu, ale informacja o katastrofie kolejowej w Świebodzicach koło Wałbrzycha nic jej nie mówiła.

Wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Rynek wciąż był pusty, na gładkiej połaci śniegu kładły się coraz dłuższe i głębsze cienie zachodzącego słońca: fioletowe, purpurowe i różowe. W innych okolicznościach dziewczyna zachwyciłaby się tym

widokiem – tak przynajmniej podejrzewała. Dzisiaj jednak była zdecydowanie zbyt przerażona na jakiegokolwiek zachwyty. Nawet otaczające miasteczko górskie szczyty nie wydawały się ładne, chociaż wyglądały jak z pocztówki.

– Jest tu ktoś? – Niemal wystraszyła się własnego głosu, który zaraz utonął w nienaturalnej, ciężkiej ciszy.

Samotny płatek śniegu sfrunął z nieba i miękko opadł u stóp dziewczyny. Poza tym nie poruszyło się nic. W żadnym oknie nie drgnęła firanka, nie skrzypnęły żadne drzwi, nie było wiatru ani chmur, które mogłyby płynąć po coraz szybciej ciemniejącym niebie. Właściwie wszystko tu wyglądało jak na pocztówce, zupełnie jakby dziewczyna znalazła się w środku obrazka. Tylko słońce coraz niżej prześwitujące pomiędzy górkami szczytami świadczyło o tym, że czas się nie zatrzymał.

– Hop, hop? – Jej głos był niebezpiecznie bliski szeptu.

Odchrząknęła, ale to nie pomogło. Strach wciąż trzymał ją za gardło. Przez chwilę myślała, żeby wrócić do pałacyku i zamknąć się w kanciapie dozorca. Tam przynajmniej mogłaby rozpaść ogień. Jednak na samą myśl o ciasnym, dusznym pomieszczeniu zrobiło jej się trochę słabo.

Brnąc w głębokim śniegu, obeszła rynek dookoła. Były tu punkt naprawy pończoch, szewc, magiel i kawiarnia Tęcza. Oraz sklep spożywczy – dziewczyna poruszyła klamką, ale drzwi okazały się zamknięte. Szkoda, bo zaczynała być głodna, a nikt chyba nie miałby nic przeciwko, gdyby wzięła sobie jedną małą bułkę. Taką najmniejszą.

Za to drzwi szewca okazały się zachęcająco uchylone – jednak w środku, oprócz leżących na ladzie starych damskich półbutów nie znalazła nic ciekawego.

Dalej było podobnie: drzwi kawiarni zamknięte na kłódkę, drzwi sklepu otwarte, drzwi punktu naprawy znowu starannie zamknięte.

Jeśli rządziła tym wszystkim jakaś prawidłowość, to dziewczyna nie potrafiła jej znaleźć.

Co tu się wydarzyło?

Zepchnęła pytanie w głąb świadomości. Lodowate zimno

przenikało kurtkę i pelerynkę, stopy marzły w za dużych gumowych kaloszach. Dziewczyna zadrżała. Mrok zgęstniał już tak bardzo, że nie widziała fasady pałacyku, która zajmowała całą wschodnią pierzeję rynku. A przecież jeszcze przed chwilą mogła podziwiać barokowy front z ryzalitami i attykami balkonowymi.

Pierzeja, ryzalitty, attyki – jakoś wcale nie dziwiła się, że zna takie słowa, choć wiedziała też, że jej rówieśnicy nie mieli by pojęcia, o czym mówi.

– Halo?! – zawołała ponownie, już bez nadziei, że ktoś jej odpowie.
– Proszę! Potrzebuję pomocy!

Mroźna cisza połknęła jej słowa, zanim jeszcze zdążyły wybrzmieć nad rynkiem. Walcząc z napływającymi do oczu łzami, dziewczyna ruszyła w stronę najbliższej kamienicy i pchnęła pierwsze z brzegu drzwi.

Na klatce schodowej panowała już zupełna ciemność: gęsta, pachnąca kurzem i starym spaczonym drewnem. Dziewczyna przesunęła dłonią po chropowatej ścianie, namacała włącznik światła i zawahała się. A co, jeśli się nie zapali? Jeśli zostanie tu sama, w mroku, przez całą noc?

Gwałtownie wcisnęła przycisk i po przerażająco długich dwóch sekundach żarówka pod sufitem rozbłysła mętnym, też jakby zakurzonym blaskiem. Dziewczyna odetchnęła i sprawdziła drzwi na parterze: numery jeden, dwa i trzy. Jedyńka i dwójka były zamknięte, drzwi trójki otworzyły się, gdy nacisnęła klamkę. Nie szukała dalej, tylko wsunęła się do mieszkania i namacała kolejny włącznik.

Światło zalało staroświecki przedpokój, taki z mnóstwem obrazków świętych na ścianach i haftowaną serwetą przykrywającą komodę, na której stał cynowy lichtarz z wypaloną do połowy świecą.

– Jest tu ktoś? – zawołała. – Przepraszam, weszłam, bo było otwarte, a nie mam się gdzie schronić. Halo?

Ale i tak wiedziała, że nikt jej nie odpowie. Wiedziała o tym ze stuprocentową pewnością, choć mieszkanie wcale nie wyglądało na opuszczone. W kuchni unosił się lekki zapach kapuśniaku zmieszany z jeszcze lżejszą wonią mydlin – ktoś robił niedawno

pranie. W spiżarni znalazła jedzenie: mleko w kamionkowym dzbanku nie zdążyło skwaśnieć, skórka chleba ugięła się delikatnie pod naciskiem dłoni. Dziewczyna mogłaby się założyć, że ktoś kupił ten chleb jeszcze dzisiaj rano. W sypialni na krześle wisiały ubrania: zimne, jak wszystko w tym mieszkaniu, ale kiedy zbliżyła nos do szarej wełnianej sukni, poczuła jaśminowe perfumy. Łóżko było starannie zaścielone, szafki i podłoga wyglądały na niedawno wypastowane. Jakby mieszkańcy tego domu posprząkali, a potem wyszli gdzieś tylko na chwilę.

Może gdzieś na obrzeżach miasta odbywał się festyn i ludzie tam poszli? Albo jakaś inna impreza? Miło byłoby, gdyby właściciele mieszkania zaraz wrócili, nawet jeśli dziewczyna miałaby się przy tym najeść wstydu – w końcu to nic przyjemnego, jeśli człowiek zostaje przyłapany w cudzej sypialni. Wiedziała jednak, że oni nie wrócą. Żadna impreza nie jest na tyle atrakcyjna, by wyciągnąć z domu absolutnie wszystkich, a poza tym mieszkańcy pamiętaliby przecież o zamknięciu drzwi, zwłaszcza teraz, w tych niespokojnych powojennych czasach, gdy po lasach wciąż włączyli się bandyci.

Hmm, skąd właściwie wiedziała, że była wojna, skoro nie potrafiła sobie przypomnieć własnego imienia?

Niecierpliwie odsunęła kolejne pytanie i skupiła się na Czymś Tajemniczym, co wydarzyło się w mieszkaniu. Czymkolwiek to było, musiało mieć miejsce niedawno, prawdopodobnie gdzieś między śniadaniem (ktoś kupił rano świeży chleb i twaróg) a obiadem (gdyby ktoś zaczął go przygotowywać, w śmieciach leżałyby obierki od ziemniaków czy inne resztki).

Może o godzinie 13:00. Z jakiegoś powodu dziewczynie wydawało się to całkiem prawdopodobne.

Wzdrygnęła się. Wolałaby, żeby Coś Tajemniczego wydarzyło się dawno temu, wtedy byłaby chyba odrobinę bezpieczniejsza. Teraz czuła się trochę jak bohaterowie kryminałów, którzy odkrywają, że znalezione przed chwilą zwłoki są jeszcze ciepłe, i zaczynają rozumieć, że morderca wciąż może czaić się w pobliżu.

Zirytowana na siebie samą, przeszła do następnego pokoju, który musiał należeć do dzieci. Chłopca i dziewczynki, jeśli sądzić

po zabawkach. Na toaletce obok lalek w fikuśnych sukniach stało zdjęcie w srebrnej ramce, przedstawiające jasnowłose rodzeństwo: on miał może z dziesięć lat i ponurą minę, ona, młodsza od niego, nosiła włosy poskręcane w ciasne loki i uśmiechała się do obiektywu szczerbatym uśmiechem. W rękę dzierżyła wyleniałego pluszowego królika, który leżał teraz na dywanie pod łóżkiem – jedyny ślad nieporządku w całej sypialni.

Dziewczyna otworzyła szafę i walcząc z poczuciem winy, przetrząsnęła jej zawartość. Zdjęcie musiało zostać zrobione kilka lat temu, bo ubrania należały do nieco starszych już dzieci. Rzeczy dziewczynki wciąż były na nią za małe, ale te należące do chłopca mogły nawet pasować.

Rzuciła na jedno z łóżek kurtkę oraz pelerynkę, a potem sięgnęła za plecy. Myślała, że namęczy się przy rozwiązywaniu gorsetu, ale poszło zaskakująco łatwo, jakby już wcześniej ktoś poluzował tasiemki. Z lekkim żalem zdjęła suknię, a następnie sztywną halkę. Zadygotała, kiedy panujący w sypialni ziąb dotknął nagiej skóry. Na ramionach i z boku miała kilka rozległych, białych już siniaków. Ktoś ją uderzył? Jeśli tak, musiało się to wydarzyć dwa albo nawet trzy tygodnie temu. Z pewnością nie dzisiejszego ranka.

Dziewczyna nie była pewna, czy uznać to za pocieszenie, czy wręcz przeciwnie.

Dała spokój siniakom i włożyła koszulkę z długim rękawem oraz spodnie na szelkach. Musiała podwinąć nogawki, ale poza tym leżały całkiem nieźle. Poszukała jeszcze skarpetek i przejrzała się w lustrze toaletki. Wcześniej w pałacu zwróciła uwagę tylko na sylwetkę, teraz przyjrzała się twarzy ze spiczastym podbródkiem i szerokim, naznaczonym niewielką blizną czołem. Twarz ta w pierwszej chwili wydała jej się przerażająco obca, ale moment później wrażenie zniknęło i własny wygląd był teraz najbardziej oczywistą oczywistością pod słońcem. Uśmiechnęła się nieśmiało, a odbicie odpowiedziało identycznym uśmiechem. Dziewczyna w lustrze była całkiem ładna, choć wyglądała też na porządnie wystraszoną.

I wciąż nie miała imienia ani wspomnień, ani...

Odetchnęła głęboko, po czym ruszyła do kuchni. W węglarce, tak

jak się spodziewała, zostało sporo węgla, obok leżał stos przygotowanych na podpałkę szczap. Dziewczyna rozpałała ogień i poczekała, aż kuchnia się nagrzej. Obejrzała w tym czasie jeszcze raz spiżarkę, potem zauważyła wiszący na ścianie kalendarz z wizerunkiem jakiegoś świętego. Data 26 lutego była zakreślona ołówkiem.

W kuchni panowała cisza, zakłócana tylko cichym trzaskiem ognia pożerającego suche drewno i tykaniem zegara, który pokazywał godzinę szóstą dwadzieścia pięć. Zegar, ciężki i porcelanowy, stał na czymś, co wyglądało jak biblioteczka. Książki w kuchni nieco dziewczynę zaskoczyły, ale ostatecznie czemu miałyby ich tu nie być? Podeszła bliżej, by się przyjrzeć. Znalazła sporo książek kucharskich i jeszcze więcej poradników dotyczących szycia, haftowania i robienia na drutach, przewodnik po Karkonoszach z roku 1938 (czy znajdowała się w Karkonoszach?), stare wydanie Biblii, pachnącą kadzidłem książeczkę do nabożeństwa, a także dzieła zebrane Sienkiewicza. Te ostatnie przywitała jak dobrych znajomych – przynajmniej dzisiejszego wieczoru nie zabraknie jej lektury.

Kiedy płyta pieca zrobiła się gorąca, dziewczyna podgrzała mleko i wypła je, przegryzając kromką chleba. Mogłaby coś ugotować – zgadywała, że to umie, bo potrafiła sobie przypomnieć sporo przepisów – ale przygotowywanie obiadu w obcym domu wydawało się w jakiś sposób niewłaściwe. Potem przyniosła z dziecięcego pokoju koc, otuliła się nim i usiadła przy piecu.

Dopiero teraz się rozplakała.

Wcześniej przez cały czas czymś się zajmowała i starała się odsuwać niewygodne pytania na bok, aż wreszcie dopadły ją wszystkie naraz.

A co, jeśli nigdy nie odzyskam pamięci, nie dowiem się, kim jestem ani nawet jak mi na imię? Jeśli zostanę tu na zawsze w tym opuszczonym mieście, bo – to była ta najstraszniejsza myśl, którą ledwie odważyła się wyartykułować – zniknęli nie tylko ludzie z tego miasta, ale w ogóle z całego świata? Jeśli jestem ostatnią osobą na Ziemi? Albo jeśli Coś Tajemniczego, co ich spotkało, wróci teraz po mnie?

Szlochała tak dobrych piętnaście minut, ale wreszcie zdrowy rozsądek zaczął przebijać się przez rozpacz i przerażenie.

Po pierwsze, bardzo rzadko ludzie całkiem tracili pamięć i nigdy jej nie odzyskiwali. Najczęściej amnezja zdarzała się z jakiegoś powodu – na przykład na skutek urazu albo pod wpływem stresu – a potem mijała. Dziewczyna gdzieś o tym czytała. Nie pamiętała gdzie ani kiedy, ani nawet jak brzmiały dokładnie słowa tekstu, ale niewątpliwie czytała. Lubiła przecież czytać, tego była pewna na sto procent.

Niemożliwe też, żeby ludzie z całej kuli ziemskiej tak po prostu wyparowali. Coś takiego mógłby sprawić tylko Bóg, a dziewczyna w Boga nie wierzyła – tego również była pewna. Wiedziała o tym już w chwili, kiedy zobaczyła wiszące w przedpokoju obrazki świętych.

Pozostawał problem Czegoś Tajemniczego, jednak na to nie mogła nic poradzić.

Pociągnęła jeszcze parę razy nosem. Wciąż się bała, ale przynajmniej myślała już jaśniej.

Spędzi tutaj noc, a rano, kiedy zrobi się widno, pójdzie poszukać pomocy.

Czy powinna jednak zgasić światło? Z jednej strony musiała jakoś dać znać, gdzie jest, jeśli ktoś jej będzie szukał. Z drugiej – jasno oświetlone okna w pogrążonym w ciemności miasteczku mogą przywabić... coś groźnego.

Ostatecznie zostawiła światło tylko w dziecięcej sypialni, którą starannie zamknęła na klucz. To wydawało się rozsądnym kompromisem. Jeśli przyjdzie coś – albo ktoś – czego powinna się bać, zdąży uciec.

Taką miała nadzieję.

Zapaliła świecę w lichtarzu i wróciła do kuchni, by owinać się kocem i skulić przy dogasającym piecu. Resztę wieczoru spędziła, śledząc bez większego zainteresowania losy pięknej Ligii i dzielnego Winicjusza. Migotliwy blask płomienia kładł się na pożółkłych od starości stronach, zegar tykał cicho, odmierzając czas, a za oknem gęstniała mroźna lutowa noc. Jaka temperatura panowała na zewnątrz? Minus dziesięć stopni? Minus dwadzieścia?

Oczy zaczęły jej się zamykać, odłożyła więc książkę i położyła się na podłodze, owinięta w koc. Nie zdobyłaby się na to, żeby spać w cudzym łóżku, w zimnej pościeli, która wydziela jeszcze lekki zapach właściciela.

Kręciła się przez chwilę, szukając w miarę wygodnej pozycji na nierównej podłodze. W kuchni było duszno, ale dziewczyna bała się wstać i otworzyć okno. Dręczyła ją jeszcze jedna myśl. W miasteczku zauważyła coś dziwnego, coś więcej niż to, że nie było tu ani jednego człowieka. Coś, co było niemal równie niepokojące, ale wtedy nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić, była przecież przerażona i przemarznięta... Wtedy całą jej uwagę zaprzętało znalezienie schronienia, a teraz...

Co to było?

Poruszyła się niespokojnie, na wpół już śpiąc.

W nocy coś ją obudziło. Jakiś dźwięk, który sprawił, że otworzyła oczy i zamarła, zupełnie już przytomna. W kuchni było cicho, nawet zegar umilkł i w gęstej jak smoła ciemności dziewczyna słyszała tylko swój własny niespokojny oddech i serce uderzające o żebra.

A przecież nie wydawało się jej, naprawdę ze snu wyrwał ją jakiś odgłos. Nie w mieszkaniu, tylko gdzieś na zewnątrz.

Nie wstając z podłogi, namacała pudełko zapalek oraz lichtarz ze świecą. Ruchliwy płomień wydobył z ciemności kawałek kuchni i jednocześnie pogłębił cienie dalej, poza kręgiem światła. Dziewczyna czekała, nasłuchując.

Coś było na zewnątrz. Nie pod oknem, ale na korytarzu, przed drzwiami wejściowymi. Słyszała dźwięk, jaki mogłyby wydawać pazury drapiące o drewno. I ciężki, sapiący oddech. Nie człowieka, tylko jakby dużego zwierzęcia.

Lichtarz w jej ręce zadygotał, kropla gorącego wosku kapnęła na dłoń.

Proszę, niech to sobie stąd pójdzie, niech sobie pójdzie, niech sobie pójdzie.

Jeszcze jedno drapnięcie i zwierzę – jeśli to było zwierzę, bo przecież nie mogła mieć pewności – fuknęło gwałtownie jak zirytowany pies, węszący wokół obiecująco pachnącej nory.

Dziewczyna czekała i liczyła uderzenia serca: jedno, drugie, trzecie, czwarte...

Przy dwudziestym trzecim zwierzę fuknęło jeszcze raz, a potem usłyszała odgłos pazurów stukających o posadzkę korytarza.

To tylko jakiś bezdomny pies, pomyślała, kiedy mogła już normalnie oddychać. Zwyczajny pies, bo cóż by to mogło być innego?

Wtedy przypomniała sobie, co zaniepokoiło ją wcześniej.

Jeśli nie liczyć być-może-psa, który przed chwilą złożył jej wizytę, w mieście nie widziała żadnych zwierząt. Jasne, koty czy bezdomne kundły w takie mroźne dni zazwyczaj chowały się gdzieś w piwnicach. Ale dziewczyna nie dostrzegła też żadnych ptaków, a ich nie odstraszyłoby zimno. Nie było wron kołujących nad miastem w poszukiwaniu jedzenia ani wróbli przysiadających na gałęziach nagich drzew. Więcej nawet – uświadomiła sobie, że przez cały wieczór nie usłyszała chrobotu myszy, choć w starej kamienicy można się było spodziewać nieproszonego lokatora.

A więc nie tylko ludzie zniknęli z miasta, zwierzęta – z wyjątkiem być może jednego – także.

Dziewczyna na powrót skuliła się pod kocem. W kuchni nadal było ciepło, choć ogień w piecu wygasł. Która mogła być godzina? Pierwsza, druga? Sądząc po ciemności na zewnątrz, wciąż gęstej jak smoła, do świtu zostało jeszcze sporo czasu.

Tym razem się nie rozplakała, chociaż niewiele jej brakowało. Swoją drogą to też było dziwne, miała przecież nie więcej niż czternaście lat, powinna więc chyba... panikować? wołać mamę? No, robić to wszystko, co robią przerażone dzieciaki. A tymczasem, owszem, była cholernie (poczuła się trochę bardziej dorosła, kiedy użyła wyrażenia „cholernie”) wystraszona, ale mimo wszystko wciąż potrafiła jasno myśleć.

To nie jest mój pierwszy raz, przyszło jej do głowy. Już kiedyś zetknęłam się z czymś podobnym. Nie dokładnie takim, oczywiście, ale czymś równie dziwnym i przerażającym.

Zetknęłam się i przeżyłam.

Ta myśl uspokoiła ją na tyle, że pół godziny później udało jej się ponownie zasnąć.

Obudziła się zesztywniała, kiedy za oknem było całkiem jasno. Przez chwilę leżała jeszcze, mrugając w oszołomieniu i szukając pod kocem resztek coraz szybciej umykającego ciepła. Potem wstała i zabrała się do rozpalania ognia. Jeśli miała wyjść na zewnątrz, chciała najpierw trochę się rozgrzać. I zjeść śniadanie.

Zegar na szafce stanął na wpół do pierwszej, ale dziewczyna znalazła drugi w sypialni dorosłych. Mały stalowy budzik wskazywał dziesiątą rano. Jeśli wziąć pod uwagę, że w lutym słońce zachodziło po piątej, miała ponad siedem godzin, zanim zrobi się ciemno. Jeśli nie znajdzie w tym czasie pomocy, znowu będzie musiała poszukać miejsca, żeby schronić się na noc.

Odszukała w spiżarni kawałek słoniny, dwa jajka oraz cebulę i usmażyła jajecznicę. Zjadła ją, przegryzając wczorajszym chlebem, napiła się też ciepłego mleka z odrobiną miodu. Potem poszła do dziecięcego pokoju po zeszyt i ołówek – tak jak się spodziewała, przyborów szkolnych było tam pod dostatkiem.

Wyrwała z zeszytu kartkę i napisała:

Nocowałam tutaj, ponieważ nie miałam dokąd pójść. Przepraszam. Wzięłam też trochę jedzenia i ciepłe rzeczy z szafy. Musiałam, bo chcę wyjść na mróz, żeby poszukać pomocy. Zwrócę je, jak tylko będę mogła. Straciłam pamięć i nie wiem, jak się nazywam, ale jestem uczciwa.

Ostatnie słowo podkreśliła dwa razy, po czym przyjrzała się krytycznie kartce. Czy brzmiało to przekonująco? Nie była pewna, ale niczego lepszego nie potrafiła wymyślić. Poza tym naprawdę zamierzała oddać pożyczone rzeczy – zwłaszcza kożuszek, który znalazła w szafie. Wyglądał na nowy i chłopakowi, jeśli wróci,

na pewno jeszcze się przyda.

Stojące w przedpokoju śniegowce okazały się nieco za duże, ale ten problem załatwiło założenie dodatkowej pary wełnianych skarpet. Położyła kartkę na stole w kuchni i ciepło opatulona, uchyliła drzwi na zewnątrz.

Klatka schodowa była pusta.

Dziewczyna odetchnęła i wyszła z mieszkania. Na posadzce widniały mokre plamy, jakby ktoś naniósł tu śniegu, jednak nie była pewna, czy to jej ślady, czy może zwierzęcia, które odwiedziło ją w nocy. A na drzwiach...

O, cholera.

Na drzwiach, dobrych dziesięć centymetrów powyżej klamki, widniały cztery długie, głębokie rysy. Pies mógłby je zrobić, jeśli był naprawdę duży i jeśli stanął na tylnych łapach, ale...

Dziewczyna poczuła nadciągającą falę paniki, odetchnęła więc kilka razy głęboko. Miała ochotę zanurkować z powrotem do mieszkania i zamknąć się tam na cztery spusty, wiedziała jednak, że to głupi pomysł. Po pierwsze, prędzej czy później i tak będzie musiała wyjść. Po drugie, nie powinna zostawać w miejscu, które tajemnicze zwierzę już znało.

Odwróciła się i jednym susem przeskoczyła trzy niskie schodki prowadzące do drzwi wyjściowych. Były szeroko otwarte, widziała padający na zewnątrz śnieg. Czy to ona tak je zostawiła zeszłego wieczoru? Jeśli tak, to wyjaśniałoby, jak zwierzę dostało się do środka. Jeśli nie... Cóż, wolała przyjąć, że to był jeden z tych inteligentnych psów, które potrafią otwierać zamknięte na klamkę drzwi.

Naciągnęła czapkę głębiej na uszy, założyła jeszcze kaptur i wyszła prosto w śnieżną zadymkę.

Godzinę później zgubiła drogę. To znaczy tak naprawdę zgubiła ją już wcześniej, ale dopiero teraz zorientowała się, że nie ma bladego pojęcia, dokąd właściwie zawędrowała. Zatrzymała się. Śnieg sięgał

do kolan i wciąż padał. To jej nie przeszkadzało, w zadyńce miasteczko traciło swoją pocztówkową nieruchomość i wydawało się... no cóż, nieco bardziej żywe. Nie zmieniało to jednak faktu, że szukanie czegokolwiek w taką pogodę niewiele miało sensu, widoczność sięgała góra kilku metrów, a uliczki wokół rynku były zaskakująco do siebie podobne. Ostatnio szła Garncarską, potem chyba Żelazną, a wreszcie Szewską. Miłe staroświeckie nazwy, bez żadnych nawiązań do polityki. Dziewczynie się podobały, bo były jak powiew starego świata, tego sprzed wojny. Albo i dwóch wojen. Czasów, kiedy kobiety nosiły długie suknie, a mężczyźni chodzili w cylindrach i podkreślali wąsy, dyskutując przy kieliszku koniaku. To rodzaj eleganckiego alkoholu, tyle wiedziała.

Zdesperowana pchnęła drzwi najbliższego sklepu, a te okazały się otwarte. Weszła. W środku pachniało pieczywem, na półkach leżało kilka bochenków chleba i stos rogalików z lukrem. Dziewczyna wzięła jeden i zaczęła pogryzać odruchowo, bez poczucia winy, bo przecież rogaliki za chwilę będą czerstwe. W piekarni było zimno, ale i tak cieplej niż na zewnątrz, postanowiła więc tu zaczekać.

Żałowała, że nie wzięła z mieszkania książki, którą mogłaby teraz poczytać.

Siedziała, gapiąc się w okno i walcząc ze łzami, które znów zaczęły napływać jej do oczu. Była zupełnie sama w opuszczonym mieście, bez nikogo, kto mógłby jej pomóc. I nadal nie miała pojęcia, kim jest ani co się tu stało. A przecież powinna to wiedzieć. Nie mogła długo leżeć na zimnej posadzce w pałacyku. Rozsądek podpowiadał, że nie zdołałaby tak łatwo wstać, gdyby leżała tam dłużej niż trzy-cztery godziny, jeśli więc mieszkańcy nie zniknęli w tak krótkim czasie (co wydawało się niemożliwe), dziewczyna musiała coś wcześniej zauważyć.

Gdy skończyła rogalik, poczuła pragnienie, poszła więc na zaplecze, gdzie znalazła czajnik stojący na wystyglym piecu. Było w nim trochę wody. Dziewczyna przelała ją do szklanki i wypła. Woda smakowała osadem z kamienia, ale poza tym była całkiem w porządku.

Kiedy wróciła na swoje miejsce przy oknie, śnieg wciąż padał, choć nie tak gęsto jak wcześniej. Dziewczyna czekała cierpliwie. Nic

innego jej nie pozostawało. Wreszcie, gdy wiszący nad ladą zegar wskazał godzinę drugą, zadymka ustała. Dziewczyna wsunęła do kieszeni kozuska dwa rogaliki, naciągnęła na czapkę kaptur i wyszła. Odbite od śniegu słońce niemal ją oślepiło. Zamrugła, pod powiekami pojawiły się łzy. Zapadając się w zaspach, ruszyła przed siebie. Rynek powinna mieć po lewej. Chyba. Teraz, kiedy wreszcie mogła zobaczyć, dokąd idzie, zaczęła rozpoznawać mijane kamieniczki. Przyszło jej do głowy, że mogłaby znaleźć kościół, wspiąć się na wieżę i stamtąd się rozejrzeć. Dlaczego nie wpadła na to wcześniej?

Kościół musiał być gdzieś w centrum, a więc niedaleko.

Szła jak żuraw: podnieść nogę wysoko, opuścić, znowu podnieść... Powietrze było ostre i zimne, otaczające miasteczko góry na tle błękitnego nieba znowu wyglądały jak z pocztówki. Karkonosze, przypomniała sobie. Jeśli znalezione w kuchni przewodniki nie kłamały. To oznaczało, że znajdowała się gdzieś w pobliżu granicy z Czechosłowacją. Przez chwilę rozważała możliwe scenariusze: była kolejna wojna, Niemcy znowu napadli na Polskę i w jakiś sposób sprawili, że wszyscy zniknęli. Może mają jakąś supernowoczesną broń, może...

Potknęła się i upadła. W ostatniej chwili wyciągnęła rękę i jej twarz zatrzymała się parę centymetrów nad białą zaspą. Zaczęła się podnosić, przeklinając pod nosem i strzepując śnieg z kozuska.

Wtedy zauważyła ślady.

Zwyczajne ludzkie ślady, wyraźnie odcisnięte w świeżym puchu. Dziewczyna zastygła. Przez cały czas tak bardzo liczyła na to, że w mieście jest jeszcze ktoś oprócz niej, a teraz nagle na widok tych śladów poczuła niepokój.

Wstała i otrzepała spodnie. Odciski stóp zaczynały się w jednej z bocznych uliczek, przecinały główną i znikwały w zaułku. Nie były głębokie – ktokolwiek tędy szedł, miał duże stopy, ale nie był zbyt ciężki. To ją odrobinę pocieszyło. Z chudym, drobnym mężczyzną chybaby sobie poradziła, gdyby... gdyby nie okazał się przyjazny.

Skręciła i poszła za śladami, czując się trochę jak Winnetou z powieści Karola Maya. Pamiętała, że to czytała, choć znowu nie

miała pojęcia kiedy i gdzie. Nieważne, za chwilę być może znajdzie kogoś, kto pomoże jej wszystko sobie przypomnieć.

Ślady wyglądały na świeże, poruszony śnieg osypywał się jeszcze z krawędzi. Ktoś tędy szedł nie dalej niż kilka minut temu. Jakim cudem dziewczyna go nie dostrzegła? Jasne, była zajęta gapieniem się na mijane kamienice, ale powinna przynajmniej tajemniczego ktosia usłyszeć. Chyba że szedł naprawdę bardzo cicho...

Znowu zrobiło jej się odrobinę nieprzyjemnie, szła jednak dalej. Mogła zawołać – otworzyła już usta, ale przypomniała sobie, jak słabo i dziwnie rozbrzmiewał w ciszy jej głos, i zrezygnowała.

Ślady minęły śmietnik, wijąc się pośród zagraconych podwórek na tyłach kamienic. Były tu klatki, w których chyba hodowano króliki, chlewik z uchylonymi drzwiami, śmierdzący jeszcze świniami, ale oczywiście pusty, rower bez jednego koła oparty o trzepak, resztki dziecięcego wózka. Ślady zniknęły w ciemnej bramie i wynurzyły się z powrotem po drugiej stronie, zupełnie jakby ktoś bawił się w ciuciubabkę.

Wie, że za nim idę, pomyślała. Myślała o nieznanym „on”, bo nosił męskie buty, ale równie dobrze mogła to być kobieta – dziewczyna sama miała na sobie pożyczone od obcego chłopaka śniegowce.

Może on boi się mnie tak samo jak ja jego?

Ślady kończyły się przy kolejnym chlewiku. Po prostu urywały się, jakby nieznajomy wszedł w murowaną ścianę. To było niemożliwe. Dziewczyna gapiała się w stare cegły, jakby mogła wyczytać z nich odpowiedź. Potem zauważyła, że to wcale nie jest gładka ściana. Na wysokości uda cegły były tak ukruszone, że tworzyły niewielki ustęp. Pół metra wyżej wystawała lekko kolejna cegła. Jeśli ktoś był naprawdę bardzo zręczny, mógł się wspiąć...

Uniosła głowę i w tym momencie z dachu chlewika runęło na nią jakieś sto kilo żywego ciała. Przynajmniej to właśnie czuła, kiedy przewracała się na plecy, machając desperacko rękami. Wrzasnęła, słońce przez ułamek sekundy świeciło jej w szeroko otwarte oczy, a potem przesłonił je cień.

– Czemu za mną łazisz?! – Głos nie należał do mężczyzny, ale

do nastoletniego chłopca.

Znajomy głos, choć dziewczyna nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Ciemna plama przed jej oczami skonkretyzowała się wreszcie w pucułowate oblicze siedzącego na niej okrakiem chłopaka. Spoglądał na nią, jakby ona jemu również wydawała się znajoma.

– Nina? – zapytał, marszcząc brwi. – Rany, zupełnie cię nie poznałem w tym kapturze. Przepraszam, nie chciałem... Cholera... – Zsunął się z niej zaskakująco zgrabnie jak na kogoś, kto miał kilka dodatkowych kilogramów. – Czemu się nie odzywałaś?

Po raz drugi tego dnia gramoliła się ze śniegu, otrzepywała kożuszek i spodnie. Lewy łokieć i pośladki pulsowały bólem, ale wyglądało na to, że nic poważnego jej się nie stało. Kim jesteś? – chciała zadać pytanie, ale uświadomiła sobie, że jest przecież coś ważniejszego.

– Kim ja jestem? – zapytała. – Wiesz, kim jestem?

Na twarzy chłopaka odbiło się zdumienie.

– Co ty, wygłupiasz się? No przecież Nina Pankiewicz, nie? To znaczy teraz Marczak. Nina Marczak.

Rozdział drugi, w którym Nina kolejny raz rusza w podróż, nie znając zupełnie celu.

Nina Marczak – powiedziała siostra Anzelma, zaglądając do dziennika.

Była stara, miała co najmniej siedemdziesiąt lat, jeśli nie więcej, a siedzącej po drugiej stronie biurka prawie czternastolatce kojarzyła się nieodparcie z zasuszonym konikiem polnym. O ile oczywiście koniki polne mogłyby nosić habity i okulary w drucianych oprawkach, które zakonnica umieściła właśnie na nosie, by przyjrzeć się dziewczynie.

Nina czekała z rękoma na kolanach. W czystym granatowym mundurku i bereciku zsuniętym na lewe ucho dokładnie tak, jak nakazywał regulamin, wyglądała niczym wcielenie grzecznej uczennicy.

Siostra Anzelma chrząknęła.

– Rozumiesz, że muszę podjąć ważną decyzję, prawda? Wiesz, czemu tu jesteś?

– Nie, proszę siostry – odparła Nina. – Nikt nie był łaskawy niczego mi wyjaśnić. Siostra Joanna po prostu przyszła po mnie do klasy i kazała mi się tutaj zgłosić.

– Hmm... – Tym razem chrząknięcie było nieco dłuższe, po czym wzrok starej zakonnicy wrócił do dziennika. – Z matematyki i z polskiego, jak widzę, same piątki, z historii, fizyki i geografii też całkiem nieźle, za to z biologii słabo, a łacina... Chyba będziesz musiała więcej popracować nad łaciną, moja droga, to taki szlachetny język. Mówili nim pierwsi chrześcijanie. Ale ty podobno nie wierzysz w Boga. – Siostra zaakcentowała słowo „podobno”, jakby spodziewała się, że dziewczyna zaprzeczy takim okropnym plotkom.

– Pierwsi chrześcijanie mówili raczej po aramejsku – skorygowała Nina. – I tak, nie wierzę w Boga.

Siostra Anzelma przyjrzała jej się uważnie.

– Jednak nie buntujesz się przeciwko chodzeniu do kościoła.
Ciekawe.

– A dałoby to coś, gdybym się buntowała?

– Nie – przyznała zakonnica. – Wszystkie nasze uczennice raz w tygodniu muszą wziąć udział we mszy świętej. Takie mamy zasady. Ale spodziewałabym się z twojej strony... no cóż, więcej protestów, zwłaszcza że w niedzielę większość dziewcząt wołałaby się wyspać.

– Lubię kościoły. – Nina wzruszyła ramionami, a ponieważ siostra Anzelma patrzyła na nią podejrzliwie, dodała prędko: – Naprawdę. Zwłaszcza stare i zabytkowe. W naszym są bardzo piękne siedemnastowieczne witraże i barokowy obraz. A wczesne wstawanie nigdy mi nie przeszkadzało. Lubię siedzieć w ławce i myśleć o różnych rzeczach. Kościół zawsze nastraja mnie bardzo romantycznie, szczególnie kiedy grają organy, a słońce kładzie się barwnymi plamami na drewnianych ławkach...

– Próbujesz ze mnie kpić?

– Nie, oczywiście, że nie. – Nina zaczerwieniła się lekko.

– To dobrze, bo widzę, że masz problemy z zachowaniem. Siostra Immaculata skarżyła się, że jesteś bezczelna.

– Siostra Immaculata uważa, że pójdę do piekła, powiedziałam jej więc, że skoro i tak spędzę tam wieczność, to przynajmniej na ziemi mogłaby mi dać trochę spokoju.

– To było bezczelne.

– Trochę było – przyznała Nina uczciwie. – Ale ona ciągle ma do mnie pretensje. I...

– Tak?

– Nic. – Dziewczyna zacisnęła usta.

– Podobno podważasz wiedzę siostry Immaculaty.

– Ona naprawdę wierzy, że Bóg stworzył świat w siedem dni i zrobił Ewę z żebra Adama. A przecież teoria ewolucji...

– Za moich czasów dzieci nie odzywały się niepytane. – Siostra Anzelma spojrzała na Ninę surowo. – Może ty też weźmiesz sobie tę zasadę do serca.

– To bardzo głupia zasada – zaprotestowała dziewczyna.

– Doprawdy? A dlaczego to?

– Powiedzmy, że budynek zaczęłyby się palić, a ja nie mogłabym o tym siostrze powiedzieć, dopóki siostra by mnie nie spytała. Albo gdybym umierała na jakąś nagłą chorobę...

– A umierasz?

– Nie, ale widzi siostra, tego nie da się tak całkiem przewidzieć, prawda? – Siostra znowu zmarszczyła brwi, więc Nina dorzuciła pośpiesznie: – Nie próbuję kpić, naprawdę.

– W moich czasach – siostra Anzelma miała naprawdę ograniczony repertuar – bezczelne dzieci bito pasem. Na gołą skórę. To bardzo wyrabiało charakter, zapewniam cię.

– Nie wątpię. I pewnie też napełniało te dzieci prawdziwie chrześcijańską miłością do reszty świata. – Nina zastanowiła się. – Tym razem to była kpina. Przepraszam.

Pomarszczone policzki siostry Anzelmy spąsowiały.

– Wydaje ci się, że jesteś zabawna?

Nina milczała, bo miała wrażenie, że cokolwiek powie, i tak będzie źle.

Zakonnica westchnęła.

– No cóż, pomijając twój charakter, wygląda na to, że stopnie masz wystarczająco dobre, by zwolnić cię z lekcji do końca tygodnia. Pakuj się, jedziesz wcześniej na ferie. Twój opiekun czeka w samochodzie przed szkołą.

Dormitorium wydawało się bardzo puste teraz, w środku dnia, kiedy wszystkie uczennice były na lekcjach. Puste i spokojne – taką sypialnię Nina mogłaby chyba nawet polubić. Promienie zimowego słońca wpadały przez okna, kładąc się na pięciu starannie zaścielonych łózkach (zakonnice nie tolerowały nieporządku), przez grube ściany z trudem przebijał się gwar zwyczajnego szkolnego życia.

Nina wyciągnęła z szafy walizkę i zaczęła się pakować. Bielizna, trzy ciepłe spódnice, dwa swetry, jedna trochę bardziej elegancka sukienka... Nie, właściwie po co jej elegancka sukienka? Przecież nie

będzie miała okazji jej założyć. Dziewczyna westchnęła ciężko. Poza tym sukienka i tak nie była zbyt ładna. Nie była też brzydka, tylko zwyczajnie nijaka. Nina, która kochała tiul, koronki i bufiaste rękawy, patrzyła na tę solidną, szarą nijakość z wyjątkowym wstrętem.

Wszystkie jej ubrania teraz tak wyglądały. Były wygodne, praktyczne, z dobrego materiału. I śmiertelnie nudne. Oczywiście nie wybrała ich Nina, tylko Ewa Wiśniewska, komunistka, która razem z Lisem była teraz jej oficjalną opiekunką. Przyjechała na początku stycznia do Bogusławca, przywiozła Ninie nowe dokumenty, a potem stwierdziła, że rosnąca dziewczyna potrzebuje zmiany garderoby. Zabrała ją wtedy do krawcowej i nawet pytała o zdanie, ale Nina była tak nieszczęśliwa, że powtarzała tylko „wszystko mi jedno”. Zresztą i tak nie mogłaby za bardzo wymyślać. Komuniści płacili za jej szkołę z internatem, ubrania i wszystkie przyjemności. Chwilami naprawdę czuła się jak sierota. Miała rodziców, ale ci zostali we Wrocławiu, a ona nie mogła się z nimi kontaktować. Gdyby to zrobiła, matka i ojciec by umarli. Tak działała magia.

Nina nie chciała o tym myśleć.

Odłożyła sukienkę do szafy i zdjęła granatowy szkolny mundurek. Skrzywiła się przy tym – siniaki na jej ramionach, wczoraj jeszcze prawie niewidoczne, właśnie rozkwitały intensywną czerwienią.

„W moich czasach bezczelne dzieci bito pasem. Na gołą skórę. To bardzo wyrabiało charakter”.

Uśmiechnęła się gorzko sama do siebie.

Złożony w kostkę mundurek położyła na poduszce, na wierzchu starannie umieszczając granatowy берет. Dziewczyny ze szkoły świętej Łucji nazywały te berety „naleśnikami”, bo niezależnie od tego, jak człowiek je założył, i tak przypominały spływające z głowy klapnięte ciasto. Mało kto wyglądał w czymś takim korzystnie i Nina nie była wyjątkiem. Naleśnikoberet podkreślał jej trójkątną twarz i eksponował bliznę na czole – Nina najchętniej przysłaniałaby ją grzywką, ale niestety w szkole obowiązywał tylko jeden rodzaj uczesania: włosy szesane do tyłu i związane wstążką, ewentualnie splecione w warkocz.

Cóż, przynajmniej w ferie będzie mogła chodzić w zwyczajnej

czapce.

Ubrała się, chwyciła walizkę i zbiegła schodami w dół. Twój opiekun czeka przed szkołą w samochodzie, powiedziała siostra Anzelma, ale porucznik Daniel Lis stał w przedsionku, flirtując w najlepsze z młodziutką zakonnica, która chichotała i płoniła się pod jego spojrzeniem. Jak on to robi? – zastanowiła się Nina, ponieważ Lis był nie tylko rudy, ale też zwyczajnie brzydki. Nie miała jednak czasu, żeby rozważyć takie kwestie, bo porucznik właśnie ją dostrzegł.

– Jesteś – powiedział. – Daj tę walizkę, zaniosę do auta.

Nina poszła za nim posłusznie.

– Dokąd jedziemy? – zapytała, kiedy walizka wylądowała już w bagażniku.

– Wy tłumaczę wszystko, jak dołączy do nas Hubert, w porządku?

Skinęła głową. W inny dzień pewnie zaczęłaby nalegać, ale dziś już i tak mocno naciągnęła swoje szczęście podczas rozmowy z siostrą Anzelmą. Była grzeczną dziewczynką przez większość swojego życia i sprzeciwianie się dorosłym wciąż stanowiło dla niej nowość.

Zatrzymali się piętnaście kilometrów dalej, przed męską szkołą świętego Andrzeja. Też z internatem, mieszczącą się w budynku bardzo podobnym do tego, w którym uczyły się łucjanki. Lis wysiadł, ale nie wszedł do środka, tylko oparł się o maskę i zapalił papierosa.

– Nie pójdzie pan po Huberta? – zapytała Nina, gramoląc się z tylnego siedzenia.

– Byłem tu już wcześniej, powiedzieli, że puszcza go po trzeciej lekcji. Czyli – spojrzał na zegarek – za jakieś dziesięć minut.

– Aha – bąknęła dziewczyna.

– Z tyłu masz dwa termosy i trochę kanapek, jeśli jesteś głodna.

– Nie jestem – burknęła, świadoma, że nie jest zbyt grzeczna.

Nadal nie wiedziała, jak „ich”, czyli komunistów, traktować. Lis jesienią ocalił jej życie, a teraz (znowu do tego wracała) razem z Ewą Wiśniewską płacił za jej szkołę. Nie potrafiła jednak być mu wdzięczna. Nie po tym, co zrobił swego czasu Jackowi.

– Nie próbuję być miły – westchnął Lis. – Jeśli uważasz, że poczęstowanie kogoś kanapką równa się byciu miłym, to naprawdę masz niskie standardy.

– Nie uważam. – Nina nie potrafiła się zdobyć ani na bycie uprzejmą, ani nieuprzejmą i w rezultacie balansowała między jednym a drugim i tak naprawdę obie te skrajności budziły w niej poczucie winy.

– Jak tam w szkole? – zapytał Lis niezobowiązującym tonem.

– Och, świetnie – odparła, patrząc na kanciasty budynek świętego Andrzeja. Z zewnątrz wyglądał ładząco spokojnie, aż trudno było uwierzyć, że w środku uczy się kilkuset dorastających chłopców. – Mam mnóstwo koleżanek. I wszystkie dosłownie mnie uwielbiają. Gdybym chciała, na każdej lekcji mogłabym siedzieć z kim innym w ławce. Obsypują mnie prezentami i ciągle chcą, żebym im się wpisywała do pamiętników. Mam już dosyć rysowania tych wszystkich serduszek i kwiatów, a wiersze...

– Jeśli próbujesz być sarkastyczna, musisz się jeszcze sporo nauczyć – powiedział Lis.

– Nieprawda – mruknęła Nina. – Moim zdaniem idzie mi całkiem dobrze. Pewnie dlatego, że sporo ćwiczę.

Pomyślała o ostatnich trzech miesiącach, które niemal w całości przepląkała z tęsknoty za rodzicami, i o strachu, że już nigdy ich nie zobaczy. O najgorszych świętach Bożego Narodzenia w swoim życiu, spędzonych w znieawidzonej szkole pośród zakonnic, których nie lubiła i które nie lubiły jej. I o tym, że mimo wszystko te święta i tak były czasem wytchnienia, bo nareszcie mogła zostać sama, bez koleżanek chichoczących głupio za jej plecami i odwracających wzrok, kiedy do nich podchodziła.

Dziewczyny od świętej Łucji nie wkładały Ninie ropuch do łóżka, nie potraçały jej na przerwach ani nie pluły do zupy na stołówce. Były na to zbyt dorosłe. Nie, one po prostu ją ignorowały, jakby była Niewidzialnym Człowiekiem z powieści Wellsa. Jeśli ktoś coś do niej mówił, to zazwyczaj były to krótkie komunikaty: przesuń się, komunistko, bo zasłaniasz mi światło, idź stąd, oddaj, nie rusz. Na początku próbowała tłumaczyć, że ateista wcale nie musi być komunistą, ale tylko pogorszyła swoją sytuację. Potem przestała się odzywać i też było źle.

Och, mogłaby Lisowi sporo opowiedzieć. O posiłkach jedzonych

na stołówce przy osobnym stoliku, bo przy innych „miejsca były zajęte” (choć nikt tam nie siedział), o tym, że gdy miały się dobrać w dwójki, zawsze zostawała sama (w klasie było siedemnaście dziewczyn), a kiedy nauczyciel kazał jej dołączyć do jakiejś pary, pozostałe dwie dziewczyny ani się do Niny nie odzywały, ani nie pozwalały jej niczego zrobić, w rezultacie czego obrywała za lenistwo, zupełnie jakby to była jej wina, że na lekcjach siedzi i gapi się w ścianę. O przerwach spędzanych na czytaniu książek, o tym, że kiedy Marianna z dziewiątej B miała urodziny i częstowała wszystkich ciastkami, jedyną, dla której ciastka zabrakło, była właśnie Nina... Nie żeby jakoś szczególnie zależało jej na poczęstunku czy przyjaźni wszystkich tych dziewczyn, ale to i tak bolało, zwłaszcza że w poprzedniej szkole Nina była jedną z bardziej lubianych uczennic.

Mogłaby o tym wszystkim opowiedzieć, ale ostatecznie nie powiedziała nic. Zresztą od strony budynku szedł już, taszcząc walizkę, chudy piętnastoletni chłopak. Nina poznała go po tej chudości właśnie, bo Hubert znowu miał czarne włosy, tak jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy w Markotach.

– Cześć – sapnął, stawiając walizkę obok samochodu.

Lis wrzucił ją do bagażnika, a Nina niezbyt zręcznie objęła chłopaka. Żadne z nich nie przepadało za okazywaniem uczuć.

– Wszystko w porządku? – zapytał Hubert, a dziewczyna z pewnym ociąganiem skinęła głową.

Przez ostatnie trzy miesiące widzieli się tylko raz, i to z daleka, bo uczniom obu szkół nie wolno było się spotykać ani nawet wychodzić na miasto bez opieki zakonnic.

– A u ciebie?

– Nieźle – przyznał Hubert. – Ta szkoła jest całkiem fajna. Mają tu nawet kółko dramatyczne, w zeszłym tygodniu wystawialiśmy *Żywot świętego Stanisława Kostki*. To jakaś okropna sztuka o chłopaku, który uciekł z domu, bo chciał wstąpić do klasztoru. Na Szekspira ani nawet na Słowackiego nam pewnie nie pozwolą, więc lepsze to niż nic. Co prawda one mnie nie lubią...

– Zakonnice?

– Zakonnice, tak. Mówią, no wiesz, że jestem dzieckiem grzechu,

bo moi rodzice nie mieli ślubu. Ale chłopaki z klasy są w porządku.

A więc przynajmniej Hubert znalazł kolegów w nowej szkole. Nina przyjrzała mu się uważnie: nastolatek faktycznie sprawiał wrażenie zadowolonego, co w jego przypadku oznaczało, że nie miał tak ponurej miny jak zwykle. I nabrał trochę ciała. Nadal oczywiście był chudy, ale już nie przerażająco chudy. Nina odetchnęła z ulgą – ostatecznie to ona namówiła Huberta na współpracę z komunistami i czuła się teraz za niego poniekąd odpowiedzialna.

– A co z twoimi włosami? Zafarbowalesz je?

– Zafarbowałem – przyznał, uśmiechając się nieoczekiwanie radośnie. – No wiesz, doszedłem do wniosku, że czarne jednak bardziej do mnie pasują.

Fakt, z ciemną czupryną wyglądał trochę jak blady, romantyczny poeta, a z jasną – jak wypłowiwały duch albo negatyw zdjęcia. Ale jakim cudem ktokolwiek mu na to pozwolił? Ninie nie wolno było nawet zapaść grzywki, a on mógł zafarbować włosy?

Gdy go o to zapytała, wzruszył niebale ramionami.

– Powiedziałem im, że mnie ścigają i dlatego muszę zmienić wygląd.

Wytrzeszczyła oczy.

– Uwierzyli?

– Ja naprawdę jestem dobrym aktorem. Poza tym akurat przyszły dokumenty od Lisa i siostra przełożona uznała chyba, że coś jest na rzeczy. Ty też masz nowe nazwisko?

– Tak, nazywam się teraz Marczak. Nina, a nie Janina, jak wcześniej. Nina została, bo pani Wiśniewska powiedziała, że i tak by mi się myliło.

– Ja jestem Hubert Jerzycki.

– Wsiadajcie – pogonił ich Lis, który skończył wreszcie przekładać walizki w bagażniku. – Już i tak jesteśmy spóźnieni.

– Miał nam pan powiedzieć, dokąd jedziemy – przypomniała Nina.

– Powiem wam, jak tylko ruszymy.

– Jedziecie do Wilczych Dołów, to takie małe miasteczko w Karkonoszach – wyjaśnił porucznik Lis. – Po drodze spotkamy się z Tamarą i Jackiem, a na miejsce zawiezie was towarzyska Wiśniewska. Ona będzie się wami opiekować. Mam nadzieję, że miło spędzicie ferie.

– Spędzimy ferie? – W głosie Niny zabrzmiało niedowierzenie. – To my jedziemy tam na ferie?

– Oczywiście, a co ty myślałaś?

– Mieliśmy przecież dla was pracować! Pamięta pan? Czerwone Kapturki, magia, te sprawy?

Właściwie co ją tak oburzało? Przecież wcale nie chciała pracować dla komunistów. Może to była kwestia tego specyficznego dreszczu emocji, który czuła latem w Markotach i potem jesienią w instytucie Totenwald. Jasne, groziła jej wtedy śmierć i bywały momenty, kiedy Nina oddałaby pół życia, żeby znaleźć się z powrotem w bezpiecznym domu, ale w jakiś sposób tęskniła za tamtymi dniami. Tęskniła, choć sama sobie powtarzała, że to bardzo głupie.

– Pamiętam. – Lis wyminął jadący drogą wóz z węglem. – Ale zanim powierzemy wam jakiegokolwiek zadanie, musicie najpierw trochę poćwiczyć.

– Co poćwiczyć? – Siedzący obok Niny Hubert zmarszczył brwi. – Nasze moce? Ja ze swoją sobie radzę. I jak dotąd nikt w szkole się nie domyślił, że mam jakąkolwiek magię.

Pstryknął palcami i nad opuszką kciuka pojawił się maleńki ogień. Hubert bawił się nim przez chwilę, przerzucając z ręki do ręki, a potem zgasił. Nina odwróciła wzrok. Ona również miała moc, ale w przeciwieństwie do Huberta nie potrafiła nad nią panować.

– Nie chodzi tylko o magię – tłumaczył cierpliwie Lis. – Chcemy nauczyć was paru użytecznych rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Na przykład jak się bronić, jeśli ktoś was zaatakuje. Albo coś. Nawet upiora można przecież zranić. Nauczymy was strzelać i walczyć wręcz. Dzięki temu będziecie bezpieczniejsi, a my nie będziemy musieli się o was martwić.

– Dostaniemy pistolety? – Hubert starał się zachować

powściągliwość, ale oczy podejrzenie mu błyszczały.

– Pomyślmy o tym.

Nina spojrzała w odbite w lusterku oczy Lisa, a mężczyzna odwrócił wzrok. On wie, pomyślała dziewczyna. Wie, że konwencjonalna broń rzadko działa na upiory. Ale oni po prostu nie mają nam nic innego do zaoferowania, w żaden inny sposób nie mogą nas chronić.

Jechali na południe. Lis milczał, Nina i Hubert rozmawiali na tylnym siedzeniu, nadrabiając ostatnie trzy miesiące. Chłopak opowiedział jej o przedstawieniu i Bożym Narodzeniu spędzonym u Jacka (Nina odrzuciła zaproszenie Tamary, bo uznała, że gość, który cały czas płacze, tylko psułby świąteczną atmosferę). Nina zrewanżowała się opowiadaniem o naleśnikoberetach i o tym, że na lekcjach gimnastyki dziewczyny ćwiczą w pończochach, bo odsłanianie gołych nóg według zakonnic jest nieprzyzwoite. Nie chciała mówić ani o ignorujących ją koleżankach, ani tym bardziej o siniakach, które ukrywała pod swetrem. Po pierwsze, Lis cały czas słuchał. Po drugie, Hubert wyraźnie był w dobrym humorze i dziewczyna nie miała serca go martwić – zwłaszcza że i tak nie potrafiłby jej pomóc.

Koło drugiej sięgnęła wreszcie po leżące na tylnym siedzeniu termosy. W jednym była obrzydliwie gorzka herbata, dokładnie taka, jaką chętnie pił Hubert (być może po to, żeby się umartwiać), w drugim natomiast bardzo słodka kawa z dużą ilością mleka, czyli ulubiony napój Niny. A więc Lis jednak próbował być miły. Dziewczyna zawahała się, sięgając po swój termos, ale czuła już takie pragnienie, że było jej wszystko jedno. Napiała się kawy, a potem zaczęła walczyć z mielonką na wielkiej pajdzie świeżego chleba.

Hubert jadł drugą kanapkę, wyglądając przez okno, za którym przesuwał się zimowy krajobraz.

Mijali białe pola, z których sterczały samotne strachy na wróble i nagie drzewa, obsypane wronami jak czarnymi nastroszonymi uleگاłkami. Przejeżdżali przez zapyziałe wioski i senne małe miasteczka, czasem też na horyzoncie pokazywało się duże miasto, z kominami dymiącymi w szare niebo, ale Lis zazwyczaj omijał je,

jadąc bocznymi drogami.

Za Zieloną Górą zatrzymali się pod lasem, by porucznik mógł sprawdzić dalszą trasę. Wsiadł, rozłożył mapę na masce samochodu i patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, a Hubert skorzystał z okazji i poszedł podziwiać słońce prześwitujące między drzewami (innego chłopaka Nina podejrzewałaby, że idzie za potrzebą, ale Hubertowi mogło faktycznie chodzić o piękne widoki). Dziewczyna spacerowała po pustej drodze tam i z powrotem, patrząc, jak para unosi się z jej ust przy każdym oddechu.

Po lewej stronie drogi rósł dębowy las, po prawej aż po horyzont rozciągało się puste pole, na którym dwie sarny szukały pod śniegiem jedzenia. Nina obserwowała je przez chwilę, a potem podeszła do Lisa.

– Naprawdę jedziemy do Wilczych Dołów tylko na ferie? – zapytała.

– Naprawdę. – Mężczyzna złożył mapę. – Nie chcemy was wywieźć do lasu i zamordować, jeśli tego się boisz. Wiem, że nie masz o nas najlepszego zdania, ale my nie zabijamy dzieci.

– Chyba że nie macie innego wyjścia.

Nina pomyślała o instytucie Totenwald, o tym, jak dostała czerwoną kartkę i czekała na swoją kolej, żeby umrzeć. Lis ocalił jej wtedy życie, ale pytanie brzmiało, czy nie zrobił tego przypadkiem kosztem kogoś innego. Nina uwierzyła, kiedy zaprzeczył, bo chciała wierzyć, czasem jednak i tak miała wątpliwości.

– Chyba że nie mamy innego wyjścia – przyznał Lis ze spokojem, który wydawał się bardziej przerażający niż wściekłość (brzmiała też w tym spokoju nuta znużenia i smutku, ale Nina wołała jej nie dostrzegać).

Ona również miała potencjalnie niebezpieczną moc, nad którą nie panowała. Wiedziała o tym i czasem myślała, że lepiej by było dla wszystkich, gdyby Lis nigdy jej nie uratował. Skoro inne dzieci z niestabilnymi mocami szły na śmierć, dlaczego ona miałaby żyć?

Porucznik musiał pomyśleć o tym samym, bo schował mapę do kieszeni i spojrzał na Ninę.

– Myślę, że mogłabyś nad tą mocą zapanować, gdybyś tylko dłużej

poćwiczyła – powiedział. – Tak naprawdę nigdy przecież tego nie próbowałaś. Twoja moc działa, kiedy pada śnieg?

– Działa, ale za każdym razem, kiedy jej używałam, komuś działa się krzywda. – Nina zacisnęła usta.

– To idź tam, gdzie nikogo nie ma. W Wilczych Dołach jest uschnięty las, w którym nie ma żadnych zwierząt ani tym bardziej ludzi.

– I dlatego właśnie zabieracie nas tam na ferie?

Hubert wynurzył się z lasu i podszedł do nich.

– Ja też chciałbym wiedzieć, dlaczego właściwie jedziemy do Wilczych Dołów. Nie mogliście wybrać miejsca gdzieś bliżej?

– To jedyne miasto w całej Polsce, w którym jak dotąd nie zanotowano ani jednego incydentu magicznego – wyjaśnił porucznik.

– Dlatego uznaliśmy, że tam będziecie bezpieczni. Żadnych upiorów, bestii, magii ani nawet aniołów.

Hubert wyglądał na odrobinę rozczarowanego, Nina zmarszczyła brwi.

– Skąd właściwie o tym wiecie? – zapytała. – Macie jakiś... system badań albo coś w tym rodzaju?

– Zbieramy informacje od naszych ludzi rozsianych po całym kraju, a oni z kolei zbierają informacje od mieszkańców miast i wsi. Oczywiście nigdy nie dowiemy się absolutnie o wszystkich incydentach, ale jesteśmy w stanie na podstawie raportów stwierdzić, które rejony są mniej aktywne magicznie, a które bardziej. A w Wilczych Dołach pracował jeden z naszych najbardziej zaufanych ludzi. Bardzo skrupulatny współpracownik, zapewniam cię. Na pewno nie przegapiłby niczego poważnego.

Wszystko to brzmiało bardzo przekonująco, może nawet trochę przesadnie, zupełnie jakby Lis próbował przekonać też siebie. Ninę uderzyła nagła myśl, że Lis się martwi. Próbuje to ukryć, ale naprawdę się martwi.

– Jedziemy – powiedział porucznik. – Za Legnicą zatrzymamy się na obiad i zaczekamy na Tamarę i Jacka.

Dwie godziny później zaparkowali przy gospodzie Leśna Polana, gdzie Lis zamówił dla siebie bigos, a dla nastolatków po porcji

pierogów z jagodami. Nina jadła, rozmazując po talerzu śmietanę, za oknem powoli zapadał zimowy zmierzch. Kiedy dojedziemy do Wilczych Dołów, będzie już całkiem ciemno, pomyślała.

Lis skończył swój obiad i zerknął na zegarek.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział. – Pójdę zobaczyć, czy tamci już przyjechali.

– Idę z panem. – Nina zerwała się z ławki.

Hubert, pogrążony w lekturze wyciągniętego z kieszeni tomiku poezji, skinął obojętnie głową.

Na zewnątrz przenikliwy wiatr sypał im w twarze drobinki śniegu. Nina skuliła się i podniosła kołnierz palta. Lis zapalił papierosa, osłaniając ogienek dłonią. Dziewczyna spodziewała się, że zapyta, po co za nim poszła, ale on milczał i wydmuchiwał tylko dym, który zaraz niknął w zadymce.

– Pan nie jest z nami szczery – powiedziała wreszcie. – Pan się czymś martwi...

– A ty jesteś szczerą? Myślisz, że nie widzę, jak ciężko ci ruszać lewą ręką?

Nina poczerwieniała. Lewy bok faktycznie miała bardziej poobijany niż prawy, ale sądziła dotąd, że nikt niczego nie zauważył.

– Spadłam na gimnastyce z drabinki – powiedziała obronnym tonem, a Lis skinął głową, nawet na nią nie patrząc. – To był...

– Daruj sobie.

Zaciągnął się jeszcze papierosem, a potem rzucił niedopałek pod nogi i przydepnął.

– Towarzysz Konstanty Rygiel naprawdę był jednym z naszych najlepszych ludzi – oznajmił. – Nie lubił komunistów, ale jeszcze bardziej nie znosił magii i dlatego zgodził się dla nas pracować. Typ przedwojennego dżentelmena, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jestem pewien, że kto jak kto, ale on by nas nie oszukał.

– Ale?

– Dlaczego sądzisz, że jest jakieś ale?

– Powiedział pan *był*. Nie *jest*, tylko *był*.

Lis westchnął.

– Towarzysz Rygiel zniknął tuż po tym, jak wysłał nam ostatni

raport. Nie, nie ma w tym nic podejrzanego – zastrzegł od razu, bo Nina już otwierała usta. – Był stary i od dawna myślał o przejściu na emeryturę. To miało być jego ostatnie zadanie, taki sentymentalny powrót do miasteczka, w którym jak twierdził, spędził najpiękniejsze lato młodości.

– Ale? – powtórzyła uparcie.

– Z tego, co wiemy, towarzysz Rygiel wrócił z Wilczych Dołów do Krakowa, gdzie mieszkał, a następnego ranka spakował wszystkie rzeczy do walizki, zaniósł ją do swojej warszawy i odjechał, nikt nie wie dokąd.

– I pan twierdzi, że nie ma w tym nic podejrzanego?

– Dlaczego miałyby być? To był stary, samotny człowiek, którego nic w Krakowie nie trzymało. Może potrzebował odmiany i zwyczajnie wyjechał.

– Żeby szukać spokoju nad morzem? – podsunęła Nina. – Albo wypasać owce na tatrzańskich halach i zastanawiać się tam nad sensem życia?

– Naprawdę pilnie ćwiczysz sarkazm, co?

Dziewczyna zignorowała pytanie.

– I nikt nie próbował go znaleźć?

Lis wzruszył ramionami.

– Próbowaliśmy, ale to nie jest takie łatwe.

Jasne, że nie, pomyślała. W wielu rejonach kraju panował jeszcze powojenny chaos, zaginione dokumenty odnajdywano albo przeciwnie, okazywało się, że zniknęły na dobre, ludzie mieli w dowodach sfalszowane – z takich czy innych względów – dane. Jeśli ktoś chciałby zmienić tożsamość i zatrzeć za sobą ślady, nie miałby z tym większego problemu.

W gęstniejącym zmroku na podjazd wtoczył się szeroki czarny samochód. Nikt poza komunistami takimi nie jeździł, Nina od razu więc wiedziała, że to Tamara i Jacek. Ruszyła w ich stronę, ale Lis chwycił ją jeszcze za ramię.

– Tak, byłbym spokojniejszy, gdyby towarzysz Rygiel odnalazł się na tych halach z owcami. Ale na dziewięćdziesiąt procent nie ma w tym niczego tajemniczego. Nie musisz się martwić.

A te pozostałe dziesięć procent? – pomyślała, jednak nie zastanawiała się nad tym więcej, bo z samochodu wysiadały już dwie znajome sylwetki: chuda i wysoka Tamary oraz krępa Jacka.

– Ja jestem najgrubszy, więc pojedę z przodu – oznajmił Jacek, z satysfakcją wsuwając się na przednie siedzenie.

Nina, Tamara i Hubert usiedli z tyłu, miejsce za kierownicą zajęła Ewa Wiśniewska. Jeśli czuła zmęczenie po kilku godzinach jazdy, to nie było tego po niej widać. Samochód ruszył, zostawiając na podjeździe samotną sylwetkę porucznika Lisa. Tylko Nina odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Pani Ewa powiedziała, że nauczy nas strzelać – mówił tymczasem wyraźnie rozentuzjasmowany Jacek. – I bić się. I walczyć na noże!

– O nożach nie było mowy – zaprotestowała kobieta, ale chłopak jej nie słuchał.

– Jeśli o mnie chodzi – powiedziała Tamara, ziewając przeraźliwie – nie miałabym nic przeciwko zupełnie zwyczajnym feriom. No wiecie, takim z jazdą na sankach, rzucaniem się śnieżkami i lepieniem bałwana. No co? – dodała zaczepnie, bo pozostała trójka nastolatków spojrzała na nią zdumiona. – Wszystkim nam przydałaby się odrobina normalności.

– Nie uważasz, że jesteśmy trochę za starzy na lepienie bałwana? – zasugerował Jacek.

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. Miała prawie piętnaście lat i najwyraźniej weszła już w ten wiek, kiedy człowiek przestaje się przejmować, że jest na coś za stary.

Nina pomyślała, że naprawdę przydałyby im się dla odmiany jakieś normalne wakacje. Mogliby nawet przeżywać przygody, o których czytała w książkach: zwyczajne przygody, takie jak zgubienie się w lesie czy spotkanie z dzikim zwierzęciem. Wieczorami opowiadałoby sobie przy piecu straszne historie i grałoby w karty, w dzień uczyliby się jeździć na nartach i śmiali się, kiedy któreś z nich przewracałoby się w śnieg.

Rozmarzyła się, wyobrażając sobie wszystkie te miłe codzienne rzeczy, jakie mogliby razem robić. Wyprawy do miejscowego sklepu, oszukiwanie pani Ewy, która zapędzałyby ich wcześniej do łóżek...

A potem przed oczami stanęła jej twarz Lisa. Porucznik miał całe mnóstwo wad, ale nie można było odmówić mu inteligencji. Jeśli on się martwił, to znaczyło, że istniały powody do zmartwienia.

Dziewięćdziesiąt procent. Nina przezornie odjęła od tego dwadzieścia, bo Lis prawdopodobnie starał się ją pocieszyć. Niech więc będzie siedemdziesiąt procent szansy, że wszystko jest w porządku. I trzydzieści, że nie jest.

Nie potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, czy to dużo, czy mało.

Zrobiło się już całkiem ciemno, światła samochodu wykrawały z mroku długie szarozółte smugi, w których kuliły się sylwetki przydrożnych krzewów. Hubert patrzył przez okno z twarzą niemal przyklepioną do szyby, Tamara przysypiała – jak wspomniała, była wykończona, bo ojciec puścił ją na wcześniejsze ferie tylko pod warunkiem, że najpierw nadrobi zaległości z jesieni, kiedy przebywała w instytucie Totenwald.

Nawet Jacek zamilkł i ograniczył się do pilnego śledzenia drogi, która rozwijała się przed maską samochodu jak połyskująca drobinkami lodu biała wstęga. Ewa Wiśniewska jechała powoli, skupiając się, żeby nie wpaść w poślizg, z najniższych gałęzi śnieg sypał się na szyby. W aucie było nieznośnie duszno, pani Ewa uchyliła więc na moment okno – tylko odrobinę, ale tyle wystarczyło, by do środka wdarł się ostry, zimny zapach górskiego wiatru i świerków.

Nagle pochyliła się gwałtownie do przodu i szarpnęła kierownicą. Jacek krzyknął, samochodem zarzuciło w bok, koła ślizgały się przez chwilę na oblodzonej drodze. Wreszcie auto stanęło i Nina, która przez cały ten czas siedziała nieruchomo, bojąc się nawet oddychać, wypuściła długo wstrzymywane powietrze.

– Co to było? – zapytała wyrwana ze snu Tamara.

– Ktoś wyskoczył nam pod koła – wyjaśnił Jacek. – Chy... chyba udało nam się go ominąć.

Pani Ewa zakłęła w sposób, który zupełnie nie pasował do jasnowłosej, eleganckiej kobiety o urodzie gwiazdy filmowej,

i wysiadła. Pasażerowie wysypali się na drogę zaraz za nią.

– Nic panu nie jest? – zapytała nerwowo.

Nina dopiero teraz zauważyła skuloną na poboczu postać. Jacek, jak zawsze przytomny, wyciągnął z kieszeni latarkę i zapalił ją. Schwytany w smugę ostrego blasku mężczyzna zmrużył oczy, a potem odruchowo zasłonił się rękami. Nie wyglądał dobrze: miał rozczochrane włosy i połatane ubranie, a twarz, którą dziewczyna widziała przez chwilę, zryta była głębokimi bruzdami. Nie sprawiał jednak wrażenia rannego.

– Boli coś pana? – Ewa Wiśniewska musiała dojść do podobnego wniosku, bo jej głos brzmiał już zdecydowanie spokojniej.

– N... nie umiem t... trafić do domu – wyjąkał płaczliwie. – Z... zgubiłem drogę.

– A gdzie pan mieszka?

– Nied... daleko...

Kobieta westchnęła ciężko i wzięła go za łokieć, po czym przeszła kilkanaście kroków. Reszta grupy powędrowała za nimi, trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że i tak nie mieli nic lepszego do roboty. Już po chwili otworzył się przed nimi widok na Wilcze Doły. Znajdowali się teraz w najwyższym punkcie przełęczy, dalej droga wiodła w dół, do miasteczka, które leżało całe rozświetlone w górskiej kotlinie jak w wielkiej misie.

– Stąd już widać miasto – powiedziała Ewa Wiśniewska. – Podrzuciłabym pana, ale niestety nie mam miejsca. Wsiadajcie. – Pogoniła nastolatków do samochodu. Kiedy ruszyli, Nina usłyszała wyraźnie, jak kobieta mruczy: – Kompletnie pijany.

I to się zgadzało, mężczyzna faktycznie wyglądał na typowego wiejskiego pijaczka, przedwcześnie zniszczonego przez alkohol, w obdartym ubraniu. I mówił przecież niewyraźnie, jękając się, i miał niezborne ruchy...

Coś jednak w tym obrazie nie pasowało i kiedy samochód zsuwał się w dół, coraz bliżej miasteczka, Nina uświadomiła sobie nagle, co to takiego.

Nie czuła od nieznanego alkoholu.

– Pięknie tu – powiedział Hubert, patrząc na rozświetlone Wilcze

Doły.

Jacek uśmiechnął się złośliwie.

– Ciekawe, czy powiesz to samo, kiedy utkniesz tu do końca zimy.

– Czemu miałyby utknąć? – zainteresowała się Tamara, a Jacek nadał się lekko, pełen poczucia własnej ważności.

– Bo to miasto leży przy samej granicy i dlatego dojazd jest tylko z jednej strony. Nie ma żadnej innej drogi, wiem, bo sprawdzałem na mapie. Jeśli więc spadnie dużo śniegu, Wilcze Doły będą, no wiecie...

– Odcięte od świata – odpowiedziała Nina.

Jacek skinął głową, a auto stoczyło się jeszcze niżej, wjeżdżając w krąg pierwszych świateł.

Rozdział trzeci, w którym Nina przypomina sobie przeszłość (choć niecałą), a potem poznaje opuszczone miasto.

Z początku mówili jednocześnie, przerywając sobie nawzajem.

- Co tu robisz? Nie wiedziałem...
- Obudziłam się w takim pałacyku koło rynku. Wiesz może...
- ...szukałem kogoś, kto...
- ...co tu się stało, gdzie są wszyscy...?
- Nie pamiętam...
- Czekał. – Nina (bardzo szybko przyzwyczała się do tego imienia) zamachała gwałtownie rękami. – Opowiedz po kolei, co się z tobą działo.

Chłopak, który przedstawił się jako Jacek, odetchnął.

- Ja też obudziłem się w pałacyku przy rynku.
- Na piętrze?
- Nie, na schodach. Na piętro w ogóle nie wchodziłem.
- Gdybyś wszedł, to może znaleźlibyśmy się wcześniej. – W głosie Niny zabrzmiała lekka pretensja.
- Jakoś nie przyszło mi to do głowy. – Jacek zrzucił warstwę śniegu z trzepaka i usiadł. Dziewczyna po chwili wahania poszła w jego ślady. – Miałaś mi nie przerywać.
- Przepraszam. Mów dalej.
- No więc obudziłem się i nie wiedziałem, co się stało...
- Ty też niczego nie pamiętasz? – Nie mogła się powstrzymać, żeby znowu nie przerwać.
- Pamiętam tylko, jak tu przyjechaliśmy, a potem już nic. Ale poza tym wiem wszystko. Jak się nazywam i w ogóle. Ty naprawdę całkiem straciłaś pamięć?
- Tak... – powiedziała Nina i zaraz zorientowała się, że to przecież nieprawda. Sporo do niej wracało, powoli i w kawałkach, ale wracało – i szkoła świętej Łucji, i wakacje w Markotach, i Totenwald....

I rodzice, na myśl o których poczuła gwałtowny ból w sercu. Jednak tam, gdzie powinny być wspomnienia ostatnich tygodni, rozciągała się czarna dziura. – To znaczy nie, nie do końca. Ja też nie pamiętam naszych ferii, ale resztę chyba sobie przypomnę. Co było dalej?

– No, zupełnie nie wiedziałem, co zrobić. Strasznie się bałem, wiesz.

Skinęła głową. Pamiętała dobrze, jak ona się bała.

– Wtedy trafiłem do takiego jakby mieszkania...

– Mieszkania?

– Znowu przerywasz.

– Już nie będę, obiecuję.

– No więc tam, w tym pałacu, jest coś w rodzaju mieszkania. Zupełnie normalnego, nie żadne komnaty, tylko zwyczajne pokoje z kominkiem, łazienką i kuchnią. Ktoś musiał część tego pałacu przerobić jeszcze przed wojną. Nie byłeś tam?

– Nie. Ja widziałam tylko taką jakby kanciapę, chyba dla dozorczy.

– To mieszkanie jest dalej, bardziej z tyłu. I tam jest naprawdę wygodnie, tylko nie ma jedzenia, dlatego musiałem wyjść, żeby znaleźć coś na kolację.

– Przechodziłeś przez rynek?

– Nie, wyszedłem drugim wyjściem.

Nina przytaknęła. To przynajmniej wyjaśniało, czemu na rynku nie było żadnych śladów.

– Musiałem też znaleźć jakieś ciuchy, bo nawet sobie nie wyobrażasz, w co byłem ubrany...

– W koronkową sukienkę z gorsetem?

Jacek spojrzał z urazą.

– No wiesz? Spodnie, tylko takie pumpowate, jak z zeszłego stulecia. I białą koszulę z takim śmiesznym fontaziem pod brodą i kamizelkę. Haftowaną, wyobrażasz sobie?

Nina sobie wyobrażała.

– A potem?

– Tu część mieszkań jest otwarta, pewnie już o tym wiesz. I niektóre sklepy też. Dlatego naznosiłem do mieszkania jedzenia, zjadłem kolację i poszedłem spać, bo robiło się ciemno. A dzisiaj

rano...

- Czekaj. W nocy niczego nie słyszałeś?
- Nie, co miałbym słyszeć? – Jacek na chwilę zapomniał, że powinien się oburzać, kiedy dziewczyna mu przerywa.
- Do moich drzwi coś drapało.
- Coś?
- Może zwykły pies, nie wiem. Ale musiało być naprawdę duże. Mniejsza z tym. Co robiłeś dzisiaj rano?
- Nic specjalnego. Przyniosłem jeszcze trochę ubrań i jedzenia, a potem kręciłem się trochę po mieście, ale śnieg sypał coraz mocniej, więc schowałem się w kościele. Było cholernie zimno, myślałem, że mi tyłek przymarznie do ławki. A kiedy pogoda się uspokoiła, przyszło mi do głowy, że warto wejść na wieżę i zobaczyć miasto z góry. Jak w Totenwaldzie, kiedy wchodziłaś na komin, pamiętasz?
- Tak... Chyba tak. Ja też myślałam, żeby wejść na wieżę.
- No to tym razem ja byłem szybszy. – W głosie Jacka zabrzmiała lekka satysfakcja. – Ale nie zobaczyłem niczego ciekawego. Poza tobą, oczywiście, tylko że wtedy nie wiedziałem, że to ty. Myślałem, że to jakiś chłopak. Nie wiedziałem, kogo się spodziewać, więc wolałem być ostrożny, a jak zobaczyłem, że idziesz za mną, to trochę spanikowałem i...
- Postanowiłeś się na mnie rzucić.
- Przepraszam. – Jacek poczerwieniał. – Nic ci nie zrobiłem?
- Teraz pytasz? – Nina westchnęła. – Nie, nic. Tylko siedzenie mam całe mokre.
- Możemy pójść do tego mieszkania i tam się wysuszyć. I zastanowić się, co dalej.
- Dobra. – Zsunęła się z trzepaka i obróciła w kierunku, w którym jak podejrzewała, znajdował się pałacyk. – W którą stronę? Tam?
- Aha. – Jacek ruszył naprzód. – Naprawdę obudziłaś się w kiece z gorsetem?

Mieszkanie składało się z trzech pokoi: dwóch sypialni, salonu

z kominkiem, łazienki oraz niewielkiej kuchni z piecykiem na butlę gazową. W szafkach była pościel i dodatkowe koce, w łazience leżał stosik mydeł i świeże, złożone w kostkę ręczniki, a w kuchni Jacek zdążył już znaleźć garnki oraz trzy komplety zastawy stołowej. Nigdzie natomiast nie było osobistych rzeczy, dlatego Nina rozsądnie wywnioskowała, że to prawdopodobnie apartament wynajmowany przyjeżdżającym do Wilczych Dołów partyjnym oficjelowi. Zrozumiała też od razu, dlaczego Jacek wolał spędzić noc tutaj zamiast w dowolnym innym mieszkaniu – tu człowiek czuł się nie jak intruz, tylko jak gość w hotelu.

Jacek rozpałił ogień w kominku i Nina wysuszyła spodnie. Za oknem znów padał śnieg, przyspieszając nadejście wczesnego zimowego zmierzchu. Dochodziła dopiero czwarta, ale na zewnątrz było już niemal zupełnie ciemno.

– Zrobię coś do jedzenia – powiedział chłopak niepewnie, a Nina, która zdążyła trochę zgłodnieć, skinęła głową.

Poszli do maleńkiej kuchni, gdzie Jacek zabrał się do smażenia placków ziemniaczanych. Nina miała lekkie poczucie winy, bo nie zaproponowała mu pomocy, ale chłopak świetnie sobie radził, a ona naprawdę nie lubiła gotować. Usiadła więc w kącie i zagapiła się w spiętrzony na blacie stos jedzenia. Były tam nie tylko takie podstawowe produkty jak ziemniaki, mąka czy worek soli, ale też koszyk z jajkami, dwa bochenki chleba (jeden napoczęty, drugi cały), kilka bułek, garnek smalca, pół koła białego sera, trochę pomarszczonych warzyw i opakowanie kawy zbożowej. Jacek zauważył wzrok Niny.

– Trzeba będzie posegregować te rzeczy od najłatwiej psujących się do najtrudniej. No wiesz, w końcu nie wiadomo, ile czasu tu spędzimy, zanim nas wyciągniesz.

– Ja?

– No a kto? Przecież to ty zawsze coś wymyślasz.

On nie żartuje, pomyślała Nina, czując, jak wzbiera w niej panika. Naprawdę mówi serio.

– Myślałem, że moglibyśmy przejść przez te góry, no wiesz, jak taternicy wyprawiający się zimą w Himalaje. Albo znaleźć narty...

– Później. – Zamachała gwałtownie rękami. – Daj mi pięć minut, co?

Zamknęła oczy. Obrazy z przeszłości napływały, jakby ktoś odkręcił kran. Potrzebowała chwili, żeby ułożyć je sobie wszystkie w głowie. Sławek umierający w przychodni wiejskiego lekarza, Lidka krzycząca, kiedy odłamek rozbitej szyby skaleczył ją w czoło, i Bestia z Kręgu. A potem, jesienią, instytut Totenwald, strażniczka musztrująca dziewczęta pod prysznicem, upiory w lesie i czerwone kartki. I porucznik Lis, matka Niny chwytająca się za serce, jej zsiniałe nagle usta. Wreszcie szkoła świętej Łucji, koleżanki wyzywające Ninę od „komunistek”, przepłakane święta i siniaki na ramionach...

Kiedy z powrotem uniosła powieki, Jacek posypywał właśnie placki cukrem.

– Dzięki – mruknęła, przyjmując talerz i widelec.

Placki były idealne: miękkie w środku i chrupkie na zewnątrz.

– Pójdziemy do salonu? – zaproponował chłopak. – Możemy siedzieć na dywanie z talerzami na kolanach. Tak jest fajniej niż przy stole.

Nina znowu bezmyślnie skinęła głową. Uświadomiła sobie przy tym, że od wczoraj nie zrobiła właściwie nic konstruktywnego: to Jacek znalazł mieszkanie i zgromadził zapasy jedzenia, jej udało się tylko zgubić w śnieżycy. Naprawdę chłopak się spodziewał, że właśnie ona zdoła w jakikolwiek sposób zmienić sytuację, w jakiej się znaleźli?

Kiedy usiedli przed kominkiem, żarówka w zawieszanej pod sufitem lampie zamrugła i zgasła, a całe pomieszczenie wypełniło się gęstym, miękkim mrokiem, który rozjaśniał tylko czerwony blask ognia. Nina drgnęła nerwowo, Jacek zaklął.

– To przez ten śnieg – powiedział. – Musiało zerwać linię...

– Może ją naprawią.

– Może. – W głosie chłopaka brzmiało powątpiewanie, bo kto miałby cokolwiek tu naprawiać, skoro miasto było opuszczone? – Widziałem świece w kuchni, czekaj, przyniosę.

Wrócił po chwili ze świeczką w ręku, ale słaby płomień ledwo radził sobie z odpychaniem mroku.

Zjedli w ciszy, przerywanej tylko pacnięciami śniegu, który nagle porywy ciskały na szybę. Jacek wyglądał na wyczerpanego, jakby nagle ciemność odebrała mu całą energię. Wyczerpanego i przestraszonego. Nina, która też straciła resztki dobrego humoru, chrząknęła.

– Wymyślę coś – powiedziała, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Znaczy, postaram się. Poza tym przecież ktoś przyjdzie nas tu szukać. Nie ma szans, żeby nikt nie zauważył zniknięcia wszystkich mieszkańców.

– Myślałem o tym. – Jacek wzruszył ramionami. – Ale gdyby mieli nas szukać, to już by tu chyba byli?

– Bo ja wiem? Nie minęło przecież dużo czasu. Może zjawią się jutro z samego rana.

– Może.

– Poza tym my też możemy się jakoś stąd wydostać.

– Na nartach? – Chłopak ożywił się odrobinę.

– Na przykład. – Pomysł, żeby przedzierać się na nartach przez cały ten śnieg i góry, wydawał się szalony, ale ostatecznie takie pomysły czasem też działały. – Zastanowimy się nad tym, tylko najpierw muszę się umyć. Jest tu ciepła woda?

– Jest. A w tym mniejszym pokoju masz trochę ubrań, możesz sobie coś wybrać.

– Dzięki.

Nina przejrzała stos ubrań rzuconych niedbale na łóżko. Było tu kilka par spodni, trzy czy cztery koszulki, skarpetki, wełniany sweter, a nawet bielizna, wszystko oczywiście męskie albo chłopięce i na Ninę zbyt obszerne, ale nie zamierzała wybrzydzać. Wzięła parę kalesonów i podkoszulek – od biedy taki strój mógł ujść za pizamę. Nie miała już przy tym poczucia winy, że zabiera cudze rzeczy, zupełnie jakby przyzwyczała się do myśli, że mieszkańcy Wilczych Dołów nigdy nie wrócą. Jacek w dodatku, sądząc po tym, ile tu tego wszystkiego naznosił, szykował się chyba na dłuższy pobyt

w opuszczonym mieście.

I kto wie, może miał rację.

W łazience postawiła świecę na umywalce, a później rozebrała się szybko w półmroku. Naga, czuła się dziwnie bezbronna, zwłaszcza tuż przy oknie, na które napierała zimowa śnieżna ciemność. Pochyliła się nad żelazną wanną na lwich łapkach i odkręciła kurek. Kran zakrzuszył się, a potem bryznął ciepłą wodą. Cóż, przynajmniej to działało.

Nina umyła się, wytarła jednym z ręczników i ubrała (z kalesonów musiała wyciągnąć gumkę i zrobić na niej węzeł). Kiedy wróciła do salonu, Jacek siedział przed kominkiem niemal dokładnie w takiej pozycji, w jakiej go zostawiła, jedyną różnicą były stojące na dywanie kubki, z których unosił się zapach kawy zbożowej.

– Możesz iść się myć – powiedziała.

– Myłem się wczoraj.

Chciała powiedzieć coś złośliwego, ale zrezygnowała. Ostatecznie co ją to obchodziło? Mieli większe problemy niż nawyki higieniczne Jacka.

Napiła się kawy.

– Masz jakąś kartkę i ołówek? – zapytała.

– Będziesz teraz pisać?

– Chcę zanotować parę pomysłów.

– Jasne. – Chłopak poderwał się. – Chyba widziałem coś takiego w szufladzie przy łóżku.

Wrócił po chwili z plikiem papieru listowego, piórem i kałamarzem. Nina odkręciła słoiczek i zanurzyła stalówkę w atramencie.

– Dobra, to teraz pomyślmy, co możemy zrobić. Znaczący, poza czekaniem, aż ktoś nas tu znajdzie.

– Możemy przejść przez góry.

– A wiesz, jak daleko jest do najbliższej zamieszkanego wioski albo miasta?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Pamiętam tylko, że Wilcze Doły leżą przy granicy i prowadzi do nich jedna droga.

– Teraz pewnie cała zasypana śniegiem.

Chłopak ponuro skinął głową. „Odcięte od świata”, Nina przypomniała sobie rozmowę w samochodzie. Zupełnie jakby wypowiedzieli tamte słowa w złą godzinę.

– W takim razie będziemy potrzebować mapy. Gdzie tu można znaleźć mapę?

– W bibliotece?

Zapisała starannym pismem: biblioteka.

– Poza tym poszukałabym telefonu, na poczcie powinien jakiś być.

– Jeśli światło nie działa, to telefon też nie będzie.

– Racja. – Nina westchnęła. – W takim razie może jakieś radio?

– W porządku. I możemy zrobić taki duży napis w śniegu, no wiesz, SOS albo coś w tym rodzaju. Żeby było widać z góry.

– Dobry pomysł.

Jacek wymyślił jeszcze, żeby zbudować szybowiec, ale Nina uznała, że to bez sensu – szybowcem mogliby ewentualnie przelecieć kawałek, gdyby startowali z góry, ale żeby wystartować z doliny, potrzebowałiby jakiegoś silnika. Mimo to zapisała i ten pomysł. Potem padały różne koncepcje: rozpaść na dachu najwyższego budynku ognisko, nadawać sygnały za pomocą luster, poszukać traktora, który mógłby przejechać przez śnieg, pójść pieszo, zabierając ze sobą na wszelki wypadek namiot (polarnicy nocują w namiotach przy bardzo niskich temperaturach, przekonywał Jacek).

Notowała, aż wreszcie w salonie zapadła cisza. Chłopak dorzucił do ognia drewna, dziewczyna odłożyła kartki i pióro.

– Myślisz, że którykolwiek z tych pomysłów ma jakiś sens? – zapytał cicho Jacek.

– Myślę, że zanim zaczniemy je realizować, ktoś nas tu znajdzie. WOP sobie poradzi, nie? Wiesz, pewnie mają specjalne samochody albo pługi śnieżne...

Skinął głową, ale nie wyglądał na pocieszonego.

– Poza tym w najgorszym wypadku zostaniemy tu do wiosny. Mamy mnóstwo jedzenia i gdzie spać, więc przeżyjemy. A jak tylko śnieg stopnieje, przejdziemy przez góry bez problemu.

– Do tego czasu moja matka osiwieje ze zmartwienia – mruknął Jacek, a Nina pomyślała o własnych rodzicach. Jak zareagują, kiedy

Lis powie im, że ich córka zniknęła gdzieś w Karkonoszach?

Z drugiej strony fakt, że porucznik wiedział, dokąd jechali, dawał im pewne szanse. Bo przecież jeśli Ewa Wiśniewska nie będzie się odzywać, to Lis chyba zacznie ich wszystkich szukać?

– Jak myślisz, gdzie są Hubert i Tamara? – zapytał Jacek, kuląc się przy ogniu. – I pani Ewa?

– Nie mam pojęcia.

– Ale nic im się nie stało, prawda? To znaczy, no wiesz, gdyby... gdyby...

– Gdyby mieli umrzeć.

– Gdyby mieli umrzeć, tak.

– To wtedy znaleźlibyśmy gdzieś ciała, prawda? – Nina westchnęła.

– W mieszkaniach albo na ulicy, pod śniegiem. Ale tu nie ma nikogo oprócz nas, ani żywego, ani martwego. No, może jeszcze tylko jakieś dziwne zwierzę.

– Myślisz, że oni wszyscy przed czymś uciekli?

– Chyba tak.

Nie dodała „albo wyparowali”, choć miała na to ochotę. Nie dodała też, że jeśli mieszkańcy miasta naprawdę odeszli, musieli to zrobić, zanim spadł śnieg – wszyscy razem, jakieś kilka tysięcy osób. A to było jednak mało prawdopodobne, choćby dlatego, że po takiej panicznej ucieczce całego miasteczka musiałyby zostać jakieś ślady.

– Wszystko jedno. – Jacek wyprostował się. – Nie obchodzi mnie, gdzie ci ludzie się podziali. Chcę tylko znaleźć Tamarę i Huberta. I wrócić do domu.

– Naprawdę cię nie interesuje, co tu się stało?

– Nie bardzo. A ciebie tak?

Nina skinęła głową.

– A mnie obchodzi tylko to, jak się stąd wydostać. I przeżyć.

Dziewczyna pochyliła się i niezbyt zręcznie klepnęła Jacka w ramię.

– Hej, będzie fajnie. Jak na bezludnej wyspie. Pamiętasz historię Robinsona?

Chłopak przytaknął.

– Kazali mi to czytać jako lekturę. W sumie chyba jedyna książka,

która mi się w miarę podobała.

– No widzisz?

Rozmawiali przez jakiś czas, próbowali nawet żartować, ale coraz częściej zapadało milczenie. Śnieg przestał padać, lecz cisza była chyba jeszcze bardziej przerażająca niż odgłos ciskanych na szybę lodowatych płatków. Wreszcie Jacek uznał, że pora spać, a Nina podsunęła pomysł, żeby – zamiast kłaść się w chłodnych pokojach – przynieśli sobie materace przed kominek. Jacek zgodził się, a kiedy poszedł po koce do sypialni, dziewczyna sprawdziła, czy wszystkie okna na pewno są zamknięte.

Tak na wszelki wypadek.

Jak na bezludnej wyspie, myślała, gdy leżeli w ciemności obok dogasającego w kominku ognia, każde z nich udające przed tym drugim, że śpi. Nina pamiętała, że kiedy była mała, powieść Daniela Defoe bardzo jej się podobała, i teraz też w myśli, że muszą sobie radzić sami w opuszczonym mieście, było coś ekscytującego. A raczej byłoby, gdyby nie parę drobnych szczegółów.

Na przykład drapiące w drzwi tajemnicze zwierzę.

I zagadka zniknięcia kilku tysięcy ludzi.

Zamknęła oczy. Obok słyszała równy oddech Jacka, któremu najwyraźniej wreszcie udało się zasnąć. Ona też wkrótce zapadła w niespokojny, pełen koszmarów sen, w którym jakiś potwór ścigał ją długimi, ciemnymi korytarzami, podczas gdy dziewczyna uciekała w stronę Lisa, który krzyczał i krzyczał coś całkiem niezrozumiałego.

Obudziła się wcześniej, bo przed siódmą. Jacek jeszcze spał, pochrapując na swoim materacu, wstała więc cicho i poszła do kuchni przygotować śniadanie. Usmażyła jajecznicę (jajka niewątpliwie należały do produktów, które szybko się psują) i posmarowała masłem coraz twardszy chleb. Gdy parzyła kawę zbożową, w drzwiach pojawił się zaspany Jacek.

– Dzięki – mruknął. – Co dzisiaj robimy?

– Poszukamy biblioteki. Jak będziemy mieć mapę, to możemy się

zastanowić, co dalej.

Zjedli, ubrali się ciepło i wyszli – tylko po to, żeby tuż za progiem wpaść w sięgającą powyżej kolan zaspę.

– Szlag – stęknął Jacek. – Niedługo całkiem nas zasypie.

Nina rozejrzała się w poszukiwaniu śladów, ale śnieg jak okiem sięgnąć był idealnie gładki i biały. Albo więc nad ranem jeszcze padało, albo tajemnicze zwierzę nie odwiedziło ich tej nocy. Potem odruchowo spojrzała w górę.

– Nadal nie ma ptaków.

– Jakich ptaków?

– Zwyczajnych. Wróble, gołębie, sikorki, szpaki i wrony... Są w każdym mieście. Nie ma też kotów, psów ani myszy.

– Jest zimno, wszystkie zwierzęta siedzą pochowane.

– Musiałyby przecież wyjść, choćby po to, żeby poszukać czegoś do jedzenia – upierała się.

Jacek spojrzał na nią ponuro.

– Dlaczego dla ciebie wszystko musi być cholerną tajemnicą? Nie ma zwierząt, wielkie mi rzeczy. Może sobie dokądś poszły. Co za różnica? Mamy ważniejsze rzeczy do roboty niż martwienie się o jakieś głupie ptaki. Poza tym sama przecież mówiłaś, że w nocy słyszałaś psa.

– Wcale nie jestem pewna, czy to był pies.

– A co by to mogło być? Straszny potwór, który zajmuje się drapaniem w drzwi?

Nina otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Bo przecież jej teoria była absolutnie, całkowicie absurdalna, a Jacek zdecydowanie nie wyglądał na kogoś, kto miałby teraz ochotę na wysłuchiwanie takich teorii.

Chłopak odwrócił się i ruszył przed siebie. Przedzierali się przez zaspę, unosząc wysoko nogi i posapując. Już po kilkunastu metrach byli spoceni, a przecież nie dotarli nawet do pierwszej uliczki. W butach mieli pełno śniegu, w mroźnym powietrzu z ust unosiła się para. Jacek, silniejszy i zdecydowanie zręczniejszy, szedł z przodu, Nina starała się iść po jego śladach. Nie patrzyła w górę na czyste, błękitne niebo ani w bok na przykryte białymi czapami kamienice,

tylko w dół, skupiając się na stawianiu kolejnych kroków. Jeden, drugi, trzeci...

– Czekaj – powiedziała wreszcie, kiedy chłopak zaczął skręcać. – Nie ma sensu, żebyśmy chodzili razem. Rozdzielmy się. Ja sprawdzę tutaj, a ty sprawdź uliczki po drugiej stronie rynku. Spotkamy się potem w... – słowo „dom” nie chciało jej przejść przez usta – w mieszkaniu.

– Dobra.

Jacek ruszył w swoją stronę, a Nina powędrowała dalej przed siebie. Szła już wcześniej tymi uliczkami, ale wtedy padał śnieg i bibliotekę mogła zwyczajnie przegapić. Teraz znalazła sklep mięsny, w którym z haków zwisało kilka zamrożonych na kość kielbas (zanotowała sobie w głowie, żeby potem wysłać tu Jacka), aptekę (zamkniętą, ale zawsze to było jakieś zabezpieczenie w przypadku choroby) i magiel (ten z całą pewnością do niczego nie mógł się przydać). Skręciła w kolejną uliczkę, a potem w jeszcze jedną. I następną.

Czas mijał, każdy krok wymagał coraz więcej wysiłku. Nina czuła, jak pot spływa jej po kręgosłupie, klejąc do pleców koszulkę. Przewróciła się dwa razy i teraz śnieg miała już nie tylko w butach, ale także za kołnierzem, a spodnie były całe mokre. Może w tym mieście nie ma biblioteki, pomyślała, partia co prawda starała się dbać, żeby w każdej miejscowości był jakiś ośrodek kultury, ale teoria teorią, a praktyka praktyką. Myślała też o ptakach – bo choć krążyła po ulicach od dwóch godzin, nadal nie widziała po nich śladu.

Przyszło jej do głowy, że może Jacek ma rację, może niepotrzebnie doszukiwała się we wszystkim tajemnic. Pod tym śniegiem ptaki i tak nie znalazłyby niczego do jedzenia, możliwe więc, że naprawdę przeniosły się w jakieś cieplejsze rejony. A pies mógł być zwyczajnym psem, a nie... Nie tym, o czym Nina nie chciała myśleć.

Ale tak czy inaczej pozostawała najważniejsza zagadka: co się stało z mieszkańcami miasta? I z Tamarą oraz Hubertem?

Przez jedną straszną chwilę wyobraziła sobie, że wszyscy z jakiegoś powodu wybiegli na ulice, gdzie zostali zabici, a potem ich zwłoki przysypał śnieg. Może Nina i Jacek, zupełnie tego nieświadomi,

od wczoraj chodzili po stosach trupów. Ale to przecież niemożliwe, tłumaczyła sobie, do ukrycia tylu ciał potrzebne byłyby znacznie wyższe zaspy.

Sapnęła, coraz bardziej zmęczona, podczas gdy kolejne pytania krążyły w jej głowie.

A jeśli biblioteka w miasteczku jest, tylko gdzieś na obrzeżach? Albo znajduje się w budynku, który nie ma szyldu? Albo...

Z każdą minutą szła wolniej i wolniej, aż wreszcie całkiem się zatrzymała. Oddychała ciężko, włosy pod czapką miała mokre od potu. Koszulka, do niedawna wilgotna i ciepła, teraz gwałtownie stygła i dziewczyna zadygotała z zimna, kiedy ostry podmuch wiatru przeniknął kożuszek i sweter.

Pora zawrócić. Jeśli nie zrobi tego teraz, na powrót zabraknie jej już sił. Może Jacek coś znalazł, pocieszała się, brnąc w śniegu po własnych śladach. Minęła fryzjera, kino i sklep mięsny, zdążyła się nawet zastanowić, czy nie wziąć kawałka kiełbasy – byłoby jej ciężko, bo pęta sporo ważyły, ale dałaby radę.

Wtedy ją zobaczyła. Zwyczajny budynek, który wcześniej przegapiła, może dlatego, że tabliczka z napisem „Dom Kultury w Wilczych Dołach. Biblioteka miejska” była naprawdę malutka.

Nina podeszła i nacisnęła klamkę. Naprawdę spodziewała się, że wejdzie bez problemu, w końcu połowa drzwi w miasteczku była otwarta, a po tym, co dzisiaj przeszła, należała jej się odrobina szczęścia.

Drzwi jednak okazały się zamknięte.

Poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Była wyczerpana, przemarznięta, przemoczona i głodna. I miała dość, tak po prostu. Uderzyła w drzwi pięścią i kopnęła je kilka razy, ale solidne drewno oczywiście nie zamierzało ustąpić. Dziewczyna cofnęła się. Mogłaby przywlec coś pod okno – na przykład kosz ze śmietnika – wejść na to i rozbić szybę. Teoretycznie, bo w praktyce przeciągnięcie czegokolwiek przez zwały śniegu graniczyło z niemożliwością i Nina nawet nie zamierzała próbować. Poza tym nie miała pod ręką żadnego kamienia, a odłamkami szkła tylko by się pokaleczyła. W książkach i w filmach rozbijanie szyb było proste, w życiu, dobrze

o tym wiedziała, wyglądało to nieco inaczej.

Z góry sfrunął płatek śniegu. Za nim podążyły kolejne niczym armia idealnie białych maleńkich żołnierzyków, maszerujących z nieba na ziemię coraz gęstszym szeregiem. Nina czuła z tyłu głowy pulsowanie mocy i wzbierającą w niej wściekłość. Już nie złość, tylko zwyczajną wściekłość.

„Idź tam, gdzie nikogo nie ma” – powiedział Lis, kiedy rozmawiali o mocy.

Cóż, tu z całą pewnością nikogo nie było.

Z wyjątkiem Niny, oczywiście.

Zrobiła to, zanim zdążyła się zastanowić, zanim w ogóle cokolwiek pomyślała. Odruchowo, tak jak wcześniej waliła w drzwi pięścią i kopała.

Uderzyła w dębowe drewno mocą, a ono rozpadło się na mnóstwo maleńkich odłamków, które opadły wokół Niny. Dziewczyna odetchnęła, dopiero teraz uświadamiając sobie, że na chwilę wstrzymała oddech. Dębowe drzazgi pstrzyły śnieg, tworząc niemal idealny okrąg, zupełnie jakby Ninę przed chwilą chroniła niewidzialna sfera.

Z jakiegoś powodu wcale jej to nie zdziwiło.

W bibliotece pachniało kurzem, starym papierem i wilgocią nieogrzewanych pomieszczeń. I było zimno, prawie tak zimno jak na dworze. Nina zadrzała, walcząc z ochotą, żeby rozpalić ogień w piecu i ogrzać nie tylko siebie, ale też te wszystkie książki. Nie miała jednak na to czasu. Krążyła między regałami. Literatura polska, literatura zagraniczna i młodzieżowa, geografia, historia... Mapy i przewodniki, są. Mała półka tuż nad podłogą, w najciemniejszym rogu, pod zwisającym festonem pajęczyn. Kimkolwiek była pracująca tu bibliotekarka – albo bibliotekarz – raczej nie przykładła się do pracy.

Nina strzepnęła kurz z okładek i w świetle padającym z okna przejrzała tytuły. Były tam przewodnik po górskich szlakach, mapa

Polski i druga Karkonoszy, wreszcie mała książeczka poświęcona atrakcjom turystycznym Wilczych Dołów. Wszystko jeszcze sprzed wojny, ale mogło się przydać. Ostatecznie, pocieszyła się, niewielkie miejscowości nie zmieniają się radykalnie w ciągu dwudziestu lat. Góry tym bardziej.

Schowała książki pod kożuszką, dołożyła *Na wschód od Edenu* dla siebie oraz *Poradnik majsterkowicza* dla Jacka (chłopak twierdził, że wymyślone historie go nudzą) i wyszła.

Śnieg wciąż padał, ale na szczęście nie na tyle gęsto, by miała problem z odnalezieniem właściwej drogi. Zresztą zaczynała już coraz lepiej poznawać układ uliczek i teraz chyba trafiłaby nawet w śnieżycy. Wciąż była przemarznięta, przemoczona i głodna, jednak radość dodawała jej sił.

Półtorej godziny później dotarła do mieszkania, stanęła w drzwiach i ujrzała jeden z najstraszniejszych widoków w całym swoim młodym życiu.

Jacek stał z uniesioną siekierą, zamierzając się na krzesło z aksamitnym wytartym siedzeniem i wygiętymi nóżkami.

– Zostaw! – wrzasnęła Nina. – Zwariowałeś? Co ty wyprawiasz?

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Drewno się skończyło, to pomyślałem, że porąbię trochę starych mebli. Nie uwierzysz, ile tego w tym pałacu jest. Coś nie tak?

– To krzesło to chippendale.

– Aha. – Po minie chłopaka można było poznać, że nic nie rozumie.

– To wezmę drugie. – Odwrócił się w stronę piętrzącego się pod ścianą stosu.

– Tamto to biedermeier. A tu masz rokoko.

– Znasz po imieniu wszystkie krzesła w tym pałacu?

– To nie... Mniejsza z tym. Próbujesz porąbać zabytki, wiesz?

– To też zabytek? – Chłopak nieufnie trącił nogą rozpadającą się brudną szafkę, przyniesioną najwyraźniej z kanciapy stróża.

Nina westchnęła.

– Nie, to akurat nie. I znalazłam bibliotekę, tak w ogóle.

– Super. Zjemy coś, a później przejrzymy mapy.

Jacek z satysfakcją porąbał szafkę, a Nina przebrała się w tym czasie w suche rzeczy. Potem powędrowała do kuchni, zwabiona dobiegającym z niej zapachem kartoflanki. Garnek z zupą bulgotał na palniku, dziewczyna przykręciła więc lekko kurek. Ciekawe, co zrobią, gdy gazu w butli zabraknie. Będą gotować na kominku? Przeprowadzą się gdzieś, gdzie jest piec z płytą?

Odsunęła od siebie te myśli. Na razie nie zamierzała się tym martwić.

Zjedli, Nina pozmywała (uznała, że powinna, skoro Jacek dobrowolnie wziął na siebie gotowanie) i usiedli przy kominku na materacach. Dziewczyna rozłożyła przewodnik po górskich szlakach. Pochylili się nad nim jednocześnie, niemal zderzając się głowami.

– Jesteśmy tu, o. – Chłopak stuknął w mapę. – Tędy biegnie droga przez przełęcz, a najbliższe miasteczko jest....

– Jakies trzydzieści kilometrów stąd – dopowiedziała Nina.

Jackowi wydłużyła się mina.

– Gdybyśmy wzięli namiot i zapasy jedzenia... – powiedział niepewnie.

– Daj spokój. W takim śniegu poruszamy się w tempie... Jakichś dwóch kilometrów na godzinę? Trzech? Z obciążeniem i kiedy będziemy zmęczeni pewnie jeszcze wolniej. A to oznacza co najmniej dwie noce na zewnątrz.

– Polarnicy...

– Polarnicy mają profesjonalny sprzęt i psy, które ciągną im sanki. My musielibyśmy nieść wszystko na własnych plecach. Nie, moim zdaniem to bez sensu. Zwłaszcza że nie mamy nawet pewności, że pogoda będzie ładna, a w śnieżycy pewnie i tak byśmy się pogubili.

– Może jest coś bliżej. Jakaś wioska.

– Może, ale co z tego, skoro i tak nie mamy pojęcia, w którą stronę iść. Narty to też głupi pomysł – dodała, bo Jacek już otwierał usta. – Przecież musiałbyś wejść najpierw pod górę, żeby na nich zjechać. A poza tym ty w ogóle umiesz jeździć na nartach?

Zastanowił się.

– Chyba nie, ale mógłbym się szybko nauczyć.

Nina skinęła głową. Cały Jacek. Pewnie rzeczywiście dałby radę.

– To myślisz, że nie wydostaniemy się stąd pieszo? Może ja bym spróbował? Jestem silniejszy od ciebie i zręczniejszy...

Już chciała powiedzieć, że nawet on nie poradziłby sobie w takich warunkach, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – oznajmiła zamiast tego.

Jacek skinął głową z ulgą, najwyraźniej ucieszony, że dziewczyna nie wymaga od niego bohaterstwa.

– W takim razie możemy wprowadzić plan B.

– To znaczy? – Nina czuła, że zaczyna się gubić.

– No, te litery na śniegu. Mieliśmy napisać SOS, pamiętasz?

– Wiem, ale najpierw powinniśmy chyba przynieść więcej jedzenia. I może jeszcze jakieś ubrania.

– Na wszelki wypadek, gdyby miało nas całkiem zasypać? – Chłopak westchnął, podnosząc się. – Dobra.

Przez resztę dnia znosili do pałacu wszystko, co mogło im się przydać: ciepłe ubrania, zapalki, świece, drewno na opał, a przede wszystkim jedzenie. Nina wzięła jeszcze parę książek, a Jacek w jednym z mieszkań znalazł talię kart i szachy (brakowało kilku pionków, ale oboje uznali, że bez problemu da się je czymś zastąpić).

Ostatnią partię nieśli, kiedy było już całkiem ciemno. Chłopak zapalił latarkę – również jedną z dzisiejszych zdobyczy. Ciepły krąg światła wyłowił z ciemności ścieżkę wydeptaną przez Jacka i Ninę: większe ślady chłopaka odróżniały się wyraźnie od mniejszych śladów dziewczyny. Tyle że dużych odcisków stóp było jakby... więcej?

– Czekaj – powiedziała Nina, przystając.

W kieszeniach miała pełno świec, w jednej ręce ścisnęła kosz wyładowany warzywami, a przez ramię przewiesiła sobie flanelową piżamę i bardzo długi wełniany szalik.

– Co? – Jacek zatrzymał się.

Wyglądał zabawnie ze spodniami okręconymi wokół szyi i założonymi na głowę trzema czapkami. Jedną rękę zostawił wolną, żeby trzymać w niej latarkę, w drugiej ścisnął pękaty worek grochu.

– Nie wydaje ci się, że tych śladów jest jakby więcej? I są trochę inne, patrz na wzór podeszwy...

– Rany, co ty znowu wymyślasz? – mruknął, ale postawił worek z grochem na śniegu i pochylił się. Przy okazji jedna z czapek zsunęła mu się z głowy, a chłopak chwycił ją zręcznie i wsadził pod pachę. – To przecież moje ślady.

– Te tak. Ale te są inne, widzisz? Zresztą stań tutaj. A teraz się cofnij.

Jacek zrobił, o co Nina prosiła, i na świeżej, niezdeptanej jeszcze bieli widniał wyraźny odcisk prawego buta z gładką, nową podeszwą. A tuż obok w zaspie odciśnięty był drugi ślad, częściowo już zatarty przez nawiewany śnieg. Ślad tej samej wielkości, z wyraźnie widocznym pęknięciem na obcasie.

– Widzisz? – powiedziała Nina, ale Jacek pokręcił głową.

– Nie. Dla mnie te ślady wyglądają tak samo.

Chciała zaprotestować, ale sama też już nie była pewna. Śnieg sypał coraz gęściej, zmieniając oba ślady w dwa ledwo widoczne wgłębienia, a światło latarki tańczyło po wszechobecnej bieli, myląc wzrok.

– Wracajmy do środka – powiedział Jacek – bo zaraz tu zamarzniemy.

Na kolację zjedli przypieczony na smalcu chleb, który popili mocną, słodką herbatą. Potem grali w szachy – Nina czarnymi pionkami (z pieprzniczką zamiast jednego skoczka), Jacek białymi (solniczka świetnie sprawdziła się jako królowa). Dziewczyna była rozkojarzona, bo wciąż myślała o śladach na śniegu.

Pomyliła się? A jeśli nie, co by to właściwie oznaczało? Że w mieście jest ktoś jeszcze, kto nosi buty tego samego typu co Jacek, tylko z pękniętym prawym obcasem? To ostatnie wcale nie było nieprawdopodobne – mieszkańcy Wilczych Dołów zaopatrywali się w jednym sklepie i Nina widziała w mieszkaniach mnóstwo par takich szarych walonek. Ale jeśli ktoś jeszcze tutaj był, dlaczego czał się

w ciemności, zamiast się ujawnić?

– Twój ruch.

– Już.

Nie myśląc o tym, co właściwie robi, przesunęła wieżę. Tego wieczoru przegrała w szachy po raz pierwszy, odkąd odziedziczyła po Wybrańcu inteligencję. Niewiele ją to obeszło.

– Mam jeszcze jeden pomysł – powiedziała, kiedy Jacek wkładał szachy do pudełka. – Powinniśmy znaleźć miejsce, w którym mieszkaliśmy z Tamarą i Hubertem.

– Myślisz, że oni wciąż tam są?

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale nawet jeśli nie, to możemy znaleźć jakieś ślady. Problem w tym, że nie mam pojęcia, gdzie to jest. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to nasza rozmowa w samochodzie – no wiesz, o śniegu, który zimą może odciąć miasto, bo jest tylko jedna droga.

– Ja pamiętam trochę więcej – mruknął Jacek. – Ulica Leśna, skręca się z ulicy Legnickiej, obok dużego szarego budynku.

Rozdział czwarty, w którym Nina znajduje coś, czego się nie spodziewała.

Za kościołem skręcamy w ulicę Legnicką – tłumaczyła pani Ewa. – Potem jedziemy cały czas prosto aż do dużego szarego budynku i tam skręcamy w Leśną.

– Widzę kościół – zakomunikował Hubert.

– Dobra, to teraz szukamy dużego szarego budynku. – Jacek, przejęty swoją rolą, przylepił nos do szyby.

– W ciemności wszystkie są szare – wytknęła mu Tamara.

– Ale większość jest mała, a ten powinien być duży.

Minęli już, nieco bokiem, centrum i wspinali się na zachodni stok. Nina jako jedyna nie wypatrywała żadnych budynków, tylko fantazjowała o zgubieniu się w górach. Mógłby ją ocalić jakiś przystojny pracownik GOPR-u, oczywiście już po tym, jak dziewczyna wykazałaby się niesamowitą odwagą, determinacją, a przede wszystkim inteligencją. On byłby pod wrażeniem, a ona leżałaby na szpitalnym łóżku, bardzo piękna i tak blada, że jej twarz zlewałaby się z bielą pościeli...

– Jest budynek! – Wrzask Jacka wyrwał Ninę z marzeń.

Samochód skręcił, ślizgając się na oblodzonej drodze, i pięć minut później stanął przed piętrowym domem. Wysiedli. Pani Ewa otworzyła bagażnik i zaczęła wyjmować walizki, Jacek z Hubertem podeszli, żeby jej pomóc, a dziewczyny zagapiły się na szyld, doskonale widoczny w świetle ulicznej latarni.

– Pensjonat Świerk – przeczytała Tamara. – No, trzeba przyznać, że po starym klasztorze i starej fabryce zdecydowanie poprawił nam się standard.

Drzwi otworzyła im starsza kobieta w pasiastej spódnicy i białej

haftowanej bluzce. Chrząknęła, jakby szykowałą się do przemówienia.

– Witajcie w Świerku – oznajmiła, a potem dodała już znacznie mniej oficjalnym tonem: – Pokoje macie naszykowane na górze. Śniadanie o dziewiątej, obiad o drugiej, kolacja wpół do ósmej. Po dziesiątej nie wracać, bo drzwi na klucz zamykam. Zapraszam.

Na piętrze Nina zajęła się rozpakowywaniem, a Tamara rzuciła się na łóżko i patrząc w sufit, powtarzała: „O cholera”, co było chyba wyrazem najwyższego uznania.

Pokój naprawdę był bardzo ładny: pachnący świeżym drewnem, z rzeźbionymi przodami łóżek i malowanymi na szkle obrazkami na ścianach. Jeden przedstawiał górski widoczek, drugi martwą naturę z jesiennymi owocami. W kącie stał rozgrzany do czerwoności piecyk, obok mały stolicek, dwa krzesła i niewielka szafa. Żaden luksus, ale całość okazała się zaskakująco przytulna i urokliwa. Tamara miała rację, po klasztorze i instytucie Totenwald była to zdecydowanie zmiana na lepsze.

Nina włożyła do szafy ostatnią spódnicę i wyszła na korytarz. Chłopcy w pokoju naprzeciwko też rozpakowywali swoje rzeczy, pokój należący do pani Ewy był zamknięty. Dziewczyna usłyszała głos opiekunki dobiegający gdzieś z dołu, wychyliła się więc przez poręcz, żeby posłuchać.

– Co to znaczy, że ktoś tu jeszcze jest? Umówiliśmy się, że cały pensjonat będzie tylko dla nas. – Ewa Wiśniewska mówiła ostrym tonem, a właścicielka pensjonatu tłumaczyła nerwowo:

– Pan Klimsza to spokojny człowiek, nikomu nie wadzi, tylko ptaki sobie ogląda. No i na parterze mieszka, nie koło państwa. Pani droga zrozumie, mąż świętej pamięci trochę grosza zostawił, to się Świerk wyremontowało, ale teraz skąd pieniądze mam brać?

– Zapłaciliśmy więcej właśnie po to, żeby zarezerwować cały pensjonat.

– I zostajecie do dwudziestego szóstego, tak jak się umawialiśmy?

– Owszem.

– Wyjedziecie przed trzynastą?

– Tak, przecież obiecałam to pani. – W głosie Ewy Wiśniewskiej zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie. – Nawiasem mówiąc, kiedy

tu jechaliśmy,omal nie potraçałam człowieka. Na przełęczu jest bardzo niebezpieczne miejsce, w którym ścieżka wychodzi na drogę tuż za zakrętem. Ktoś powinien z tym coś zrobić. Ten mężczyzna był pijany, ale podejrzewam, że łatwo tam o wypadek, nawet jeśli ktoś jest trzeźwy. Wystarczy chwila nieuwagi.

– Rzeczywiście, było w tym miejscu parę wypadków...

Nina wycofała się cicho. Dziesięć minut później do pokoju wpadła Ewa Wiśniewska, która zapędziła dziewczyny do łazienki.

– Chłopcy już są w łózkach – powiedziała podstępnie.

Nina nie bardzo w to wierzyła, bo kiedy przed chwilą wysła na korytarz, słyszała dobiegające z drugiego pokoju odgłosy gry w pikietę, ale była zbyt wykończona, żeby się kłócić.

Umyły się w niewielkiej łazience i przebrały w koszule nocne. Tamara planowała, że kiedy pani Ewa pójdzie spać, wpadną z Niną w odwiedziny do chłopaków i urządzą całonocną imprezę, ale obie zmęczone podróżą zasnęły, ledwo przyłożyły głowy do poduszek.

Następnego dnia po śniadaniu wybiegli na zewnątrz w niezapiętych paltach, narzuconych pośpiesznie na swetry. Śnieg skrzył się w promieniach słońca, obsypane bielą gałęzie drzew wyglądały jak lodowe słodycze. Niżej w dolinie widać było czerwone dachy i kominy, z których płynęły do nieba szare smużki dymów, wyżej wznosiły się zbocza gór porośnięte ciemnozielonym lasem. Powietrze było przejrzyste, przesycone zapachem zimna i świerkowych igieł.

– Pięknie tu. – Hubert powtórzył to, co mówił już w samochodzie, a Nina skinęła głową, starając się nie myśleć, że to urokliwe miejsce zimą może zamienić się w pułapkę.

Za ich plecami Jacek rzucił śnieżką w Tamare, która zaczęła go gonić, przewróciła chłopaka w zaspę i do wtóru dzikich wrzasków wrzucała mu śnieg za kołnierz.

– Widziałem anioła – powiedział Hubert. – Jak mijaliśmy wczoraj kościół, pamiętasz? Stał na wieży.

– Jesteś pewien?

– Jestem. Miał na sobie białą szatę i wyraźnie odcinał się od ciemnego nieba. To był anioł, na sto procent.

– Czemu nikomu o tym nie powiedziałeś?

– Mówiłem Jackowi, ale on chyba nie uważa, że to ważne.

– No bo chyba nie jest. – Nina zawahała się. – Znaczący, anioły mogą być wszędzie, niekoniecznie tam, gdzie jest magia. We Wrocławiu było ich sporo, a to wcale nie jest jakoś szczególnie magiczne miasto.

– Wiem. O czym rozmawiałaś wczoraj z Lisem? – Hubert zmienił temat tak niespodziewanie, że Nina drgnęła.

– O Konstantym Ryglu. On podobno... zniknął. To znaczy wyjechał i Lis mówił, że to nic takiego, ale...

Nie zdążyła dokończyć, bo rzucona z impetem śnieżka trafiła ją w ramię. Odwróciła się, nabrała w garść śniegu, ulepiła zgrabną kulkę i cisnęła w uśmiechniętego od ucha do ucha Jacka. Wkrótce przed pensjonatem rozgorzała regularna bitwa i nawet Hubert przyłączył się do zabawy. Otrzeźwił ich dopiero głos wołającej z okna Ewy Wiśniewskiej. Stanęli, zdyszani, ze śniegiem osypującym się z włosów. Kobieta patrzyła na nich z dezaprobatą.

– Przebierzcie się w coś wygodnego – powiedziała wreszcie. – Będzie na was czekać w piwnicy.

– Jesteście pewni, że powiedziała w *piwnicy*? – zapytał Jacek, schodząc po kamiennych schodkach w rozświetlony blaskiem słabej żarówki półmrok.

Tamara wzruszyła ramionami, Nina i Hubert rozejrzeli się niepewnie. Piwnica okazała się zaskakująco czysta, bez śladu kurzu czy pajęczyn, jednak poza tym nie było tu nic interesującego.

Nic oprócz solidnych drewnianych drzwi na końcu ciemnego korytarza.

Nina zapukała, a kiedy usłyszała ciche „wejść”, nacisnęła klamkę. Cała czwórka znalazła się w pozbawionym okien pomieszczeniu. Wisząca pod sufitem żarówka była tu zdecydowanie mocniejsza i Nina mogła w jej świetle zobaczyć niewielką salę z niskim stropem.

Na podłodze leżały maty do ćwiczeń, a na nich siedziała pani Ewa, ubrana w strój gimnastyczny.

– Kazałam pani Kociubie przygotować to pomieszczenie – powiedziała. – W takim miejscu nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Co tu było wcześniej? – zapytała Nina, rozglądając się z ciekawością.

– Piwnica na wino. Przed wojną Świerk nie był pensjonatem, tylko zwyczajną karczmą i właściciel trzymał tu beczki. Nieważne. Mówiłam, żebyście włożyli coś wygodnego. – Przyjrzała się krytycznie ich ubraniom.

Tamara i Jacek mieli na sobie luźne ogrodniczki, Hubert zwyczajne spodnie, a Nina założyła spódnicę i bluzkę z długim rękawem.

– Nie wzięliście ze sobą strojów gimnastycznych?

– Nikt nam nie mówił, że mamy wziąć.

Pani Ewa westchnęła.

– Trudno, jakoś sobie poradzimy. Chcę wam pokazać, jak się bronić. Kto pierwszy?

– Ja! – Jacek wysunął się do przodu.

– Zapraszam.

Pół minuty później chłopak leżał na macie, powalony zgrabnym chwytem zapaśniczym. Podniósł się, nadržając miną, podczas gdy kobieta tłumaczyła mu, co zrobił źle.

– Musisz złapać mnie za ramię, o tak, a potem pociągnąć i wytrącić z równowagi. Spróbuj.

Chłopak chwycił panią Ewę i po chwili to ona leżała na macie.

– Świetnie – pochwaliła go. – Masz prawdziwy talent.

– On odziedziczył po zmarłym Wybrańcu zręczność – powiedziała Tamara. – Dlatego tak dobrze mu idzie.

– A co dostałaś ty? – Ewa Wiśniewska odgarnęła z czoła jasne włosy.

Nawet teraz, spocona i z fryzurą w nieładzie, wciąż wyglądała jak hollywoodzka gwiazda filmowa.

– Odwagę.

– To może przyjdiesz tu jako druga, panno odważna?

– Jasne, czemu nie. – Dziewczyna zrzuciła buty i wkroczyła

na matę.

Pani Ewa powtórzyła z nią całą sekwencję ruchów, najpierw powoli, potem szybko. Tamara upadła, prychnęła i podniosła się, gotowa do powtórki.

– Nieźle – oceniła opiekunka chwilę później. – Nie tak dobrze jak Jacek, ale nieźle. Musisz tylko trochę poćwiczyć. Kto następny?

Hubert wstał spod ściany, gdzie siedział do tej pory z kolanami podciągniętymi pod brodę. W białej eleganckiej koszuli wyglądał na macie wyjątkowo nie na miejscu. Nina podejrzewała, że on nie poradzi sobie „świetnie” ani nawet „nieźle”. Słusznie, bo Hubert najwyraźniej żadnego talentu do walki wręcz nie miał. Kiedy kolejny raz wylądował z łoskotem na macie, dziewczyna odwróciła się, żeby nie patrzeć na upokorzenie chłopaka.

– W twoim przypadku potrzeba znacznie więcej ćwiczeń – skomentowała pani Ewa. – Teraz ty.

Nina wstała i odetchnęła, szykując się na swoją porcję upokorzenia.

– Powiedzmy, że atakuję cię z przodu – powiedziała Ewa Wiśniewska. – Chwytam...

Nina wrzasnęła, a zdumiona kobieta puściła jej przedramię.

– Co się stało?

– Mam siniaka z tej strony. Spadłam z drabinki na lekcji.

– Czemu nie powiedziałaś wcześniej?

– Mówię teraz.

Pani Ewa zmarszczyła brwi.

– Dobrze, dziś rano możesz nie ćwiczyć. Potem obejrzę sobie tego twojego siniaka. To co, wracamy do ciebie? – Skinęła na Jacka.

Nina uniosła rękę jak grzeczna uczennica w szkole.

– Tak?

– Chyba nie ma sensu, żebym tu siedziała, skoro i tak nic nie robię. Mogę pójść do miasta?

– Po co? – Kobieta wciąż marszczyła brwi, patrząc na Ninę podejrzliwie.

Dziewczyna rozważyła możliwe odpowiedzi. Niestety, prawdziwa, czyli „Chciałabym obejrzeć miejscową architekturę sakralną”, była jednocześnie tą najgorszą, bo dorośli z jakiegoś powodu uważali to za

dziwaczny żart.

– Po cukierki – powiedziała wreszcie. – Zamierzam kupić dużo kolorowych cukierków.

Pani Ewa rzuciła jej jeszcze jedno podejrzliwe spojrzenie, po czym skinęła głową.

– Tylko wróć na obiad. I nie zgub się po drodze.

Najbliższy kościół rozczarował Ninę, bo był stosunkowo nowy, wybudowany prawdopodobnie tuż przed wojną. Nad ołtarzem wisiał całkiem ładny realistyczny obraz, przedstawiający wniebowzięcie Matki Boskiej, ale poza tym nie było czego podziwiać. Nina ruszyła więc w stronę, gdzie powinien znajdować się rynek. Liczyła na to, że drugi kościół jej nie zawiedzie, a jeśli będzie miała szczęście, może znajdzie się i trzeci. Miasteczko co prawda było maleńkie, ale trzy kościoły spokojnie mogłoby mieć.

W miarę jak oddalała się od obrzeży i ulicą Legnicką schodziła w dolinę, zmieniała się architektura: współczesne domy coraz częściej ustępowały zabytkowym kamieniczkom. Początek dziewiętnastego wieku, uznała Nina, podziwiając front jednej z nich. Może nawet koniec osiemnastego. Nigdzie nie widziała śladów po wojnie, żadnych ruin czy nowych domów zbudowanych na gruzach starych (poznawało się je łatwo, bo najczęściej zupełnie nie pasowały do krajobrazu).

W małym sklepiku kupiła dwadzieścia deko landrynek, zjadła parę, a resztę włożyła do kieszeni. Powinna uważać, na co wydaje pieniądze. Kieszonkowe dostała już od Lisa, a nie miała najmniejszego zamiaru prosić pani Ewy o więcej.

Drugi kościół stał na końcu ulicy Legnickiej: zbudowany z czerwonej cegły, ze wznoszącą się w niebo neogotycką wieżą, na której znajdował się punkt widokowy. Nina spojrzała na niego podejrzliwie, na wpół spodziewając się, że ujrzy tam anioła, ale dziś na wieży nie było nikogo.

Pchnęła ciężkie drzwi, czując jak zwykle dreszcz przyjemności,

kiedy wciągnęła w nozdrza charakterystyczny zapach kadzidła i starych zimnych murów. W środku było pusto, tylko w jednej z ławek siedziała zgarbiona postać. Nina obesła kościół, podziwiając witraże, a potem zatrzymała się przy ołtarzu. Światełko przed tabernakulum płonęło purpurą, która zawsze kojarzyła jej się z barwą krwi, Chrystus na obrazie wznosił się półnagi w stronę burzowego nieba, w jednej ręce ścisnął miecz, drugą wyciągał w górę, jakby chciał dotknąć czarnej chmury. Pod jego nogami kłębił się tłum grzeszników, niewątpliwie przed chwilą zdeptyanych świętą stopą.

– Podziwia panienka ołtarz?

Drgnęła, słysząc głos za plecami. Odwróciła się, by spojrzeć na starszego mężczyznę w kapeluszu nasuniętym nisko na czoło. Miał twarz z gatunku tych nijakich, które trudno zapamiętać, i kołnierz płaszcza podniesiony tak wysoko, że chował w nim brodę. Do piersi przyciskał skórzaną teczkę.

– Janusz Klimsza – przedstawił się. – Chyba mieszkamy w tym samym pensjonacie. Świerk, prawda? Widziałem tam panienkę przy śniadaniu.

– Tak, rzeczywiście. – Przypomniała sobie siedzącą w kącie, na wpół ukrytą w mroku postać. – Nina Marczak. Pan jest tym ornitologiem?

– Zgadza się, to ja. A więc lubisz sztukę, Nino?

– Lubię – przyznała.

– Wolisz barok czy gotyk?

– Gotyk, zdecydowanie. Barok jest dla mnie zbyt przeładowany ozdobami.

– Też wolę gotyk. – Klimsza uśmiechnął się. – Cóż, muszę uciekać, obowiązki wzywają. A jeśli masz ochotę pozwiedzać, to przy rynku stoi całkiem ładny pałacyk.

Nina podziękowała i odprowadziła mężczyznę wzrokiem. Przeszła jeszcze raz wzdłuż bocznej nawy, a potem wsunęła się w ławkę. Nie kłamała, kiedy powiedziała siostrze Anzelmie, że kościoły nastrajają ją bardzo romantycznie. Przyjemnie było tak po prostu siedzieć i wyobrażać sobie różne ciekawe rzeczy.

Dziesięć minut później wstała z lekkim westchnieniem i wtedy

zobaczyła leżącą pod ławką kartkę. Sięgnęła po nią. Była to strona ze szkicownika z czarno-białym rysunkiem przedstawiającym ulicę, po której jechał zaprzężony w konia wóz. Na wozie leżała podłużna płaska skrzynia, wyglądająca trochę jak trumna. Bardzo duża trumna, uznała, oceniając perspektywę, taka, w której zmieściłyby się dwie osoby, nie tylko jedna. Położyła kartkę na ławce (na wszelki wypadek, gdyby ktoś jej szukał) i ruszyła w kierunku wyjścia.

Na rynku obejrzała pałacyk, a potem kręciła się jeszcze przez jakiś czas po uliczkach w centrum. Ogólnie rzecz biorąc, to było naprawdę bardzo udane przedpołudnie – do momentu, kiedy Nina zobaczyła samochód.

Stał na podwórku, na które weszła, żeby obejrzeć od tyłu wyjątkowo interesującą kamienicę. Auto było ubłocone, nie miało kół i wspierało się na podłożonych pod podwozie ceglach. Na przedniej szybie widniała siatka pęknięć, bocznej szyby od strony kierowcy nie było w ogóle. Dziewczyna zajrzała do środka i zobaczyła wielką dziurę wypaloną na przednim siedzeniu pasażera. Wokół samochodu po brudnym śniegu chodziły gdaczące kury, kilka metrów dalej dwójka chłopców, rozebranych, jakby było lato, z zapamiętaniem grała w piłkę.

Nina stała i patrzyła na zniszczone auto. Nie była fanką motoryzacji, ale warszawę potrafiła poznać. Dłonią w rękawiczce starła odrobinę pokrywającego karoserię brudu. Kolor, który się spod niego wyłonił, był zielony jak wiosenna trawa.

– Ej, ty tam! Czekaj tylko... – Z okna na pierwszym piętrze zabrzmiał męski głos, trzasnęły drzwi i po chwili na podwórko wybiegł mężczyzna z rozczochranymi włosami, w spodniach od piżamy, gumiakach i łatanej kurtce. Patrzył na Ninę podejrzliwie, łypiąc przekrwionymi oczami. Dziewczyna odsunęła się na wszelki wypadek.

– Chcesz coś ukraść?

– Nie, dziękuję – odparła uprzejmie. – Ale pan może się nie

kępować. Chociaż tu już chyba niewiele zostało do ukradzenia.

Mężczyzna zamrugał, jakby słowa z trudem docierały do jego świadomości, i dopiero po chwili poczerwieniał ze złości.

– To w takim razie po co przyszłaś?

– Interesuję się samochodami – zaryzykowała.

Podszedł bliżej i dziewczyna zauważyła, że spod kurtki wystaje mu rąbek bluzy od piżamy. Odsypiał nocną zmianę czy kaca? Zresztą wszystko jedno.

– Ty się interesujesz? – Parsknął. – Za moich czasów dziewczynki bawiły się lalkami.

– Ja wolę samochody.

– Tak? To w takim razie powiedz mi, co wiesz o warszawach.

Nina zastanowiła się.

– Kierownica jest z przodu po lewej stronie, bagażnik z tyłu. Pod spodem ma cztery kółka. Znaczą zazwyczaj ma, bo teraz to nie.

Mężczyzna poczerwieniał jeszcze bardziej, tak że jego policzki przypominały teraz dwa dorodne pomidory.

– Spieprzaj stąd, ale już. Zanim naprawdę się zdenerwuję.

– Potraktował mnie tak dlatego, że jestem dziewczyną – pożaliła się przy obiedzie. Siedzieli w jadalni, w której stało dziesięć stolików przykrytych kraciatymi obrusami. Trzy z nich były zajęte: pod ścianą, wciąż w półmroku, siedział Janusz Klimsza, pod oknem pani Ewa kończyła drugie danie, a czwórka nastolatków usiadła w drugim końcu niewielkiej sali, jak najdalej od dorosłych. – Zupełnie jakbym nie znała się na samochodach.

– Przecież ty się nie znasz na samochodach. – Jacek piłował swojego kotleta tak zawzięcie, jakby spodziewał się, że mięso ożyje i spróbuje zwać do lasu. – Pod spodem miał cztery kółka, serio?

– No, ale mogłabym się znać, a ten mężczyzna nie powinien zakładać niczego z góry. Tamara na przykład wie mnóstwo o samochodach.

– Wiem więcej niż ty, fakt – przyznała starsza dziewczyna. – Ale

to nie jest jakoś szczególnie trudne.

– Ja się znam na samochodach – zadeklarował Jacek. – Mogę pójść do tego gościa i go wypytać.

– Myślisz, że on cię będzie słuchał? – Tamara wsadziła sobie do ust kawałek ziemniaka. – Bo jesteś chłopakiem?

Zaczęli się sprzeczać, a Hubert pochylił się do Niny.

– Naprawdę myślisz, że to samochód tego całego Rygla? – Zniżył głos, choć Klimsza skończył już obiad i wyszedł, a pani Ewa dopijała kompot, czytając książkę.

– Nie wiem. – Nina rozmazywała po talerzu tłuszcz, którym ziemniaki były hojnie polane. – We Wrocławiu nie zwróciłabym na ten samochód uwagi, bo tam jest ich sporo, ale tutaj większość ludzi jeździ zwyczajnie furmankami. Samochody widziałam może ze dwa, i to strasznie stare, jeszcze sprzed wojny. Skąd miałyby się tu wziąć nowa warszawa?

– Czyli co, Rygiel wrócił tu z jakiegoś powodu i sprzedał auto miejscowemu?

– Może. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Chociaż tamten człowiek nie wyglądał, jakby go było stać na samochód. No i w siedzeniu była osmalona dziura, jakby ktoś próbował tę warszawę podpalić.

– Od środka?

– Aha.

– Mówiłem, że mogę się tam przejść i zapytać. – Jacek odwrócił się w stronę Niny.

– Teraz i tak nikt nigdzie się nie przejdzie. – Tamara przełknęła ostatniego ziemniaka – Mamy...

– Cicho!

– No co, przecież nikogo obcego tu nie ma. Oni się tym strasznie ekscytują, wiesz? – Spojrzała na obu chłopców pobłaźliwie, jakby była od nich znacznie starsza. – Mamy naukę strzelania.

Po obiedzie pani Ewa zabrała ich do lasu. Najpierw szli wydeptaną

w śniegu wąską ścieżką pod gałęziami świerków, z których wiatr strącał im za kołnierze drobinki białego puchu. Potem minęli zamrożony strumyk – zamieniony w lodową rzeźbę niewielki wodospad wyglądał jak miniaturowe dzieło sztuki, zastygłe nieruchomo strugi połyskiwały w promieniach słońca, które z trudem przedzierało się przez gęste korony drzew. Potem zeszli ze ścieżki i ruszyli dalej, w głąb lasu. I dalej. Powietrze miało ostry żywiczny zapach, na śniegu widzieli od czasu do czasu tropy dzikich zwierząt: zajęcy, lisów i saren, a raz chyba nawet wilka. Wokół panowała cisza przerywana tylko szelestem gałęzi, po których śmigały rude wiewiórki, i skrzypieniem śniegu pod butami.

A później wszystko się zmieniło. Nie było już zapachu żywicy, tropów zwierząt, wiewiórek ani obsypanej lodowatym puchem zieleni nad ich głowami. Została tylko cisza, biel i szarawy brąz drzew, wyciągających w niebo uschnięte gałęzie jak szkieletowe palce.

Wkroczyli do martwego lasu.

Pani Ewa zatrzymała się na niewielkiej polance, wyciągnęła z kieszeni płaszcz kartkę, rozłożyła ją i przytwierdziła pinezką do najbliższego pnia. Na wysokości głowy dorosłego człowieka widniała teraz prowizoryczna tarcza – wymalowane plakatówką czerwone kółko na białym tle.

– Powinno wystarczyć – oceniła, wyjmując z kabury pistolet. – Kto chce spróbować pierwszy? A może już kiedyś mieliście okazję strzelać do celu?

Patrzyli na lśniącą lufę jak zahipnotyzowani. To było marzenie całego ich pokolenia – dostać broń do ręki i walczyć. Wyrosli przecież w cieniu niedawno skończonej wojny, słuchając opowieści starszych braci, ojców czy wujków. Zazdrościli im tamtego wojennego bohaterstwa, nawet jeśli w opowieściach wcale nie było takie bohaterskie, i żalowali, że urodzili się za późno, żeby pogonić hitlerowców. Głównie chłopcy, choć dziewczynom – sądząc po wzroku Tamary – też się to zdarzało.

Spojrzenie pani Ewy prześlizgnęło się po grupie nastolatków i zatrzymało na Ninie.

– Ty – powiedziała. – Dzisiaj rano się nie namęczyłaś, równie

dobrze więc możemy zacząć od ciebie.

Dziewczyna przełknęła ślinę, dopiero teraz czując, jak bardzo suche ma gardło, i z trudem oderwała wzrok od połyskliwej czerni pistoletu. Było w niej coś wężowego, jakby patrzyła na ukrytego w trawie gada.

– Nie – powiedziała.

– Słucham?

– Nie zamierzam uczyć się strzelać.

– Dlaczego?

– Bo to znaczy, że wy... że jesteście gotowi dać nam broń, tak?

Ewa Wiśniewska skinęła głową.

– Przewidujemy, że może zaistnieć taka konieczność, owszem. Oczywiście dostalibyście ją tylko w wyjątkowych wypadkach i tylko ci, którzy naprawdę będą potrafili się nią posługiwać. Dlatego chcę z wami poćwiczyć.

– Ej, Nina, nie łam się, dzieciaki młodsze od nas walczyły w powstaniu i jakoś sobie radziły – powiedział Jacek zachęcająco. – Ty też sobie dasz radę. To nie jest takie trudne.

Potrząsnęła głową.

– Nie o to chodzi.

– A o co? – Głos pani Ewy zdradzał, że kobieta jest na skraju cierpliwości, ciągle jednak zdobywała się na uprzejmość.

– O to, że to nie jest zabawa. Jeśli teraz będziecie się uczyć strzelać, to znaczy, że jesteście gotowi tej broni użyć. Przeciwko człowiekowi albo innej żywej istocie.

– Czasem trzeba, nie? – powiedziała Tamara filozoficznie, wiercąc obcasem dziurę w śniegu.

Z nieba sfrunął biały płatek, wirował przez chwilę w łagodnych podmuchach wiatru, a potem opadł na wyciągniętą dłoń Huberta.

– Ja nie zamierzam jej używać.

Jacek chciał coś powiedzieć, ale pani Ewa odezwała się, ledwo otworzył usta.

– Świetnie, jeśli nie zamierzasz dziś z nami ćwiczyć, możesz iść dalej w głąb lasu i potrenować swoją magiczną moc. Przynajmniej w ten sposób na coś się przydasz. No już, znikaj, nie będę na ciebie tracić więcej czasu.

Nina zamrugnęła, a Hubert zacisnął dłoń, na której topniał płatek śniegu, i wyprostował się na całą swoją wysokość. Wyglądał teraz, jakby urósł o kilka centymetrów, minę miał zaciętą – u innego chłopaka wyglądałoby to zabawnie, ale do Huberta powaga zaskakująco pasowała.

– Nie powinna pani w ten sposób do nas mówić – powiedział.

– Też tak uważam – dorzuciła Tamara, a Jacek pokiwał gorliwie głową.

Nina wzruszyła ramionami.

– Pani Ewa ma rację. Tutaj i tak na nic się nie przydam.

Kiedy odchodziła w stronę martwego lasu, na jej ramiona spadł kolejny płatek śniegu. Potem usłyszała strzał, ale nie odwróciła się, żeby sprawdzić, kto pierwszy skusił się na użycie wężowo lśniącego pistoletu.

Wkrótce znalazła drugą polanę, nieco mniejszą od pierwszej, i usiadła na śniegu. Z nieba spadało coraz więcej lodowatych płatków, z tyłu głowy dziewczyna czuła pulsowanie mocy. Zamknęła oczy.

Może naprawdę mogłaby się nauczyć, jak to kontrolować?

Uniosła powieki i dla pewności rozejrzała się jeszcze dookoła, ale Lis miał rację: nic nie wskazywało, żeby ten las zamieszkiwały jakiegokolwiek żywe stworzenia. Nawet ptaki przysiadły tylko wysoko na gałęziach uschniętych drzew i zaraz odlatywały.

W porządku, nie mogła zrobić krzywdy komuś innemu, pozostawało jednak pytanie, czy nie skrzywdzi przypadkiem samej siebie. Do tej pory skutki użycia mocy zawsze ją omijały, ale może zwyczajnie miała szczęście. A może... może magia w jakiś sposób ją chroniła?

Cóż, nie pozostawało nic innego, jak tylko zaryzykować i to sprawdzić.

Spojrzała na najbliższy świerk i pchnęła w niego mocą. Drzewo rozpadło się z suchym, rozdzierającym trzaskiem, który złał się z kolejnym hukem wystrzału za jej plecami. W ostatniej chwili

zasłoniła dłońmi twarz, a kiedy je opuściła, zdążyła jeszcze zobaczyć opadające na śnieg drzazgi.

Drzazgi, które tworzyły wokół dziewczyny niemal idealny krąg.

Odetchnęła. A więc magia naprawdę chroniła ją, zupełnie jakby na krótką chwilę zamykała Ninę pod szklanym kloszem. To z pewnością ułatwiało wiele rzeczy, choć oczywiście nie rozwiązywało głównego problemu.

Z ciekawości zniszczyła jeszcze kilka drzew, sprawdzając, jak duży jest ten okrąg. Nie miała linijki, wiedziała jednak, że długość jej dłoni wynosi piętnaście centymetrów (zmierzyła to kiedyś na nudnej lekcji chemii), mogła więc mniej więcej obliczyć średnicę.

Za pierwszym razem wyszło półtora metra, za drugim jakieś dziesięć centymetrów mniej, a za trzecim prawie metr siedemdziesiąt.

Świetnie, tylko że nadal niewiele to dawało. Jasne, potrafiła rozwalić drzewo, ale nic bardziej precyzyjnego jej nie wychodziło: kiedy skupiała się, żeby na przykład urwać samą gałąź, i tak wybuchał cały pień. Moc wydawała się... śliska, bywały momenty, kiedy dziewczyna już, już czuła, że zdoła ją okiełznać, zawsze jednak prędzej czy później magia się wymykała.

Lis mógł mieć rację, może mogłaby się tego nauczyć, gdyby tylko pilnie ćwiczyła. Może to jak z jazdą na rowerze: na początku człowiek chwieje się i przewraca, ale wystarczy złapać właściwy rytm i dalej już samo idzie.

A może nie, w końcu magia nie pochodziła z ludzkiego świata, tylko ze świata aniołów. Co oni właściwie o niej wiedzieli?

Po szóstej próbie, kiedy świerk rozpadł się, strasząc stado nadlatujących ptaków, Nina wreszcie się poddała. Zresztą śnieg padał coraz słabiej i moc pulsująca w tyle jej głowy powoli zanikała.

Stała na środku polany, patrząc w niebo. Było szare i kobaltowe, z pasmami świetlistej żółci rozlanej pomiędzy warstwami chmur. Jak marmur inkrustowany złotem, pomyślała. Albo żółtko jajka rozmazane po talerzu. To ostatnie porównanie nie było może zbyt poetyckie, pasowało jednak nieźle.

Gdzieś w lesie trzasnęła sucha gałązka i dziewczyna zamarła na kilka szybkich uderzeń serca. Ktoś ją obserwował? Dźwięk jednak

nie powtórzył się, wokół panowała idealna cisza, a do Niny dopiero po chwili dotarło, że od jakiegoś czasu nie słyszy też odgłosu strzałów. Odwróciła się i w tym samym momencie spomiędzy drzew wyszedł Hubert.

– Pani Ewa kazała cię zawołać – powiedział, po czym rozejrzał się z ciekawością. – Coś ty tu robiła?

– Ćwiczyłam, przecież widać. – Wzruszyła ramionami.

– Jakież rezultaty?

– Nie bardzo. A u was?

Hubert miał dziwną minę. Trochę radosną, a trochę zakłopotaną i wystraszoną.

– Jackowi strzelanie szło najlepiej, ale tego wszyscy się spodziewali, nie? Tamara była niezła. Nie jakoś szczególnie dobra, ale niezła.

– A ty?

Znowu zobaczyła tę przedziwną mieszaninę dumy i strachu.

– Byłem prawie tak dobry jak Jacek. Pani Ewa powiedziała, że, no wiesz...

– Masz talent?

– Aha.

Las zrobił się odrobinę bardziej mroczny, ciemność gęstniała wokół nich, rozmazując w szarości martwe drzewa. Nina zastanawiała się, czy to wina zapadającego wcześniej zimowego zmierzchu, czy może nadciąga kolejna śnieżycyca.

Prawie tak dobry jak Jacek. Biorąc pod uwagę, że zdolności młodszego z chłopców nie były naturalne, to znaczyło... dużo.

– To chyba dobrze, prawda? – zaryzykowała, a Hubert z ociąganiem skinął głową.

Między drzewami widzieli już polanę, na której stała pozostała trójka, i Nina nie zdążyła dodać już nic więcej.

– Macie teraz czas wolny – oznajmiła pani Ewa, kiedy dotarli do pensjonatu. – Pamiętajcie, że kolacja jest o wpół do ósmej, potem

chę was widzieć w łózkach.

– Nie jesteśmy małymi dziećmi – parsknął Jacek, a kobieta spojrzała na niego chłodno.

– Owszem, wciąż jesteście. A ja mam obowiązek się wami opiekować.

– Ale chcecie nam dać do ręki broń. – Nina rozejrzała się, czy w holu pensjonatu nikogo poza nimi nie ma. – Jesteśmy wystarczająco dorośli, żeby strzelać do potworów, i jednocześnie na tyle dziecinni, żeby wciąż chodzić spać z kurami?

Coś drgnęło w pięknej, chłodnej twarzy pani Ewy. Jakiś błysk... uznania? Jakby kobieta chciała powiedzieć: „Punkt dla ciebie”.

– Świetnie, jeśli chcecie być traktowani jak dorośli, to proszę bardzo. Możecie chodzić spać, o której chcecie, ale potem nie miejcie do mnie pretensji, że zasypiacie w ciągu dnia. Chcę was widzieć każdego dnia po śniadaniu i po obiedzie, poza tym róbcie, na co macie ochotę.

Oszołomieni nagłą wolnością, wykorzystali pozostałe do kolacji pół godziny na to, żeby pojechać na sankach, które Tamara pożyczyła od właścicielki pensjonatu. Sanki były stare i kiedyś służyły chyba do przewozu drewna, ale do zjeżdżania też się nadawały – a przede wszystkim nie musieli się martwić, że je zniszczą, bo pani Kociuba od razu powiedziała „Jak oddacie ten starość, to dobrze, a jak nie, to nie”.

Pierwszy zjechał Jacek, krzycząc z radości w coraz gęstszą ciemność, potem Hubert, a wreszcie obie dziewczyny: Nina siedziała, a Tamara stała za jej plecami, śmiejąc się i piszcząc, a kiedy straciły równowagę i sanki wbiły się w zasną, Nina, leżąc na zimnym śniegu i patrząc w pojawiające się na niebie gwiazdy, po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła, że naprawdę jest szczęśliwa.

– Poopowiadajmy sobie straszne historie – powiedział Jacek, kiedy po kolacji siedzieli w pokoju dziewczyn i zastanawiali się, co robić. Za oknem było już całkiem ciemno, w szyby uderzał porywisty górski

wiatr. Światło zgasło przed chwilą, zebrali się więc wokół stojącej na stoliku świecy, której blask podświetlał na żółto ich twarze. Wyglądamy jak czwórka upiórów spiskujących w ciemności, pomyślała Nina.

– Mało ci strasznych historii w życiu? – parsknęła Tamara, kładąc się na wznak na łóżku.

– To taka tradycja – bronił się Jacek. – Wiecie, opowiadanie przy ognisku.

– Mamy świeczkę – zwróciła mu uwagę Nina.

– Niech on coś opowie. – Tamara wycelowwała palec w milczącego Huberta. – Ciągle tylko trzyma nos w książkach, to pewnie zna mnóstwo historii.

– Czytam głównie poezję, nie prozę – w głosie chłopaka zabrzmiała lekka uraza – ale jeśli chcecie, to mogę wam coś opowiedzieć. To historia, którą wymyśliłem na nasze kółko dramatyczne. Jest krótka, ale...

– Niech zgadnę, jest także romantyczna, mroczna i źle się kończy, bo wszyscy umierają na końcu? – wtrąciła się Nina, patrząc w sufit.

Hubert zamrugął.

– Tak, to znaczy... Skąd wiesz?

Tamara parsknęła śmiechem.

– Bo zna cię jak zły szeląg, dlatego.

– Jak jesteś taka mądra, to sama coś opowiedz.

– Mogę, owszem, znam na przykład historię, w której...

– ...jest mnóstwo krwi i też kończy się źle, bo wszyscy umierają już na samym początku? – Nina usiadła i westchnęła. – Przepraszam, nie chciałam być złośliwa.

– Ja znam jedną historię – zadeklarował Jacek, a pozostała trójka spojrzała na niego zdziwiona, bo chłopak jak dotąd nie wykazywał się ani wyobraźnią, ani talentem do opowiadania.

– Dobra, dawaj. – Tamara poruszyła się na łóżku, krzywiąc wargi. – Rany, ale ten dzisiejszy trening dał mi w kość, wszystkie mięśnie mnie bolą. Nina, byłaś u pani Ewy z tym siniakiem?

– Byłam, posmarowała mi go jakąś maścią.

– Pomogło?

– Tak. – Dziewczyna nie miała najmniejszego zamiaru mówić o swoich siniakach. – Jacek miał opowiedzieć historię, dajcie mu dojść do słowa.

Chłopak chrząknął, nagle zakłopotany trzema parami wlepionych w niego oczu.

– No więc, eee... na początku... na początku była krowa...

– Krowa, serio? – Tamara zmarszczyła brwi, a Jacek lekko poczerwieniał.

– Tak, krowa. Nie taka zwyczajna krasula, tylko bardzo cenne zwierzę z nowej rasy, niedawno sprowadzonej do Polski. Bardziej mleczna.

– Jak czekolada – wtrąciła Tamara. – Pamiętacie jeszcze smak czekolady?

– To znaczy, że daje więcej mleka – oznajmił z godnością Jacek.

– Daj mu dojść do słowa. – Nina podciągnęła nogi pod brodę. Ta krowa zaczynała ją intrygować.

– No więc krowa stała sobie w oborze i pewnego dnia po prostu zniknęła. Tak zwyczajnie: puf i jej nie było.

Jacek zamilkł i potoczył po zebranych niepewnym spojrzeniem. Hubert zmarszczył brwi.

– To wszystko?

– W zasadzie tak.

– Bez sensu. – Tamara ziewnęła. – Co jest strasznego w kradzieży krowy?

– Właśnie o to chodzi, że nikt jej nie ukradł. Właściciel zamknął ją na noc w oborze, a rano krowy już nie było. Kłódka na drzwiach wisiała nienaruszona, okna były zamknięte od środka. A jednak krowa zniknęła.

– No dobra, to już jest odrobinę lepsze – przyznała Tamara. – I jakie jest wyjaśnienie?

– Nie mam pojęcia.

– Przecież to twoja historia – wytknął Hubert, ale Jacek pokręcił głową.

– Ja tego nie wymyśliłem, to zdarzyło się naprawdę. Wczoraj wieczorem niejaki Jan Maciąg zamknął w oborze krowę, a dziś rano

jej nie było. Pani Kociuba mi mówiła.

– A kiedy ty rozmawiałeś z panią Kociubą? – W głosie Huberta zabrzmiała nuta podejrzliwości.

Nina miała wrażenie, że Jacek poczerwieniał, ale mógł to być równie dobrze padający na jego policzki poblask świecy.

– Dzisiaj, kiedy wyciągaliście ze strychu sanki. Poszedłem spytać...

– Czy nie zostało coś do jedzenia – mruknęła Tamara. – I nawet się z nami nie podzieliłeś. Widzicie, ja też umiem dedukować.

– À propos jedzenia, w kieszeni mam jeszcze torebkę landrynek. – Nina wstała, przerywając rozmowę zmierzającą w niebezpiecznym kierunku.

– A ja proponuję, żebyśmy darowali sobie dziś tajemnicze krowy i jeszcze bardziej tajemnicze samochody i zwyczajnie zegrali w karty – odezwała się Tamara. – Ktoś chętny?

Jacek podniósł rękę od razu, Hubert po chwili wahania. Nina przyłączyła się jako ostatnia. Uznała, że jakkolwiek na to patrzeć, na myślenie o zagadkach mieli jeszcze mnóstwo czasu.

Rozdział piąty, w którym Nina znowu dedukuje, a poza tym stara się przeżyć w opuszczonym mieście.

Trochę bardziej w lewo! – krzyczała z okna pałacu Nina, podczas gdy Jacek pracowicie deptał śnieg. – Jeszcze przez chwilę na skos i potem łukiem w prawo!

– Przecież wiem, jak wygląda S! – odwrzasnął z dołu chłopak, sądząc po głosie, bardzo zziębnięty.

Była dziesiąta rano i od pół godziny pracowicie wydeptywali w śniegu wielkie litery SOS. Na rynku, bo to była największa płaska powierzchnia w okolicy, a poza tym z drugiego piętra pałacu mogli sprawdzić, jak wygląda napis. Najpierw deptali oboje, potem Jacek doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli jedno z nich zostanie na dole, a drugie przez cały czas będzie patrzyło z góry. Dziewczyna zgodziła się chętnie, bo nie miała szczególnej ochoty przedzierać się przez zasy, ale teraz zrobiło jej się Jacka żal.

– Jak jesteś zmęczony, to możemy się zamienić! – wrzasnęła.

– Nie jestem! Dam sobie radę!

Błąd, nie powinna sugerować, że może być zmęczony. To godziło w jego męską dumę. Z drugiej strony i tak szło mu to znacznie sprawniej niż Ninie. Ona do tej pory pewnie już przewróciłaby się w zaspę i więcej nie wstała.

Postanowiła, że zaczeka, aż chłopak dotrze do końca S, i zmieni go przy O – przynajmniej na chwilę, żeby mógł odpocząć. O powinno być stosunkowo proste, wystarczy tylko chodzić w kółko.

Dziś rano pokłócili się o kropki: Jacek uważał, że powinni napisać S.O.S., bo SOS będzie wyglądało jak kawałek przepisu kulinarnego, na co Nina odparła, że przepisu wydeptanego w śniegu mógłby spodziewać się tylko kompletny idiota, a ona nie chce być uratowana przez idiotę.

Wyglądało na to, że samotność i strach działają im na nerwy i już niedługo kłótnie będą wybuchać o większe głupstwa. To było...

smutne. I niepokojące, bo Nina nie miała pojęcia, jak długo jeszcze przyjdzie im mieszkać w Wilczych Dołach.

– Uważaj, idziesz za bardzo w prawo! – krzyknęła, a chłopak pokiwał jej z dołu uspokajająco.

Niebo roz pogodziło się i po raz pierwszy od dwóch dni na zimnym szarawym błękitnie nie było widać ani jednej chmurki. To budziło nadzieję, że napis przetrwa wystarczająco długo, by ktoś go zauważył. Może. Jeśli naprawdę będą mieli szczęście.

Jacek docierał już do końca S, dziewczyna odwróciła się więc od okna. Zrobiła to niechętnie, bo za nią była sala balowa, ta sama, w której przedwczoraj odzyskała przytomność. Na podłodze wciąż leżały odłamki szkła, a przy podeście dla orkiestry stała drewniana skrzynia. Skrzynia, która wyglądała jak dwuosobowa trumna. I która wciąż budziła niepokój Niny.

Szła w stronę schodów, próbując sobie wyobrazić ludzi, którzy tańczyli niegdyś w tej sali: kobiety w pięknych, sięgających ziemi sukniach z tafty, eleganccy mężczyźni w surdutach i cylindrach. Maseczki na twarzach, gdy trwał karnawał, śmiechy w kątach, flirty i mnóstwo intryg.

Ale i tak myślała tylko o skrzyni, o tym, kto i po co wniósł ją po schodach, i o tym, co rozsadziło skrzynię od wewnątrz z taką siłą, że szczątki przedniej ściany rozsiały się po całej sali.

Kiedy napis był gotowy, zjedli przygotowany przez Jacka gulasz. Zapasy były już starannie posegregowane: część wystawiona za okno, gdzie mogła spokojnie zamarznąć, część w kuchennych szafkach, część ułożona w zgrabną piramidkę pod ścianą. Mieli kilka worków grochu i fasoli, ziemniaki, jabłka i cebulę, parę puszek mielonki, trzy pęta kiełbasy, dwie torebki cukru, olej, smalec i sporo mąki. Jacek patrzył na tę obfitość z wyraźną satysfakcją.

– Chyba wystarczy, nie? – powiedział.

– Powinno, ale...

– Ale co?

– Może nie zaszkodziłoby spisać szczegółowo, co mamy. Moglibyśmy nawet zrobić dokładny jadłospis na jakieś dwa tygodnie. Albo nawet cztery. Powiedzmy – dodała pośpiesznie, widząc wydłużającą się minę Jacka – że dwa tygodnie to wersja optymistyczna, a cztery pesymistyczna. Dłużej niż do końca marca zima raczej nie potrwa. Warto wiedzieć, czy do tego czasu wystarczy nam zapasów.

– Zawsze możemy pójść do dalej położonych mieszkań, tam jeszcze powinno być jedzenie. Ale w sumie trochę racji masz, jak wszystko sobie dokładnie wyliczymy, to przynajmniej będziemy wiedzieli, na czym stoimy. Mogę opracować dokładny jadłospis na każdy dzień.

– Oczywiście Jacka rozbłysły, mina była zdecydowanie mniej smętna. – Taki, no wiesz, zracjonalizowany, żebyśmy jak najlepiej wykorzystali zapasy i nic się nie zmarnowało.

– Brzmi rozsądnie. Poradzisz sobie? Ja w tym czasie mogę poszukać przypraw.

– Mamy przecież sól i pieprz.

– Ale możemy mieć więcej. Na przykład majeranek czy kminek. O tym zupełnie zapomnieliśmy.

– Dobra. – Jacek już szedł po pióro i kartkę papieru listowego, na którym spisywali notatki. Nina włożyła kożuszek i buty, wciąż mokre po porannym brnięciu przez śnieg.

– Wróć szybko! – krzyknęła w głąb mieszkania.

Nie była tak zupełnie bezinteresowna, proponując spisanie jadłospisu. Coś takiego, oczywiście, mogło się przydać, ale Nina chciała też zwyczajnie czymś Jacka zająć. Chłopak był człowiekiem czynu: uwielbiał planować, organizować i ogólnie działać, pozbawiony konkretnych zadań stawał się marudny i rozdrażniony. I coraz bardziej się bał, bo kiedy się nudził, zaczynał myśleć, jak bardzo kiepska jest ich sytuacja. Poza tym Nina potrzebowała chwili dla siebie, żeby zrobić coś, co Jackowi pewnie by się nie spodobało.

Rozejrzała się po otaczających rynek kamieniczkach. Którą wybrać?

Nie miało to większego znaczenia, skierowała się więc w stronę najbliższej. Była tu już oczywiście wcześniej, ale wtedy szukali jedzenia, a nie... nie dowodów.

Otworzyła drzwi, walcząc z tarasującymi drogę zwałami śniegu, i wsunęła się do mrocznego wnętrza klatki schodowej. Pamiętała dokładnie tutejszy rozkład mieszkań:

Na parterze oba mieszkania otwarte.

Na pierwszym piętrze jedno zamknięte i jedno otwarte.

Na drugim piętrze oba zamknięte.

Pamiętała też, że balkony w tej kamienicy były położone blisko siebie; na tyle blisko, że przy odrobinie zręczności dałoby się przejść z jednego na drugi. A przynajmniej tak to wyglądało, kiedy Nina patrzyła z dołu.

Weszła do otwartego mieszkania na pierwszym piętrze, znalazła pokój z balkonem i wyszła na zewnątrz. Miała rację: balkon drugiego mieszkania, tego zamkniętego, znajdował się w odległości jednego dużego kroku.

Może się tam znaleźć, jeśli tylko zdobędzie się na odwagę.

Wspięła się na poręcz i odetchnęła.

Nie patrz w dół.

Opierając dłonie o szorstki, zimny mur, powoli przesunęła rękę w stronę rynny przecinającej ścianę w połowie drogi między jednym balkonem a drugim. Chwyciła ją – teraz czuła się odrobinę pewniej, choć i tak...

...nie patrz w dół...

...kiedy spojrzała pod nogi, zakręciło jej się w głowie. Wysokość nie była duża, ale z pewnością wystarczyłaby, żeby złamać nogę. A Nina nie mogła przecież liczyć na opiekę lekarza. Dopiero teraz uświadomiła sobie z pełną mocą, że gdyby którekolwiek z nich zachorowało albo zostało ranne, choćby lekko, mogłoby się to skończyć...

Nie myśl o tym.

Zrobiła krok w przód i oparła nogę na poręczu sąsiedniego balkonu. Przez chwilę balansowała nad przepaścią, uczepiona rynny, a potem odepchnęła się mocno, tak żeby nie przeważało jej do tyłu. Przez

jedną straszną sekundę wydawało jej się, że nic z tego nie będzie i jednak spadnie, łamiąc nogę, wreszcie jednak przechyliła się we właściwą stronę i zeskoczyła – a właściwie bardziej spadła – na balkon.

Pozbierała się, otrzepała ze śniegu i stanęła przed kolejnym problemem: jak dostać się do mieszkania, skoro przeszklone drzwi były zamknięte. Użyłaby mocy, ale niebo jak na złość było czyste i błękitne, zdjęła więc wiszącą na balkonie donicę z resztką dawno zwiędłych badyli i z całej siły uderzyła w szybę.

Na szkłe pojawiła się pajęczyna pęknięć. Nina uderzyła jeszcze raz, na wszelki wypadek drugą dłonią osłaniając twarz. Szyba pękła, odłamki posypały się na balkon, a dziewczyna, podnosząc wysoko nogi, przeszła nad sterczącymi z ramy kawałkami szkła do mieszkania.

Dwa pokoje, kuchnia, łazienka, krótki przedpokój: rozkład był dokładnie taki sam jak w pozostałych mieszkaniach, to jednak zdecydowanie się wyróżniało. Przede wszystkim wyglądało na ogołoczone ze wszystkiego, co tylko dało się zabrać: w szafach nie było ubrań, w kuchni brakowało talerzy, szklanek, sztućców, a nawet mniejszych garnków, został jedynie wielki sagan, służący chyba do wekowania przetworów, najwyraźniej zbyt duży i niewygodny, by go wynieść z domu.

Nina usiadła na odartym z pościeli łóżku i zapatrzyła się w ścianę, na której jasne kwadraty znaczyły miejsca po zdjętych obrazach.

Co to wszystko oznaczało?

Odpowiedź była dość oczywista: ktokolwiek tu mieszkał, nie zamierzał już nigdy wrócić, a jednocześnie wyprawdzka musiała być na tyle nagła i niespodziewana, że właściciel nie zdążył zamówić ciężarówki do przewozu mebli. Albo z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić – może dlatego, że mnóstwo osób wyprawdzało się w tym czasie z Wilczych Dołów. Zebrał więc i spakował wszystkie drobne sprzęty, a potem... potem poszedł, być może ciągnąc za sobą wyładowane sanki. Albo dogadał się z sąsiadem, który miał konia i wóz.

Zanim śnieg zasypał przełęcz.

Nina wstała i wyszła z mieszkania, oczywiście zwyczajnie, przez drzwi, które od środka mogła bez problemu otworzyć. Potem wspięła się na ostatnie piętro, a stamtąd po drabince prowadzącej do kłapy w suficie wyszła na dach.

Nie miała jeszcze wystarczającej ilości danych.

Wiatr wiał teraz silniej, ciskając w dziewczynę drobiny śniegu, ale nadal nie padało, niebo jakimś cudem wciąż było czyste i błękitne, tylko trochę ciemniejsze niż pół godziny temu. Powinnam się śpieszyć, pomyślała, przytulając się do komina.

Puściła go i ostrożnie, tyłem, zaczęła zsuwać się po śliskiej pochyłości dachu. Pod warstwą puchatego śniegu leżała twarda warstwa zmarzliny, która boleśnie wbijała się Ninie w kolana. Jeszcze dwa metry, metr... Kozuszek podwinął się i dziewczyna szorowała teraz brzuchem po lodzie. Zadygotała z zimna. Chwilę później jej wyciągnięte nogi trafiły na pustą przestrzeń i fiknęły w powietrzu. Nina wisiała, z krawędzią dachu wbijającą się boleśnie w podbrzusze, potem zsunęła się jeszcze niżej...

Zaczynam nabierać...

...i niżej...

...wprawy.

Puściła się z sapnięciem i wylądowała na balkonie drugiego piętra. Tym razem nie miała tyle szczęścia co wcześniej – upadła na lewy bok i stary siniak odezwał się bólem. Dziewczyna krzyknęła.

Może z tą wprawą jednak trochę przesadziła. Jacek – była tego doskonale świadoma – poradziłby sobie znacznie lepiej.

Jacka jednak nie było, Nina wstała więc i tą samą metodą co wcześniej, czyli rozbijając drzwi balkonowe (tym razem trwało to dłużej, bo musiała użyć buta), dostała się do kolejnego mieszkania.

Jacek siedział przed kominkiem i z pochyloną głową studiował pilnie coś, co leżało przed nim, zasłonięte przez plecy chłopaka. Widać było tylko róg kolorowej planszy. Zakreślił coś starannie na mapie – jeśli to była właśnie mapa – położył pióro obok kałamarza i zgarbił się

z powrotem. Wyglądał niesamowicie smutno, kiedy tak siedział, zupełnie jakby przygniotły go wszystkie troski świata.

Nina chrząknęła i chłopak poderwał głowę.

– O! – Zmarszczył brwi. – Gdzie byłaś?

– Po przyprawach, mówiłam ci. – Wyciągnęła z kieszeni kminek, który przytomnie zabrała z jednego z pustych mieszkań. – I znalazłam też trochę suszonych grzybów na sznurku, będą do zupy...

Zadyndała w powietrzu nicią z nawleczonymi na nią pomarszczonymi borowikami, jednak Jacek nie miał zamiaru się rozchmurzyć.

– Możesz robić, co ci się podoba – powiedział. – Ale dlaczego wciskasz mi kit?

– Przecież...

– Obejrzyj się w lustrze.

Powędrowała do łazienki i mało nie krzyknęła na widok swojego odbicia. Włosy miała rozczochrane, przez twarz biegła szaroczarna smuga. Nina musiała ubrudzić się podczas pełzania po dachu albo chwilę później, kiedy skoczyła na balkon. I nawet tego nie zauważyła – wiedziała tylko, że ma mokry kożuszek i mokre spodnie.

Przebrała się, umyła i wróciła do salonu. Jacek demonstracyjnie nie zwracał na nią uwagi.

– Słuchaj, przepraszam... – zaczęła niepewnie.

– Myszkowałam.

– Co?

– Po mieszkaniach. Poszłam tam, żeby szukać tajemnic, a nie żadnych przypraw.

– No, eee... w sumie tak. Ale sam przecież mówiłeś, że ciebie to nie interesuje.

– Bo nie interesuje. – Chłopak wzruszył ramionami. – Co wcale nie znaczy, że masz mnie okłamywać. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy przed sobą ukrywać ważnych rzeczy, pamiętasz?

Już chciała odpowiedzieć, że to wcale nie jest ważne, ale ugryzła się w język – bo przecież było, nawet bardzo.

– Przepraszam – powtórzyła na wszelki wypadek, po czym usiadła obok chłopaka, który dzielił mapę na mniej więcej równe kwadraty. –

Co robisz?

– Nic ciekawego. Tajemnice na pewno są sto razy bardziej interesujące.

– Rany, Jacek, nie bądź taki. Przecież już przeprosiłam. Bez ciebie byśmy tu zginęli, wiesz o tym. Ty robisz to, co potrzebne, żebyśmy mogli przeżyć, bo jesteś w tym dobry. Ja jestem dobra w rozwiązywaniu zagadek. To też jest ważne, ale nie tak bardzo jak na przykład znajdowanie jedzenia.

Znowu wzruszył ramionami, ale wyglądał na trochę ułagodzonego. Podsunął Ninie pokreśloną mapę.

– Pomyślałam sobie, że skoro chcemy znaleźć posterunek milicji, to musimy się zabrać do tego porządnie. No wiesz, żebyśmy nie łazili po tym mieście w kółko jak błędne owce, tylko mieli plan, bo na takie szczęście jak z tą biblioteką drugi raz nie możemy liczyć. Dlatego podzieliłem Wilcze Doły na kwartały: jeśli każdego dnia sprawdzimy dwa, ja jeden, a ty drugi, najdalej za tydzień powinniśmy na posterunek trafić.

– Dobry plan. Poszukamy tego cholernego radia i wezwiemy pomoc.

Skinął głową. Milczeli przez chwilę oboje, patrząc w płonący ogień.

– To co znalazłaś? – Jacek pierwszy przerwał ciszę.

– Naprawdę chcesz tego słuchać?

– Tak naprawdę to nie bardzo. – Chłopak westchnął. – No wiesz, człowiek znacznie mniej się boi, kiedy wyobraża sobie, że w tym całym zniknięciu nie ma nic dziwnego czy tajemniczego. Ale jest, prawda?

– Chyba tak. I ja też się boję. Przez cały czas.

Jacek dorzucił kawałek drewna do kominka, płomienie strzeliły w górę.

– To co znalazłaś?

– Wygląda na to, że są cztery rodzaje mieszkań. Otwarte, w których jest porządek, wszystkie ubrania poukładane w szafach, zamieciona podłoga, na szafkach ani śladu kurzu, nawet zabawki stoją na swoich miejscach, jakby... nie wiem, jakby ktoś szykował się na jakieś święto albo na wizytę kogoś ważnego i dlatego tak posprzątał. Drugi rodzaj

to mieszkania też otwarte, tylko zabałaganione. Znaczą, takie zwyczajne, gdzie w zlewie są niepomyte talerze, zabawki walają się po podłodze, a ubrania wiszą na krześle zamiast w szafie. I wreszcie trzeci rodzaj to te zamknięte: w nich nie ma nic oprócz mebli i najcięższych sprzętów, bo ktoś zabrał wszystko, co tylko dało się wynieść.

– Ktoś, czyli właściciel?

– Pewnie tak.

– A czwarty rodzaj?

– Mieszkania zamknięte, ale starannie posprzątane.

– I co z tego wszystkiego wynika?

– Nie jestem pewna. – Dziewczyna zawahała się. – Ale w jednym mieszkaniu znalazłam to.

Przysunęła w stronę Jacka wymiętą kartkę. Była niewielka, formatu strony w szkolnym zeszycie, zadrukowana krzywymi szarymi literami. Ulotka, w dodatku niezbyt profesjonalnie zrobiona.

MIESZKAŃCY WILCZYCH DOŁÓW!

26 LUTEGO O GODZINIE 13:00 WSZYSTKO SIĘ ZMIENI!!!

JEŚLI NIE CHCECIE ZOSTAĆ Z NAMI, OPUŚĆCIE MIASTO, PÓKI JEST CZAS.

NA OSOBY Z ZAPROSZENIAMI CZEKAMY W PAŁACU SZCZERBSKICH 25 LUTEGO O GODZINIE 21:00.

POZOSTAŁYM ŻYCZYMY MIŁEGO ŚWIĘTOWANIA W DOMACH PAMIĘTAJCIE, OBOWIĄZUJĄ SPECJALNE STROJE!!!

Niżej widniał czarno-biały rysunek mężczyzny we fraku i kobiety w długiej sukni z gorsetem i turniurą.

– Widziałem już taką ulotkę – przyznał Jacek. – Kiedy szukaliśmy dodatkowych świec. Wtedy nie zwróciłem na nią uwagi.

– Powiedzmy – Nina myślała na głos – że w Wilczych Dołach ma się coś wydarzyć. Dwudziestego szóstego lutego, dokładnie o godzinie trzynastej. I komuś zależy, żeby powiadomić o tym jak najwięcej mieszkańców, stąd te ulotki. Zakładamy więc, że większość ludzi wie, co się stanie. Część nie chce w tym brać udziału i ucieka

z miasta zawczasu, zamykając za sobą drzwi. Część chce i przygotowuje się starannie: sprząta, ubiera się odświętnie i czeka w domu...

– Przy otwartych drzwiach?

– Czemu nie? W takich małych miasteczkach ludzie zazwyczaj zostawiają drzwi otwarte, jeśli ktoś jest w środku.

– No dobrze, więc ludzie czekają w domach. A niektórzy idą świętować ze znajomymi albo na rynku. Ci też pewnie zamknęli za sobą drzwi.

– Dokładnie tak.

– A ostatnia grupa?

– To ci, do których ulotki z jakichś powodów nie dotarły. Albo którzy je zlekceważyli, może dlatego, że nie potrafili uwierzyć. Oni próbowali żyć jak zwykle i to, co się tu stało, kompletnie ich zaskoczyło.

– A co to było?

– Nie mam pojęcia – przyznała Nina.

– Może coś związanego z komunistami? – zastanawiał się Jacek. – Niektórzy bardzo ich nie lubią.

– Przecież oni są w całej Polsce, więc ucieczka z Wilczych Dołów nic by nikomu nie dała – powiedziała Nina rozsądnie.

– Teraz i tak niczego nie wymyślimy.

Jacek złożył mapę, po czym spojrzął na duży mosiężny budzik, który stał na kominku. Znaleźli go w jednym z mieszkań i od tej pory nastawiali każdego wieczoru na godzinę ósmą rano – co i tak nie było potrzebne, bo Nina budziła się sama z siebie, ledwo na dworze robiło się jasno.

Zegar wskazywał wpół do czwartej. Jacek westchnął.

– Nie zdążymy już chyba dziś poszukać posterunku – powiedział smętnie. – Zaraz będzie ciemno.

Nina sięgnęła po mapę i rozłożyła ją ponownie.

– Możemy obejść najmniejszy kwartał, o ten. – Wskazała palcem. – Tam jest apteka, więc przy okazji przyniesiemy trochę lekarstw.

– Jesteś chora?

– Nie, ale lepiej mieć coś na miejscu. I na wszelki wypadek

pójdziemy razem.

Jacek nie zapytał, dlaczego mieliby iść razem, skoro w mieście nikogo oprócz nich nie ma. Ani nie zaprotestował. Może po prostu nie lubił chodzić samotnie po zmroku, a może on także – jak Nina – myślał o śladzie znalezionym obok wydeptanej w śniegu ścieżki.

W aptece załadowali kieszenie aspiryną, plastrami, jodyną, maściami na stłuczenia i kroplami żołądkowymi. Potem Jacek uparł się, żeby wziąć jeszcze parę opakowań penicyliny – jak tłumaczył „na wszelki wypadek, gdyby któreś z nas złapało zapalenie płuc”. Nina miała wątpliwości, czy którekolwiek z nich w razie potrzeby będzie potrafiło zrobić zastrzyk, ale nie zaprotestowała.

Wracali w kiepskich humorach, bo posterunku milicji oczywiście nie znaleźli.

– Jutro pójdzie nam lepiej – powiedziała Nina pocieszająco. – A w tym kwartale i tak mieliśmy małe szanse, większość uliczek obeszliliśmy przecież już wcześniej.

– Aha. – Jacek szedł z ponurą miną, myślami najwyraźniej przebywając gdzieś daleko.

– I przy okazji możemy też szukać pługu albo czegoś, co przejechałoby przez ten śnieg. Może traktor...?

Nina zamilkła, bo miała wrażenie, że mówi do powietrza, szarzejącego coraz szybciej w nadciągającym zmierzchu.

– Jacek, co ci jest?

Wzruszył ramionami.

– To nie ma sensu – powiedział. – Wszystko, co robimy. Łazimy w kółko i nic z tego nie wynika, a teraz znowu będziemy siedzieć w domu przez cały wieczór i się nudzić, i czekać nie wiadomo na co.

– Nie nie wiadomo na co, tylko na ratunek. Ktoś nas przecież prędzej czy później tu znajdzie.

– Jasne, a do tego czasu moja matka zamartwi się na śmierć. Łatwo ci mówić, na ciebie nikt nie czeka.

Nina zwolniła, czując, jak jej serce wypełnia chłód. Weszli zresztą

właśnie na rynek i widzieli już pałac okryty puchatą czapą śniegu.

– Sprawdzę jeszcze parę rzeczy – powiedziała do pleców chłopaka, starając się, żeby jej głos brzmiał uprzejmie. – I wrócę za jakieś... piętnaście minut?

Spodziewała się protestów albo przynajmniej pytań, ale Jacek skinął tylko głową, nie odwracając się nawet. Nina skręciła w stronę najbliższej kamieniczki, za późno uświadamiając sobie, że ich jedyna latarka została w kieszeni oddalającego się właśnie chłopaka. Nic to – jeśli się dobrze uwinie, zdąży, zanim zrobi się całkiem ciemno. A chciała przecież tylko zajrzeć jeszcze do paru mieszkań, zwłaszcza do tych wysprzątanych, których właściciele musieli wiedzieć, co wydarzy się w Wilczych Dołach.

W pierwszym mieszkaniu znalazła to, co widziała już wcześniej: ubrania równo poukładane w szafach, porządek w szufladach, garnki i talerze starannie umyte.

W drugim trafiła na kolejną ulotkę.

Przed drzwiami trzeciego zawahała się: ciemność na zewnątrz zgęstniała już tak bardzo, że dziewczyna stanowczo powinna wracać. Mimo to ciekawość okazała się silniejsza i Nina nacisnęła klamkę. To było dokładnie to mieszkanie, w którym spędziła swoją pierwszą noc, na toaletce wciąż leżał liścik, którego treść wydawała się teraz tak strasznie naiwna – wtedy jeszcze dziewczyna naprawdę spodziewała się, że prędzej czy później ktoś do tego mieszkania wróci.

Sama nie była pewna, czego właściwie szuka.

Zapaliła świecę, która stała tam, gdzie Nina ją zostawiła – na szafce w przedpokoju – i obesła całe mieszkanie. Zaglądała do szuflad, do których nie zaglądała wcześniej, przeszukiwała szafki, których nie zdążyła przeszukać.

Nic.

Już miała się poddać, kiedy jej uwagę zwrócił leżący na stoliku w sypialni magazyn z wykrojami. Widywała takie pisma wielokrotnie w domach różnych ciotek, znajomych rodziny, a nawet koleżanek, które miały starsze siostry. Kobiety musiały przecież jakoś sobie radzić, kiedy w sklepach można było dostać jedynie bezkształtne spódnice z samodziału i – jeśli ktoś miał szczęście – brzydkie szare

swetry.

Tyle tylko że ten magazyn został wydrukowany w 1903 roku.
Nina przekartkowała go, marszcząc brwi.

– Wygląda na to, że dwudziestego piątego lutego w pałacu odbywał się bal maskowy – powiedział Jacek, kiedy jedli przed kominkiem kolację składającą się z resztek chleba przypieczonego na smalcu i posypanego cukrem. – Co w tym dziwnego? Jest karnawał, nie?

– Tak, ale...

– Ale co?

– Sama nie wiem... Ta ulotka sformułowana jest tak, że w sumie nie wiadomo, czy te specjalne stroje obowiązują na balu, czy może dzień później, dwudziestego szóstego lutego o godzinie trzynastej. Albo jedno i drugie.

– Po co ktoś miałby się przebierać o pierwszej po południu?

– Diabli wiedzą.

– Może tę ulotkę pisał ktoś, kto był kiepski z polskiego?

– Może.

Pozmywała, a potem grali jeszcze przez chwilę w szachy, ale Jacek był wyraźnie nie w sosie, dali więc spokój i położyli się przy wtórze wiatru miotającego na zewnątrz płatkami śniegu. Do jutra zasypie nasze SOS, pomyślała Nina, i tyle będzie z całej pracy.

Jacek też nie spał, tylko kręcił się niespokojnie w nagrzaney od kominka ciemności.

– Nina? – odezwał się w pewnej chwili. – Ty naprawdę nie wierzysz w Boga?

Dziewczyna, która zaczynała powoli zapadać w sen, rozbudziła się momentalnie. Rany, co mu przyszło do głowy, żeby dyskutować z takimi tematami?

– Nie.

– Dlaczego?

– Prawdopodobnie z tych samych powodów, dla których ty nie wierzysz w Zeusa, Ra czy Odyna.

Chłopak milczał i odezwał się, kiedy Nina była już pewna, że dał sobie spokój.

– Zeus nie istnieje, a Bóg tak – oznajmił.

– Jakiś dowód?

– Nie ma dowodu, na tym przecież polega wiara.

– To w takim razie równie dobrze może istnieć Zeus. Albo Święty Mikołaj, wróżki i krasnoludki.

– Wiara jest potrzebna – upierał się. – Bez niej nie byłoby żadnych praw, ludzie by tylko mordowali i kradli.

– Ja nikogo nie morduję ani nie kradnę, jeśli nie zauważyłeś.

– Ale mogłabyś to zrobić. Gdybyś chciała.

– O to właśnie chodzi, że nie chcę.

– I to jest twoim zdaniem lepsze niż wiara?

– Jasne, że tak – powiedziała z przekonaniem. – Zastanów się: wolałbyś przebywać z kimś, kto chciałby zrobić ci krzywdę, ale się powstrzymuje, bo się boi, że diabeł wsadzi mu widły w tyłek, czy z kimś, kto nie chce cię krzywdzić, bo to wcale nie sprawiłoby mu przyjemności, tylko wręcz przeciwnie? To się nazywa empatia, wiesz? – Nina parsknęła.

– I tę empatię masz dla wszystkich? No wiesz, nigdy nie myślałaś, żeby się zemścić na kimś, kto zrobił ci coś złego? Na przykład użyć do tego swojej mocy?

– N... nie. – Zająknęła się lekko, zapomniane już prawie siniaki znowu odezwały się bólem. – To znaczy, myślałam, owszem, każdy chyba czasem myśli o takich rzeczach. Ale to nie jest na serio przecież. Nawet jak się na kogoś wściekam, to się powstrzymuję, bo wiem, że gdybym... – słowa „kogoś zabiła” nie chciały jej przejść przez gardło – gdybym komuś zrobiła krzywdę, to potem bardzo bym tego żałowała.

– Ja bym nie żałował – oznajmił Jacek nieoczekiwanie twardym głosem. – Gdybym mógł zabić Lisa, wcale nie byłoby mi potem przykro.

– Owszem, byłoby.

– Jasne, bo ty zawsze wszystko wiesz lepiej. Tobie nikt nigdy nie zrobił czegoś takiego, jak Lis zrobił mnie.

Odwrócił się demonstracyjnie na drugi bok, a Nina leżała przez jakiś czas na plecach, wpatrując się w ciemność. Nagłe poczucie samotności ścisnęło ją za gardło, w oczach pojawiły się łzy, które wytarła rękawem. Nie chciała się rozplakać, nie teraz, kiedy Jacek jeszcze nie zasnął.

„Nikt na ciebie nie czeka” – powiedział i niewątpliwie miał rację. Matka i ojciec Niny wiedzieli tylko tyle, ile od czasu do czasu przekazywał im Lis. Jeśli porucznik nie powie im, że dziewczyna nie wróciła z ferii (a pewnie tego nie zrobi, bo niby dlaczego miałyby), rodzice wcale nie będą się o nią martwić.

W porządku, tu Jacek miał rację i Nina, choć z bólem, potrafiła to przyznać.

Ale za drugim razem, kiedy powiedział, że dziewczyny nikt nigdy nie skrzywdził tak, jak Lis skrzywdził jego, bardzo się pomylił.

Śniło jej się, że wspina się po oblodzonym stoku, coraz bardziej zmęczona, czepiając się ostrych kamieni poranionymi dłońmi. Wyżej i wyżej, po górze, która zdawała się nie mieć końca, jakby sięgała samego nieba. Nie dam rady, pomyślała, a potem zebrała resztki sił, by krzyknąć: Pomocy! Wtedy od strony szczytu z głuchym łoskotem oderwała się lawina, która ruszyła w dół, pchając przed sobą kawałki skalnych bloków...

– Nina, obudź się. Nina!

Otworzyła oczy, wciąż oszołomiona snem. Jacek klęczał obok i potrząsał ją za ramię. Jego twarz, oświetlona dogasającym żarem z kominka, była wykrzywiona z przerażenia.

– Musimy uciekać.

– O c...co...

– Zwiewamy, ale już!

Chciała zapytać, o co chodzi (tym razem na pewno by jej wyszło, bo wreszcie się obudziła), ale wtedy właśnie to usłyszała: głuchy jęk naprężonego do ostateczności sufitu, a potem... potem trzask, nie zwyczajny, tylko TRZASK, jakby górna część budynku nagle pękła

wpół. Nina poderwała się. Nie zdążyła włożyć butów ani żadnego okrycia, nie zdążyła zrobić niczego – w ciemności rzuciła się w stronę wyjścia. Uderzyła ramieniem w ścianę, odbiła się i uderzyła w drugą ścianę drugim ramieniem. Jacek, którego oddech czuła cały czas na karku, jakimś cudem złapał ją za łokieć i pchnął we właściwym kierunku. Kiedy namacała klamkę, przekręciła klucz i otworzyła drzwi, z sufitu sypnęło tynkiem, chmura pyłu osiadła jej na włosach, wpadła do ust i oczu. Dziewczyna zakaszła, nagle oślepiła. I ogłuszona, bo tuż za nią runęła ściana z potężnym hukiem toczącej się górskiej lawiny. Nina była już jednak na zewnątrz, pchnięta zdecydowanym ruchem przez Jacka. Wylądowała w śniegu, wyciągając przed siebie ręce. Chłopak upadł tuż obok, z dłonią wciąż wspartą o jej plecy. Zasłoniła uszy i skuliła się. Nic więcej nie mogła zrobić.

 Za nimi waliło się lewe skrzydło pałacu.

 Huk przetoczył się, a potem umilkł, choć kiedy Nina uniosła głowę, wciąż jeszcze dzwoniło jej w uszach. Niezgrabnie uklękła na śniegu. Piżamę miała przemoczoną, pył z włosów wciąż sypał jej się na twarz. Zamrugła i z oczu popłynęły łzy.

 – Jacek? – szepnęła, a ponieważ nie usłyszała własnego głosu, powtórzyła w panice: – Jacek?!

 – Jestem. Nie krzycz.

 Dzwonienie w uszach powoli cichło i odpowiedź chłopaka usłyszała już całkiem wyraźnie.

 – Cholera...

 Sądząc po odgłosach, Jacek podnosił się właśnie i otrzepywał ze śniegu. Nina zamrugła jeszcze raz, wytarła mokre oczy mokrym rękawem piżamy i wreszcie zaczęła coś widzieć. Nad nimi wisiało zaskakująco czyste rozgwieżdżone niebo, przed nimi wznosiła się ściana. A raczej kawałek ściany, w której tkwiły drzwi. Reszta pałacowego skrzydła zapadła się jak klocek zgnieciony stopą nieostrożnego dziecka. Dziewczyna zadygotała. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, jak dużo mieli szczęścia: gdyby nie ocalał akurat ten fragment ściany, prawdopodobnie gruz posypałby im się na głowy.

 – Cholera, cholera – powtarzał Jacek i kiedy Nina już się

wystraszyła, że chłopak doznał szoku i nie potrafi powiedzieć nic innego, nagle jęknął: – Jezu...

– Jesteś cały? – zapytała.

– Tak, chyba tak. A ty?

– Ja też.

– Mam latarkę – pochwalił się Jacek. – W ostatniej chwili zdążyłem ją złapać. Ty coś masz?

– Piżamę – mruknęła. – Na sobie. Moką.

Jacek westchnął.

– Chodź – powiedział. – Musimy znaleźć jakieś schronienie.

To przez ten śnieg, pomyślała Nina. Wcześniej ktoś musiał odśnieżać dachy, a teraz, kiedy mieszkańcy zniknęli, nie miał kto tego robić, poza tym pałac był stary, pewnie od dawna nieremontowany...

Kto wie, ile takich starych budynków jest w mieście? Kto nam zagwarantuje, że schronienie, które znajdziemy, też się nie zawali?

Chłopak musiał pomyśleć o tym samym, bo mruknął:

– Te kamienice przy rynku wyglądają całkiem solidnie...

Nina nie była przekonana (dla niej wyglądały tak samo solidnie jak pałac jeszcze parę godzin temu), ale jakie mieli wyjście? W tak głębokim śniegu, boso i w piżamach nie zdołaliby dotrzeć nigdzie dalej.

Jacek złapał Ninę za rękę, a dziewczyna nie zaprotestowała. Odwróciła się tylko na chwilę, żeby spojrzeć na pałac. Jedno skrzydło wyglądało na nienaruszone, ale drugie zmieniło się w kupę gruzów, nad którą unosiła się jeszcze chmura pyłu. Wszystko, co zgromadzili, całe ich starannie wyliczone zapasy jedzenia, koce, ubrania, świece, drewno – wszystko przepadło.

Dziewczyna odwróciła wzrok.

Wtedy ich zobaczyła.

Dwie sylwetki, odcinające się od mroku na tle granatowego nieba, wysoko na końcu uliczki wspinającej się na zbocze. Jedna sylwetka ludzka, wysoka i szczupła, druga zwierzęca: coś, co wyglądało jak wielki pies, a może wilk, stojący nieruchomo obok swojego pana i wyciągający pysk, jakby węszył w ciemności.

Rozdział szósty, w którym Nina jest świadkiem coraz dziwniejszych zdarzeń i zaczyna się poważnie niepokoić.

Pies wynurzył się z mgły: duży, szary, ze skołtunioną sierścią, podobny bardzo do wilka. Nina drgnęła. Zwierzę zatrzymało się i przekrzywiło łeb.

– Cześć – powiedziała przez ściśnięte gardło.

Nie bała się psów, ale ten był wyjątkowo duży. Gdyby spotkała go w lesie, pewnie uznałaby, że to naprawdę wilk, ale tutaj, w środku miasta, musiał to być zwyczajny kundel, tylko bardzo wyrośnięty.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Mgła tłumiała codzienne dźwięki: turkot wozów na brukowanej ulicy, odgłosy podeszew mlaszczących w błocie na chodniku. Wszystko to docierało do Niny stłumione, jakby miała watę w uszach. Dobrze słyszała tylko głuchy pomruk wydobywający się z gardła psa. Intensywnie zielone ślepia połyskiwały niczym dwie latarenki, zawieszane w kłębiącej się bieli na wysokości uda dorosłego człowieka.

Gdyby chciał przegryźć mi gardło, nie musiałby nawet wysoko podskoczyć, pomyślała dziewczyna.

Odchrząknęła.

– Eeee... Nie zrobisz mi krzywdy, prawda? Przecież jesteś miłym, dobrym pieskiem...

Zwierzę warknęło jeszcze raz, a Nina poczuła, jak po jej plecach spływa strużka potu. Co powinna teraz zrobić? Uciekać? Nie, to nie był najlepszy pomysł – gdzieś czytała, że jeśli człowiek zaczyna biec, u psa włącza się instynkt pogoni. Wołać o pomoc? Wokół było mnóstwo ludzi, słyszała wyraźnie odgłosy kłótni dobiegającej gdzieś z za jej pleców, ale nikogo chyba nie interesowała czternastoletnia (no, prawie czternastoletnia) dziewczyna, która za moment skończy na chodniku, wykrwawiając się z rozerwanego gardła.

Wyobraźnia Niny rozpędzała się, podsuwając coraz bardziej ponure

obrazy: ludzie wdeptują w rozrastającą się czerwoną kałużę i obojętnie idą dalej, we mgle nawet nie zauważywszy, że tuż obok ruchliwej ulicy nastolatka resztkami sił walczy o życie. Może ktoś wreszcie się o nią potknie, ale wtedy będzie za późno i...

Pies znowu warknął, a potem skoczył.

Pod Niną ugięły się nogi. Zamknęła oczy, zaciskając powieki, chciała jeszcze podnieść ramię do gardła, by je osłonić. Nie zdążyła. Poczowała tylko podmuch przebiegającej tuż obok kilkudziesięciokilogramowej kuli mięśni i futra, a potem usłyszała znajome warczenie – już za plecami.

Otworzyła oczy i odwróciła się na wciąż miękkich nogach.

Za nią we mgle stała najdziwniejsza para, jaką dotąd widziała. Ksiądz wyglądający niemal jak karykatura z obrazka: niziutki, z wielkim brzuszyskiem, na którym opinała się sutanna, aktualnie szarpana przez wielkiego psa. Obok kobieta, dla odmiany wysoka i chuda, w długiej do ziemi czarnej sukni i kapeluszu z woalką. Cały ten strój wyglądał jak żywcem przeniesiony z dziewiętnastego stulecia, a kłębiąca się wokół mgła potęgowała jeszcze wrażenie, że dziewczyna nagle znalazła się w środku gotyckiej powieści.

– Niech pani uspokoi tego psa – jęczał ksiądz, podczas gdy zwierzę powarkiwano głucho, tarmosząc połę sutanny. – Ja nie... Ach, do licha...!

– Mój syn nie żyje – mówiła kobieta, którą Nina w myślach nazwała Czarną Damą. – A wciąż nie jest pochowany. Trzeba mu wyprawić godziwy pogrzeb. Chrześcijański.

– Absolutnie... Nie zgadzam się... To jakieś... – Ksiądz sapnął desperacko, usiłując wyszarpnąć sutannę z psiego pyska. – ...to szaleństwo... Proszę zabrać to zwierzę! – pisnął nagle zaskakująco cienkim głosem, zupełnie nielicującym z powagą duchownego.

– Aleks, zostaw!

Pies z niechęcią wypuścił zdobycz i cofnął się odrobinę, a Nina dopiero teraz zauważyła, że zwierzę ma lekkiego zeza. To dlatego wcześniej uznała, że Aleks zamierza rzucić się na nią, a nie na człowieka, który stał za jej plecami.

– Idziemy do domu – zakomenderowała Czarna Dama, po czym

zwróciła się do księdza: – Z proboszczem porozmawiam jeszcze jutro.

– Jutro nie mam... – Ksiądz urwał, bo kobieta odwróciła się już i odeszła, z psem dumnie krocącym u boku.

Przeszli koło Niny, ale żadne z nich nie zwróciło na nią uwagi. Potem zniknęli w kamienicy, do której piętnaście minut wcześniej wszedł Jacek.

Nina czekała, marznąc we mgle i zastanawiając się, co właśnie zobaczyła. Kobieta niewątpliwie ubrana była dziwacznie, ale sprawiała wrażenie kogoś, kto dobrze wie, czego właściwie chce.

A chciała pogrzebu syna. Chrześcijańskiego pogrzebu. Czemu ksiądz miałby jej tego odmawiać? Bo zmarły był samobójcą? A może mordercą? Ale takich ludzi też przecież chowano, choć bez odpowiednich ceremonii. O co więc Czarnej Damie mogło chodzić?

Wymyśliła kilka możliwych odpowiedzi, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej. Kiedy rozważała piątą z rzędu (zawierającą wampiry oraz otwarte w nocy groby), ktoś klepnął ją w ramię. Dziewczyna podskoczyła.

– Hej – odezwał się Jacek. – Zmarzłaś?

– Nie. To znaczy może trochę. Dowiedziałeś się czegoś?

– Mnóstwa rzeczy – pochwalił się. – No więc ten facet, on się nazywa Zenon Pietrzycki, znalazł samochód dwa tygodnie temu w lesie.

– Tak po prostu w lesie?

– Aha. Trafił na niego, jak poszedł kłusować. Nie powiedział tego głośno, ale, no wiesz, trochę się domyśliłem. Gość trzyma strzelbę na ścianie w pokoju, a w garnku gotowało się coś, co pachniało jak potrawka z zająca.

– Może to był królik? Widziałam tu na podwórkach klatki. Zresztą wszystko jedno, mów, co z tym samochodem.

– No więc gość znalazł go przypadkiem i oczywiście z ciekawości zajrzał do środka. Samochód w takiej głuszy to coś zdecydowanie dziwnego, nie? Podobno na początku myślał, że ktoś tam zasnął albo że jakaś młoda para przyjechała tu na amory. To znaczy...

– Wiem, co to znaczy.

– Jasne. – Jacek poczerwieniał lekko. – Drzwi okazały się otwarte,

a samochód pusty. Nie było tam nic, no wiesz, podejrzanego, z wyjątkiem tego spalonego siedzenia, zupełnie jakby ktoś wysiadł, wrzucił do środka coś łatwopalnego, a potem zamknął drzwi i sobie poszedł. Myślisz, że ktoś chciał spalić tę warszawę i w ten sposób się jej pozbyć? Jeśli tak, to trochę się przeliczył. Pewnie to był ktoś, kto nie zna się na fizyce i nie wie, że jak się odetnie dopływ powietrza, to ogień szybko zgaśnie – wyjaśnił z mądrą miną.

– Nie było tam niczego, co by pozwoliło odnaleźć właściciela? Żadnych dokumentów ani nic w tym rodzaju?

– Podobno nie, dlatego Pietrzycki uznał, że może sobie warszawę przywłaszczyć. Nie mógł nią wyjechać, bo nie było kluczyków, więc przyjechali ze szwagrem traktorem i wzięli auto na hol. Potem postawili je na podwórku, wyjęli, co się dało, i sprzedali na lewo. Tak było łatwiej, bo jakby chciał sprzedać cały samochód, to zaraz by go ktoś zapytał o papiery.

– Uwierzyłeś mu, kiedy powiedział, że w środku nie było dokumentów?

– Bo ja wiem? – Jacek wzruszył ramionami. – Jeśli ktoś chciał się tej warszawy pozbyć, to raczej nie zostawiałby w środku prawa jazdy, nie? Podobno był tam tylko notes.

– Notes? – Od razu zrobiła się czujna.

– Ale bez nazwiska ani adresu. Po zawartości też nie dało się wywnioskować, do kogo należał. Tak twierdzi Pietrzycki.

– Jasne. – Nina parsknęła. – I co się z tym notesem stało?

– Pietrzycki dał go do zabawy swojej córce, bo tam było jeszcze sporo wolnych kartek, na których można rysować.

– Nie poprosiłeś, żeby ci ten notes pokazał?

– Rany, Nina, miałem udawać wielbiciela samochodów, a nie starych notesów. Facet pod koniec i tak już patrzył na mnie podejrzliwie.

– Trudno. – Dziewczyna westchnęła. – Coś wymyślimy.

Jacek tupnął kilka razy w chodnik.

– Czekamy jeszcze na Tamarę i Huberta czy idziemy? Strasznie tu zimno. I szczerze mówiąc, trochę jestem głodny.

Nina też zaczęła być głodna. Zerknęła na zegarek, który pani

Ewa pożyczyła im na czas ferii. Było piętnaście po pierwszej.

– Zaczekamy jeszcze chwilę, a jeśli się nie zjawią w ciągu paru minut, to pójdziemy.

Od ich przyjazdu do Wilczych Dołów minęło pięć dni – uczyli się w tym czasie walczyć, strzelać z pistoletu, otwierać drzwi kawałkiem wygiętego drutu i odgrywać różne role (to ostatnie szczególnie spodobało się Hubertowi). Czas wolny mieli tylko wieczorami, a wtedy i tak było zbyt późno, żeby gdziekolwiek pójść. Dzisiaj rano, po dwóch godzinach intensywnego treningu, opiekunka po raz pierwszy zwolniła ich aż do obiadu. Zdecydowali wtedy, że Jacek i Nina pójdą dowiedzieć się czegoś o warszawie, a Tamara i Hubert pozwiedzają miasteczko, którego dotąd nawet nie mieli okazji zobaczyć.

Tyle że w takiej mgle zwiedzanie i tak jest bez sensu, pomyślała Nina.

– Pewnie siedzą teraz w jakiejś kawiarni i jedzą ciastka – mruknął Jacek, którego myśli musiały biec podobnym torem. – Myślisz, że wezmą coś dla nas? Zjadłbym bezę z malinami...

– Jest luty, nie liczyłabym na maliny.

– To coś innego, na przykład kremówkę. Albo ptysia. Albo...

Jacek rozmarzył się, a Nina znowu zerknęła na zegarek. Minuty wlokły się nieznośnie, wilgotne, mgliste zimno jakimś cudem przenikało nawet gruby materiał palta. Dziewczyna poruszyła zeszywniałymi palcami stóp. Żałowała, że nie włożyła drugiej pary skarpetek.

Ulicą przejechała wyładowana meblami ciężarówka i Nina odprowadziła ją wzrokiem. To już druga tego dnia, pomyślała, ale nie zastanawiała się nad tym zbyt wiele.

– Chodźmy – powiedziała, kiedy samochód zniknął w głębi uliczki.
– Tamara i Hubert chyba sami trafią.

W pensjonacie przebrali się, potem Jacek zszedł do kuchni, żeby wysepić coś do jedzenia, a Nina zapukała do pokoju pani Ewy.

– Proszę wejść.

Opiekunka siedziała przy toaletce, malując starannie paznokcie. Lakier miał krwisty kolor, dokładnie taki jak sweter, który Ewa Wiśniewska nosiła do czarnej spódnicy. Nina nie po raz pierwszy zdumiała się, jakim cudem ta elegancka kobieta, wyglądająca, jakby całe życie spędziła w kawiarniach, popijając wino i dyskutując z przystojnymi mężczyznami, może jednocześnie tak świetnie walczyć. Dżudo, przypomniawszy sobie dziewczyna. Ten styl nazywał się dżudo i pochodził z Japonii. Nina przeczuwała, że mimo całej swojej sympatii do egzotycznych krain raczej nie zdoła go polubić. Do teraz czuła w mięśniach każdą minutę spędzoną na ćwiczeniach, choć pani Ewa i tak starała się ją oszczędzać – może ze względu na siniaki, a może po prostu uznała, że z Niny i tak nic nie będzie.

– Potrzebujesz czegoś?

Kobieta odłożyła lakier na toaletkę. Nina zauważyła jeszcze leżący tuż obok pierwszy tom Sagi rodu Forsyte'ów, zdążyła się zastanowić, czy nie mogłaby tej książki pożyczyć, a potem odchrząknęła i opowiedziała historię odkrytej na podwórku warszawy. Ewa Wiśniewska słuchała uważnie. Nie uniosła brwi, nie skrzywiła się, żadnym drgnięciem mięśni twarzy nie dała do zrozumienia, że ta opowieść wydaje jej się interesująca czy odwrotnie: bardzo nudna. Poruszyła się, dopiero kiedy Nina skończyła mówić.

– Nie sądzę, żeby ten samochód należał do Konstantego Rygla – powiedziała. – Ale oczywiście zatelegrafuję do porucznika Lisa i poproszę go, żeby sprawdził numer rejestracyjny. Tylko to może potrwać, więc nie spodziewaj się odpowiedzi szybciej niż za kilka dni.

– I zawiadomi pani milicję?

– Owszem. Jeśli kierowca porzucił ten samochód, a potem gdzieś sobie poszedł, trzeba go poszukać.

– Hmm... dziękuję. – Nina opanowała zaskoczenie. Zdecydowanie nie była przyzwyczajona do dorosłych traktujących ją tak poważnie; większość w takiej sytuacji uznałaby dziewczynę za dziecko, które z nudów coś sobie wymyśla.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli ktoś porzucił samochód, a potem poszedł w góry, to prawdopodobnie już nie żyje?

– T...tak.

Wcześniej o tym nie pomyślała, ale oczywiście pani Ewa miała rację: przy takich temperaturach nikt nie wytrzymałby w lesie dwóch dni, a co dopiero dwóch tygodni.

Tamara i Hubert wpadli do jadalni w połowie obiadu, zaczerwienieni od mrozu, z błyszczącymi oczami. Pani Ewa posłała im znad swojego stolika potępiające spojrzenie, a gospodyni zaraz podbiegła z dwoma dodatkowymi talerzami, na których parowała już zupa kartoflana.

– Strasznie długo was nie było – powiedział Jacek z ustami pełnymi naleśnika. – Łaziliście przez tyle godzin w tej mgle?

– Nie. – Tamara zdjęła palto, sypiąc wokół śniegiem, i przysunęła sobie krzesło.

– Siedzieliśmy w kawiarni – dodał Hubert, również zdejmując z siebie okrycie. Uwolnione spod czapki ciemne włosy rozsypały się po bladym czole i przez chwilę chłopak jeszcze bardziej niż zazwyczaj przypominał chmurnego poetę. – Nazywa się Tęczowa i jest wyjątkowo malownicza.

– I mają tam świetne bezy. – Tamara wyszczerzyła zęby, a Jacek rzucił jej spojrzenie pełne cierpienia.

Kiedy spóźnialscy pośpiesznie kończyli zupę, Nina powtórzyła jeszcze raz to, czego Jacek dowiedział się o samochodzie, a potem streściła rozmowę z panią Ewą.

– Moim zdaniem powinniśmy porozmawiać z córką Pietrzyckiego – zakończyła, przesuwając po talerzu ostatni kawałek naleśnika. – I przekonać ją, żeby pokazała nam ten notes. Tam może być coś, co naprowadzi nas na ślad właściciela samochodu.

– Chcesz iść jeszcze raz do Pietrzyckiego? – Jacek miał sceptyczną minę. – I co mu powiesz? Wcześniej interesował nas samochód na pana podwórku, a teraz chcemy pogadać z pańską córką? Przecież on nas wyrzuci, zanim zdążymy powiedzieć dwa zdania.

– Dlatego postaramy się zdybać ją gdzieś na zewnątrz. Są ferie, prędzej czy później mała wyjdzie, żeby pobawić się na śniegu. A jeśli

nie, to pójdzie nakarmić króliki albo po węgiel do piwnicy. Możemy tam iść pod wieczór, jak tylko pani Ewa da nam czas wolny. Tamara mogłaby z tą małą porozmawiać, ona dobrze dogaduje się z dziećmi.

Nina spojrzała na starszą dziewczynę, ale ta z jakiegoś powodu miała zakłopotaną minę.

– Eeee, Nina, nie obraż się, ale na wieczór mamy inne plany – powiedziała, odsuwając pusty talerz po zupie. – To znaczy ja i Hubert, ale wy też możecie dołączyć.

– Inne plany? – Jacek zmarszczył brwi.

– Spotkaliśmy w tej kawiarni paru miejscowych chłopaków – wyjaśniła Tamara, biorąc z rąk pani Kociuby talerz z naleśnikami.

– I jedną dziewczynę – dodał Hubert tak rozmarzonym głosem, że Ninie momentalnie stanęła przed oczami delikatna blondyneczka z falującymi włosami, prawdopodobnie nieco od Huberta starsza. Ulubiony typ chłopaka.

– I jedną dziewczynę, tak. – Tamara wbiła widelec w naleśnik. – Zaczęliśmy trochę gadać i w końcu zaprosili nas do siebie. To znaczy do Janka i Staszka konkretnie, to bracia, jeden ma szesnaście lat, a drugi siedemnaście. Mają w domu adapter i płyty z amerykańską muzyką. Możecie pójść z nami, powiedzieliśmy im, że jest nas tutaj czwórka i że spędzamy ferie pod opieką cioci.

– Ale... – Nina zająknęła się.

– Przecież pani Ewa powiedziała, że pójdzie na posterunek – odezwał się Hubert. – A to znaczy, że my już nie musimy się tym zajmować. To zadanie dla milicji, a nie dla nas.

– Słuchaj go, bo mądrze gada. – Tamara ugryzła kawałek naleśnika, przełknęła z wyraźną satysfakcją, po czym spojrzała na Ninę i Jacka: – To jak, dajemy sobie spokój z bawieniem się w śledztwo i idziemy na prawdziwą imprezę?

Nina była rozdarta: z jednej strony chciała posłuchać amerykańskiej muzyki, z drugiej na samą myśl, że miałyby spotkać się ze starszymi chłopakami (jeden z nich miał siedemnaście lat, czyli był prawie dorosły!), coś ścisnęło ją w żołądku. Poza tym, pomyślała, śledztwo to nie jest zabawa, tylko coś bardzo poważnego.

– Ja idę porozmawiać z córką Pietrzyckiego – powiedziała, zdając

sobie sprawę, że w jej głosie brzmi głupi, dziecinny upór. – Wy róbcie, co chcecie.

– Jak wolisz. – Tamara wzruszyła ramionami. – Jacek?

– Możesz iść z nimi – zapewniła Nina pośpiesznie, bo chłopak zrobił minę, jakby miał zaraz się rozplakać. – Nie obrażę się na ciebie przecież.

– Pójdę z tobą – zdecydował heroicznie.

Dziewczyna odniosła wrażenie, że zrobił to z lojalności, a nie dlatego, że naprawdę miał ochotę kontynuować śledztwo, i przez chwilę poczuła się bardzo samotna.

Ewa Wiśniewska zniknęła po obiedzie na pół godziny, a kiedy wróciła, oznajmiła, że dzisiejsza lekcja strzelania jest odwołana.

– Dlatego, że milicja przeszukuje las – domyśliła się od razu Nina. – Szukają kierowcy warszawy?

Kobieta skinęła głową.

– Owszem, a my nie chcemy, żeby nas ktoś zobaczył.

– Czy to znaczy, że mamy teraz czas wolny? – wyrwał się Jacek.

– Oczywiście, że nie. Pójdziemy do piwnicy i jeszcze trochę poćwiczymy.

Nina jęknęła w duchu. Zapowiadało się naprawdę paskudne popołudnie.

Półtorej godziny później, kiedy po raz kolejny szołgała się z maty, obolała i upokorzona, pomyślała, że to nie było zwyczajne paskudne popołudnie. To był król paskudnych popołudni, a może nawet cesarz.

Usiadła obok Huberta, który patrzył ponuro w ścianę. Na macie ćwiczyli teraz Jacek i Tamara: on podciął jej nogi i przewrócił, ona w odwecie złapała go za kolana, ściągnęła na ziemię i zaczęła dusić. Oboje śmiali się, jakby przewracanie się, kopanie i duszenie było najlepszą zabawą na świecie.

Hubert i Nina milczeli. W końcu dziewczyna pierwsza zdecydowała się odezwać.

– Słuchaj – powiedziała cicho, tak żeby pani Ewa jej nie usłyszała –

tobie się naprawdę podoba to całe dzudo?

Chłopak wzruszył ramionami. Nina, której dzudo zdecydowanie się nie podobało, nauczyła się już ograniczać swoją aktywność do absolutnego minimum: wychodziła na matę tylko wtedy, kiedy musiała, i zmykała pod ścianę, gdy tylko opiekunka jej na to pozwoliła. Hubert odwrotnie: zgłaszał się na ochotnika, kiedy pani Ewa chciała pokazać jakiś nowy chwyt, obrywał, podnosił się i z ponurą, zaciętą miną prosił o powtórkę. A potem jeszcze raz. Było w tym coś... niepokojąco masochistycznego.

– Niespecjalnie – przyznał, nie patrząc na Ninę.

– To czemu się na to zgadzasz?

– A czemu ty się zgadzasz?

Westchnęła.

– Bo odmówiłam już nauki strzelania. Jeśli teraz nie będę chciała walczyć, pani Ewa pewnie odeśle mnie z powrotem do szkoły. Ale gdybyśmy poszli do niej oboje i poprosili, żeby zamieniła nam to dzudo na coś innego, to może by się zgodziła.

– Dla mnie dzudo jest w porządku. – Hubert wreszcie na nią spojrział. – Naprawdę. Chcę być aktorem, a oni muszą umieć różne rzeczy. I muszą być silni, wysportowani.

– Przecież w filmach walki są udawane.

– Nie do końca, bo kaskaderzy nie zrobią za ciebie wszystkiego. Jasne, aktor nie musi walczyć jak prawdziwy mistrz, ale coś tam jednak powinien umieć, im więcej, tym lepiej. Poza tym mogę występować na scenie, a tam już nikt mnie nie zastąpi.

Nina pomyślała o zaginionym ojcu Huberta, który był aktorem i którego jakiś czas temu obiecała odszukać. Obietnicy nie dotrzymała, bo nie miała bladego pojęcia, jak się do tego zabrać, i do dziś męczyły ją wyrzuty sumienia.

Chciała coś powiedzieć, ale pani Ewa klaskaniem ogłosiła koniec zajęć. Hubert podniósł się, a potem podał rękę Ninie i pomógł jej wstać. Tamara i Jacek już do nich podchodzili, wciąż szturchając się i popychając.

Zaczął się czas wolny.

– Zimno tu – poskarżył się Jacek. – I śmierdzi.

Rzeczywiście śmierdziało, ale kąt za śmietnikiem był jedynym miejscem, z którego mogli niezauważeni obserwować drzwi prowadzące do kamienicy, w której mieszkali Pietrzyccy. Nina trąciła stopą wstęgę kartoflanych obierek, całą oblepioną zimowym błotem.

W przykrytym cienką warstwą śniegu kubie na śmieci coś buszowało, tłukąc się o metalowe ścianki: bezdomny kot, a może dzikie zwierzę, które w poszukiwaniu pożywienia zawędrowało tu aż z lasu. Na wszelki wypadek odsunęła pokrywę, poszerzając w ten sposób szparę, by zwierzę nie miało problemów z wyjściem. Przy okazji w nozdrza uderzył ją słodki, zgniły zapaszek, teraz dwa razy silniejszy niż wcześniej. Skrzywiła się, odwracając twarz.

Myślała o Tamarze i Hubercie, którzy słuchali płyt z adaptera, pili gorącą herbatę i żartowali sobie z nowymi kolegami. A co gorsza, Jacek, ponury i nastroszony, w palcie z naciągniętym na głowę kapturem, chyba myślał o tym samym.

Ściemniało się, z nieba sfrunęło kilka samotnych płatków, które momentalnie stopiły się z pokrywającym podwórko błotem. Huśtawka na środku poskrzypywała leciutko w podmuchach wiatru, wrak samochodu wyglądał w półmroku trochę jak ogryziony do połowy szkielet jakiegoś dziwnego stworzenia, które przypęzło, żeby tu umrzeć. Temperatura nie była niska – kiedy wychodzili, termometr w pensjonacie pokazywał dwa stopnie powyżej zera – ale wisząca w powietrzu przenikliwa wilgoć dokuczała bardziej niż ostry mróz.

Nina zadrzała, obejmując się rękami. Odkąd przyjechali do Wilczych Dołów, pogoda wahała się między sporadycznymi opadami śniegu a błotem, mgłą oraz pluchą i dziewczyna zaczynała powoli tęsknić za porządną zimą, za zaspami na poboczach dróg, igloo, bałwanami i zimnem przyklejającym do siebie skrzydełka nosa przy każdym oddechu.

Nawet gdyby nadejście takiej zimy oznaczało odcięcie miasteczka na jakiś czas od świata.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak ta córka wygląda. – Nina odezwała

się tylko po to, żeby przerwać ciszę, bo milczenie zrobiło się już ciężkie jak kamień.

– Przecież mówiłem – burknął chłopak, przytupując dla rozgrzewki.
– Jakieś sześć-siedem lat, jasne włosy, wyłupiaste oczy. Brzydactwo, szczerze mówiąc. Ma na imię Karolina.

Nina sceptycznie spojrzała w coraz szybciej ciemniejące niebo. Z każdą chwilą szansa na spotkanie dziewczynki malała, bo jacy rodzice wypuszczają sześciolatnie dziecko w zimowy mrok? Choć z drugiej strony to była prowincja, nie duże miasto, tu wszyscy się znali i chyba nie przejmowali aż tak bardzo bezpieczeństwem. Z trzeciej strony z kolei zaczepianie dziewczynki po zmierzchu nie było dobrym pomysłem – jeśli mała się wystraszy, nie będzie potem chętna do współpracy.

Rozważała wszystkie za i przeciw, kiedy drzwi kamienicy skrzypnęły i na podwórko wyszła niska, chuda postać. W ręku niosła wiadro, którym kołysała lekko, jakby chciała dodać sobie animuszu.

– To ona – syknął Jacek.

Nina zawahała się, bo nagle opuściła ją cała odwaga. Nie przepadała za dziećmi, a one nie przepadały za nią. Nie mogła się jednak wycofać, zwłaszcza teraz, po tym, jak Jacek zgodził się jej towarzyszyć i przez prawie godzinę dzielnie stał przy śmietniku, wdychając paskudne zapachy.

– Cześć – powiedziała, wychodząc z cienia i przybierając najmilszy wyraz twarzy, jaki udało jej się przywołać.

Dziecko podskoczyło i wytrzeszczyło na nią wypukłe oczy. Komplet z nimi stanowił wąski garbaty nos i para odstających uszu, które dziewczynka bez powodzenia starała się zasłonić dwoma cienkimi warkoczykami. Karolina faktycznie nie była zbyt ładna, choć Nina nie nazwałaby jej też brzydką. Mała wyglądała... charakterystycznie, to chyba było dobre słowo. Gdyby Nina potrafiła malować, chętnie robiłaby portrety takich właśnie twarzy.

– Cześć. – Dziewczynka zakołysała mocniej pustym wiadrem. Do piersi przyciskała niewielką szmacianą lalkę, wzrok miała czujny.
– Chcecie wynająć pokój?

– Pokój? – zdziwił się Jacek, który dołączył przed chwilą do Niny.

– Mamy wolny pokój i czasem go wynajmujemy – wyjaśniła Karolina. – Zanim pani Kociuba otworzyła pensjonat, ciągle mieliśmy jakichś gości, bo u nas jest taniej niż w pałacu. I lepiej dajemy jeść – dodała z dumą.

– Wierzę, ale my nie potrzebujemy pokoju – odezwała się Nina. – Chcieliśmy zobaczyć notes, który dostałaś od taty. Ten do rysowania, w którym część kartek była już zapisana. Pamiętasz?

– Tylko go obejrzymy i zaraz oddamy – zapewnił Jacek. – A twój tata nie będzie miał z tego powodu problemów.

Mała nie wyglądała na przekonaną.

– Byli tu dzisiaj panowie z milicji i pytali o samochód. Mówili, że tata źle zrobił, że go zabrał z lasu.

Nina zakłęta w duchu: powinna najpierw porozmawiać z Karoliną, a potem dopiero prosić panią Ewę o pomoc. Trudno, teraz i tak było za późno.

– I zabrali notes? – zapytała, darując sobie pocieszenie dziewczynki.

Karolina pokręciła głową.

– Nie. Tata im nie powiedział o notesie. On jest mój. Chowam go pod łóżkiem i rysuję w nim różne rzeczy. Ma skórzaną okładkę i jest bardzo ładny.

– Świetnie. A moglibyśmy go zobaczyć? To bardzo ważne. Pan, który jechał tym samochodem, mógł być naszym znajomym i może poznamy po tym notesie, czy to naprawdę on.

Mała myślała nad czymś intensywnie.

– A jak pokażę wam ten notes, to zabierzecie mnie ze sobą?

– Zabierzemy cię ze sobą? – powtórzył zdziwiony Jacek, podczas gdy Nina tylko gapiła się, równie zdumiona. – Dokąd?

– No, tam, gdzie mieszkacie. – Karolina wbijała wzrok we własne buty, przestępując nerwowo z nogi na nogę. – Bo przecież wy jesteście z daleka, tak?

– Źle ci tutaj? – zapytała Nina, ale dziewczynka znowu potrząsnęła głową.

– Tata cię bije? – spróbował Jacek.

Kolejne potrząśnięcie głową, tym razem bardziej zdecydowane.

Ona za chwilę się rozplacze, pomyślała Nina z przerażeniem. Powinna teraz powiedzieć coś pocieszającego, może nawet podejść bliżej i przytulić Karolinę. Zamiast tego stała tylko jak sparaliżowana.

– Mama?

Dziewczynka pociągnęła nosem.

– Wszyscy są dla mnie mili.

– To o co chodzi? – dopytywał Jacek.

Zanim jednak mała zdążyła odpowiedzieć, w mroku zgrzytnęło otwierane okno.

– I co z tym węglem? – wrzasnął z góry głos należący niewątpliwie do Pietrzyckiego. – Przyjdiesz wreszcie czy będziemy do jutra czekać? I z kim ty tam rozmawiasz?

– Muszę iść – powiedziała Karolina.

Niespodziewanie wepchnęła Ninie w ręce szmacianą lalkę i pobiegła w stronę drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do piwnicy. Pół sekundy później Jacek złapał Ninę za ramię i pociągnął w stronę wyjścia na ulicę.

– Spadamy, ale już.

Dziewczyna pobiegła za nim.

– Myślisz, że nas rozpoznał? – zapytał Jacek, kiedy znaleźli się na chodniku.

– Chyba nie, za ciemno jest. – Spojrzała na lalkę i nie mając pojęcia, co z nią zrobić, wepchnęła zabawkę do kieszeni palta. – Dziwna dziewczynka. O co jej mogło chodzić?

– Pewnie pokłóciła się z rodzicami. Jak byłem mały, mama nie chciała mi kupić łyżew, a ja się na nią obraziłem i jak przyjechała do nas ciocia, to poprosiłem ją, żeby mnie ze sobą zabrała. To musiało być coś takiego, nie?

Skinęła głową po chwili i z lekkim ociąganiem.

– Co teraz?

– Nie mam pojęcia – przyznała. Życie w Wilczych Dołach po zmroku najwyraźniej zamierało, bo ulica, którą szli, była niemal zupełnie wyludniona, chodnik oświetlały tylko nieliczne działające latarnie i blask padający z okien mijanych domów. Dzięki niemu omijali co większe błotniste kałuże, ale w mniejsze i tak wpadali.

Nina czuła, że buty ma już całe przemoczone, w twarz zaciął lodowaty deszcz, zmieszany z ostrymi drobinkami śniegu. – Możemy tam wrócić, choćby pod pozorem oddania tej lalki. Ale to i tak dopiero jutro. Słuchaj... – Zamrugła, strząsając krople, który osiadały jej na rzęsach. – Nie wydaje ci się, że w Wilczych Dołach dzieje się... coś dziwnego?

– Bo ktoś znalazł w lesie porzucony samochód?

– Nie tylko. Karolina zachowuje się dziwacznie, a dzisiaj rano widziałam kobietę w czarnej staroświeckiej sukni. Upierała się, że ksiądz musi pochować jej syna, a on nazywał ją wariatką. I ci wszyscy ludzie wyjeżdżający z miasteczka, i ta krowa, o której opowiadałeś...

Jacek zachichotał.

– Tego jest więcej. To znaczy takich incydentów. Przede wszystkim krowa już się znalazła, jakieś pół kilometra od gospodarstwa. Wygląda więc na to, że nikt jej nie ukradł, tylko sama uciekła. Z zamkniętej na kłódkę obory. To jest chyba jeszcze dziwniejsze, nie? A dzisiaj rano zniknął pokój.

– Pokój? – Nina przystanęła. Dopiero po chwili zorientowała się, że stoi w środku kałuży, i wyszła z niej. Latarnie zostały daleko za ich plecami, chodnik skończył się jakiś czas temu i gęstą, moką ciemność rozpraszało teraz tylko światło trzymanej przez Jacka latarki. – Jakim cudem może zniknąć pokój?

– Nie mam pojęcia, ale pani Aniela Jakaśtam, nie pamiętam nazwiska, twierdzi, że w jej chałupie był dodatkowy pokój, przerobiony dwadzieścia lat temu przez dziadka ze stryszku, a teraz pokoju nie ma, został tylko stryszek. Pani Kociuba wszystko mi opowiedziała. Ona wie mnóstwo rzeczy, bo cała jej rodzina od lat mieszka w Wilczych Dołach i pani Kociuba każdego tutaj zna. I mnie lubi, wiesz. Uczę się od niej gotowania. Wy wszyscy myślicie, że chodzę do kuchni tylko po jedzenie, ale...

– Czekaj. – Nina pominęła kwestię jedzenia i nauki gotowania. – Jeśli zniknął cały pokój, to przecież znaczy, że sprawa jest naprawdę poważna! Krowę na upartego mógł ktoś wypuścić w jakiś sprytny sposób, choćby na złość gospodarzowi, ale pokoje nie znikają tak po prostu!

– E, wcale nie. – Jak na taką rewelację Jacek wydawał się zaskakująco obojętny. – Ta cała Aniela to samotnica, mało kto u niej bywa, a jak przychodzi, to tylko w kuchni siedzi. No a dziadek nie żyje od paru lat, więc nikt tak naprawdę nie wie, czy ona miała ten pokój, czy nie. Pani Kociuba uważa, że kobiecie z tej całej samotności coś się pokręciło. Ale jeśli chcesz czegoś tajemniczego, to rano, jak poszedłem zapytać o ten samochód, znalazłem na klatce schodowej to.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał Ninie. Dziewczyna skierowała na nią strumień światła: to była ulotka, ubłocona, z wyraźnie odcisniętymi śladami butów.

– Dwudziestego szóstego lutego o godzinie... – przeczytała. – Jeśli nie chcecie zostać, opuście miasto... Na osoby z zaproszeniami czekamy... Coś tam jeszcze o strojach. O co tu chodzi?

– Nie mam pojęcia, ale tych ulotek leżało tam więcej.

– I żadna nie była bardziej czytelna?

– Nie, wszystkie wyglądały tak samo albo nawet gorzej.

– Czemu w takim razie...

Nina urwała, bo z naprzeciwka nadjeżdżał wóz, słyszeli wyraźnie stukot kopyt i zachęcające cmokanie woźnicy. Jacek zszedł z drogi na pobocze, spychając jednocześnie dziewczynę w krzaki. Światło latarki wyławiało z mroku srebrzyste krople deszczu, który zaczął teraz ostro, pod kątem. A potem z ciemności wyłonił się koński łeb i parujące w zimnie końskie boki. Zwierzę parsknęło, siedzący na koźle mężczyzna cmoknął jeszcze raz. Z daszka milicyjnej czapki spływała woda. Dalej na wozie siedziało czterech mężczyzn, wszyscy w szarych płaszczach z postawionymi kołnierzami. A między nimi...

Wiozą trumnę, pomyślała, przypominając sobie niespodziewanie znaleziony w kościele obrazek. Ale to nie była trumna: leżący na wozie podłużny kształt był po prostu zawiniętym w brezent ciałem.

Patrzyli, jak wóz, skrzypiąc i kołysząc się, przejeżdża obok. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Dopiero kiedy stukot kopyt utonął w szumie deszczu, Nina zdecydowała się przerwać ciszę.

– Znaleźli go – powiedziała. – Kierowcę warszawy, znaczy.

– Aha – przyznał Jacek. – Szybko im poszło. Chodź, trzeba się śpieszyć, bo zaraz kolacja. I założę się, że zanim skończymy jeść, pani Kociuba będzie już wszystko wiedziała. Ona...

– Każdego tutaj zna – dokończyła Nina. – Wiem.

Chłopak pomylił się tylko o parę minut: przy kolacji pani Kociuba nie wiedziała jeszcze niczego, ale chwilę później, gdy Nina i Jacek pomagali sprzątać ze stołu, w okno zapukała niska kobieta w chustce. Pani Kociuba zdjęła fartuch i wyszła na zewnątrz. Kobiety konferowały ze sobą, wyraźnie czymś podekscytowane.

Nina spojrzała znacząco na Jacka.

– Idę do pokoju – powiedziała. – A ty spróbuj wyciągnąć z niej jakieś informacje, jak tylko wróci.

– Czemu ja?

– Bo ciebie lubi, pamiętasz?

Na piętrze zamknęła za sobą drzwi i położyła się na łóżku. Minuty mijały w ciszy, przerywanej tylko dobiegającym z dołu brzękiem mytych naczyń. Tamary i Huberta nie było – oboje mieli wrócić dopiero o dziesiątej, Nina wyjęła więc pożyczoną od pani Ewy książkę i próbowała czytać. Jej myśli jednak cały czas biegły w stronę tajemniczych wydarzeń w miasteczku.

Może Jacek miał rację i nie działo się tu nic szczególnie dziwnego. Może tylko chciała, żeby się działo. Bo wtedy mogłaby prowadzić śledztwo, czuć się ważna i potrzebna.

Była to paskudna myśl, ale Nina nie potrafiła pozbyć jej się z głowy.

Zmusiła się, żeby przeczytać jeszcze jeden rozdział, i właśnie wtedy, kiedy losy rodziny Forsyte'ów wreszcie zaczęły ją wciągać, do pokoju bez pukania wszedł Jacek.

– I co? – Nina usiadła na łóżku, momentalnie zapominając o pięknej Irenie i jej małżeńskich kłopotach.

– Dowiedziałem się wszystkiego – oznajmił dumnie. – Tego człowieka znaleźli jakieś dwieście metrów od samochodu, w takim

głębokim jarze, którym płynie strumyk. Wygląda na to, że spadł ze skały i się zabił.

– I?

– I nic, tyle się dowiedziałem.

Dziewczyna parsknęła.

– To ma być wszystko? Jakie dokładnie miał obrażenia? Czy jest możliwe, że ktoś go wcześniej zabił, a potem z tej skały zrzucił? To było samobójstwo czy morderstwo? I wreszcie kim ten człowiek był?

– Nie mam pojęcia. – Jacek wyglądał na urażonego. – Jak chcesz znać takie szczegóły, to zejdź na dół i sama zapytaj.

– A żebyś wiedział, że zapytam.

Włożyła kapcie i pół minuty później była już w kuchni, gdzie pani Kociuba szorowała właśnie przypalony garnek. Gdy Nina stanęła w drzwiach, kobieta zakręciła wodę i wytarła ręce.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytała. – Został jeszcze kawałek ciasta, jeśli masz ochotę...

– Nie chcę ciasta. – Dziewczyna zawahała się.

Powinna teraz jakoś zagadać, zdobyć przychylność gospodyni, na przykład chwaliąc jej kuchnię, a dopiero potem wypytać o wszystkie szczegóły. Nie mogła tak prosto z mostu zadać pytania, jakie zmarły miał obrażenia.

– Tak? – Pani Kociuba patrzyła na nią łagodnie i zachęcająco.

Nina nabrała w płuca w powietrza.

– Na obiad były znakomite naleśniki – oznajmiła. – Naprawdę pyszne. A poza tym chciałam zapytać o człowieka, którego milicja znalazła dziś w lesie. Pani wie, jakie on miał obrażenia?

– Nie rozumiem. – Kobieta zamrugnęła, lekko zaniepokojona. – Mówisz o tym biedaku, co miał wypadek?

– O nim. – Nina przytaknęła energicznie. – Jest pani pewna, że to był wypadek? Nie było żadnych śladów wskazujących na udział osób trzecich?

Gospodyni gapiła się, jakby dziewczynie nagle wyrosły rogi.

– To znaczy – Nina brnęła dalej, choć miała już przeczucie, że coś poszło zdecydowanie nie tak, jak trzeba – czy były ślady wskazujące

na to, że ktoś mógł go zabić, a potem zrzucić ze skały. Albo po prostu zepchnąć. A może to było samobójstwo? Jeśli na przykład miał pod paznokciami...

– To przez te wszystkie kryminały – powiedziała pani Kociuba z troską, odkładając garnek. – Dzieci czytają takie brutalne powieści, a potem...

– Nie czytam żadnych brutalnych powieści! To znaczy czasem czytam, ale to nie ma nic do rzeczy. Moje zainteresowanie jest... jest czysto profesjonalne!

– Myślę, że powinnaś poczytać sobie coś miłego, na przykład jakąś książkę Makuszyńskiego, to znakomity pisarz dla młodzieży.

– Makuszyńskiego czytałam, kiedy miałam dziesięć lat, i Szatan z siódmej klasy nawet mi się podobał. Reszta to jakieś sentymentalne bzdury napisane koszmarnie irytującym stylem.

Nina umilkła. Pani Kociuba patrzyła na nią z zaciśniętymi ustami.

Dziewczyna odetchnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam obrazić pani ulubionego autora z dzieciństwa. To znaczy nadal uważam, że... Mniejsza z tym. Naprawdę przepraszam. I naprawdę chciałabym...

– Myślę, że powinnaś już iść.

– Ale...

Pani Kociuba odwróciła się demonstracyjnie, a Nina z poczuciem przegranej powlokła się na górę.

Na piętrze Jacek uchylił drzwi i wyjrzał z pokoju chłopców.

– I jak, dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

– Nie – burknęła Nina, która nie wiedziała, czy jest zła na Jacka, czy może jednak na siebie samą.

W oczach chłopaka błysnęło coś na kształt satysfakcji. Ale może tylko jej się zdawało.

Co ze mnie za detektyw, skoro nawet nie potrafię rozmawiać z ludźmi? – myślała Nina, zawzięcie szorując zęby. Najpierw Karolina, teraz pani Kociuba. Po prostu jestem do kitu. A jeśli porucznik Lis...

Jeśli Lis ocalił Ninie życie ze względu na jej inteligencję, poświęcając w zamian kogoś innego, a ona teraz okazała się tak zupełnie, całkowicie nieprzydatna, to ktoś umarł za nią kompletnie bez sensu.

Nie chciała o tym myśleć, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Czasem próbowała sobie wyobrazić tego anonimowego kogoś, kto (być może) został zabity zamiast niej w Instytucie Totenwald.

To był chłopak czy dziewczyna?

Czy Nina by go polubiła? Albo ją?

Mieli wspólne zainteresowania?

Daj spokój, surowo nakazała samej sobie. W Totenwaldzie nikt za ciebie nie umarł.

Odkręciła wodę i weszła do wanny. Gorąca kąpiel trochę poprawiła jej humor. Tylko trochę, bo wciąż towarzyszyło jej poczucie, że dzisiaj szczególnie się nie popisała.

Ciekawe, pomyślała wycierając się szorstkim ręcznikiem, czy Sherlock Holmes też miewał takie dni, zanim został słynnym detektywem?

Gdy wciągała przez głowę koszulę nocną, usłyszała na korytarzu podniesione głosy Tamary i Huberta, którzy śmiali się z czegoś. Nina uświadomiła sobie, że po raz pierwszy chyba słyszy śmiech starszego chłopaka. Brzmiał całkiem ładnie: cichy, trochę jakby nieśmiały i z lekką nutą melancholii.

Złapała kapcie i boso pobiegła do pokoju, w którym Tamara zdejmowała właśnie buty.

– Wróciliście – powiedziała niezbyt odkrywczco. – Jak było?

– Fajnie. – Tamara usiadła na łóżku, które jęknęło cicho pod jej ciężarem. – Najpierw tańczyliśmy przy muzyce, a potem po prostu gadaliśmy. Pytali, co tu robimy. – Zachichotała, poruszając palcami stóp w skarpetkach.

– I co im powiedzieliście? – Nina zrobiła się czujna. Jeśli Tamara albo Hubert wygadali się w kwestii aniołów, Instytutu i całej ich grupy...

– Spokojnie. – Starsza dziewczyna ziewnęła. – Hubert nieźle ich zbajerował. Powiedział, że spędzamy ferie z ciotką, a rano i po południu nie możemy się nigdzie ruszyć, bo mamy potworne

zaległości w szkole i ciocia pilnuje, żebyśmy je nadrabiali. Sprytne. Nie wiedziałam, że on umie tak kłamać. Prawie sama w to uwierzyłam, serio. A co u was? Jakież nowe ciekawe spotkania z potworami? Śledztwa i tajemnicze śmierci?

– Milicja znalazła ciało kierowcy warszawy – odparła Nina sztywno, urażona lekkim tonem przyjaciółki. – Podobno spadł w lesie ze skały i się zabił.

– Super. To znaczy – zreflektowała się Tamara – nie super, że się zabił, tylko że go znaleźli. Przynajmniej ten problem mamy z głowy. Cholera, padam z nóg. Ale i tak było fajnie. Następnym razem powinnaś iść z nami. Zobaczysz, że ci się spodoba.

– Pewnie.

Tamara wymaszerowała do łazienki z ręcznikiem na ramieniu, a Nina została sama. Patrzyła w okno, słuchając dobiegającego zza ściany plusku wody.

Nawet nie zapytała o notes, myślała z goryczą. I dlaczego właściwie miałyby pytać? Przecież to nic ważnego, tylko głupia zabawa w śledztwo.

Coraz bardziej zła, złapała przerzucone przez oparcie krzesła palto, żeby powiesić je na wieszaku.

Z kieszeni wypadła lalka.

Nina podniosła ją bez większego zainteresowania, obróciła w stronę światła i wstrzymała oddech.

Stała tak, wciąż patrząc na lalkę, kiedy na zewnątrz zaczął padać śnieg – nie drobna kasza jak dotychczas, ale wielkie, szczipione ze sobą płatki, które wyglądały jak anielskie pierze. Było ich coraz więcej i więcej, aż wreszcie ciemność za oknem cała wypełniła się bielą wirującego w podmuchach wiatru śniegu.

Do Wilczych Dołów przyszła prawdziwa zima.

Rozdział siódmy, w którym Nina rozwiązuje wreszcie tajemnicę zagadkowego zwierzęcia, ale pytań i tak jest wciąż zdecydowanie zbyt dużo.

Ostrożnie – syknęła Nina.

– Przecież jestem ostrożny – mruknął Jacek.

Patrzyli w napięciu, jak nikły płomyk pełga po jedynej zapałce, jaką udało im się znaleźć w mieszkaniu, które wcześniej ogołocili z jedzenia, ubrań i innych przydatnych rzeczy.

Chłopak przysunął zapałkę do kawałka papieru zmiętego w kulkę i włożonego do pieca. Ułożyli na niej kawałki pociętej piłą deski do krojenia. Nie mieli węgla ani grubszych szczap, ale tym się na razie nie martwili. Kiedy ogień chwyci, będą mogli palić książkami – było tu mnóstwo dużych grubych i zakurzonych książek kucharskich, których Nina nie zamierzała żałować. Zresztą i tak chodziło przecież o przetrwanie tylko jednej nocy, rano coś wymyślą.

Jeśli uda im się do rana wytrzymać.

Dziewczyna skuliła się pod piecem i patrzyła, jak ogień liże drewno.

– Nie złapie – powiedziała.

– Złapie, spokojnie – odparł Jacek, choć w jego głosie brakowało pewności. – Poczekaj chwilę.

Płomyk przygasł na moment, a kiedy Nina wstrzymała oddech, niechętnie wystrzelił w górę.

– Daj więcej papieru. Nie mamy żadnej świeczki?

– Wszystkie zabraliśmy.

Wyrwała kolejną kartkę z Polskiej sztuki kulinarnej. „Kaczka w pomarańczach”, przeczytała w nikłym blasku ognia. Cóż, i tak nikt nie będzie używał tego przepisu. W sklepach pomarańcze ostatni raz były przed wojną.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że zostali uwięzieni na bezludnej wyspie i rozpalają właśnie ognisko ostatnią zapałką – w głuszy,

otoczeni zapachem egzotycznych kwiatów, za plecami słysząc porykiwania dzikich zwierząt. Czasami takie fantazjowanie pomagało jej przetrwać trudne chwile.

Podzieliła się tą wizją z Jackiem.

– Pomyśl, to mogłaby być przygoda naszego życia, nie?

Chłopak parsknął.

– A tak to co jest? Przygoda miesiąca?

– Mam nadzieję, że chociaż kwartału – powiedziała Nina smętnie. – A jak pójdzie naprawdę dobrze, to może będziemy mieć spokój nawet do wakacji.

Drewno zajęło się wreszcie ogniem i mogli zamknąć drzwiczki pieca. W kuchni zrobiło się jeszcze ciemniej niż wcześniej, sylwetka Jacka, dotąd jasno zarysowana w blasku płomieni, teraz była już tylko czarną plamą w nieco mniej czarnym mroku. Latarki nie chcieli zapalać, bo bateria i tak ledwo dychała.

– A tak w ogóle to dzięki, że mnie obudziłeś.

– Nie ma sprawy. – Wysunął rękę, żeby poklepać Ninę po ramieniu, i trafił w policzek. – Zajmę się tobą, nie musisz się niczym martwić.

Sama potrafię się sobą zająć, pomyślała dziewczyna, ale nie powiedziała nic, bo w tym momencie jakoś nie wypadało. Gdyby nie Jacek, prawdopodobnie już by nie żyła.

– Rano spróbujemy pogrzebać w ruinach, może część jedzenia da się uratować – mówił chłopak. – A jak nie, to jest jeszcze sporo mieszkań, w których coś musi być.

– Te najbliższe już przeszukaliśmy, a pozostałe są daleko – przypomniała mu. – Poza tym tam sporo rzeczy pewnie już zamarzło i zgniło.

– Marudzisz. Po pierwsze, jak coś zamarza, to nie gnije, a po drugie, mnóstwo zamrożonych rzeczy można zjeść. Powinniśmy być wdzięczni, że jest zima, a nie upalne lato, bo wtedy dopiero mielibyśmy problem. Mam pomysł... – Jacek ożywił się. Teraz, kiedy życie postawiło przed nim konkretny problem do rozwiązania, chłopak odzyskał dobry humor.

– No?

– Możemy zbudować sanki. Widziałem tu w jednym z mieszkań

narty, można z nich zrobić płozy...

– A nie zabraliśmy przypadkiem tych nart na podpałkę?

– Braliśmy takie jedne całe drewniane, a te, o których myślę, mają metalowe spody, więc się nie nadają. Ale na płozy będą w sam raz. Trzeba tylko do nich dobudować coś w rodzaju kosza, do którego moglibyśmy wkładać różne rzeczy. Przejedziemy tymi sankami przez całe miasteczko, od centrum w stronę obrzeży, zbierając po drodze to, co może się przydać. A potem znajdziemy jakiś wygodny dom w...

– Zamiast domu możemy poszukać pensjonatu. I tak przecież mieliśmy to zrobić.

Jacek poruszył się niespokojnie.

– To daleko, na samym skraju miasta.

– Wilcze Doły są małym miasteczkiem, tu nic nie jest tak naprawdę daleko – upierała się Nina.

Pomyślała przy tym ponuro, jak bardzo zima zmienia odległości. Latem mogliby po prostu zabrać parę kanapek i ruszyć w stronę najbliższej miejscowości. Wędrowaliby pewnie cały dzień, ale i tak byłaby to miła wycieczka, zwłaszcza że Karkonosze nie były górami ani specjalnie wysokimi, ani tym bardziej dzikimi.

A jednak wystarczyła jedna porządna śnieżycyca, żeby zmieniły się w śmiertelną pułapkę.

– Powinniśmy się położyć – powiedział Jacek. – Jeśli chcemy mieć jutro siłę, musimy się trochę przespać.

– Czekał, najpierw ci coś powiem. Tylko się nie wściekaj.

– Dawaj. – Jacek użył ulubionego powiedzonka Tamary.

– Tam ktoś był. W ciemności, kiedy pałac się zawalił. Obróciłam się i zobaczyłam dwie sylwetki: psa i człowieka. Nie wymyśliłam sobie tego.

Chłopak milczał.

– Jacek?

– Cholera, ja też go widziałem – mruknął. – Myślałem, że mi się przywidziało... Naprawdę widziałas to samo? Chudy facet i duży pies z nastroszonymi uszami, podobny trochę do wilka?

– Aha. Nawet bardzo podobny do wilka.

– Kto to może być?

- Nie mam pojęcia.
 - Myślisz, że jest... niebezpieczny?
 - Bo ja wiem? Znaczący, gdyby chciał nam zrobić krzywdę, to już by chyba zrobił. Wczoraj praktycznie przez cały dzień kręciliśmy się po mieście osobno.
 - Ale drzwi zamknęłaś?
 - Zamknęłam.
- Położyli się przy piecu na pierzynie, którą Jacek przyniósł z sypialni. Było im miękko, choć nadal zimno; mieszkanie, wychłodzone przez kilka mroźnych dni, nagrzewało się bardzo powoli. Nina zwinęła się w kłębek i przykryła znalezionym w szafie starym kożuchem – koców nie mieli, bo wszystkie zabrali do mieszkania w pałacu.
- Ty śpij pierwsza, a ja będę dokładał do pieca – powiedział Jacek.
 - Potem się zamienimy.
 - Która godzina?
 - Nie mam pojęcia, ale jak zrobię się senny, to cię obudzę.
 - Jeśli mnie nie obudzisz, to się obrażę – wymamrotała, a potem, kiedy niemal już zasypiała, usłyszała głos chłopaka:
 - Może ten człowiek z psem boi się nas tak samo, jak my boimy się jego.
 - Może – wymruczała.
- Żadne z nich tak naprawdę w to nie wierzyło.

Obudziła Jacka, kiedy za oknem zrobiło się szaro. Chłopak wstał niechętnie, cały zeszywniały. Nina ani nie wyglądała, ani nie czuła się wiele lepiej. W milczeniu włożyli na pizamy ubrania, którymi wcześniej wzgardzili: dziewczyna sięgający jej do kolan nadgryziony przez mole sweter, Jacek gumowy płaszcz przeciwdeszczowy. Nina z nostalgią myślała o ciuchach, które zgromadzili w pałacu – narzekali na nie często, ale teraz tamte spodnie, buty, swetry, koszule i kurtki, przynajmniej w miarę dopasowane, wydawały się szczytem luksusu.

Jacek znalazł skrzynkę z narzędziami, a potem z nart i kosza na pranie zbił całkiem zgrabne sanki. Dalej wystarczyło już tylko wywiercić w wywiniętych do góry płozach dwie dziury, przeciągnąć przez nie sznurek i całość była gotowa. Chłopak pogwizdywał, pełen optymizmu, dziewczyna trochę się martwiła, bo wszystko zależało od śniegu: jeśli wciąż był sypki, nie mieli szans przebić się przez zasy. Pogoda jednak, jakby chcąc wynagrodzić im utratę całego dobytku, okazała się łaskawa i nad ranem złapał mróz. Pokrywa śniegu była teraz na tyle twarda, że mogli swobodnie po niej przejść, a prowizoryczne sanie sunęły gładko w stronę ruin pałacu.

Dwie godziny zajęło im wydobywanie spod gruzów tego, co dało się wydobyć: uratowali w ten sposób parę puszek z mielonką, sardynki w sosie pomidorowym i dużą wojskową konserwę. Jacek podawał Ninie rzeczy, a ona układała je na saniach tak, żeby jak najwięcej zmieścić. Zerkała przy tym na ocalałe skrzydło pałacu. Nocą wydawało jej się nienaruszone, teraz jednak dostrzegła, że ono również ucierpiało, bo ściany co prawda wciąż stały, ale dach zawalił się do środka.

Kiedy Jacek zajął się wyciąganiem spod gruzów koca i watowanej kurtki, przeprosiła go na chwilę i pobiegła w stronę drugiego skrzydła. Sama za dobrze nie wiedziała, czemu to robi. Po prostu musiała coś sprawdzić.

Wbiegła na piętro i weszła do sali balowej. Nad głową zamiast sufitu miała szare zimowe niebo, a pod stopami zasłaną gruzami posadzkę. Lustra ocalały, choć były teraz brudne i jeszcze bardziej popękane, niż Nina zapamiętała. Za to zniknęła skrzynia, najwyraźniej rozbita w drzazgi kawałkiem spadającego stropu.

Patrzyła przez chwilę na własne odbicie: nieco zamazane, ale wciąż wystarczająco wyraźne, by mogła rozpoznać w dziwacznej, niekształtnej sylwetce samą siebie.

Gdy wróciła na dół, Jacek wyciągnął już spod gruzów kurtkę i zmagał się właśnie z parą butów: lewy był kaloszem, prawy znacznie większym chodakiem. Mogło być gorzej, myślała dziewczyna, otrzepując kurtkę z pokrywającego ją pyłu.

– Zamknij oczy – powiedziała, a kiedy chłopak posłusznie zacisnął

powieki, przebrała się szybko na mrozie.

Potem Jacek wciągnął pod swój płaszcz kalesony i zmienił ciężkie stare buty na walonki, o dziwo nawet od pary.

W odrobinę lepszym nastroju ruszyli w stronę obrzeży, tam gdzie powinien znajdować się pensjonat Świerk.

– Tyle chyba wystarczy – mruknął Jacek, ładując na sanki ostatni worek kaszy. Stos jedzenia, ubrań i opału chwiał się już niebezpiecznie, choć Nina przewiązała go sznurkiem zabranym z jednego z mieszkań, a płozy zapadały się w śniegu na dobre kilka centymetrów. – Jeśli dołożymy coś jeszcze, to tego nie uciągniemy.

Przyjrzała się krytycznie ich zapasom. Mieli sporo kaszy, grochu oraz fasoli, kilkanaście konserw, trochę przetworów a także parę pęt zlodowaciałej kiełbasy, ale ze świeżych warzyw i owoców tylko przemarznięte jabłka i worek na wpół zgniłej cebuli.

– Dostaniemy szkorbutu – powiedziała ponuro. – I wypadną nam wszystkie zęby.

– E tam. – Jacek po tym, jak jego sanki okazały się zdatne do użytku, prezentował niezmacony dobry humor. – W kaszy też są witaminy, a z tej cebuli można sporo wykroić. Zresztą jak się ją przerobi na sok, to będzie w porządku. Marynarze w czasie długich rejsów jedli gorsze świństwa i jakoś żyli.

Nina rozważała przez chwilę dylemat, czy lepiej mieć szkorbut, czy rozstrój żołądka, ale doszła tylko do wniosku, że zaczyna być głodna. Odkąd stracili ich jedyny, codziennie nakręcany zegarek, oceniali czas na oko, a teraz, sądząc po pozycji słońca na niebie, musiała być już pora obiadu.

Wyjęła z kosza jabłko i ugryzła. Smakowało paskudnie, ale i tak przełknęła kawałek.

– Patrz! – powiedział nagle Jacek, zatrzymując się tak gwałtownie, że Nina, która nie zdążyła wyhamować, wpadła mu na plecy.

– Co...

Wtedy też to zobaczyła. Niski budynek wciśnięty pomiędzy dwa

wyższe, z drzwiami, do których prowadziły trzy niewielkie schodki – tych schodków zapewne było więcej, ale pozostałe przykrywał śnieg. A na drzwiach wisiała tablica z informacją wypisaną czarnymi drukowanymi literami:

POSTERUNEK MILICJI W WILCZYCH DOŁACH

– O cholera – wyrwało się chłopakowi.

Cholera, przyznała w myślach Nina. Posterunek znajdował się w ostatnim zaznaczonym na mapie kwadracie i gdyby szukali go metodą Jacka, trwałoby to dokładnie tydzień.

– Odsuń się – poleciała, a potem, korzystając z faktu, że z nieba spływały pojedyncze płatki śniegu, wyważyła drzwi. Chłopak nie skomentował, choć pokaz mocy chyba zrobił na nim wrażenie.

Posterunek składał się z jednego zagraconego pokoiku i ubikacji nie większej niż wiejska wygodka. Na stole stał milczący telefon, obok leżał pistolet. Jacek sięgnął po niego.

– Może nam się przydać – powiedział, chowając broń do kieszeni, zanim Nina zdążyła zaprotestować albo chociaż spytać, czy chłopak umie się nią posługiwać. – O, jest i radio.

Na szafce za stołem stała radiostacja, zasilana, jak wyjaśnił Jacek z mądrą miną, z ręcznego generatora prądu.

Włączył ją z niemal nabożną czcią. Zamigotała zielona dioda, potem rozległ się stłumiony szum, brzmiący zupełnie jak głosy śnieżnych duchów szepczących do siebie w ciemności.

– A jeśli oprócz nas już nikogo nie ma? – odezwała się Nina. – Jeśli stało się coś strasznego i teraz cała kula ziemską jest gigantyczną lodową pustynią, na której tylko my zostaliśmy żywi? Jeśli będziemy tak iść i iść przez zamrożony świat, łapiąc od czasu do czasu zsuwające się z sanek puszki mielonki i pęta kiełbasy? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

Spojrzał na nią ponuro.

– Czasem jesteś gorsza niż Hubert – oznajmił, a dziewczyna z jakiegoś przedziwnego powodu uznała to za komplement.

Zanim zaczęło się ściemniać, znaleźli duży szary budynek, który okazał się miejscową szkołą, i skręcili w Leśną, ale na tym skończyły się ich sukcesy.

– Jesteś pewien, że dobrze zapamiętałeś nazwę ulicy? – dopytywała Nina. – Może to była Świerkowa albo Jodłowa, albo...

– Leśna, na pewno.

– Ale tam nic nie ma.

Zrezygnowany Jacek wzruszył ramionami i oparł się o sanie. Poranny dobry humor chłopaka zdążył się już ulotnić, teraz oboje byli zmęczeni, zziębnięci i przede wszystkim wściekle głodni. Od wczoraj nie mieli w ustach nic poza kilkoma jabłkami – bo próba zjedzenia zamarznętej bułki omal nie skończyła się dla chłopaka połamaniem zębów. Ninie kręciło się w głowie, a żołądek, skurczony do rozmiarów orzeszka, przysechł jej do kręgosłupa.

– Nie ma sensu, żebyśmy łazili w kółko z tymi saniami – powiedział Jacek. – Zróbmy tak: ty zaczekaj tutaj, a ja się przejdę dalej i poszukam tego pensjonatu.

Skinęła głową, zbyt zmęczona, żeby w ogóle myśleć. Dopiero kiedy chłopak zniknął za rogiem, przyszło jej do głowy, że właśnie została całkiem sama na środku ulicy, w gęstniejącym mroku. Jacek miał pistolet, ona nie miała nic. Jeśli człowiek z psem teraz się pojawi...

Pomyślała o śladzie sanek ciągnącym się przez Wilcze Doły i tak wyraźnym na świeżym śniegu. Gdyby ktoś chciał ich odszukać, nie miałby z tym najmniejszego problemu.

Przez chwilę wyobrażała sobie człowieka z psem, podążającego za nimi w milczeniu przez opuszczone miasto. Przez kolejną chwilę nawet wydawało jej się, że słyszy skrzypienie śniegu pod butami, ale to był tylko odgłos poruszanej wiatrem niedomkniętej okiennicy.

Wróciła myślami do jedzenia. Mogłaby otworzyć puszkę, a potem zjeść fasolkę, rozmrażając ją w ustach. Chyba. Na bułkę ta metoda nie zadziałała, ale z fasolką mogłoby się udać.

Zaburczało jej w brzuchu. Było jej teraz trochę niedobrze i zastanawiała się, czy to z głodu, czy może dlatego, że zjadła

te wszystkie obrzydliwe jabłka.

Podobne myśli wywietrzały jej z głowy, kiedy za plecami usłyszała skrzypnięcie śniegu pod stopą – tym razem się nie pomyliła, to z pewnością nie był odgłos wydawany przez niedomkniętą okiennicę.

Odwróciła się z mocno bijącym sercem, próbując coś dojrzeć w szarości nadciągającej nocy. Kolejne skrzypnięcie, ciche, niemal na granicy słyszalności. Tak chodził...

– Jacek? To ty?

– Ja. – Z półmroku dobiegł głos chłopaka.

– Czemu mnie straszysz? Myślałam, że przyjdiesz z drugiej strony.

– Wiem, ale szybciej było przejść podwórkiem. Znalazłem pensjonat. Jest trochę z tyłu, dlatego go wcześniej nie widzieliśmy. Ale to niedaleko, chodź.

Pensjonat wydawał się znajomy, trochę tak, jak znajome może wydawać się miejsce widziane dawno temu, w czasach odległego dzieciństwa. Nina nie potrafiła sobie przypomnieć niczego konkretnego: żadnych rozmów prowadzonych w jadalni, żadnego obrazu Tamary czy Huberta wkładających w przedpokoju palta czy otrzepujących ze śniegu buty. A jednak cały czas towarzyszyło jej drażniące *déjà vu*. Wiedziała, że mieszkali na piętrze, a nie na parterze, wiedziała, gdzie jest łazienka, zanim do niej zajrzała, bez trudu też odgadła, która z trzech sypialni należała do niej i do Tamary. Odgadła to, choć w środku nie znaleźli niczego, co świadczyłoby o tym, że ktoś jeszcze niedawno tu mieszkał. Oświetlone latarką pomieszczenie okazało się puste, podobnie zresztą jak pokój chłopców (ten z kolei wydał się znajomy Jackowi) i jednoosobowa sypialnia pani Ewy.

– To chyba dobrze, prawda? – odezwał się Jacek niepewnie. – To znaczy, że oni... no wiesz, wyjechali stąd, zanim zdarzyło się to coś.

Nina skinęła głową. I zostawili nas, pomyślała, a chłopak, sądząc po ponurym wyrazie twarzy, myślał chyba to samo. Nie mieli jednak

czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Trzeba było rozpalić ogień i wnieść do środka zapasy, radiostację oraz generator prądu (żeby go zabrać, musieli zostawić w śniegu sporo puszek, bo inaczej nie uciągnęliby sanek, ale oboje nie wahali się ani przez chwilę).

Kiedy skończyli, ciemność na zewnątrz była już gęsta i nieprzenikniona, jakby ktoś narzucił na miasto grubą czarną zasłonę – nawet niebo było tej nocy jednolicie granatowe, bez śladu gwiazd, z wąziutkim sierpem księżycy wiszącym wysoko nad horyzontem. Nina przelotnie pomyślała, że gdyby znaleźli gdzieś kalendarz astronomiczny, może zdołaliby ustalić dokładną datę. A potem, ponieważ to i tak nie miało znaczenia, wróciła do kuchni, gdzie Jacek podgrzewał właśnie fasolkę w sosie pomidorowym. Obok na rozgrzanej blasze przypiekały się sucharki. Zjedli, parząc sobie usta. Nina myślała, że po całodziennej głodówce będzie w stanie pożreć ze trzy puszki, ale już w połowie porcji jej ściśnięty żołądek zaprotestował charakterystycznym skurczem.

– Muszę na chwilę... – mruknęła, odkładając talerz. – Zaraz wracam.

– Jak chcesz do ubikacji, to mam złą wiadomość. Kanalizacja zamarzała i trzeba iść na zewnątrz. Z kąpieli też nici.

– Żartujesz, prawda? – Nina gapiła się na niego z niedowierzaniem. Chłopak wzruszył ramionami.

Wróciła dziesięć minut później ze śniegiem na butach i zde gustowaną miną.

– I pomyśleć, że kiedyś myślałam, że przygody to głównie odkrywanie nowych lądów, walka z bandytami i skakanie po wantach z nożem w zębach. A nie... – Dobre wychowanie nie pozwalało jej dokończyć, ale Jacek nie miał takich obiekcji.

– Wystawianie gołego tyłka na mróz?

Pokiwała ponuro głową.

Po kolacji chłopak przyniósł do kuchni radiostację i spróbował raz jeszcze złapać jakiś sygnał. Manipulował pokrętłami, ale niezależnie od tego, jak bardzo się starał, głośniki wydawały z siebie tylko trzaski i szumy, które Ninie wciąż kojarzyły się ze stłumionymi głosami duchów plotkujących zaciekle pośrodku lodowego pustkowia.

– Jest zepsuta – powiedział wreszcie. – Jutro ją rozkręcę i spróbuję naprawić.

– Jasne. – Dziewczyna nie bez trudu wykrzesła z siebie odrobinę entuzjazmu.

Poszli spać brudni i nieszczęśliwi, uprzednio starannie zamykając za sobą drzwi.

Rano roztopili na piecu trochę śniegu, żeby umyć zęby, i zjedli śniadanie składające się z resztek wczorajszej kolacji. Potem Jacek zabrał się do rozkręcania radiostacji, a Nina wyszła z pensjonatu. Powiedziała, że „idzie się rozejrzeć”, nie precyzując, za czym konkretnie miałyby się rozglądać. Tak naprawdę potrzebowała chwili dla siebie, a światło dnia sprawiało, że wczorajsze myśli o niebezpieczeństwie wydawały się bardzo odległe.

Słońce świeciło jasno, ślady na śniegu były niemal tak wyraźne jak wczoraj. Dziewczyna, która była przekonana, że w nocy będzie mocno padać, trochę się zmartwiła – bo to znaczyło, że człowiek z psem wciąż mógł ich odnaleźć, gdyby tylko chciał.

Po chwili zrozumiała, że jest za późno na takie dywagacje: człowiek z psem już ich odnalazł.

Na śniegu, jakieś dwadzieścia metrów na lewo od toru sanek, widniały wyraźne odciski butów, a tuż obok ślady wielkich psich łap. Nina wstrzymała oddech, strach jednak nadal wydawał się dość odległy. Co mogło się stać teraz, kiedy wokół miała mnóstwo pustej, jasno oświetlonej przestrzeni i nikt nie mógł się do niej niepostrzeżenie podkraść?

Czując się znowu jak Winnetou na tropie, podążyła wzdłuż śladów, które obchodziły pensjonat szerokim łukiem, a potem zbliżyły się do niego od tyłu. Człowiek z psem podszedł aż do kuchennego okna i sądząc po tym, że ślady były tutaj trochę głębsze, stał przy nim dłuższą chwilę.

Zaglądał przez szybę, pomyślała Nina. Patrzył na nas, kiedy spaliśmy.

Niepokój, dotąd łaskoczący ją leniwie w żołądku, wreszcie przerodził się w prawdziwy strach.

Wróciła do kuchni, gdzie Jacek mozolił się z poskładaniem rozebranej radiostacji.

– Chyba wiem, jak to naprawić – powiedział, odwracając się. – Wystarczy tylko...

– On tu był.

– Co?

– Człowiek z psem. Był tu w nocy i zaglądał nam w okna. Widziałam ślady.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna? Może to ślady moje albo twoje. No wiesz, na przykład jak wychodziliśmy wczoraj za potrzebą.

– Może, pod warunkiem że chodziłeś sikać w towarzystwie naprawdę dużego psa.

Gapił się na nią przez chwilę z twarzą pozbawioną wyrazu, a potem zerwał się z krzesła.

– Pokaż.

Zaprowadziła go na tyły pensjonatu. Jacek stał tam przez chwilę, marszcząc brwi jeszcze bardziej, a potem odwrócił się w stronę dziewczyny z błyskiem determinacji w oczach.

– Słuchaj, a gdybyśmy tak po prostu...

– Poszli za nim? – W oczach Niny zapalił się podobny błysk.

– Aha. Mamy przecież pistolet. – Wyjął broń z kieszeni kurtki i pomachał nią przed nosem dziewczyny. – Co może nam zrobić?

– A potrafisz się tym posługiwać?

– Potrafię. Nie pamiętam tego, ale jestem na sto procent pewny, że już kiedyś strzelałem. Pani Ewa musiała nas nauczyć.

Nina skinęła wolno głową. Pamiętała, że w drodze do Wilczych Dołów rozmawiali o lekcjach posługiwania się bronią. Problem w tym, że pistolet budził w niej raczej niepokój niż otuchę. Co, jeśli spanikowany Jacek zacznie strzelać do jakiegoś niewinnego człowieka? Albo do zwierzęcia? I czy w ogóle chcieli do kogoś strzelać?

– Może zostawimy go w domu? – zaproponowała bez przekonania,

ale chłopak machnął ręką, zupełnie jakby odpędzał natrętną muchę.

– Przecież mówiłem, że umiem się tym posługiwać – powiedział. – Chodź, pora dorwać tego typa i zapytać go, kim jest i czego właściwie od nas chce.

Ślady prowadziły w stronę centrum miasteczka, najpierw główną drogą, którą szli wczoraj Nina i Jacek, potem odbiły w bok, w boczną uliczkę, która dziewczynie wydawała się znajoma w ten sam niejasny sposób co pensjonat. Byłam tu już kiedyś, pomyślała. Na pewno. Co więcej, musiało to mieć znaczenie, bo pozostałe miejsca, w których na sto procent także wcześniej bywała, nie wzbudzały w niej takich emocji. Takiego... niepokoju?

Spojrzała ukradkiem na Jacka. Chłopak szedł długim, pewnym krokiem, a z jego twarzy nic nie potrafiła wyczytać.

Ślady wiodły do trzypiętrowej kamienicy, przy której nieznajomy musiał się zatrzymać, a potem skręciły w podwórko. Stał na nim zakopany do połowy w śniegu wrak samochodu, na którego widok Jacek wreszcie drgnął nerwowo.

– Byliśmy tu już, prawda?

Nina skinęła głową. Mogłaby się założyć o cokolwiek, że byli.

Ślady prowadziły do klatki schodowej. Jacek dotknął pistoletu w kieszeni, jakby to był talizman, i wszedł do środka, dziewczyna po chwili wahania podążyła za nim.

Przez zakurzone okna wpadało wystarczająco dużo słonecznego światła, by mogli widzieć prowadzące na piętro drewniane schody, ażurową poręcz, a także kałużę krwi na szarej posadzce.

Chłopak wciągnął powietrze przez zęby.

– Co on zrobił...? – szepnął, a wyobraźnia Niny ruszyła z kopyta.

– Może zamordował kogoś i przyniósł tutaj; na zewnątrz krew nie kapiała, bo owinał ciało nieprzemakalną folią, ale kiedy położył je na podłodze, folia się rozwinęła i zrobiła się plama. Albo ktoś tu na niego czekał, może nawet z utęsknieniem, przy drzwiach, i kiedy wyciągnął ramiona, nasz człowiek pchnął go nożem. Albo...

– Albo gościa ugryzł jego własny pies.
– To też możliwe, owszem – przyznała niechętnie, bo była to zdecydowanie najmniej romantyczna opcja.

– Idziemy dalej?

Skinęła głową. Jacek na wszelki wypadek wyjął z kieszeni pistolet – i tym razem dziewczyna nie zaprotestowała.

Na drugim stopniu widniała kolejna plama krwi, wyżej jeszcze jedna, każda z nich wielkości pięciogroszówki. W połowie schodów zobaczyli na poręczy krwawy odcisk dłoni, wyżej znowu kilka czerwonych plam. Na ostatnim stopniu odznaczał się wyraźnie ślad psiej łapy. Zwierzę szło wiernie obok rannego człowieka, a może go ścigało? Nina nie miała pojęcia i po raz pierwszy żałowała, że w dzieciństwie nie czytała uważniej książek o Indianach.

Ślady krwi kończyły się na pierwszym piętrze przed mieszkaniem numer pięć.

Jacek odetchnął głęboko i nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Nina chwyciła chłopaka za łokieć: sama nie wiedziała, czy po to, żeby dodać otuchy jemu, czy może sobie, a potem oboje weszli do mieszkania.

W przedpokoju panował półmrok, ale najbliższe drzwi były uchylone i przez szparę sączyła się smuga żółtego blasku. Wirowały w niej leniwie drobinki kurzu. Poza nimi nie poruszało się nic, nawet Nina i Jacek na moment przestali oddychać. Chwilę później zza drzwi dobiegł rozeźlony młodzieńczy głos.

– Skoro już tu jesteście, to może wejdziecie i mi pomożecie, zamiast stać tam jak para idiotów?

Spodziewała się ujrzeć groźnego bandytę, może nawet zamaskowanego albo z piracką opaską na oku, a tymczasem zobaczyła czarnowłosego drobnego nastolatka. Chłopak miał oliwkową cerę i kontrastujące z nią intensywnie zielone oczy, które wyglądały, jakby pożyczył je sobie z cudzej twarzy. Siedział oparty plecami o ścianę, oddychając ciężko, i bez większego powodzenia

próbował zatamować ciekącą z boku krew czymś, co wyglądało jak poszewka na poduszkę.

Nina, która nie znosiła widoku krwi, odwróciła się gwałtownie, a leżący obok chłopaka pies podniósł łeb i warknął. Zwierzę też było mniejsze, niż dziewczyna się spodziewała, choć wciąż spore, wielkości owczarka albo wilka. W nocy wszystko wydaje się duże, pomyślała dość bezsensownie.

– Cicho, Aleks – powiedział nastolatek, a pies opuścił łeb, wciąż patrząc czujnie. – To przyjaciele, pomogą nam. Pomożecie, prawda? – W zielonych oczach widać było coś jakby... wyzwanie? Kpinę?

Jednak nawet jeśli chłopak nadrabiał miną, to Nina nie miała wątpliwości, że faktycznie potrzebuje pomocy. Krwi było dużo, oliwkowa cera nabrała już szarego odcienia, a na czole czarnowłosego widać było grube krople potu.

– Kim jesteś? I dlaczego za nami łazisz? – zapytał Jacek.

– Naprawdę to jest w tej chwili najważniejsze?

– Chcemy...

– On ma rację – przerwała pośpiesznie Nina, pod którą już zaczynały uginać się nogi. – Najpierw musimy mu pomóc. To znaczy... eee... ty musisz, bo ja chyba nie dam rady. Przepraszam...

Wypadła z pokoju i usiadła w korytarzu, bojąc się, że za chwilę zemdleje. Oddychała z głową między kolanami, starając się wypchnąć z myśli rozlewającą się po podłodze kałużę krwi, aż wreszcie zawroty osłabły. Z pokoju na szczęście dobiegały odgłosy świadczące o tym, że Jacek nie dyskutował, tylko bez dalszego ociągania zabrał się do opatrywania rany. Nina wiedziała, że powinna tam wrócić i mu pomóc (chłopak darł właśnie na pasy prześcieradło, słyszała wyraźnie trzask rozdzieranego materiału), ale po prostu nie potrafiła tego zrobić.

Jestem beznadziejna, pomyślała jak zwykle w takich chwilach.

Kiedy poczuła się lepiej, wstała i znalazła kuchnię pełną poupychanych wszędzie zapasów: na półkach słoiki przetworów sąsiadowały z torbami cukru i mąki, pod ścianami piętrzyły się kosze przywiedlonych warzyw. Chłopak musiał tu mieszkać od dłuższego czasu, podobnie jak oni mieszkali w pałacu, brakowało mu tylko

zdolności organizacyjnych Jacka.

Nina odruchowo odkręciła kran, a kiedy woda nie pociekła, porwała słoik kompotu i wlała zawartość do niezbyt czystej szklanki. Dla pewności dosłodziła jeszcze trzema łyżeczkami cukru i zaniósła do pokoju.

Chłopak siedział pod ścianą, wciąż szary na twarzy, ale bok miał już starannie obwiązany pasami białego materiału. Jacek z jakiegoś powodu zdjął mu buty i Nina mogła teraz podziwiać stopy w dziurawych skarpetkach, nieproporcjonalnie duże w stosunku do drobnego ciała.

– Wypij to – poleciła, starając się nie patrzeć na rozmazaną po podłodze krew.

– Po co?

– Bo cukier jest dobry na szok.

– Nie jestem w szoku – odparł chłopak, ale wypił posłusznie.

– Świetnie, skoro nie jesteś w szoku, to może nam wreszcie powiesz, kim jesteś i czemu nas śledzisz? I co ci się stało? – Jacek wytarł zakrwawione ręce w spodnie.

– Przenieśmy go do kuchni – zaproponowała Nina i zaraz pośpiesznie dodała: – On powinien się ogrzać, my zresztą też. I możemy rozpalić ogień, słuchając, co ma do powiedzenia.

– Tak naprawdę chodzi ci o to, żeby nie patrzeć na krew, co? – mruknął z pretensją, ale kiedy dziewczyna podeszła do rannego, pomógł go podnieść z drugiej strony.

Razem zawlekli nastolatka do kuchni i pomogli mu usiąść w wysłużonym fotelu. Nina podpaliła przygotowany już w piecu schludny stosik papieru, cienkich szczap drewna i węgla, a potem odwróciła się w stronę chłopców.

– Dobra, to teraz gadaj – powiedział Jacek. – Co tu się dzieje?

– Jak masz na imię? – zapytała niemal równocześnie.

– Marcin – mruknął czarnowłosy. – Jestem Marcin Pietrzycki, mam szesnaście lat i chodzę do miejscowego technikum, jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie. I nie wiem, co tu się dzieje. Trzy dni temu obudziłem się na podłodze własnego mieszkania...

– Czyli tutaj? – upewniła się Nina.

– Czyli tutaj. Był ze mną Aleks, pies sąsiadów, oni go często nam podrzucają, ale poza nim nie znalazłem nikogo: zniknęli moi rodzice i siostra, i wszyscy z kamienicy. Całe miasto. Dopiero potem zobaczyłem was.

– Czemu do nas nie podszedłeś? – Tym razem odezwał się Jacek. Marcin wzruszył ramionami.

– Bo nie wiedziałem, coście za jedni, nie? I chciałem się upewnić, czy to wszystko – zatoczył ręką koło – nie jest przypadkiem waszą winą.

– Naszą? – oburzył się Jacek. – Niby w jaki sposób?

– Nie mam pojęcia. Ale jesteście obcy, nie? Nie widziałem was nigdy wcześniej w Wilczych Dołach, a to małe miasto, tu ludzie się znają.

– Przyjechaliśmy na ferie – wyjaśniła Nina, a Jacek zaraz uzupełnił:

– Pamiętamy sam przyjazd, wieczorem jedenastego lutego. Potem już tylko to, że obudziliśmy się w pałacu, który stoi przy rynku.

Marcin skinął głową.

– Moje ostatnie wspomnienie to Karolina marudząca, żeby zagrać z nią w chińczyka. Było już po kolacji, bo mama zmywała talerze, a tata słuchał radia, ale więcej nie pamiętam.

– To twój pies drapał w drzwi mieszkania, gdzie spałem, no wiesz, tej pierwszej nocy zaraz po tym, jak wszyscy odzyskaliśmy przytomność?

– Owszem, to był Aleks. Wystraszył cię?

Tak, pomyślała Nina.

– Nie – odpowiedziała. – Od początku wiedziałam, że to zwykły pies.

– A ta rana? – Jacek oskarżycielsko wskazał zabandażowany bok. – Co ci się stało?

– Drzwi do klatki schodowej się zatrzasnęły, więc uznałem, że wejść przez okno. Wybiłem szybę i przełaziłem już do środka, kiedy nadziałem się na wystający z ramy odłamek. Głupie, prawda? – Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały chłodne i dziwnie czujne.

– Ślady krwi były na środku klatki schodowej, nie prowadziły do żadnych drzwi na parterze – powiedziała.

– Bo tam zrobiło mi się słabo i się przewróciłem. Wcześniej przyciskałem do rany kurtkę i krew nie kapała. Chcecie coś jeszcze wiedzieć czy to koniec przesłuchania?

– A Aleks? Ty wszedłeś przez okno, ale pies chyba nie?

– Nina – zdenerwował się Jacek – poważnie chcesz się teraz bawić w milicję?

– Psu otworzyłem sam – wyjaśnił Marcin, spokojnie patrząc dziewczynie w oczy. – Zanim się przewróciłem.

– Zaraz wracamy. – Nina skinęła na Jacka, a kiedy znaleźli się w przedpokoju, zapytała: – Wierzysz mu?

– Historia brzmi dość prawdopodobnie, nie?

– A ta rana? Wyglądała jak coś, co mógłby zostawić kawałek szkła?

– Czy ja się znam na ranach? Była długa i wąska, czyli chyba się zgadza.

Westchnęła.

– Jesteś kiepskim patomorfologiem, wiesz?

– W ogóle nie jestem żadnym patocołtam, jeśli nie zauważyłaś. Jestem twoim kumplem, mam czternaście lat i w przyszłości zamierzam zostać inżynierem.

– Chodź, obejrzymy sobie tę kurtkę i mieszkanie.

Kurtka leżała w pokoju, w którym znaleźli Marcina: ciśnięta w kąt, zakrwawiona, z wyraźnym rozcięciem biegnącym od lewej pachy aż do żołądka. Dziewczyna odłożyła ją pośpiesznie i wyszła, a Jacek bez słowa podążył za nią.

Wyszli na zewnątrz, by przyjrzeć się oknom na parterze – trzy okazały się całe, czwarte, ostatnie w rzędzie, było rozbite, a z ramy sterczały odłamki szkła, długie i ostre jak sztylety.

Nina podeszła bliżej. Pod oknem piętrzyła się zaspą tak wysoka, że bez trudu można było wejść z niej na parapet, na ostrym koniuszku jednego z odłamków widniał maleńki czerwony ślad.

– Wszystko się zgadza – powiedział Jacek. – O co ci właściwie chodzi?

– Nie wiem – przyznała niechętnie. – Ale tu się dzieje coś zdecydowanie dziwnego, dlatego powinniśmy wszystko dokładnie sprawdzić, nie uważasz?

– Dobra, to już sprawdziliśmy. Wracamy?

Nie miała innego wyjścia, jak tylko przytaknąć.

Marcin czekał cierpliwie w fotelu. Piec zdążył się już rozgrzać i po kuchni rozeszło się przyjemne, pachnące drewnem ciepło.

Nina chrząknęła.

– Uznaliśmy, że mówisz prawdę – oznajmiła.

Marcin spojrział na nich drwiąco.

– Bardzo łaskawie z waszej strony. Jak ja się wam odwdzięczę? Może zrobię wam coś do jedzenia? A nie, czekajcie, to wy musicie zrobić mi coś do jedzenia. Ja mam problem, żeby się ruszyć z fotela.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Nie miała pojęcia, co o tym chłopaku myśleć. Z jednej strony niewątpliwie był bezczelny, z drugiej oni też nie zachowali się wobec niego miło, a Marcin naprawdę potrzebował pomocy.

Jacek pierwszy powiedział to, co wydawało się nieuniknione:

– Powinniśmy przenieść tu nasze rzeczy i zamieszkać razem. Mamy sporo zapasów, więc możemy się podzielić, a w trójkę będzie nam łatwiej, no wiecie...

Przeżyć, dokończyła w myślach. W trójkę będzie łatwiej przeżyć.

Zapasy zostały załadowane z powrotem na sanie, pozostało im tylko zanieśenie radiostacji, która, wybebeszona, wciąż stała na stole w kuchni. Jacek zajął się dokręcaniem części, a Nina ruszyła na piętro. Chciała raz jeszcze, dzisiaj w dziennym świetle, popatrzeć na pokoje, w których spali. Spodziewała się... sama na dobrą sprawę nie wiedziała czego. Zagubionej notatki, która wszystko wyjaśni? Śladu, który naprowadzi ją na trop tego, gdzie podziali się Tamara i Hubert?

Było to naiwne, ale i tak musiała spróbować.

W pokoju pani Ewy nie znalazła niczego – był dokładnie wysprzątnany, nawet łóżko zostało zaścielone. W pokoju chłopców odwrotnie: pod jedną z poduszek natknęła się na parę krótkich kalesonów (za wąskich na Jacka, musiały więc należeć do Huberta),

a kołdra była skotłowana, jakby chłopak wypadł z sypialni w pośpiechu. Nina wyobraziła sobie następującą scenę: pani Ewa pakuje się szybko, ale metodycznie, nie zapomina o posprzątaniu pokoju i nawet ścieli łóżko. Hubert nerwowo wrzuca do walizek rzeczy swoje i Jacka, zapomina o kalesonach, a potem wypada na korytarz, gdzie opiekunka uspokaja go, że nie musi tak pędzić, mają jeszcze trochę czasu.

Przeszła do pokoju, który dzieliła z Tamarą – tu zagubionych ubrań nie było, ale łóżek oczywiście nikt nie pościelił. Starsza dziewczyna też się spieszyła albo, co bardziej prawdopodobne, jak zwykle miała wszystko w nosie. Nina mogłaby się założyć, że kiedy Tamara wyszła na korytarz z jedną walizką w jednej ręce i drugą w drugiej, wciąż żartowała sobie z niebezpieczeństwa.

„Gdzie wy u licha jesteście?”, zapytała w myślach, czując nagle ostre ukłucie tęsknoty.

Usiadła na jednym z łóżek – zgadywała, że należało do Tamary, bo Nina lubiła spać przy oknie, a starsza dziewczyna odwrotnie: zawsze wybierała miejsce bliżej drzwi. Przez chwilę wyobrażała sobie przyjaciółkę w tym pokoju: wycierającą ręcznikiem mokre po kąpielii włosy, grającą w karty przy stoliku i szukającą pary czystych skarpetek w szufladzie. Każdą z tych scen widziała wyraźnie, jakby naprawdę się wydarzyły, ale to była tylko wyobraźnia, nie wspomnienia.

Westchnęła i wtedy właśnie zobaczyła wystający spod drugiego łóżka skrawek kolorowego materiału. Uklękła, wyciągając rękę. Spodziewała się kolejnych zgubionych majtek, ale pod łóżkiem leżała lalka. Zwyczajna na pozór szmacianka, która sprawiła, że w głowie Niny drgnęło blade jak duch wspomnienie.

Z tą lalką jest coś nie tak.

Wyciągnęła zabawkę i spojrzała. Na sukienkę w groszki, na miękkie szmaciane rączki i nóżki, włosy ze sznurka i oczka z guzików. I na usta z czerwonej wełny, zaszyte grubą czarną nicią, nierównym ścięciem.

Rozdział ósmy, w którym Nina i pozostali wreszcie zaczynają działać jak drużyna.

Tamara trąciła palcem szmaciankę, która spojrzała na nią z wyrzutem guzikowymi oczami.

– Po co jakiś dzieciak miałby zaszywać usta lalce? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. – Nina rozejrzała się nerwowo, choć wiedziała przecież, że jadalnia jest pusta: Janusz Klimsza nie zjawił się na śniadaniu, a pani Ewa zjadła już i wyszła, zostawiając na stole talerz umazany pomidorowym sosem.

– Moim zdaniem to jakiś dziwaczny żart – oznajmił Hubert, choć nie sprecyzował, na czym właściwie dowcip miałby polegać.

– Czemu nie pokazałaś nam tej lalki wcześniej? – zapytał niemal jednocześnie Jacek.

Nina milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią. Trzy dni temu wepchnęła lalkę do szafy, nie pokazując jej nikomu. Zrobiła to, urażona lekkim tonem Tamary, a potem... Potem jakoś nie było okazji, wszyscy zajmowali się innymi sprawami i nikt nie miał ochoty słuchać o tajemnicach Wilczych Dołów. Sama Nina próbowała o nich zapomnieć, przynajmniej na jakiś czas, w czym bardzo pomagał fakt, że po zajęciach z panią Ewą rzadko kiedy miała siłę myśleć o czymkolwiek. Dopiero dziś rano Tamara przypadkiem znalazła lalkę i nagle wszyscy zaczęli się nią interesować.

– Tak wyszło – powiedziała wreszcie, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Tamara otworzyła usta, ale Jacek trącił ją w bok.

– Patrz – powiedział, wskazując brodą okno.

Dziewczyny odwróciły się. Na zewnątrz pani Ewa rozmawiała z młodym mężczyzną w milicyjnym mundurze. On do niej mówił, ona słuchała uważnie, z lekko zmarszczonymi brwiami. Potem zapytała o coś, a milicjant zakłopotał się i odpowiedział z ociąganiem.

Czwórka nastolatków obserwowowała scenę z wyraźnym

zainteresowaniem. Mężczyzna skończył mówić, pożegnał się skinieniem głowy i odszedł, jednak nie w stronę centrum, ale w kierunku tylnego wejścia do pensjonatu.

Nina pomyślała w tym momencie dwie rzeczy.

Po pierwsze, że ma dosyć ignorowania tajemnic. Próbowwała o nich zapomnieć, naprawdę się starała, ale znaleziona dzisiaj rana lalka była wyraźnym znakiem, że raczej nie będzie jej dane.

Po drugie, że przez ostatnie pięć minut nie słyszała odgłosów kręcącej się za zasłoną pani Kociuby, a to oznaczało...

– Czekaście.

Dziewczyna zerwała się z krzesła i pobiegła do kuchni, gdzie bez namysłu zanurkowała pod stół. Leżało pod nim mnóstwo żelastwa: jakieś metalowe miski, wiadra, części do pralki, a nawet niewielka wanna. Nina schowała się za nią. Był czas, kiedy brzydziła się podsłuchiwaniami, ale to było dawno temu. Ostatecznie detektywi w książkach robili gorsze rzeczy.

Wstrzymała oddech. Po chwili rozległo się pukanie w szybę: najpierw ciche, potem odrobinę głośniejsze.

– Idę! – krzyknęła pani Kociuba od strony łazienki, choć stojący za drzwiami mężczyzna raczej nie mógł jej słyszeć.

Zjawiła się chwilę później, wycierając ręce w fartuch. Otworzyła drzwi.

Kolejne dwadzieścia minut było dla Niny prawdziwą próbą cierpliwości. Gospodyni i młody milicjant o imieniu Jarek rozmawiali o zdrowiu jakiejś Skubowej, o tym, że Antoszczak chyba znowu bije żonę i trzeba go będzie zamknąć na jakiś czas, żeby nabrał rozumu, a stary Brzeza jest głupi, bo sprzedał krowę za półdarmo. Mówili o wszystkim, tylko nie o tym, co było, jakkolwiek by na to patrzeć, najważniejszym wydarzeniem ostatnich dni w życiu miasteczka.

Wreszcie jednak przeszli do tematu znalezionej w lesie ciała, akurat wtedy, kiedy Ninie całkiem już zdrętwiały nogi i dziewczyna zastanawiała się, czy uda jej się dyskretnie zmienić pozycję.

– Biedny człowiek – chlipnęła od serca pani Kociuba. – Taka śmierć, taka okropna śmierć. Podobno on z urwiska spadł?

– Spadł – potwierdził milicjant. – Chyba że ktoś go zepchnął, ale

kapitan mówi, że to mało prawdopodobne.

– Niedawno przyszła tu dziewczyna, która u nas mieszka, i bardzo o tego człowieka wypytywała. Takie dziwne dziecko... – Nina drgnęła lekko. – Pytała, czy ktoś mógł tego mężczyznę wcześniej zabić i zrzucić ciało z urwiska.

– Niemożliwe, droga pani. Zmarły miał popękane żebra i miednicę. No i strzaskaną czaszkę, a jak twierdzi doktor Szyszko, to właśnie było bezpośrednią przyczyną zgonu. Żeby zadać takie obrażenia, potrzeba niesamowitej siły, więc jeśli zabójca nie był olbrzymem, to nie ma mowy o wcześniejszym morderstwie. Zdaniem kapitana ofiara spadła przypadkiem albo ewentualnie skoczyła sama.

– Nie wiecie, kim ten biedak był? Może gdyby tak do gazety zdjęcie dać, to ktoś by go rozpoznał? Bo to obcy, prawda?

– Obcy, tak, a co do tego zdjęcia... Wie pani, dzisiaj kapitan telefon dostał z Warszawy z poleceniem, żeby śledztwo jak najszybciej zamknąć. Tylko niech pani tego nikomu nie mówi, bo to poufna wiadomość.

– Nie powiem – obiecała pani Kociuba, po czym znowu się wzruszyła. – Taki koniec... Mam nadzieję, że chociaż pochowają tego nieszczęśnika po chrześcijańsku.

– A wie pani, że to dziwne...

– Co takiego?

– Ano, obok ciała znaleźliśmy kilka wyciągniętych z wody kamieni, trochę tak, jakby temu biedakowi ktoś chciał grób zrobić, tylko się rozmyślił albo zwyczajnie zmęczył, bo te kamienie ciężkie są. Ale równie dobrze mogły tam leżeć od lata, może to jakieś miejscowe dzieciaki tamę sobie chciały zrobić, naznosiły głazów, a potem im się znudziło.

– Czyli nie ma w tej śmierci nic... podejrzanego?

– Nie, pani Kociuba. Ten człowiek przyjechał tutaj, zaparkował w lesie i zaproszył ogień w samochodzie: przypadkiem albo celowo. Potem poszedł w góry. Może szukał pomocy i pomyliły mu się drogi, a może to był wariat, któremu się uwidziało, że najlepiej ze sobą skończy, jak skoczy z urwiska. Po prawdzie kapitan uważa, że to samobójca, ale w papierach wpisujemy raczej, że wypadek –

rozumie pani, rodzina, a może się jaka znajdzie, zawsze inaczej na coś takiego patrzy.

– To dobrze. – Gospodyni odetchnęła. – Świeć Panie nad duszą tego nieszczęśnika. Ja się już bałam, że to naprawdę jakaś podejrzana sprawa. Ta dziewczyna... Nie uwierzysz, jakie ona mi pytania zadawała. Dziwne dziecko, bardzo dziwne. Zastanawiam się, czy ciotka nie powinna zaprowadzić jej do lekarza...

Tym razem Nina drgnęła zdecydowanie mocniej, prawie podskoczyła, potrącając przy okazji metalową wannę. Wanna dźwięcznie stuknęła o miskę, miska o drugą miskę. Dziewczyna zamarła, ale było za późno.

– Słyszałeś? – zapytała pani Kociuba. – Coś jest pod stołem.

– Pewnie szczury – odparł Jarek lekceważąco.

– U mnie w kuchni nigdy nie było szczurów. – Gospodyni najpierw się oburzyła, a potem pochyliła i wyciągnęła spod stołu zaczerwienioną, mocno już zdrętwiałą Ninę.

– Wiedziałam, że to ty! Czekał, niech no ja tylko porozmawiam z twoją ciotką...

Pani Ewa przyglądała się Ninie wzrokiem, jakim naukowiec mógłby przyglądać się jakiemuś niezwykłemu okazowi fauny.

– Możesz mi wyjaśnić, co robiłaś pod stołem w kuchni pani Kociuby? – zapytała pozornie niedbale, zapalając papierosa.

Zza okna dobiegały głosy Jacka, Tamary i Huberta, obrzucających się śnieżkami. Nina oddałaby dużo, żeby być tam teraz z nimi zamiast w tym pogrążonym w półmroku pokoju, w którym pachniało dymem z papierosa i kwiatowymi perfumami. Wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała, gdy gospodyni zawlokła ją przed oblicze pani Ewy, wciąż paliło ją żywym ogniem. Ciągnęła mnie za ucho, pomyślała, ciągnęła za ucho, jakbym była niegrzeczną siedmiolatką.

– Podśluchiwałam – wyjaśniła z całą godnością, na jaką było ją w takiej sytuacji stać. – Zobaczyłam, że ten milicjant idzie do tylnego wejścia, i domyśliłam się...

– Wiem, że podsłuchiwałaś. Pytałam, po co to robiłaś.
– Żeby dowiedzieć się czegoś o śmierci tego człowieka z lasu. Gdyby pani mi nie przerwała, tobym wyjaśniła.
– I czego ciekawego się dowiedziałaś? – Ewa Wiśniewska zaciągnęła się papierosem. – Niech zgadnę: że w tej śmierci nie ma nic podejrzanego?

Nina z niechęcią skinęła głową.

– Porucznik Lis mówił mi, że podobno jesteś bardzo inteligentna.
– Odziedziczyłam...
– Teraz ja mówię, Nino. A chciałam zapytać, czy twoja inteligencja obejmuje także zrozumienie, że niektóre rzeczy dorośli robią lepiej niż dzieci. Należy do nich na przykład prowadzenie śledztwa. Rozumiesz to?

Dziewczyna milczała. Zza okna dobiegł dziki wrzask Tamary, która sądząc po odgłosach, nacierała właśnie śniegiem Huberta.

– Nino?

– Jeśli weźmiemy pod uwagę całokształt, to oczywiście...

– Nie pytam cię o całokształt. Odpowiedz: tak albo nie.

– Są pytania, na które nie da się w ten sposób odpowiedzieć.

– Tak czy nie?

To niesprawiedliwe, pomyślała Nina, która już zdążyła uwierzyć, że opiekunka traktuje ją jak dorosłą. Po prostu niesprawiedliwe.

– Tak.

– Znakomicie. Teraz drugie pytanie: czy zamierzasz dalej interesować się tą śmiercią? A może zajmiesz się wreszcie tym, co do ciebie należy?

– Nie. I tak – odparła posłusznie, bo teraz to już nie miało znaczenia.

– Dobrze. – Pani Ewa z satysfakcją skinęła głową. – W takim razie mogę chyba zaspokoić twoją ciekawość. Człowiek, którego ciało zostało znalezione w lesie, to towarzysz Konstanty Rygiel. Dostałam dziś rano depezę od porucznika Lisa: zgadzają się numery rejestracyjne samochodu, a więc, obawiam się, musimy uznać, że nasz były współpracownik nie żyje.

– Czyli ten tajemniczy telefon z Warszawy to wasza sprawa?

I milicja tak po prostu zamknie śledztwo?

– Nie ma żadnych powodów, żeby tego nie robić, Nino.

– A jeśli to nie był wypadek...

– Prawie na pewno to nie był wypadek. Nie znałam towarzysza Rygla osobiście, ale podobno w ostatnich latach zaczął dziwaczeć. Cóż, był stary, samotny, bez przyjaciół i rodziny. Jeśli w takiej sytuacji postanowił ze sobą skończyć, kim jesteśmy, żeby go oceniać? Towarzysz Rygiel był wierzący, niech przynajmniej ma chrześcijański pogrzeb.

– Ale zostanie pochowany w anonimowym grobie.

– Owszem. – W głosie pani Ewy słyhać było lekką irytację. – Nie mogę tak po prostu pójść na milicję i powiedzieć, kim ten człowiek był, bo to rodziłoby zbyt dużo problemów. Nie chcemy ściągać na siebie uwagi, pamiętasz?

Nina skinęła głową. Pamiętała też, że grupa Czerwonych Kapturków działała nieoficjalnie i nawet nie wszyscy w UB o niej wiedzieli.

– Nieważne zresztą – kontynuowała kobieta. – Pójdziemy teraz do piwnicy i tym razem chcę widzieć, jak przykładasz się do ćwiczeń. A po obiedzie będziemy kontynuować naukę strzelania. Nie musisz tego robić, jeśli nie chcesz, ale życzę sobie, żebyś cały czas była w pobliżu. Możesz wziąć książkę do czytania, jeśli tak wolisz.

Nina spodziewała się, że ten dzień będzie absolutnie okropny, ale ku jej zdumieniu nie było tak źle. Przed południem udało jej się obronić przed pozorowanym atakiem Jacka, a pani Ewa pochwaliła ją nawet oszczędnym skinieniem głowy. Nie było to nic szczególnego, jednak Nina po raz pierwszy schodziła z maty jeśli nie dumna z siebie, to przynajmniej nie upokorzona.

Później, kiedy strzelali w lesie, opiekunka na początku rzeczywiście uparła się, żeby Nina siedziała tuż obok, ale szybko poszła po rozum do głowy i pozwoliła dziewczynie odejść, pod warunkiem że co kwadrans będzie meldować się na polanie. Nina spędziła więc

przyjemną godzinę, włócząc się między martwymi świerkami i na zmianę to ćwicząc moc (co nadal jej nie wychodziło), to znów wyobrażając sobie, że jest zagubioną w puszczy niewinną panną, którą ściga czarnobrody łotr-dziedzic (co dla odmiany wychodziło jej świetnie). W rezultacie kiedy zbierali się, żeby wcześniej niż zwykle wrócić do pensjonatu, dziewczyna była już w zdecydowanie lepszym humorze.

Przed czwartą Tamara i Hubert przebrali się, bo znów wychodzili na spotkanie z nowymi znajomymi; dziewczyna założyła nawet sukienkę, co w jej wypadku oznaczało szczyt elegancji. Ciekawe, czy tam jest jakiś chłopak, który jej się podoba, myślała Nina, siedząc na łóżku i przyglądając się, jak przyjaciółka krytycznie patrzy na siebie w lustrze. Wreszcie Tamara malowniczo zmierzwiła krótkie szare włosy i westchnęła.

– Lepiej nie będzie – oznajmiła. – To jak, idziecie z nami?

– Czemu nie. – Nina postarała się wyglądać na obojętną, choć zółdek ścisnęła jej dziwna mieszanka strachu i podniecenia.

– To na co czekasz? Ubieraj się.

Zeskoczyła z łóżka i sięgnęła do szafy, zanim jednak zdążyła wyjąć coś do ubrania (szara wełniana sukienka nie była jakoś szczególnie ładna, ale i tak chyba najlepsza), drzwi otworzyły się i weszła pani Ewa.

– Chciałam ci przypomnieć, że macie wrócić o dziesiątej – powiedziała do Tamary, po czym przeniosła wzrok na Ninę, która stała przed otwartą szafą. Kobieta zmarszczyła brwi. – Jeśli zamierzasz wybrać się z nimi, to nic z tego. Jacek może iść, ty zostajesz.

Dziewczyna oszczędziła sobie upokorzenia i nie zaprotestowała. Wiedziała, że to i tak na nic się nie zda.

Była przekonana, że spędzi wieczór, kończąc drugi tom Sagi rodu Forsyte'ów, ledwo jednak usadowiła się z książką na łóżku, w pokoju pojawiła się pani Ewa. Miała na sobie brązowy elegancki płaszcz, kapelusz z woalką i skórzane rękawiczki.

– Idę pożegnać towarzysza Rygla – powiedziała cierpko. – Jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć, pod warunkiem że pogrzeb nie obudzi z powrotem tych twoich fantazji.

– Pogrzeb? – Nina odłożyła książkę.

– Bardzo skromna ceremonia – wyjaśniła opiekunka. – Śledztwo jest już zamknięte, nie ma więc sensu przeciągać sprawy.

Pogrzeb zamiast imprezy przy amerykańskich płytach? – pomyślała Nina ponuro.

Czemu nie.

**

To był najsmutniejszy pogrzeb, na jakim kiedykolwiek była. Ksiądz, zmęczony i myślami będący najwyraźniej już przy kolacji, mówił o zmarłym same ogólniki: że grzeszył, ale się starał, że każde, nawet najmarniejsze istnienie nie umknie uwagi Boga, który widzi i kocha wszystkich. Jakby ten człowiek nie miał znaczenia, myślała Nina.

Spojrzała na panią Ewę, na wpół spodziewając się, że kobieta wstanie zaraz i powie o zmarłym parę prawdziwych słów. Ona jednak milczała. Nina odwróciła się więc w stronę ołtarza i – czując się trochę jak hipokrytka, a trochę jak ktoś, kto robi coś szlachetnego – odmówiła razem z księdzem modlitwę. Rygiel wierzył w Boga i jeśli zależało mu na chrześcijańskim pogrzebie, dziewczyna była gotowa solidnie przyłożyć się do wszystkich rytuałów. Zwłaszcza że oprócz niej do kościoła przyszły tylko trzy osoby. Jedną z nich była oczywiście pani Ewa, dwie pozostałe siedziały z tyłu w cieniu, ale kiedy ksiądz zachęcił żałobników, by pożegnali się ze zmarłym, obie wstały ze swoich miejsc i zbliżyły się do ołtarza.

Nina drgnęła, gdy zobaczyła Czarną Damę, która szybkim krokiem przeszła przez nawę i pochyliła się nad trumną. A chwilę później zdumiała się jeszcze bardziej, bo za kobietą podążył Janusz Klimsza w eleganckich spodniach i staroświeckiej kraciastej marynarce. Mężczyzna zmarszczył brwi. Potem nachylił się, podobnie jak

wcześniej Czarna Dama, nie po to jednak, żeby żegnać zmarłego. On... patrzył na coś, co znajdowało się w trumnie, wyraźnie zdezorientowany. Trwało to długo, aż ksiądz zwrócił uwagę na nietypową scenę.

– Zaczekaj tu – szepnęła pani Ewa, po czym wstała i podeszła do trumny.

Dziewczyna zawahała się, ale ciekawość okazała się silniejsza niż niechęć do oglądania zwłok i Nina, udając, że nie słyszała, poszła za opiekunką.

Zimno zakonserwowało ciało, a najgorsze obrażenia ukryte były pod ubraniem i brązowym eleganckim kapeluszem. Twarz jakimś cudem okazała się prawie nietknięta. Była to zwyczajna, lekko pucułowata twarz starszego człowieka z zakolami w siwych włosach i głębokimi bruzdami wokół ust. Nie było w nim nic nietypowego, nic z wyjątkiem maskotki tkwiącej w złożonych na piersi dłoniach. Szmacianego pieska z guzikowymi oczkami i pyskiem zaszytym grubą czarną nicią.

Za plecami Niny rozległ się stukot obcasów: to kobieta w czerni pośpiesznie wychodziła z kościoła.

Ksiądz wreszcie zszedł z ołtarza i zajrzał do trumny. Natychmiast poczerwieniał, po czym, mamrocząc coś o wariatkach i profanacji, wyjął maskotkę z rąk zmarłego.

Dalsza część pogrzebu przebiegła już bez sensacji. Pani Ewa, Nina i Janusz Klimsza odprowadzili trumnę na cmentarz i poczekali, aż pomocnik grabarza opuści ją do grobu. Dochodziła piąta, ale ciemność zgęstniała już tak bardzo, że Nina ledwo widziała majaczące w półmroku czapy śniegu na dalszych nagrobkach. Ksiądz odmówił pośpiesznie Wieczne odpoczywanie, zagłuszany wyciem wiatru buszującego w nagich gałęziach drzew, pokropił trumnę i uciekł do ciepła i światła.

Pani Ewa stała jeszcze nad grobem ze złożonymi rękami, choć Nina wątpiła, by kobieta się modliła – pracownicy UB nie wierzyli przecież w Boga. Klimsza czekał nieco z tyłu, jakby wstydząc się własnej obecności, i podszedł, dopiero gdy ksiądz zniknął za bramą cmentarza.

– Proszę o wybaczenie, że zaczepiam przy tak smutnej okazji – powiedział cicho. – Ale może panie zgodzą się, żebym odprowadził je do pensjonatu? Ściemnia się i mróz taki, że człowiek psa by nie wygonił...

Nina już chciała zapytać, w jaki sposób towarzystwo mężczyzny ma pomóc na zimno, ale rozsądnie zamknęła usta. Pani Ewa skinęła głową bez entuzjazmu, niemal chłodno, po czym ruszyli w stronę wyjścia. Cieniemiotanych wiatrem gałęzi przemykały im pod nogami, świeżo spadły śnieg połyskiwał złociście w świetle zapalanej przy bramie latarni.

– Nie chciałem, żeby panie pomyślały sobie o mnie coś złego – kontynuował Klimsza. – Nie przyszedłem tu z pustej ciekawości. Pani Kociuba powiedziała, że chowają dziś jakiegoś anonimowego człowieka i cóż, chyba zrobiło mi się żal biedaka. Ja też jestem sam na świecie; kiedy umrę, mój pogrzeb pewnie będzie wyglądał podobnie. Dlatego chciałem mu towarzyszyć w tej ostatniej drodze.

– To bardzo szlachetnie z pana strony. – Ton Ewy Wiśniewskiej nie zachęcał do dalszej konwersacji, a Nina pośpiesznie zapewniła mężczyznę, że absolutnie nic złego nie pomyślała.

O wpół do ósmej zeszła na kolację. Jadalnia była pusta i dziewczyna poczuła się nieswojo, kiedy usiadła samotnie przy stoliku i zaczęła skubać kromkę z masłem. A kiedy pięć minut później miejsce obok zajęła pani Ewa, poczuła się jeszcze gorzej.

Opiekunka jadła swoją porcję jajecznicy, podczas gdy Nina z ponurą miną grzała dłonie o szklankę. Nawet gorąco świeżo zaparzonej herbaty nie zdołało wygonić z jej kości cmentarnego chłodu i wspomnienia dziwacznej maskotki spoczywającej na piersi zmarłego.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, to powiedz. – Pani Ewa odsunęła talerz. – Nie musisz milczeć tak znacząco.

– Nie milczę znacząco – obruszyła się Nina, jednocześnie uświadamiając sobie, że owszem, chyba jednak znacząco milczała. –

Naprawdę uważa pani, że w Wilczych Dołach nie dzieje się nic dziwnego?

– Masz na myśli tę maskotkę?

Dziewczyna zawahała się.

– I inne rzeczy. Na przykład te incydenty ze znikającymi i pojawiającymi się zwierzętami czy pokojami, może pani o nich słyszała...

– Słyszałam, owszem. Wiem też, że dziś rano ośmioletnia dziewczynka o imieniu Zosia wyszła z domu i zgubiła się w lesie, co jest o tyle zastanawiające, że do przejścia miała jakieś ćwierć kilometra drogą, którą doskonale знаła. Szła do gospodarstwa cici po jajka i przysięga, że ani na moment nie zboczyła ze ścieżki. Po prostu las się w pewnym momencie zmienił. Tak mówiła, kiedy ją znaleźli.

– Ale jest cała, prawda? Nic się nie stało?

– To zależy od definicji słowa „cała” – powiedziała pani Ewa sucho.

– Dziewczynka spędziła kilka godzin na mrozie i teraz leży w łóżku. Jeśli będzie miała szczęście, nie dostanie zapalenia płuc.

– A pani pewnie zaraz powie, że te wszystkie historie to zwyczajne przypadki.

– Nie zamierzam nic takiego mówić. – Kobieta westchnęła. – Nigdy też nie twierdziłam, że w mieście nie dzieje się nic dziwnego. Co więcej, jeśli zamierzasz pytać ludzi o maskotki z zaszytymi ustami albo o krowy uciekające z zamkniętych obór, to nie mam nic przeciwko. Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Owszem, pozwalam ci prowadzić śledztwo w sprawie wydarzeń, które mogą się wiązać z magią. Po to przecież was zatrudniliśmy. Ale nie życzę sobie, żebyś wtrącała się w sprawy milicji. Rozumiesz?

– Chyba tak – bąknęła Nina, odrywając wreszcie dłonie od szklanki. Herbata zresztą i tak już wystygła. – A jeśli jedno łączy się z drugim?

– Twoim zdaniem się łączy?

Dziewczyna milczała, rozdarta pomiędzy nieufnością a chęcią opowiedzenia o córce Pietrzyckiego.

– Nie wiem – powiedziała wreszcie, czując niejasno, że znów przemawia przez nią głupi upór. – Może się okazać, że tak.

– To wtedy będziemy się tym martwić, na razie niech każdy zajmuje się tym, co do niego należy. Jutro macie wolne, ostatnio ciężko pracowaliście, więc należy się wam trochę odpoczynku. Jeśli chcecie, możecie pochodzić po mieście i popytać ludzi. Może ktoś będzie coś wiedział o tych wszystkich incydentach.

– I o kobiecie w czerni – dodała Nina, a pani Ewa skinęła głową.

– Tylko nie rób sobie za dużych nadziei. Ta kobieta to najprawdopodobniej miejscowa wariatka, a dziwne zdarzenia mogą mieć zupełnie zwyczajne wyjaśnienia.

– Na przykład jakie?

Opiekunka wzruszyła ramionami.

– Żadna z nas nie słyszała tych opowieści z pierwszej ręki, za każdym razem to były plotki, które ktoś opowiedział komuś. A takie plotki zawsze rosną i w końcu historia niewiele ma wspólnego z tym, co było na początku. Może Jan Maciąg upił się, zapomniał zamknąć drzwi obory i dlatego krowa uciekła, pani Anieli coś się z tym pokojem na strychu pomieszało, a Zosia, jak to dziecko, pobiegła gdzieś w las, żeby się bawić, a potem bała się lania, więc okłamała rodziców. Każda z tych wersji jest znacznie bardziej prawdopodobna niż działanie czarów.

– Dziękuję – odparła Nina sztywno. – Z pewnością wezmę to pod uwagę.

Wieczorem, kiedy pozostała trójka wróciła do pensjonatu, zebrali się wszyscy w pokoju dziewczyn.

– Jak było? – Nina zagadnęła Jacka, który usadowił się wygodnie na łóżku Tamary, wyjął z kieszeni kanapkę i wbił w nią zęby.

– W porządku – odparł. – Wiesz, oni trochę zadzierają nosa, bo są starsi, ale w sumie okazali się całkiem mili.

– Nie dali wam nic do jedzenia? – Patrzyła z ciekawością na chłopaka pochłaniającego chleb z kiełbasą.

– Dali – odparł z pełnymi ustami. – Ciasto rabarbarowe, bardzo dobre. Ale człowiek potrzebuje też zjeść coś konkretnego, nie?

Tak czy inaczej Jacek nie wyglądał na przesadnie zachwyconego, co w jakiś sposób poprawiło Ninie humor. A kiedy chwilę później jej opowieść o pogrzebie, Czarnej Damie i maskotce zrobiła na wszystkich odpowiednie wrażenie, wspomnienie porannego upokorzenia zupełnie się zatarło.

– Coś w tym może być – przyznał Hubert, kiedy skończyła mówić. – Chociaż z drugiej strony pani Ewa ma rację: w takich historiach ludzie robią z igły widły. A założę się, że w każdym małym miasteczku jest co najmniej jedna wariatka.

W pokoju zapadła cisza, bo wszyscy prawdopodobnie pomyśleli o matce Huberta. Dopiero po chwili odezwała się Tamara:

– Moim zdaniem warto to sprawdzić. Nawet jeśli te wszystkie opowieści okażą się bujną, przynajmniej będziemy się dobrze bawić. A jutro i tak nie mamy nic lepszego do roboty.

– Nie spotykacie się z Jankiem i Staszkiem?

– Dostali szlaban, podobno dlatego, że zaczepiali ostatnio jakiegoś chłopaka.

– A Iza ma jutro wizytę starej ciotki – dodał Hubert z wyraźnym żalem.

– Co oznacza – Tamara wyszczerzyła radośnie zęby – że możemy w tym czasie pochodzić trochę po mieście i popytać. Kto jest za?

Wszyscy podnieśli ręce, potem zajęli się ustalaniem strategii, a jeszcze później grali w karty i wygłupiali się, opowiadając sobie nawzajem straszne historie. Jak prawdziwa drużyna, myślała Nina, kiedy leżała już w łóżku. Słuchając uderzającego w okna wiatru, zasypiała całkiem tego wieczoru szczęśliwa.

Po śniadaniu Jacek ruszył w stronę kuchni – umówił się dziś na lekcję robienia naleśników, a przy okazji zamierzał wypytać panią Kociubę o kobiety w czerni i dziwne incydenty.

Pozostała trójka poszła do centrum i tam się rozdzieliła: Tamara powędrowała w kierunku kościoła, Hubert wszedł do znajdującej się na rynku kawiarenki, a Nina po chwili wahania podeszła do frontowej

ściany pałacu. Podziwiała go, trochę dlatego, że naprawdę jej się podobał, a trochę po to, by w ten sposób odwlec chwilę, kiedy będzie musiała zacząć wypytywać ludzi. W takich sytuacjach zazdrościła Hubertowi i Tamarze: chłopak miał talent aktorski, a dziewczyna wystarczająco dużo bezczelności, w rezultacie czego oboje radzili sobie zdecydowanie lepiej niż Nina.

Westchnęła i już miała się odwrócić, kiedy drzwi pałacyku otworzyły się niespodziewanie i wyszedł z nich mężczyzna wyglądający jak rozbójnik: z gęstą, czarną brodą i ponurym wzrokiem. Miał na sobie wypchane na kolanach spodnie i poplamiony farbą sweter.

– Co się tak gapi? – Spojrzał nieźyczliwie. – Wejść do środka się nie da, teraz wszystko przygotowujemy. Przed dwudziestym szóstym.

– Ja tylko... tylko się przyglądam. To bardzo piękny przykład baroku.

Mężczyzna obrzucił dziewczynę jeszcze jednym nieźyczliwym spojrzeniem.

– A o baroku coś wie?

– Wiem – odparła Nina.

Po czym udowodniła, że wie, a w miarę jak mówiła, spojrzenie czarnobrodego łagodniało coraz bardziej.

– Uczy się, to dobrze – powiedział, kiedy skończyła.

Dziewczyna wpadła w lekką panikę: teraz, kiedy udało jej się zyskać przychylność tego dziwnego mężczyzny, powinna wykorzystać sytuację i go wypytać.

– Co tu będzie dwudziestego szóstego? – Przypomniała sobie znalezione przez Jacka ulotki. – Jakaś uroczystość?

– Uroczystość, tak. Nic nie wie? Przyjezdna jest?

– Owszem, przyjechaliśmy na ferie i wie pan, zbieramy miejscowe ciekawostki. Takie zadanie ze szkoły i dlatego chciałam zapytać... Parę razy widziałam w miasteczku kobietę ubraną na czarno w takim bardzo staroświeckim stylu.

– Ach, pani Michajło. – Spod brody wykwitł szeroki uśmiech. – Wszyscy ją tu znają. Wie, że ona była kiedyś właścicielką tego pałacu?

– Nie wie. – Nina ledwo wierzyła we własne szczęście. – To znaczy

nie wiem – poprawiła się, bo styl brodacza okazał się wysoce zaraźliwy.

– Przed wojną tu Szczerbscy mieszkali, a ona z domu jest właśnie Szczerbska. A po wojnie, wiadomo, wszystko się zmieniło. Większość rodziny za granicę wyjechała, do Francji chyba, u nas tylko najmłodsza córka została, z synkiem, wtedy jeszcze całkiem małym. Ona nawet się starała, żeby ten pałac jej zostawili, ale gdzie tam, powiedzieli, że państwowe ma być i koniec. A już wtedy była dziwaczką: z dawnych czasów został jej wielki kufer z ubraniami i nosiła je, piątek czy świątek, w lecie koronki, w zimie futra. I chłopca też ubierała jak księżątko. Inne dzieci się z niego śmiały, ale jemu to nie przeszkadzało. To takie ciche dziecko było, ale miłe, uważne. Wiktor miał jednego przyjaciela, takiego czarnowłosego, z zielonymi oczami, nie pamiętam imienia. Byli jak papużki nierozłączki, zawsze razem. Często przychodzili do pałacu i Wiktor oprowadzał tego drugiego, zupełnie jakby był panem na włościach. Ten chłopiec kochał przeszłość i nauczył swojego przyjaciela, żeby też ją kochał. A potem przyjaźń się skończyła.

– Kiedy Wiktor zmarł – szepnęła Nina, ale brodacz machnął ręką.

– Gdzie tam zmarł. Chłopak ma się dobrze, tyle że jego matce klepki do reszty się poluzowały. – Mężczyzna wykonał charakterystyczny gest w okolicy czoła. – Jej zdaniem syna coś podmieniło.

– Nie rozumiem.

– Ano, poszedł do lasu i wrócił ponoć zupełnie nie ten sam. To nie moje dziecko, powiedziała i najpierw chłopaka z domu wyrzuciła, a potem zaczęła księdza męczyć, żeby, skoro to już nie jej Wiktor, tylko jakiś nowy, pochowali tego starego. No, alem się rozgadał. – Brodacz spojrział na zegarek. – Niech wraca, bo rodzice będą się martwić.

Nina chciała wyjaśnić, że nie przyjechała tu z rodzicami, ale mężczyzna już zawrócił do pałacu i zamknął za sobą drzwi.

Potem rozmawiała jeszcze ze staruszką karmiącą na rynku gołębie, mężczyzną na ławce w parku i kobietą pilnującą grupy małych dzieci, które na placu zabaw lepiły niekształtnego bałwana. I choć używała

całego swojego wdzięku „grzecznej dziewczynki” (rozsądnie uznawszy, że w tej chwili to jej jedyny atut), każda z tych rozmów kończyła się klęską. Staruszka była miła, ale chciała tylko opowiadać o wnukach, mężczyzna na ławce ewidentnie miał kaca i odpowiadał półsłówkami, a kobieta z placu zabaw poradziła Ninie, by zajęła się własnymi sprawami. Mimo to dziewczyna wracała do pensjonatu w poczuciu odniesionego sukcesu. Jakkolwiek by na to patrzeć, i tak udało jej się dużo dowiedzieć.

– Zgadza się, kobieta w czerni to Helena Michajło, córka byłych właścicieli pałacu – potwierdziła Tamara, kiedy czekali na obiad. – To znaczy córka właścicieli, chyba trzecia z kolei. Wszystko jedno. W każdym razie zupełnie ostatnio zwariowała. Twierdzi, że jej syn wcale nie jest jej synem.

– Nieprawda – wtrącił się Jacek. – Pani Kociuba powiedziała, że ta cała Michajło ma rację. Wiktor naprawdę zmienił się nie do poznania, nawet fizycznie.

– Jest teraz tak potwornie brzydki, że musi ukrywać twarz pod kapturem – wtrącił Hubert. – No co? Tylko powtarzam, co mówią ludzie.

– A wiecie, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? – Jacek powiódł po reszcie triumfalnym spojrzeniem. – Helena Michajło jest sąsiadką Pietrzyckiego. No wiecie, to ten facet, który znalazł w lesie samochód. Mieszkają w jednej klatce schodowej: Pietrzyccy na piętrze, a Michajło na parterze. I Wiktor przyjaźnił się z synem Pietrzyckiego.

– To by się zgadzało. – Nina przypomniała sobie kobietę w czerni wchodzącą do kamienicy, w której mieszkali Pietrzyccy. – I w jakiś sposób to mogłoby też wyjaśniać, o co chodziło z tą maskotką.

– Niby o co? – zdziwiła się Tamara.

– Może Michajło uznała, że skoro nie może pogrzebać syna, to pochowa chociaż jego ulubioną maskotkę, i dlatego włożyła do trumny pluszowego pieska. Wiecie, taki symboliczny gest.

A wcześniej dała lalkę Wiktora córce Pietrzyckiego. Ludzie często oddają zabawki, kiedy dzieci z nich wyrastają.

– Wiktor bawił się lalkami, kiedy był mały?

– Czemu nie?

– I zaszywał im usta? Po co?

– Tego jeszcze nie wiem – przyznała Nina. – Ale chciałabym pogadać z Wiktorem albo z tym jego najlepszym przyjacielem. Ktoś wie, jak on ma na imię?

– Marcin – podsunął Jacek, który okazał się najlepiej poinformowany. – Ale on teraz podobno rzadko w domu bywa. Ciągłe tylko się gdzieś włóczy.

– A Wiktor w ogóle w domu nie mieszka...

– ...bo matka go wyrzuciła, kiedy się zmienił. Powiedziała, że nie chce mieszkać pod jednym dachem z obcym człowiekiem.

Popatrzyli na siebie uważnie, a Nina niemal namacalnie poczuła, jak w jadalni rośnie napięcie. Atmosfera zrobiła się nieco złowieszcza, zaraz jednak złagodził ją zapach rosółu, wniesionego właśnie przez panią Kociubę.

– Chyba możemy uznać, że zmiana Wiktora to pierwszy z dziwacznych incydentów trapiących to miasto – stwierdził Hubert, kiedy gospodyni wróciła do kuchni.

Tamara uniosła brew.

– Trapiących? – powtórzyła z niedowierzaniem.

Pozostała dwójka zwyczajnie skinęła głowami.

– Ktoś słyszał jeszcze o czymś dziwnym? – zapytała Nina, na co posypały się opowieści, przerywane od czasu do czasu dmuchaniem w gorącą zupę i siorbaniem.

Ktoś zgubił traktor, komuś innemu na parę godzin zniknęła niedawno wykopana studnia. Jedenastoletni Szczepan złamał nogę i przysięgał, że drzewo, na którym siedział, rozwiało się jak dym. Para dzieci trafiła w lesie do starej chaty, której nie powinno tam być, bawiła się pół dnia, a kiedy rodzice usiłowali chatę odnaleźć, już jej nie było. Mnóstwo osób straciło poczucie kierunku i błądziło, idąc prostą, dobrze znaną drogą.

A co najdziwniejsze, nikt, poza może panią Kociubą, nie chciał

o tym wszystkim mówić. Nastolatki słyszały różne plotki, ale kiedy próbowały wypytywać, rozmówcy nagle nabierali wody w usta. Zupełnie jakby wiedzieli, skąd te incydenty się brały. Albo przynajmniej podejrzewali.

Pani Kociuba przyniosła drugie danie, znowu przerwali więc rozmowę i zajęli się mięsem w sosie musztardowym.

– Spróbujmy nanieść te zdarzenia na mapę, może to nam coś da – zdecydował Jacek, a pani Ewa z sąsiedniego stolika posłała im spojrzenie, które równie dobrze mogło być rozbawione, jak i pełne uznania (Nina wołała wierzyć w to drugie).

W jadalni była jeszcze jedna osoba: Janusz Klimsza, który wszedł w połowie obiadu, a potem usiadł jak zwykle w kącie, zasłonięty wielką płachtą gazety. Na stoliku, obok talerza z zupą, leżała nieodłączna teczka mężczyzny.

Nina sądziła, że ornitolog nie zwraca na nich uwagi, myliła się jednak. Po obiedzie, gdy została, żeby odnieść talerze, Klimsza wychynął zza swojej gazety i podszedł do dziewczyny.

– Proszę o wybaczenie, ale słyszałem przypadkiem waszą rozmowę – powiedział. – Czy się mylę, zakładając, że interesujecie się panią Heleną Michajło?

– Nie myli się pan.

– A czy będzie nietaktem z mojej strony, jeśli zapytam, dlaczego interesuje was ta pani?

Nina wzruszyła ramionami.

– Jest dość dziwaczna.

– Oczywiście. – Klimsza przytaknął. – Młódzież interesuje się wszystkim, co odbiega od normy, to zrozumiałe. Prowadzicie śledztwo, zgadza się? Sam się tak bawiłem, kiedy byłem w waszym wieku. Chciałem nawet, żeby mama kupiła mi kraciastą czapkę z daszkiem i wielką lupę, niestety... Ale ciebie nie obchodzą moje młodzieńcze przygody.

Dziewczyna milczała. Uznała, że ornitolog zaraz sobie pójdzie, jednak mężczyzna uparcie tkwił w jadalni.

– Czy będę natrętny, jeśli zapytam, czego udało się wam dowiedzieć? Chciałbym posłuchać i powspominać trochę młode lata.

Ot, taki kaprys starego człowieka.

Nina zawahała się. Klimsza był obcy, owszem, i nie budził szczególnego zaufania, ale przecież nie mieli powodów, żeby ukrywać przed nim wyniki śledztwa. Zwłaszcza że każdy, kto od jakiegoś czasu przebywał w miasteczku, mógł się dowiedzieć tego samego. Streściła więc pobieżnie całą rozmowę, podczas gdy Klimsza kiwał z powagą głową.

– Bardzo interesujące – powtarzał. – Tak, zdecydowanie interesujące.

– ...gdyby więc przypadkiem dowiedział się pan, gdzie znaleźć Wiktora albo Marcina, to proszę nam powiedzieć. – Uznała, że nie zaszkodzi spróbować, choć wątpiła, by starszy mężczyzna na cokolwiek się przydał.

– Powiem, oczywiście. Widziałem raz czy dwa razy tych młodych ludzi i zawiadomię cię, jeśli któregoś z nich spotkam.

Mapy nie mieli, ale Jacek wyprosił u gospodyni kilka arkuszy papieru i pudło kolorowych kredek, po czym naszkicował całkiem zgrabny plan miasta. Potem czerwonymi kropkami zaznaczyli miejsca dziwnych incydentów, przynajmniej tych, o których wiedzieli, gdzie mniej więcej się zdarzyły. Gdy mapa była gotowa, patrzyli na nią przez dłuższą chwilę, marszcząc brwi.

Czerwone kropki otaczały miasteczko, tworząc niemal idealne koło.

– Te dziwne rzeczy dzieją się zawsze na obrzeżach, nigdy w centrum – powiedziała Tamara. – Jakby... Sama nie wiem.

– Jakby ktoś tworzył wokół Wilczych Dołów kordon – podpowiedziała Nina.

– Kordon z tajemniczych zdarzeń? – Jacek był pełen wątpliwości. – Jaki to ma sens?

– Nie mam pojęcia. – Tamara wzruszyła ramionami. – Ale możemy się przejść i sprawdzić. Co wy na to, żebyśmy pochodzili trochę po obrzeżach miasta, każde w innym miejscu? Może na coś trafimy.

– Dobry pomysł – uznał Hubert.

Jacek wyglądał na nieco bardziej sceptycznego, ale on również się zgodził. Prawdopodobnie żeby nie wyjść na tchórza, pomyślała Nina, której zabrakło odwagi, by zaprotestować, choć już wtedy podejrzewała, że ten pomysł nie jest wcale dobry, tylko zwyczajnie bardzo, bardzo głupi.

Tkwiała na środku polnej drogi, z lasem po jednej stronie i rozpadającą się chałupą po drugiej. Wokół nie było żywego ducha, tylko z oddali dobiegało ujadanie psa, a podmuchy coraz ostrzejszego wiatru podrywały ze ścieżki drobinki śniegu.

Czemu, u licha, dała się na to namówić?

Po pierwsze, nie powinni się rozdzielać.

Po drugie, nie znali terenu, łatwo więc mogli się zgubić.

A po trzecie, jak, u licha, mieli rozpoznać, że coś się zmieniło, skoro żadne z nich wcześniej na obrzeżach Wilczych Dołów nie było? Z wyjątkiem okolic pensjonatu oczywiście, ale tam, o ile Nina wiedziała, na razie nic dziwnego się nie zdarzyło.

Przestąpiła z nogi na nogę, czując, jak marzną jej stopy. Kolejny podmuch wiatru uderzył ją w plecy, niosąc ze sobą lekki zapaszek gnoju – niewątpliwy znak, że obrzeża zdecydowanie bardziej przypominały wieś niż miasto.

Patrzyła podejrzliwie na rozpadającą się chałupę, zastanawiając się, czy nie jest to przypadkiem jeden z tych tajemniczo pojawiających się i znikających obiektów. Ale chata wyglądała... zwyczajnie. Ot, typowa wiejska chałupa, z krzywym płotem i pochyłym dachem.

Skrzypnęły drzwi, w progu stanęła zgięta wpół staruszka, małeńka i na pierwszy rzut oka tak wiekowa, jakby niedawno obchodziła setne urodziny. Rozejrzała się, po czym wolniutko podreptała w stronę wychodka z wyciętym w drzwiach serduszkiem.

Nina ruszyła naprzód, pocieszając się myślą, że nawet jeśli ktoś z pozostałej trójki wpakuje się w kłopoty, to sobie poradzi. Ostatecznie przeżyli razem tyle, że byli zdecydowanie bardziej zaradni niż przeciętne nastolatki. Jacek, przy wszystkich swoich

wariackich pomysłach, w kryzysowych sytuacjach potrafił wykazać się rozsądkiem, Tamara była ostatnią osobą, o którą można by się martwić, Hubert...

Hubert, podobnie jak Nina, miał moc, a nadciągające z zachodu chmury jasno zapowiadały, że lada moment będzie padać.

Zaczynało się ściemniać i odległe drzewa rozmywały się powoli w mroku, kiedy usłyszała za plecami odgłos kroków. Przystanąła i walcząc z irracjonalną chęcią ukrycia się w lesie, spojrzała w tył.

Ścieżką pędził Janusz Klimsza, z przekrzywionymi okularami i w eleganckich butach, które z całą pewnością nie nadawały się na wiejskie wertepy.

– Ale ty prędko chodzisz – sapnął. – Wiem, gdzie jest Marcin Pietrzycki. Szybko, trzeba się spieszyć, jeśli chcemy go dogonić.

– Poszedłem po obiedzie szukać Marcina, tak jak obiecałem, i właśnie go zobaczyłem, jak wchodził w las. A twój kolega, ten tęgi...

– Jacek – odpowiedziała odruchowo.

– ...spotkałem go niedaleko drogi na Legnicę i on mi powiedział, gdzie cię znajdzie.

Dziewczyne nieco to wszystko zdziwiło. Owszem, Klimsza wspomniał, że postara się jej pomóc, ale w życiu by nie przypuszczała, że stary ornitolog potraktuje obietnicę tak bardzo serio, że będzie szukał Marcina, a potem jeszcze biegał za Niną po mieście. Czemu miałyby to robić? Z drugiej strony: czemu nie? Może po prostu się nudził, i tyle. Stłumiła podejrzenia i szła za mężczyzną w gęsto sypiącym śniegu, czując w tyle głowy uspokajające pulsowanie mocy.

Klimsza prowadził ją wiejską drogą, skręcając w coraz bardziej odludne rejony, aż wreszcie zatrzymał się przed ciemną ścianą lasu.

– To tutaj – oznajmił, wskazując znikającą między drzewami ścieżkę. – Ja dalej nie pójdę, takie wertepy to nie na moje stare kości. Tylko musisz się spieszyć.

Uśmiechnął się przepaszająco, ale wyglądał przy tym na...

zdenerwowanego? Może nawet wystraszonego. Tak, Klimsza zdecydowanie się czegoś bał. Nina nic z tego nie rozumiała, a jej podejrzenia, że coś tu jest mocno nie w porządku, zamieniły się właśnie w pewność.

Może to pułapka? Może w lesie czekało na nią coś strasznego?

– Proszę... – jęknął. – Trzeba się spieszyć.

Śnieg wciąż padał miękkimi, białymi płatkami, które sypały się w ciszy jak opadający z nieba popiół.

– To ważne – szepnął, a błaganie w jego głosie było tak natarczywe, że Nina odwróciła się i weszła w las, tam gdzie między drzewami połyskiwała zamarznięta tafla jeziora.

Rozdział dziewiąty, w którym Nina zadaje mnóstwo pytań, ale na żadne nie otrzymuje odpowiedzi.

*Na prawo most, na lewo most,
a dołem Wisła pływynie...*

– Udało się! – wrzasnął Jacek, chwytając Ninę w pól i tańcząc z nią taniec zwycięstwa.

Wydobywające się z radia dźwięki brzmiały chrapliwie, w głośniku trzeszczało i szumiało, ale niewątpliwie usłyszeli właśnie ludzki głos.

– Prognoza pogody... Przewidywane dalsze opady śniegu na południu Polski...

Chłopakowi zrzędała mina. Nina opadła na fotel obok Marcina, który od pół godziny sceptycznie przyglądał się ich próbom uruchomienia radia.

– Naprawdę myślicie, że dzięki temu można się skontaktować z kimś z zewnątrz? – zapytał, a Jacek gorliwie pokiwał głową.

– Jasne, musimy tylko złapać odpowiednią częstotliwość.

Na piecu gotowała się zupa kartoflana, a w ciepłej kuchni roznosił się już intensywny zapach wędzonki. Nie mieli co prawda śmietany ani majeranku, ale w takiej sytuacji nikt nie zamierzał narzekać. Nawet Marcin, kiedy dowiedział się, co będzie na obiad, burknął „dzięki”, a potem dodał, żeby nie zapomnieli o resztkach dla psa.

Jacek z zapałem manipulował pokrętłami radiostacji. Nina wyszła i wróciła po chwili, niosąc dwie lalki – jedną szmacianą, z zaszytymi ustami, a drugą z porcelany: u tej szew na ustach namalowany był czarnym tuszem.

Podeszła do Marcina.

– Chciałam cię zapytać, co o tym wiesz?

Chłopak drgnął lekko na widok zabawek, zaraz jednak się opanował. A może Ninie tylko się zdawało, może lalki nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– Niby o czym?

– Tę lalkę – uniosła szmaciankę – znalazłam w pensjonacie, w którym mieszkaliśmy, zanim... zanim straciliśmy pamięć. A tę – pokazała lalkę porcelanową – tutaj. Możesz mi powiedzieć, o co chodzi z tymi zaszytymi ustami?

– Nie mam pojęcia. – Marcin skrzywił się lekko. – To zabawki mojej siostry.

– Masz coś przeciwko, żebym poszła na parter i sprawdziła jeszcze raz mieszkanie, w którym nadziałeś się na szybę?

– Przecież już je widziałas.

– Z zewnątrz, nie od wewnątrz.

– Nadal mi nie wierzysz, co?

Odwrócił twarz. Wciąż był blady, ale zdaniem Niny wyglądał trochę lepiej. W każdym razie potrafił sam przejść kilka kroków, a nawet pójść na podwórko za potrzebą (dziewczyna przyjęła to z nieskrywaną ulgą, bo wolała sobie nie wyobrażać, co by było, gdyby ranny musiał korzystać z nocnika).

– To nie tak – mruknęła. – Po prostu... Powiedzmy, że z natury jestem nieufna.

– To chyba nie masz wielu przyjaciół, co? Z wyjątkiem tego grubasa. – Zniżył głos i skinął głową w kierunku Jacka.

Nina poczerwieniała.

– On jest w porządku.

– Nie mówię, że nie jest. Mówię, że jest gruby.

– Rozumiem, że wszyscy twoi przyjaciele są szczupli i piękni? – Dziewczyna parsknęła. – Bo dobierasz ich według kryteriów estetycznych?

Przez twarz Marcina przemknął skurcz bólu.

– Miałem jednego przyjaciela – powiedział. – Jeśli już musisz wiedzieć. Mieszkał na parterze, w mieszkaniu, które tak bardzo chcesz zobaczyć.

– A teraz już nie jest twoim przyjacielem?

Wzruszył ramionami.

– Ostatnio znalazł sobie lepszych kumpli. I nie chcę o tym więcej rozmawiać, jasne?

To nie ja zaczęłam tę rozmowę, pomyślała Nina, ale ugryzła się

w język.

Mieszkanie numer dwa na parterze było jednym z tych otwartych i nieposprzątanym – prawdę powiedziawszy, panował tu bałagan większy niż w jakimkolwiek innym domu, który Nina dotąd widziała. W zlewie piętrzył się stos brudnych talerzy i garnków, pościel na łóżku była skotłowana i niezbyt czysta, a na krzesłach wisały staroświeckie ubrania: halki, gorsety, suknie z falbankami i długie do kolan pantalone. Kiedyś musiały to być drogie, eleganckie rzeczy, ale teraz wyglądały na mocno zużyte: halki pożółkły, na pantalonach widać było cery, a suknie w niektórych miejscach przetarły się tak bardzo, że przez materiał prześwitywało drewno krzesel.

Nina pokręciła głową. Kto, u licha, tu mieszkał? Jakaś szalona arystokratka?

A potem otworzyła drzwi ostatniego pokoju i zdumiała się jeszcze bardziej.

Pokój wyglądał jak pobojuwisko: rozbity kryształowy wazon, stolik, który najwyraźniej uderzył w ścianę, wybijając w tynku sporą dziurę, i teraz leżał przewrócony w kącie, postrącane z parapetu kwiatki. I rozbite okno oczywiście, z ostrym jak igła odłamkiem, na którym wciąż widniał czerwony ślad.

Pod oknem, obok zaschniętych plam krwi, leżał niewielki czarny przedmiot, który zdawał się pochłaniać światło. Nina pochyliła się. To było wąskie pióro o barwie tak głębokiej, że zakreśliło jej się w głowie. Jakby patrzyła w studnię bez dna albo w bezgwiezdną głębię kosmosu.

Za jej plecami rozległ się warkot. Dziewczyna odwróciła się. W progu, jeżąc sierść, stał Aleks. Pies patrzył na okno, a z jego gardła wydobywał się niski, monotony odgłos, podobny do dźwięku pracującego silnika.

– Wszystko w porządku, piesku. Nie ma się czego bać – powiedziała niepewnie. Aleks zezował lekko, a Ninie wciąż się wydawało, że warczy na nią.

– Co tu się stało? Powiesz mi? – Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła zjeżonej sierści. Zwierzę drżało wyraźnie, ale warczenie stało się jakby trochę cichsze.

– Już dobrze – mruzczała uspokajająco. A przynajmniej miała nadzieję, że uspokajająco. – Cokolwiek tu było, już tego nie ma.

Pogłaskała psa, ostrożnie przeciągając dłonią wzdłuż boku. Raz, a potem drugi. Za trzecim, gdy dotknęła wrażliwego miejsca za uchem, poczuła wilgoć, a kiedy uniosła rękę do oczu, zobaczyła na palcach krew.

– Aleks jest ranny – powiedziała, kiedy już zaciągnęła Jacka do pokoju: nie tego, w którym znaleźli Marcina, tylko drugiego, gdzie zgromadzili zapasy niemieszczące się w kuchni. – Myślisz, że on też się skaleczył, przechodząc przez okno?

– Ale ty uparta jesteś. To nie jest żadna rana, tylko zwyczajne zadrapanie. Może czołgał się pod jakimś ogrodzeniem i trafił na kawałek drutu albo coś w tym rodzaju.

– Albo Marcin kłamie. Zejdź na dół i obejrzyj sobie ten pokój z wybitą szybą. On wygląda... – Przez chwilę szukała właściwego słowa – jakby ktoś tam stoczył walkę na śmierć i życie. I co powiesz o tym? – Sięgnęła do kieszeni spodni. – To nie jest zwyczajne ptasie pióro. Musiał je zgubić jakiś anioł.

Chłopak spojrział na pióro, ale nie wziął go do ręki.

– Czemu nie zapytasz Marcina, co tam się stało?

Wzruszyła ramionami.

– Bo mam dosyć wysłuchiwania jego kłamstw. Moim zdaniem...

Zanim jednak Jacek zdążył poznać zdanie Niny, z kuchni rozległ się słaby okrzyk:

– Hej, czy kogoś jeszcze interesuje to radio? Bo ktoś się wreszcie odezwał!

– Tu Wojska Ochrony Pogranicza, podajcie swoją pozycję. Tu Wojska Ochrony...

– Jesteśmy w Wilczych Dołach! – wrzasnął Jacek.

– Niedaleko rynku – dodała Nina, niejasno zdając sobie sprawę z tego, że to chyba nie jest właściwe oznaczenie pozycji.

– Tu Wojska Ochrony Pogranicza...

– Ulica Rycerska! Środek miasta! Potrzebujemy pomocy! – Jacek darł się do mikrofonu. – Jesteśmy tu całkiem sami i nie możemy wydostać się z miasta!

– I mamy jednego rannego – dodała Nina.

– Przyjąłem, jeden ranny... Potrzebna pomoc... – Głos zanikł, pochłonięty przez serię trzasków i szumów.

Nina rzuciła Jackowi niepewne spojrzenie.

– Myślisz, że zrozumieli? I nas znajdą?

– Mam nadzieję – mruknął chłopak, ocierając czoło. – Cholera, wygląda na to, że nam się udało. Przyjadą po nas.

Oczy Niny rozbłysły, ale dziewczyna zaraz zmarkotniała.

– Jeśli pogoda znowu się nie popsuje.

Jacek spojrział na nią ponuro.

Zjedli kolację, nakarmili psa, a potem czekali.

Przez cały następny dzień na zmianę to grali w karty, to znów wychodzili na balkon, by wypatrywać wojskowego samochodu. Nina w wyobraźni słyszała już nawet odgłos pracującego silnika. Cisza jednak była irytująco idealna, bez śladu dźwięku, który mógłby okazać się warkotem nadjeżdżającej ciężarówki. A mina Jacka wydłużała się z każdą chwilą coraz bardziej.

Kiedy zapadł zmrok, chłopak zabrał się do przygotowywania kolacji, a Ninie udało się złapać w radiu stację nadającą zagraniczną muzykę. Zjedli więc kaszę ze skwarkami przy dźwiękach jazzu, a talerze myli do wtóru czegoś, co nazywało się ragtime. Potem nagrzali jeszcze więcej wody w wielkim garze, który służył do wekowania słoików, i umyli się w zimnej łazience.

Marcin prawie cały czas spędził w fotelu przy piecu. Rzadko się odzywał, a kiedy Nina i Jacek wracali z balkonu, za każdym razem witał ich sceptycznym spojrzeniem.

– Nie chcesz, żeby nas stąd zabrali? – zapytała w pewnym momencie Nina, ale chłopak odwrócił tylko twarz i burknął coś, co brzmiało jak „Wszystko mi jedno”.

Po dziesiątej postanowili się położyć: Marcin w kuchni, na materacu, Nina i Jacek w sąsiedniej sypialni, która nagrzała się trochę przez ścianę. W drugim pokoju na podłodze wciąż rozlewała się plama krwi, a do trzeciego nie próbowali nawet wchodzić.

– Myślisz, że jutro po nas przyjadą? – zapytał Jacek.

Nina odparła, że tak, jutro już na sto procent.

W nocy obudziło ją szarpanie za ramię. Otworzyła oczy, tym razem od razu przytomna, niemal spodziewając się, że dach znowu zawali im się na głowy.

– Co...?

– To Marcin – szepnął Jacek. – Widziałem, jak gdzieś wychodził.

Nina zerwała się z materaca. Ubierali się w żółtym blasku latarki, która rzucała na ścianę ruchliwe cienie.

– Pośpiesz się – syknął chłopak, jak zwykle szybszy. – Bo go zgubimy.

Wsunęła buty na bose stopy i wybiegli z mieszkania. Noc była jasna, gwiazdy srebrzyły świeżo spadły śnieg, zmieniając zwyczajną ulicę w roziskrzoną mleczną drogę. Na tym tle czarna sylwetka Marcina była doskonale widoczna – chłopak poruszał się powoli, z trudem, ale pewnie, jakby doskonale wiedział, dokąd idzie.

Do kościoła, pomyślała Nina. On idzie do kościoła, na spotkanie z aniołem. W piżamie, bo widziała doskonale paski wystających spod kurtki spodni. Co mu, u licha, odbiło?

Marcin przystanął i pochylił się – przez chwilę dziewczyna sądziła, że chłopak się przewróci, ale nie, szedł dalej, choć teraz jeszcze wolniej i z jeszcze większym trudem.

– Nie da rady – szepnął Jacek, który najwyraźniej myślał o tym samym. – Co zrobimy, jak zemdleje?

Nie odpowiedziała, bo Marcin był już bardzo blisko kościoła, a na

wieży, widziała to wyraźnie, stał anioł, wyglądający w świetle księżyca jak posąg wykuty w marmurze. Miał na sobie białą, powiewającą szatę, w ręku trzymał coś, co bardzo przypominało miecz, ale – Nina świetnie zdawała sobie z tego sprawę – mieczem wcale nie było.

A potem sfrunął na ziemię, rozkładając skrzydła, jakby przez całe swoje anielskie życie nie robił niczego innego poza majestatycznym spływaniem z kościelnych wież. Nina wstrzymała oddech. Anioł podszedł do Marcina, a chłopak pochylił głowę: może z szacunku, a może zwyczajnie dlatego, że był skrajnie wyczerpany.

Rozmawiali przez chwilę, ale Nina i Jacek z miejsca, w którym się zatrzymali, nie usłyszeli ani słowa. Widzieli tylko, że Marcin pochyla się coraz bardziej i bardziej, jakby przygniatało go to, co słyszy. Wreszcie anioł dodał coś, unosząc się na palcach (Nina prawie usłyszała podniesiony ton jego głosu), po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Marcin wrócił do domu. Zajął mu to prawie pół godziny, ale wrócił. Upadł dopiero na klatce schodowej, niemal dokładnie w miejscu, w którym rozlewała się zaschnięta już plama krwi.

– I co teraz? – zapytała nerwowo Nina, kiedy już jako tako ocucili chłopaka, zaprowadzili go na piętro i położyli na materacu w ciepłej kuchni.

W świetle wpełzającego przez okno zimowego świtu twarz Marcina przybrała niezdrowy szary kolor. Dziewczyna miała wyrzuty sumienia, że nie podeszli do niego wcześniej, kiedy brnął przez śnieg. Czemu o tym nie pomyśleli? Bo podobało im się całe to śledzenie? Bo Marcin wydawał im się wtedy nie wymagającym pomocy rówieśnikiem, tylko kimś groźnym i tajemniczym, kogo należy z daleka obserwować?

– Nie wiem – szepnął Jacek. – Zajrzałem pod bandaż i rana wygląda w porządku, nie otworzyła się ani nie zaczęła ropieć. Ale on chyba ma gorączkę.

Nina dotknęła czoła chłopaka. Miał gorączkę.

– Stracił wcześniej sporo krwi – powiedziała. – I przemarzył, to znaczy teraz i wcześniej pewnie też.

– Łażąc za nami po nocach – mruknął Jacek. – Jasne.

Marcin leżał na materacu z zamkniętymi oczami, oddychając płytko. Nina nie była pewna, czy chłopak ich słyszy ani czy w ogóle jest przytomny.

– Potrzebuje aspiryny – powiedziała.

– Może tu się coś znajdzie? – Jacek rozejrzał się bezradnie po zagraconej kuchni.

Nina skinęła głową: oni wpadli na to, żeby zabrać z apteki trochę lekarstw, to może Marcin pomyślał o tym samym. Zresztą w każdym domu były jakieś tabletki.

Zaczęli szukać, najpierw w kuchni, potem w pokojach: Jacek wziął na siebie przeszukiwanie tego zakrwawionego, Nina zajęła się sypialnią. Przejrzała wielką przedwojenną szafę, ale znalazła głównie stosy zimnych prześcieradeł, obrusów i ręczników. W szufladzie leżała starannie złożona bielizna, obok w odpowiednich przegródkach koszulki, swetry i spodnie, wyprane, wyprasowane i pachnące kulkami na mole.

– Masz coś? – krzyknęła do Jacka.

– Na razie nic! – odpowiedział.

Ale był przecież jeszcze jeden pokój, ten na końcu korytarza, do którego wcześniej nie zaglądali. Może tam znajdą lekarstwa.

Nina podeszła, nacisnęła klamkę i została tak, stojąc z głupią miną, bo drzwi okazały się zamknięte na klucz.

Czemu, u licha, ktoś miałby zamykać pokój we własnym mieszkaniu?

– Mam! – wrzasnął tymczasem Jacek. – Były obok ulotek.

– Jakich ulotek? Tych, które widzieliśmy wcześniej?

– Aha. Tylko tu jest ich mnóstwo. Cała szuflada.

– Przynieś jedną.

– Beznadziejna jesteś, wiesz? Jeśli ta krew tak bardzo ci przeszkadza, to mogłabyś zmyć podłogę.

Jacek wynurzył się z pokoju i wcisnął w rękę Niny kawałek

papieru. Dziewczyna schowała do kieszeni znajomą ulotkę, a potem wróciła do kuchni.

W południe Marcin nadal był rozgorączkowany i na wpół przytomny. Nina i Jacek od czasu do czasu podawali mu wodę, ale poza tym niewiele mogli zrobić. Radio wciąż wydawało z siebie serię trzasków i szumów, przez które przebijały się z trudem strzępy popularnych piosenek i informacje o pogodzie (w tym ostrzeżenie o nadciągającej śnieżycy), niebo wciąż było obrzydliwie błękitne. Bez apetytu zjedli drugie śniadanie, a potem w ponurych nastrojach siedzieli przy piecu.

– Zdążą, zanim załamię się pogoda – powiedział Jacek po raz chyba piąty z rzędu. – Zobacysz. Poza tym wcale nie jest powiedziane, że ta śnieżycyca będzie. Prognozy ciągle się mylą.

Nina przytakiwała mechanicznie.

– Myślisz, że anioł mógłby nam pomóc? – zapytał. Do tego tematu też już wracali kilka razy, ostatecznie nie dochodząc do żadnych sensownych wniosków. – Z Marcinem rozmawiał, a to znaczy...

– Że jest nastawiony przyjaźnie? Nie byłabym tego taka pewna. Założę się, że to on wszedł przez okno i zaatakował Marcina.

– Mieczem?

– To nie miecz, tylko...

Ranny poruszył się i jęknął, a pozostała dwójka spojrzała na niego niespokojnie.

– W każdym razie chyba za bardzo nie mamy wyjścia. – Jacek zniżył głos. – Jeśli po nas nie przyjadą...

Urwał, z powrotem pogrążając się w ponurym milczeniu. Żadne z nich nie miało ochoty myśleć, co będzie, jeśli wojsko jednak się nie pojawi.

– Chciałabym wiedzieć, co tu się dzieje – mruknęła Nina. – Naprawdę bardzo bym chciała.

Marcin jęknął jeszcze raz, tym razem głośniej. Dziewczyna uklękła przy materacu i przytknęła do warg chłopaka kubek z wodą.

– Przepraszam, że nie pomogliśmy ci wcześniej – powiedziała

cicho. – Ale ty też nie byłeś wobec nas w porządku. Czemu nie powiedziałeś prawdy, kto cię zranił? O czym rozmawiałeś z tym aniołem i kim on w ogóle jest? To jego sprawka, prawda? Znaczący, całe to zniknięcie mieszkańców miasta? Tylko anioły mają wystarczająco dużo magii, żeby coś takiego zrobić. Czemu w twoim mieszkaniu jeden pokój jest zamknięty? I dlaczego w szufladzie masz pełno tych cholernych ulotek? To ty je drukowałeś i rozdawałeś?

Nie, nie spodziewała się, że chory odpowie na którekolwiek z tych pytań. Marcin patrzył tylko na nią zielonymi szklistymi oczami i patrzył, aż wreszcie w rozgorączkowanym spojrzeniu błysnęło rozpoznanie.

– To ty – powiedział. – Weszłaś dla mnie na jezioro, pamiętasz?

Rozdział dziesiąty, w którym Nina wykazuje się odwagą, a potem szuka artysty.

Jezioro nie było tak naprawdę jeziorem, tylko stawem rozciągającym się na skraju miasta za jodłowym zagajnikiem. Brzegi porastały rudawe trzciny, z szarymi oszronionymi pałkami pochylającymi się nad zlodowaciałą taflą. Na środku stawu stała grupa nastoletnich chłopaków: najstarszy był już chyba pełnoletni, najmłodszy mógł jeszcze chodzić do podstawówki. A pomiędzy nimi... pomiędzy nimi na łodzie klęczał kolejny nastolatek, czarnowłosy i chudy, rozebrany do podkoszulka, z krwią ciekącą z rozbitego nosa. Nina zatrzymała się gwałtownie, a potem, słuchając głosu rozsądku, schowała się za drzewem.

Czarnowłosy wytarł krew i uniósł głowę. Wiatr porwał jego słowa wraz z drobinkami śniegu, Nina nie miała jednak wątpliwości, że musiał powiedzieć coś z punktu widzenia pozostałych nastolatków wyjątkowo bezczelnego, bo najstarszy kopnął go z wściekłością w twarz. Dziewczyna stłumiła krzyk, kuląc się za osłoną drzewa.

Chłopak opadł na czworaki. Nina nie widziała przesłoniętej opadającymi włosami twarzy, za to miała doskonały widok na rozlewającą się po śniegu czerwoną plamę.

Kolejny nastolatek wziął zamach i kopnął czarnowłosego w bok, przewracając go na lód, następny...

– Przestańcie! – wrzasnęła cienkim głosem, zanim zdążyła się zastanowić, co właściwie robi. – Przestańcie!

Odwrócili się w jej stronę, zdezorientowani, a Nina wyszła zza drzew. Dopiero teraz w pełni do niej dotarło, że tamtych jest sześciu, a ona sama jedna. Szóstka rosłych chłopaków przeciwko niższej o głowę dziewczynie, która nie umiała nawet prawidłowo wykonać padu na ćwiczeniach dżudo.

Ostrożnie weszła na zamarznięty staw. Lód pod jej stopami wydawał się mocny, ale Nina wiedziała, że to może być złudzenie.

Podmuchy wiatru wciąż podrywały drobinki śniegu, które mieszały się w powietrzu ze śniegiem padającym z szaroniebieskiego, szybko ciemniejącego nieba. Czowała pulsującą w żyłach moc i to dodawało jej pewności siebie, choć rozsądek jednocześnie podpowiadał, że użycie magii na lodzie niesie ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo.

– A ty to kto? – zdumiał się jeden z chłopaków, wysoki i bardzo chudy, z twarzą poznaczoną pryszczami.

– Jego dziewczyna? – zarechotał najstarszy.

Pod nosem usiłował wyhodować coś w rodzaju wąsa, składającego się na razie z kilku bladych, niewyrośniętych kępek. Wyglądało to zabawnie, choć chłopak chyba uważał, że dodaje mu powagi. – Marcin, masz narzeczoną?

– Nie jestem jego narzeczoną – odparła piskliwym głosem.

Adrenalina, która wypchnęła ją na lód, zaczynała odpływać, a jej miejsce zajął ściskający żołądek strach. Serce waliło o żebra, dłonie były mokre od potu. Miała nadzieję, że tamci nie zauważą, jak bardzo się trzęsie.

– To zmykaj stąd – polecił dobrodusznie pękaty, mniej więcej piętnastoletni chłopiec.

– Tak jest – potwierdził prawie wąsaty. – Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

– Bicie bezbronnej ofiary to sprawa każdego porządnego człowieka. – Tym razem głos Niny zabrzmiał nieco pewniej.

– Słuchaj, mała – zaczął ugodowym tonem niezbyt wysoki, ale szeroki w barach chłopak wyglądający na rówieśnika pękatego. – Nie masz pojęcia, o co chodzi, więc daj nam spokój.

– Żebyście mogli go dalej bić?

– On na to zasłużył – mruknął najmłodszy chłopiec, prawdopodobnie w wieku Niny. – Mój kuzyn spadł przez niego z drzewa.

– A Zosia leży z zapaleniem płuc i nie wiadomo, czy wydobrzeje...

– Wujek stracił sporo kasy na tej krowie, bo jak ją wreszcie znaleźli, to miała złamaną nogę...

– Ciotce w głowie się pomieszało, jak do domu nie mogła trafić...

Prawie wąsaty chrząknął.

– Twoja ciotka za często zagląda do kieliszka i dlatego w głowie jej się miesza. Ale reszta to święta prawda. To wszystko jego wina. – Tracił czubkiem buta klęczącego chłopca, który nie odezwał się dotąd ani słowem.

Miał mokre włosy i twarz umazaną krwią, ale w jego intensywnie zielonych, kontrastujących z oliwkową skórą oczach błyszczało wyzwanie. Patrzył prosto na Ninę, a ona pośpiesznie odwróciła wzrok. Nie była pewna, czy zdoła mu pomóc.

– Jasne, a wy to kto? Święta Inkwizycja od ścigania czarownic? Może jeszcze na stosie go spalicie?

– Na stosie to nie – flegmatycznie odparł wysoki i chudy – ale spuścimy mu solidne lanie. Może to go nauczy rozumu.

– Nie.

– Co nie?

– Nie spuścicie.

Miała szczerą nadzieję, że nie brzmi to śmiesznie albo słabo, albo po prostu tak, jakby była przerażona. Bo naprawdę była. Śnieg wciąż padał, ale to wcale nie pomagało. Gdyby zaatakowała przeciwników mocą, lód by się załamał, a wtedy wszyscy znaleźliby się w bardzo, bardzo zimnej wodzie, daleko od brzegu. Mogliby umrzeć z wychłodzenia, zanim udałoby im się wydostać ze stawu. Nina słyszała o takich przypadkach. Ciekawe, jak tu jest głęboko, zastanowiła się i zaraz z powrotem skupiła uwagę na prawie wąsatym, który wydawał się przywódcą całej grupy.

– Bo co? – Młodzieniec patrzył na nią z wyższością. – Zrobisz nam krzywdę? Taka mała dziewczynka?

– Ona ma magiczną moc. – Klęczący chłopak odezwał się po raz pierwszy. – Lepiej uważajcie.

Nina nawet nie zdążyła się zdziwić, skąd czarnowłoso o tym wie, bo przywódca całej grupy splunął na lód i spojrzał wrogo.

– I co, zamieni nas w żaby? Dajcie spokój.

– Umie wysadzać w powietrze drzewa – upierał się czarnowłoso.

Prawie wąsaty spojrzał na Ninę, przekrzywiając głowę.

– Umiesz?

– Tak.

– To udowodnij.

Pomyślała, że to jej ostatnia szansa. Pierwsza i ostatnia jednocześnie. Innej nie będzie, bo śnieg padał coraz słabiej, a moc w żyłach Niny krążyła wolniej i wolniej, z każdą chwilą coraz słabsza. Za moment zniknie zupełnie, a wtedy dziewczyna będzie mogła liczyć już tylko na swoją nędzną znajomość dzudo.

Odwróciła się i spojrzała na przeciwległy brzeg. Ryzykowała, na ułamek sekundy wystawiając plecy na atak, nie miała jednak innego wyjścia.

Przed nią rozciągało się dwadzieścia metrów pustej białej przestrzeni, dalej na brzegu rosły jodły. Nina wybrała jedno z drzew i skupiła na nim zanikającą moc, modląc się jednocześnie, by strumień nie trafił przypadkiem w lód. A potem pchnęła z całą siłą, na jaką było ją stać.

Jodła pękła, z gałęzi posypał się śnieg, na ziemię zeskoczyła przerażona wiewiórka. Nina przeprosiła ją w myślach, po czym spojrzała z powrotem w stronę chłopaków. Magia zniknęła, dziewczyna była teraz całkiem bezbronna. A przywódca grupy patrzył na nią wzrokiem, z którego nie potrafiła nic wyczytać. Starła się wyglądać na hardą: broda do góry, nie odwracać oczu. Gdzieś w tle mignęła jej wystraszona twarz jednego z chłopców (pękatego?), ktoś (chyba ten chudy i wysoki) cofnął się o krok, ale Nina nie drgnęła nawet o milimetr. Nie dlatego, że była taka odważna, po prostu zabrakło jej pomysłu, co mogłaby jeszcze zrobić. Wreszcie prawie wąsaty wsadził ręce do kieszeni spodni i odwrócił się.

– Dobra, spadamy – powiedział niechętnie. – To jakaś wariatka. A ciebie dorwiemy, nie martw się. – Na pożegnanie jeszcze raz trącił czarnowłosego butem.

Reszta grupy ruszyła za nim. Dziewczyna zaczęła, aż dotrą do brzegu i znikną między drzewami. Dopiero wtedy odważyła się ruszyć.

– Możesz wstać? – zapytała czarnowłosego.

Skinął głową, a Ninę po raz kolejny uderzył kontrast między oliwkową cerą a zielonymi oczami, które wyglądały jak zrobione ze szkła. Podała chłopakowi rękę i pomogła mu się podnieść.

– Masz jakieś okrycie?

Wzruszył ramionami.

– Mam kurtkę gdzieś na brzegu. Nie wiem dokładnie gdzie.

Nina rozejrzała się. Mrok nadciągał coraz szybciej, gromadząc się w krzakach i pod drzewami. Nawet jeśli kurtka leżała gdzieś niedaleko, raczej nie mieli szans teraz jej znaleźć.

– Załóż to. – Zdjęła własne palto i podała je chłopakowi. – Ja mam ciepły sweter, nie zmarznę. Kurtki poszukasz jutro, jak będzie jasno.

– To dziewczynskie palto. Ma guziki po niewłaściwej stronie i wcięcie w talii.

– Gdyby to zależało ode mnie, miałyby też koronkowe mankiety i haftowane na kieszonkach kwiatki. I byłoby różowe. Ale nie martw się, jeśli je założysz, będę milczeć jak grób. Twoja tajemnica umrze razem ze mną. Wytrzymaj twarz.

Podała mu chusteczkę, niezbyt czystą, bo niedawno przecierała nią pióro, ale chłopak nie narzekał. Starł krew i założył wreszcie palto.

– Jestem Nina. – Dziewczyna przedstawiła się odruchowo.

– Marcin. – Nie patrzył jej w oczy, najwyraźniej wstydząc się całej tej sytuacji, zupełnie jakby to była jego wina, że banda wyrostków zdarła z niego kurtkę i pobiła. – Nie musiałaś mi pomagać. Sam bym sobie poradził.

– Jasne, właśnie widziałam, jak sobie radziłeś. Jeszcze pięć minut, a wszyscy uciekli by przed tobą z wrzaskiem.

Spojrzał na nią wreszcie, a w jego oczach błysnęła uraza.

– Jeśli ci się wydaje, że możesz się ze mnie nabijać, bo mi pomogłaś...

– Przepraszam. – Nina westchnęła. Rany, ale ten chłopak drażliwy. Choć z drugiej strony trudno się było dziwić. – Więcej nie będę.

Zeszli z lodu, a do dziewczyny dopiero teraz dotarło, jak bardzo się wcześniej bała. Nogi miała miękkie jak z masła i nagle poczuła, że musi usiąść – teraz, natychmiast, bo nie zrobi ani jednego kroku więcej.

– Czekaj – wykrztusiła, po czym szorując plecami po pniu drzewa, osunęła się na śnieg. Nogi jej się trzęsły, a po chwili drżenie ogarnęło całe ciało.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Chociaż nie. W sumie nie wiem. Daj mi chwilę.

Chłopak usiadł obok. Znalazł gdzieś patyk i rysował w zaspie skomplikowane kolisty wzory.

– Z tobą wszystko w porządku?

Znowu wzruszył ramionami.

– Jestem przyzwyczajony do tego, że dostaję w skórę. – Powiedział to tak, jakby był trochę dumny.

– Oni już wcześniej cię bili?

– Od początku podstawówki. Co z tego? To banda kretynów, mocni są tylko w pięściach.

– Powinieneś...

– Co powinienem? Powiedzieć rodzicom albo nauczycielom? Oni mają to wszystko gdzieś. Zawsze są silniejsi i słabsi, nie? Ale to się zmieni już niedługo, zobaczysz.

– Skąd wiedziałeś, że mam magiczną moc? – Wstając, zadała pytanie, które męczyło ją od dobrych kilku minut.

Ruszyli naprzód przez las.

– Pan Klimsza mi powiedział.

– Znasz go?

– Jasne, że tak.

A on podobno widział cię tylko „raz czy dwa razy”, pomyślała.

– Słuchaj – zaczęła niepewnie, kiedy minęli linię drzew i wyszli na pustą wiejską drogę. Do pierwszych zabudowań nadal było daleko, a ciemność wokół gęstniała coraz bardziej. – Wiesz może, co się tu właściwie dzieje? Te wszystkie dziwne incydenty...

– Ty też uważasz, że to moja wina?

– Nie, skąd. Tylko...

– Uważasz, że zrzucam z drzew dzieci? I wypuszczam krowy zamknięte w oborach? – Marcin odsunął się i szedł teraz zgarbiony, z rękami w kieszeniach.

Nina poczerwieniała.

– Niczego takiego nie powiedziałam! Chciałam tylko zapytać, czy słyszałeś może jakieś plotki albo może wiesz o czymś...

– Niczego nie wiem i niczego nie słyszałem, jasne?

– Jasne. – Dziewczyna skapitulowała.

Marcin wciąż był rozdrażniony, a rozmowa o tajemniczych incydentach najwyraźniej wprawiała go w jeszcze gorszy nastrój. Spróbowała więc z innej strony.

– A twój przyjaciel? Wiktor?

Szedł coraz szybciej, tak że Nina ledwo za nim nadążała.

– Skąd wiesz o Wiktorze?

– Wiem różne rzeczy.

Chłopak parsknął.

– Pan Klimsza mi mówił, że lubisz się bawić w detektywa i wściubiasz nos w nie swoje sprawy.

– Jasne, a on podglądał mnie w lesie, kiedy ćwiczyłam na polanie.

– Teraz była już pewna, że pierwszego dnia to właśnie Klimsza obserwował ją w lesie. Inaczej skąd by wiedział, że Nina ma moc? – To nie jest... Cholera, Marcin, tobie nie zależy na wyjaśnieniu, co tu się właściwie dzieje?

Zatrzymał się i spojrzał na Ninę wrogo. Z jego nosa znowu zaczęła płynąć krew. Wytarł ją rękawem palta – dziewczyna już miała zaprotestować, ale zamknęła usta.

– A co Wiktor ma z tym wspólnego?

– Ta jego zmiana, o której wszyscy mówią, była pierwszym z dziwnych incydentów. Dlatego chciałabym z nim pogadać. Założę się, że on coś wie.

– Wiktor już się ze mną nie zadaje – mruknął Marcin. – Uważa, że to niewłaściwe. Tak powiedział: niewłaściwe, jakby był jakimś cholernym arystokratą, a ja wiejskim parobkiem. Jakby nazwisko Szczerbski miało jeszcze jakieś znaczenie. Byliśmy razem przez całą podstawówkę, ja i on, przeciwko całemu światu, a teraz ma lepszych przyjaciół. Tych z jeziora, którzy wcześniej tłukli jego i mnie. Uważa, że to w gruncie rzeczy są przyzwoici chłopcy, wystarczy tylko im pokazać właściwą drogę. A ja go nie potrzebuję i powinienem znaleźć sobie dziewczynę. To też mi powiedział.

Pociągnął nosem, a potem przetarł twarz rękawem, w rezultacie czego, jak Nina podejrzewała, na palcie znalazła się już nie tylko krew, ale także smarki.

– Przykro mi – powiedziała, bo niczego innego nie potrafiła wymyślić. – Naprawdę bardzo mi przykro.

– Jasne. – Marcin nie wyglądał na przekonanego. – A jak chcesz pogadać z Wiktorem, to on teraz mieszka w chacie po drugiej stronie miasta. Niedaleko starego młyna, płot pomalowany na zielono. To była chałupa dziadka Wiktora, ze strony ojca. Zabawne, nie? Taki niby z niego arystokrata, a jego dziadek był zwyczajnym chłopem. Tylko uważaj, bo Wiktor nie lubi obcych, odkąd się zmienił.

– To prawda, że musi teraz nosić kaptur, bo jest strasznie brzydki?

– Jedna dziewczyna na jego widok zemdląła – Nina bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że Marcin błysnął w ciemności zębami – więc nie mów potem, że cię nie ostrzegałem.

Weszli pomiędzy pierwsze zabudowania miasta i skierowali się w stronę rynku.

– Odprowadzę cię – powiedziała odruchowo, a ponieważ chłopak zamierzał chyba zaprotestować, dodała szybko: – Chcę odzyskać swoje palto, wcale nie mam zamiaru się tobą opiekować ani nic w tym rodzaju.

– Ojciec mnie zabije, jak zobaczy, że wracam bez kurtki – wymamrotał smętnie Marcin.

– Odzyskasz ją jutro – pocieszyła go Nina. – A na ten nos przyłóż sobie coś zimnego, podobno to pomaga.

Dotarli pod kamienicę, w której mieszkali Pietrzyccy, i zatrzymali się przed wejściem na podwórko.

Marcin podał Ninie palto.

– Jeszcze o jedno chciałam zapytać – powiedziała. – Twoja siostra dostała od ojca notes, częściowo zapisany. Mógłbyś go dla mnie zdobyć? Tylko zerknę, a potem oddam.

– To do twojego głupiego śledztwa?

– Tak. – Zrezygnowała chwilowo z tłumaczenia, że to śledztwo wcale nie jest głupie.

Chłopak niechętnie skinął głową.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Przy okazji możesz zapytać, czy wszystko jest w porządku, bo kiedy z nią rozmawiałam, zachowywała się trochę dziwnie. Pytała,

czy ją stąd zabiorę, i dała mi lalkę z zaszytymi ustami.

– Karolina to dziwne dziecko. – Marcin wzruszył ramionami, po raz trzeci i zdecydowanie najmniej przekonujący tego dnia.

– Znaczy, nie dzieje się z nią nic złego?

– A co by się miało dziać? Jesteśmy przecież jedną wielką szczęśliwą rodziną.

– Dobra, nie chcesz mówić, to nie mów. Ale jakby coś, to...

– Uratujesz nas wszystkich, tak jak uratowałaś dzisiaj mnie? Ile ty właściwie masz lat?

– Czternaście, co z tego? – Nina zirytowała się lekko.

– Ja mam szesnaście. – Zabrzmiało to tak, jakby mówił „i wiem znacznie więcej o życiu niż ty”.

– Idź już, bo zamarzniesz. A gdybyś mnie szukał, to mieszkam w Świerku.

Odwróciła się i zrobiła kilka kroków, kiedy usłyszała za plecami cichy głos.

– Zaczekaj chwilę.

Zatrzymała się. Marcin wciąż stał przed wejściem na podwórko, obejmując rękami chude ramiona, i dygotał z zimna. Uliczna latarnia zabzyczała, po czym rozbłysła żółtawym światłem, które wydobyło z mroku spuchnięty nos chłopaka i rozkwaszone wargi.

– Klimsza mówił, że podobno lubisz starocie.

– Starocie? – Nina z jakiegoś powodu wyobraziła sobie stertę starych gratów i dopiero po chwili zrozumiała, co chłopak ma na myśli. – A, mówisz o zabytkach. Owszem, bardzo lubię.

– I przeszłość, i wszystko, co się z nią wiąże?

– Tak. – Tu była już odrobinę ostrożniejsza, bo zdecydowanie nie wszystko w przeszłości jej się podobało, uznała jednak, że to nie pora na rozmowę o wyzysku chłopów czy wojnach religijnych.

– W takim razie mam coś dla ciebie. Przyjdź do pałacu Szczerbskich dwudziestego piątego lutego o dziewiątej.

– Na tę imprezę, która tam wtedy będzie?

– Aha.

– Wpuszczą mnie?

– Jak się powołasz na mnie, to wpuszczą. I możesz wziąć ze sobą

jedną osobę.

– A trzy?

– Tylko jedną.

– Nas jest czworo...

– Powiedziałem: jedną.

Pomyślała, że prawdopodobnie nie istnieje żaden powód, dla którego nie mogliby przyjść we czwórkę, Marcin upierał się tylko dlatego, że to pozwalało mu odzyskać poczucie godności. Trudno, nie mogła się przecież kłócić, zwłaszcza kiedy zrozumiała, że chłopak chce jej w ten sposób podziękować.

– Przyjdę.

– Będzie ci potrzebny odpowiedni strój, ale coś znajdziemy na miejscu.

– Strój? Jak na bal maskowy? – Nina dość niejasno uświadomiła sobie, że chyba wciąż trwa karnawał. A dwudziestego piątego lutego wypadał tłusty czwartek.

– Coś w tym rodzaju. – Marcin uśmiechnął się tajemniczo. – Spodoba ci się, zobaczysz.

Wróciła pod kościół, gdzie umówiła się z pozostałą trójką. Z jasno oświetlonego wnętrza wysypywali się ludzie w odświętnych strojach, dźwięk dzwonów niósł się daleko w zimowym powietrzu. Dziewczyna spojrzała na kościelny zegar: wpół do siódmej.

– Bu! – Ktoś dotknął jej ramienia i roześmiał się zaraz, psując efekt.

– Tamara. – Nina odwróciła się. – Gdzie są chłopcy? Widziałaś ich?

– Poszli już do pensjonatu, bo Jacek był głodny, a Hubert miał mokre buty. Wracamy?

– Czekaj. – Szybko policzyła czas. Kolacja będzie za godzinę, jeśli się pośpieszą, powinny zdążyć. – Wiem, gdzie mieszka Wiktor, możemy tam pójść i z nim pogadać.

– Teraz?

– Jutro nie będzie czasu, a ty masz latarkę, nie? Poza tym ten chłopak podobno wygląda tak, że ludzie na jego widok mdleją, więc

naprawdę wolałabym nie iść tam sama. I on mieszka na obrzeżach, w jakiejś starej chacie...

– Trzeba było mówić od razu, że chcesz szukać potwora, na bezludziu i po ciemku. – Tamara uśmiechnęła się szeroko, po czym z rozmachem klepnęła Ninę w plecy. – To brzmi jak niezła przygoda.

– Znalazłaś coś dziwnego? – zapytała Nina, kiedy szły w stronę starego młyna (a przynajmniej w kierunku, który wskazali pytani o drogę ludzie).

– Jakiś wariat gonił mnie po lesie – oznajmiła wesoło Tamara. – Stary, w łachmanach, trochę śmierdzący. Chciał, żebym z nim poszła na przyjęcie urodzinowe.

– Rany. – Nina sapnęła z emocji. – Zrobił ci coś?

– Nie no, co ty. Kopnęłam go tak, jak nam pokazywała pani Ewa, i zwiąłam. Nie miał szans mnie dogonić. To jakiś miejscowy dziwak, ma hysia, bo przed wojną w dzień urodzin utopiła mu się narzeczona. Tak powiedziała jedna kobieta, z którą potem rozmawiałam.

– Prawie jak z Dickensa – skomentowała Nina, ale Tamara nie wykazała zainteresowania klasyczną literaturą angielską.

– W każdym razie gość podobno nawet nie jest niebezpieczny, tylko dość irytujący. Poza tym nic ciekawego mi się nie przydarzyło.

– A Hubert i Jacek?

– Hubert wlaź w jakieś bajoro i przemoczył sobie buty. Jacek... to dziwna historia, ale lepiej niech sam ją opowie. A co u ciebie?

Opowiedziała o spotkaniu na stawie i rozmowie z Marcinem. Tamara słuchała, a jej oczy robiły się coraz większe.

– Nie wiedziałam, że jesteś taka odważna – podsumowała, kiedy młodsza dziewczyna skończyła mówić.

– Wcale nie jestem. Gdyby nie to, że padał śnieg, w życiu bym nie weszła na to jezioro. To znaczy staw, to jest staw, nie jezioro.

– Moim zdaniem jesteś – upierała się Tamara, a Nina uznała, że nie będzie się kłócić.

Znalazły już zresztą młyn i wypadało zacząć się rozglądać

za domem z zielonym płotem. Po obu stronach drogi rosły kolczaste krzaki, na których zwisały smętnie pojedyncze liście, skurczone jak kokony motyli. Za nimi rozciągały się zaśniewane pola – jedno z nich przecinał właśnie wychudły lis, ale poza tym wokół nie było żywego ducha. Dziewczyny nie przestawało dziwić, jakim cudem miasto – małe, bo małe, ale jednak miasto – tak szybko i gwałtownie zmieniało się w pustkowie. Wystarczyło wyjść poza obręb głównych zabudowań, a człowiek zaczynał czuć się jak na zabitej dechami wsi z początku wieku. Wszystkie chaty wyglądały, jakby najlepsze lata miały dawno za sobą: pochylone do ziemi, z dachami obrośniętymi mchem i krzywymi płotami. Jak miały znaleźć wśród nich tę jedną należącą do dziadka Wiktora?

Nina usłyszała za plecami sapanie i odwróciła się gwałtownie, ale to tylko jeden z wiejskich kundli zainteresował się obcymi i szedł za nimi, świecąc w mroku żółtymi oczami. Potem gdzieś zniknął i znowu zostały same.

– Może zapytajmy o drogę – zaproponowała Nina, a Tamara rozejrzała się niepewnie dookoła.

– Kogo niby mamy zapytać?

Miały jednak szczęście, bo chwilę później z jednej z chałup wyszła przysadzista kobieta. W ręku trzymała siekiere, a wokół jej nóg płatał się niewielki kundelek z żółtymi ślepiami – może ten sam, który szedł za dziewczynami, a może inny, bliźniaczo do niego podobny.

– Szukamy domu z zielonym płotem! – wrzasnęła Tamara, jak zawsze śmielsza. – Wie pani, gdzie to jest?

Kobieta zatrzymała się. Siekiera w jej ręku kołysała się jeszcze przez moment, a potem znieruchomiała, pies też znieruchomiał i połykiwał tylko żółtymi ślepiami.

– Chodzi wam o dom starego Michajły?

– Tak. – Nina uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak nazywał się dziadek Wiktora.

Kobieta milczała – długo, najwyraźniej bliska tego, żeby odwrócić się na pięcie i wrócić do domu.

– Za zakrętem jest kapliczka, a za kapliczką dom – powiedziała wreszcie sucho, po czym odeszła, a żółtooki pies pożegnał dziewczyny

kilkoma szczeknięciami i popędził za swoją panią.

Teraz trafiły już bez trudu: najpierw znalazły kapliczkę z drewnianym Chrystusem Frasobliwym, któremu ktoś próbował osłodzić żywot za pomocą bukietu plastikowych kwiatków, a potem dom, większy od pozostałych, ale równie stary. Tamara oświetliła płot: w blasku latarki miał szarozółty kolor, ale Nina zgadywała, że w słońcu jest zwyczajnie zielony.

Pchnęły furtkę i weszły do ogrodu. Kiedyś musiało to być duże, bogate gospodarstwo: dziewczyna potrafiła sobie wyobrazić kręcących się wokół fornali, skrzypienie podjeżdżających wozów i rozszczekane psy wpadające ludziom pod nogi. Duże, bogate gospodarstwo należące do dumnego człowieka, którego syn ośmielił się podnieść oczy na pannę z pałacu i zdobyć jej rękę. Historia jak z romansu. A potem panna z pałacu została miejscową wariatką, jej mąż zmarł, a syn zamieszkał w domu dziadka, teraz mocno już podupadłym.

– Patrz. – Tamara ścisnęła ramię Niny.

W oknie zamigotał płomień i jednocześnie przez izbę przemknęła zgarbiona sylwetka w narzuconym na głowę kapturze, jakby nawet w samotności swojego domu Wiktor nie mógł znieść widoku własnej twarzy.

Nina podeszła do drzwi i zapukała, raz, a potem drugi. W domu panowały cisza i ciemność – dziewczyna wyobraziła sobie chłopaka, który zgasił świecę i siedział teraz skulony pod ścianą. Jakim trzeba być rodzicem, żeby potraktować tak własne dziecko? Wyrzucić je z domu, skazać na mieszkanie w rozpadającej się ruderze i ukrywanie się przed całym światem?

Co prawda dom, choć podupadły, daleki był od ruiny, a szesnastoletni chłopak to już nie dziecko, ale rozpędzona wyobraźnia Niny nie dała się tak łatwo zatrzymać i podsuwała coraz bardziej ponure obrazy: lutowy wiatr wciskający się wraz ze śniegiem przez szpary w okiennicach, zgniła brukiew na kolację i potworna, przygniatająca samotność. A Helena Michajło w dodatku upierała się, żeby syna pochować – bo nie był już taki, do jakiego ona się przez lata przyzwyczaiła.

– Przyszliśmy tylko porozmawiać – rzuciła przez zamknięte drzwi.
– Nie chcemy ci zrobić krzywdy. Nie jesteśmy...

– ...tłumem z pochodniami – dodała życzliwym tonem Tamara, która może i miała słabe pojęcie o literaturze klasycznej, ale za to namiętnie oglądała stare horrory.

– Nie jesteśmy tłumem z pochodniami – potwierdziła Nina. – Naprawdę chcemy tylko pogadać. Otwórz, proszę.

W domu panowała cisza. Żadnego skrzypnięcia, odgłosu oddechu czy szelestu, jaki wydaje poruszające się ciało. Nic, co by świadczyło o tym, że w środku w ogóle ktoś jest. Gdyby nie widziana wcześniej postać, dziewczyna uznałaby chyba, że po prostu nikogo nie zastały.

– To na nic – mruknęła zniechęcona Tamara. – On się nas boi.

Nina wygrzebała z kieszeni palta ogryzek ołówka i zmiętą kartkę, na której wypisała sobie listę książek do wypożyczenia z miejscowej biblioteki (jak dotąd nie miała okazji tam zajrzeć, bo zwyczajnie brakowało jej czasu). Na drugiej stronie skreśliła szybko parę zdań:

NAPRAWDĘ (to słowo podkreśliła kilka razy) chcemy tylko z Tobą porozmawiać o tym, co się dzieje teraz w mieście. I postaramy się Ci pomóc. Przyjdź do nas jutro, do pensjonatu Świerk – może być po zmroku, jeśli nie chcesz, żeby Cię ktoś zobaczył. Będziemy czekać.

Nina i Tamara

Wsunęła kartkę w szparę pod drzwiami i dopiero teraz, w mdłym świetle latarki, zauważyła na splekanym drewnie napis, zatarty co prawda, ale wciąż dający się odczytać.

„POTWÓR” – nabazgrał ktoś białą kredą, a ktoś inny (prawdopodobnie Wiktor) napis starł.

Tamara za plecami Niny zakłęta cicho i omiotła latarką front domu. Na jednej z szyb widać było ukośne pęknięcie, w drugiej ziała dziura, wybita prawdopodobnie kamieniem.

– Chłopak nie ma łatwego życia, co?

Nina nie odpowiedziała, bo nie było niczego, co mogłaby w takiej sytuacji powiedzieć.

Po kolacji zebrali się tradycyjnie w sypialni dziewczyn. Światło akurat zgasło (to przez ten śnieg, wyjaśniła pani Kociuba, w zimie ciągle zdarzają się awarie) i na stoliku stała teraz świeca. Płomień migotał, o szyby uderzały płatki śniegu, a w pokoju rozchodził się ciepły zapach topionego wosku. Atmosfera w sam raz, żeby opowiadać straszne historie, pomyślała Nina, sadowiać się wygodniej na łóżku.

Najpierw dziewczyny streściły wydarzenia ostatnich kilku godzin, potem zaczął mówić Jacek. Jego opowieść jak zwykle była dość skrótowa, ale Nina bez problemu sobie wszystko wyobraziła.

Jackowi przypadł do zbadania teren przy drodze wyjazdowej z miasta. Chłopak kręcił się tam przez jakiś czas, ale nic ciekawego się nie działo, postanowił więc wrócić do pensjonatu i wyprosić od pani Kociuby kawałek ciasta z orzechami.

W tej właśnie chwili się zgubił.

– Jak to się zgubiłeś? – Nina zmarszczyła brwi. – Przecież ty masz te wszystkie harcerskie sprawności i odznaki, i... i w ogóle.

– Dziwne, nie? Skręciłem za jedno drzewo i nagle... Las jakby zupełnie się zmienił, a ja nie wiedziałem, gdzie jestem. Trochę spanikowałem i zacząłem iść przed siebie, a potem zobaczyłem dziwną scenę...

– Tak? – niecierpliwiła się Nina.

Hubert i Tamara, którzy słyszeli już tę opowieść, zajęli się obgadywaniem jakiegoś Karola, który walczył z pryszczami, smarując je sobie pastą do zębów.

– Tam była taka polana i na niej stał mężczyzna, taki trochę starszy, z aniołem. Anioł... Nie wiem, jak to opisać. Trzymał tego faceta za głowę i chyba czytał mu w myślach, bo tamten jęczał: „Nie musisz wiedzieć wszystkiego, cholero”.

– Nazwał anioła cholera?

– Chyba tak. Chociaż może to było „Nie musisz wiedzieć wszystkiego, cholera”? W każdym razie anioł puścił tego człowieka i powiedział mu: „Nie możesz opuścić miasta, przyjdź, jak będziesz gotowy”.

- I co dalej?
- Nic, wycofałem się i spróbowałem wrócić na drogę. Tym razem las wyglądał jakoś normalniej i już nie było problemu.
- Zauważyli cię?
- Jacek zastanowił się.
- Chyba nie. Myślisz, że ten anioł może być niebezpieczny?
- Nie mam pojęcia. – Nina westchnęła. – Ale myślę, że najwyższa pora poszukać jakiegoś artysty.

– Artysta? – Pani Kociuba spojrzała na nich nieufnie. – Po co wam artysta?

– Jesteśmy bardzo zainteresowani miejscową sztuką – wyjaśniła Nina.

Mogłaby powiedzieć gospodynie, że to, co dzieje się w mieście, można wyjaśnić jedynie anielską magią, a anioły nie tworzą niczego same, tylko czarują w oparciu o wytwory ludzkiego umysłu. Mówiąc prościej, jeśli człowiek namaluje albo opíše potwora, anioły mogą sprawić, że potwór stanie się prawdziwy. W Markotach używały obrazów matki Huberta, a w Totenwaldzie książki pewnego mało znanego bajkopisarza. Mogłaby o tym wszystkim powiedzieć, ale jaki to miałyby sens?

Hubert dodał coś o szkolnym zadaniu i gospodynie rozchmurzyła się. Zainteresowanie artystami musiało jej się wydawać zdecydowanie bardziej niewinne niż zabawa w detektywów. Dziesięć minut później mieli już listę nazwisk, tylko jedenastu, bo jak oznajmiła pani Kociuba, „tu ludzie ciężko pracują, a nie zajmują się fanaberiami”.

Sprawdzali te nazwiska przez następne cztery dni, poświęcając na to niemal każdą wolną chwilę.

Nina miała się zająć czterema osobami: Janem Dylągiem, Marią Strzechą, a także Katarzyną i Hanną Lisak.

Jan Dyląg rzeźbił w drewnie ludowe świętki i Matki Boskie Boleściwe, których wyraz twarzy przywodził na myśl raczej kłopoty z trawieniem niż zadumę nad losami świata. Dziewczyna przyjrzała

im się uważnie, ale świątki wyglądały nad wyraz uczciwie: żaden z nich nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby ukraść pokój albo wypuścić krowę.

Katarzyna i Hanna były siostrami: starsza malowała na talerzach kwiatki, a młodsza zwierzęta. Nina spędziła w ich domu absolutnie koszmarnie pół godziny, pijąc przesłodzoną herbatę i starając się wyrazić należyty zachwyt wymalowanymi na porcelanie makami, chabrami i niezapominajkami. Później wkroczyła Hanna, wnosząc kolejne talerze, tym razem z kacuzzkami, króliczkami i owieczkami. Przez dobre trzy minuty Nina przyglądała się kaczym rodzicom prowadzącym nad staw gromadkę wyjątkowo puchatych i żółtych pociech, aż wreszcie dopiła herbatę, podziękowała i uciekła.

Marii Strzechy nie zastała: kobieta pojechała w odwiedziny do córki mieszkającej w niedalekiej wsi. Sądząc jednak po tym, że jej artystyczna działalność polegała na haftowaniu obrusów, Nina nie wiązała z nią wielkich nadziei.

Zniechęcona dziewczyna kupiła w sklepiku torebkę landrynek i ssła je, idąc powoli przez miasto. Przy okazji zobaczyła dwa kolejne załadowane po brzegi wozy, wyjeżdżające z miasteczka. Jednego z woźniców nawet zagadnęła, ale mężczyzna spojrzał na nią pustym wzrokiem i zaciął konia batem.

Dwudziesty szósty lutego zbliżał się wielkimi krokami, a oni nadal nie mieli pojęcia, co dzieje się w Wilczych Dołach.

Weszła do kościoła i usiadła w ławce – głównie po to, żeby dać odpocząć nogom, zmęczonym łożeniem po miasteczku. W kamiennych murach było zimno, ale przynajmniej cicho, mogła więc spokojnie pomyśleć.

Może Tamara, Jacek albo Hubert na coś trafią, pocieszała się.

Kościelny w czarnym ubraniu pojawił się w drzwiach zakrystii, po czym sunąc dostojnie i z godnością, doczłapał do stoliczka ustawionego za ostatnią ławką, zostawił na nim plik papierów i skierował się z powrotem w stronę zakrystii. Idąc do wyjścia, Nina zerknęła odruchowo na stoliczek: leżało na nim coś w rodzaju miejscowej gazetki, składającej się z dwóch kartek papieru zadrukowanych czarną, trochę rozmazaną czcionką. Podniosła jeden

egzemplarz. Były to głównie drobne ogłoszenia: parafialne i inne, artykuł zachęcający do wpłacania datków na misje w Afryce i sprawozdanie z otwarcia nowego placu zabaw, dziwnie skrótowe i pozbawione entuzjazmu, zupełnie jakby autor z góry zakładał, że huśtawki i karuzele długo nie przetrwają.

Już miała odłożyć gazetkę, kiedy coś ją tknęło.

– Proszę poczekać! – zawołała za kościelnym, który zdążył w tym czasie dojść do połowy nawy. – Wie pan może, kto wydrukował tę gazetę?

Drukarnia, myślała Nina, maszerując przez miasto, oznaczała kilka różnych rzeczy. Po pierwsze, gazetka mogła od czasu do czasu zamieszczać krótkie opowiadania albo rysunki miejscowych artystów. Po drugie, ktoś mógł drukować tu w niewielkim nakładzie książki albo plakaty, albo... cokolwiek, co w jakiś sposób wiązałoby się z działalnością artystyczną.

Znalazła numer dziewięć przy ulicy Tkaczy i weszła w podwórko. Z daleka słyszała już dźwięk pracującej prasy dobiegający zza drzwi, na których ktoś nakleił plakat z wielkim czerwonym napisem „Wróg nie śpi. Pomóż zwalczyć nadużycia!”. Zapukała, drzwi uchyliły się lekko i Nina ujrzała wyglądające zza nich spuchnięte oko.

– To ty – powiedział Marcin.

– To ja – przyznała. – A co ty tu robisz?

Spodziewała się, że chłopak wzruszy ramionami (ten odruch mocno jej się z Marcinem kojarzył), ale on tylko skrzywił lekko usta.

– Pomagam babci, a co?

– Mogę wejść?

Z niechęcią otworzył szerzej drzwi i odsunął się. Nina weszła do małego pomieszczenia, w którym unosił się zapach dymu z papierosów i świeżo zadrukowanych stron. Pod ścianą pracowała prasa, nad którą pochylała się tęga kobieta. Odwróciła się, gdy Nina zamknęła za sobą drzwi, i zmierzyła dziewczynę oceniającym spojrzeniem. Wyglądała zdumiewająco młodo jak na babcię

nastolatka – miała chyba niewiele ponad pięćdziesiąt lat, kręcone czarne włosy i niezbyt urodziwą twarz. Tylko jej oczy były ładne: w kolorze zielonego szkła, tak jak oczy wnuka.

– Dzień dobry, chciałam... – Nina umilkła niepewnie, ale nie pozostawało jej nic innego, jak tylko brnąć dalej. – Chciałam zapytać, czy pani drukuje może jakichś miejscowych artystów?

Kobieta zmarszczyła grube, ciemne brwi, przesuwając jednocześnie papierosa z jednego kącika ust do drugiego.

– Drukujemy gazetę, do której piszą różni ludzie – powiedziała nieufnie. – I czasem przewodniki albo plakaty.

Nina raz jeszcze podjęła próbę wyjaśnienia, co właściwie ma na myśli, i twarz kobiety wreszcie rozjaśniła się w zrozumieniu.

– Chodzi o takich, co różne rzeczy wymyślają, tak?

– Najlepiej straszne rzeczy. – Dziewczyna skinęła głową.

Babcia Marcina zaczęła kopać w stercie papierów leżących na stoliku pod ścianą. Na podłogę spadło kilka luźnych kartek, Nina podniosła je odruchowo i przeczytała:

MIESZKAŃCY WILCZYCH DOŁÓW!

26 LUTEGO O GODZINIE 13:00 WSZYSTKO SIĘ ZMIENI!!!

JEŚLI NIE CHCECIE ZOSTAĆ Z NAMI, OPUŚĆCIE MIASTO, PÓKI JEST CZAS.

NA OSOBY Z ZAPROSZENIAMI CZEKAMY W PAŁACU SZCZERBSKICH 25 LUTEGO O GODZINIE 21:00.

**POZOSTAŁYM ŻYCZYMY MIŁEGO ŚWIĘTOWANIA W DOMACH
PAMIĘTAJCIE, OBOWIĄZUJĄ SPECJALNE STROJE!!!**

Odłożyła ulotki akurat w momencie, gdy babcia Marcina wydobyła spod sterty papierów stary numer gazetki.

– Z lipca – wyjaśniła. – Jest tam wiersz Bartka Gorata.

Nina zerknęła na pierwsze dwie linijki...

*Gdy ojciec Stalin spojrzy na Cię z góry
dzień od razu mniej jest ponury*

...i zamrugła nerwowo.

– I jak, wystarczająco straszne?

– Tak – przyznała dziewczyna. – Choć nie do końca w takim sensie, o jaki mi chodziło.

– Gorat robi też niezłe zdjęcia, a Janka Kozubówna czasem rysuje nam karykatury na plakaty albo do gazety. Nic politycznego – zastrzegła kobieta od razu. – Takie tam niewinne żarciki. Wszystko uczciwie przechodzi przez cenzurę i nigdy nie mieliśmy żadnych problemów. To porządna drukarnia, z tradycjami. Chyba ostatnia prywatna w kraju, bo utrudniają nam życie, jak tylko mogą. Papier mamy stary, jeszcze z przedwojennych zapasów. Nie wiem, co zrobimy, jak się skończy, bo przydziału pewnie nie dostaniemy. Mój ojciec był drukarzem i dziadek też, a teraz... Szkoda gadać.

Nina obejrzała kilka przykładowych rysunków (karykatury dla odmiany były całkiem udane: na jednej znajdował się gruby ksiądz z wielkim czerwonym nosem, na drugiej chudy mężczyzna z miną złodzieja), ale żaden nie miał nic wspólnego ze znikającymi pokojami i krowami, zmieniającym się lasem i czytającym w myślach aniołem.

– Właściwie po co ci to wszystko?

Dopiero po chwili Nina zorientowała się, że kobieta zadała jej pytanie. Mętnie zaczęła opowiadać coś o zadaniu w szkole, ale Marcin przerwał jej litościwie.

– Takie hobby ma, wie babcia. Wszędzie tylko tych artystów szuka. To dziwaczka, ale miła.

Nina nie miała pojęcia, czy ma być wdzięczna, czy wręcz przeciwnie, powinna się obrazić. Wdzięczność wydała jej się bardziej sensowna.

– Odzyskałeś kurtkę? – zapytała, gdy Marcin odprowadził ją do drzwi.

– Tak.

– To dobrze. Słuchaj, te ulotki... Co się stanie dwudziestego szóstego lutego o godzinie trzynastej?

– Zostań, to się przekonasz.

– Nie mogę, wyjeżdżamy wcześniej rano, bo mamy do przejechania całą Polskę.

- No to się nie dowiesz.
 - Nie możesz mi zwyczajnie powiedzieć?
 - Nie. Przyjdź do pałacu dzień wcześniej, tak jak mówiłem. Może spodoba ci się tak bardzo, że nie będziesz już chciała wyjechać.
- Zawahała się, z dłonią już na klamce.
- To nie jest nic... niebezpiecznego?
- Marcin nachmurzył się.
- Przecież ci mówiłem, że nie zrobiłbym nikomu krzywdy.
 - W porządku, przepraszam. – Nina bardzo nie chciała, żeby uznał ją za podobną do chłopaków, którzy go pobili.
 - To będzie niespodzianka. Najlepsza w twoim życiu. – Marcin rozjaśnił się i kiedy zamknął za nią drzwi, dziewczyna wciąż widziała uśmiech na jego opuchniętej, posiniaczonej twarzy.

Gdy Nina wróciła do pensjonatu, pozostała trójka nastolatków siedziała w pokoju dziewczyn i grała w tysiąca. Jeden rzut oka na ich miny powiedział jej, że nic z tego – dzisiaj także nikomu nie udało się znaleźć żadnego sensownego artysty.

– Ja trafiam na samych nieudaczników – wyjaśnił markotnie Jacek, kiedy Nina zajęła miejsce na łóżku obok Tamary i sięgnęła po gorącą herbatę (Hubert jakimś cudem przewidział, że dziewczyna niedługo wróci, i wziął dodatkowy kubek). – Jeden od pięciu lat maluje ten sam widoczek z jeleniem, bo twierdzi, że turyści niczego innego nie chcą kupować. A drugi bieli wapnem płoty i ściany, trudno to nazwać działalnością artystyczną...

– Tamara?

– Sto – oznajmiła dziewczyna, kładąc na stół damę kier, po czym spojrzała na Ninę. – O tym pijaku i kobiecie malującej kwiatki na talerzach już wam mówiłam. A dzisiaj widziałam się z chłopakiem, który napisał scenariusz do szkolnego przedstawienia. O narodzeniu Pańskim – dodała złośliwie, bo w oczach Niny zabłysła już nadzieja.

– U mnie też tylko malowanie talerzy – dodał Hubert. – Znowu. I jeden gość, który odnawia od czasu do czasu obrazy w kościele.

Nina skinęła głową. Mieszkańcy Wilczych Dołów najwyraźniej byli bardzo religijni i lubili zdobioną zastawę stołową. Niewiele jej to dawało.

– Zagraj z nami – zaproponowała Tamara. – Możemy zacząć jeszcze raz.

– Nie trzeba. Poczytam sobie...

Nina zerwała się z łóżka, bo właśnie coś przyszło jej do głowy. Desperacki pomysł, ale dziewczyna była przecież zdesperowana.

– Zaraz wracam.

Wypadła na korytarz i zbiegła na parter.

Janusz Klimsza chodził po mieście z dużą skórzaną teczką. To mogło nic nie znaczyć, może nosił tam gazetę albo drugie śniadanie, albo cokolwiek innego.

Ale mógł też nosić w niej rysunki, teczka zdecydowanie pasowałaby kształtem.

Jakim cudem nie pomyślała o tym wcześniej? Spotkali się w kościele, a chwilę później dziewczyna znalazła pod ławką szkic – jak mogła nie skojarzyć jednego z drugim?

Zapukała i kiedy usłyszała ciche „Wejść”, nacisnęła kłamkę. Tym razem nie zamierzała bawić się w zbędne uprzejmości, tylko zapytała prosto z mostu:

– Przepraszam bardzo, czy jest pan może artystą?

Rozdział jedenasty, w którym Nina otwiera zamknięty pokój.

Szła opustoszałą ulicą. Przed nią rozciągała się biel śniegu tak idealnie czysta i gładka, że mogła istnieć tylko tam, gdzie nie ma ludzi, w wymarłym mieście. Za nią na niebie kłębiły się chmury, dla odmiany niemal idealnie czarne, niosące ze sobą zapowiedź kolejnej śnieżycy.

Wiedziała, że musi się spieszyć, szła więc wyciągniętym krokiem w stronę apteki. Potrzebowali lekarstwa dla Marcina, nie aspiryny, tylko czegoś mocniejszego. Nastolatek od wczoraj majaczył w gorączce, na którą nie pomagały ani zwyczajne tabletki, ani zimne okłady. I z każdą godziną było gorzej.

Jacek został na wszelki wypadek, gdyby Marcinowi nagle się pogorszyło. Wcześniej się o to pokłócili, bo żadne z nich nie miało ochoty tkwić w mieszkaniu z chorym chłopakiem, ciągnęli więc zapałki i Nina wygrała. Teraz dręczyło ją trochę poczucie winy: przez całe życie uczono ją, że dziewczyny są od siedzenia w domu i pielęgnowania cierpiących, a chłopcy od dalekich i niebezpiecznych wypraw. Tylko że to nie miało sensu: ani Nina, ani Jacek nie znali się jakoś szczególnie na opiece nad chorymi, a wyprawa do apteki nie wymagała żadnych specjalnych umiejętności, wystarczyła tylko para zdrowych nóg.

Dusząc w sobie wyrzuty sumienia, skręciła w ulicę, na której, jak pamiętała, była apteka. Widziała już szyld nad drzwiami i drzwi... szeroko otwarte? Zrobiło się jej trochę nieprzyjemnie. Przyśpieszyła kroku, wpadła do środka i zamarła tuż za progiem.

Do wnętrza nawiało masę śniegu, cała podłoga i lada zasłane były świeżym bielutkim puchem. Pośrodku leżała przewrócona półka, wokół na wpół zakopane w śniegu lekarstwa, rozbite ampułki, wysypane ze słoiczek tabletki i rozmiękłe od wilgoci tekturowe opakowania. Z początku sądziła, że musiało tu grasować jakieś

zwierzę, nie widziała jednak śladów łap. Najprawdopodobniej więc półkę przewrócił silniejszy podmuch wiatru. Bo Nina i Jacek – kiedy byli tu ostatnim razem – nie zamknęli za sobą drzwi.

Pochyliła się i wygrzebała ze śniegu opakowanie jakiegoś leku. Wyjęła ze środka ulotkę – mokrą, z zamazanym drukiem. Kolejna nie była wcale w lepszym stanie. Na piątej zdołała odczytać słowo „gorączka” nie miała jednak pojęcia, czy to lek na gorączkę, czy może gorączka jest jednym z możliwych skutków ubocznych.

Wyprostowała się. Gdzie w Wilczych Dołach była druga apteka? Mętnie przypominała sobie, że widziała charakterystyczny zielony krzyż niedaleko parku. Jeśli się pospieszy, może zdąży tam dotrzeć.

Jeśli naprawdę się pośpieszy, bo burza nadciągała nad miasto coraz szybciej, cały ten biały, cichy świat, już i tak nieruchomy, teraz zamarł w oczekiwaniu na pierwsze uderzenie wiatru. Na niebie rozpełzała się wielka czarna chmura, podobna do wilka, który połykał rozpaloną do czerwoności kulę słońca. Fenrir, Nina przypominała sobie imię olbrzymiego syna Lokiego. U kresu czasu wilk o imieniu Fenrir połknie słońce i wtedy skończy się świat. Tak mówiły nordyckie mity.

Biegła już w tym momencie w stronę drugiej apteki – nie sprintem, żeby za szybko się nie zmęczyć, ale utrzymując równe, dobre tempo. Miała szczęście, że pod kilkucentymetrową warstwą świeżego śniegu wciąż była twarda, zamarznięta powierzchnia, dziewczyna mogła więc biec w miarę swobodnie.

Znalazła drugą aptekę, wpadła tam zdyszana i w coraz bardziej mętym blasku słońca przeszukała półki. Dwa leki mniej więcej zdawały się pasować, wsunęła więc opakowania do kieszeni, rozsądnie uznając, że czas na dokładne czytanie ulotek będzie potem. Wyszła i już miała znowu zacząć biec, kiedy coś zwróciło jej uwagę.

Nie żaden drobiazg, tylko potężna, gigantyczna zmiana, którą jakimś cudem przegapiła, w pośpiechu wpadając do apteki.

Uliczka ciągnęła się jeszcze przez kilkanaście metrów, a potem... potem się kończyła. Dalszych budynków nie było: tam, gdzie niedawno stały urocze osiemnastowieczne kamieniczki, teraz rozciągała się pusta biała przestrzeń. Kawałek miasta po prostu

zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Nina podeszła tam z sercem tłukącym się na wysokości gardła. Nie miała czasu, ale i tak podeszła. Stała na skraju miasta, czując na twarzy pierwszy podmuch wiatru, a potem pochyliła się i rozgarnęła śnieg.

Pod cienką warstwą chłodnej bieli znajdowała się czarna warstwa popiołów, pulsująca jeszcze lekko ciepłem ognia.

– To musiał być zwykły pożar – upierał się Jacek, kiedy siedzieli przy piecu, słuchając wiatru miotającego się na zewnątrz.

Nina wzdrygała się za każdym razem, gdy gwałtowny podmuch uderzał w szybę. Wróciła półtorej godziny temu i wciąż czuła w kościach zimno zawiei, która dopadła ją, gdy dziewczyna skręcała w ulicę Rycerską. Ostatnie dwadzieścia metrów dzielące ją od kamienicy przebrnęła niemal na ślepo, walcząc z sypiącym do oczu śniegiem i odmrażającym uszy wiatrem.

– Pomyśl chwilę, skąd tam miałby się wziąć pożar? Jest zima, wszędzie leży śnieg, a oprócz nas nie ma w mieście nikogo, kto mógłby zaproszyć ogień. Poza tym żaden zwyczajny pożar nie zamieniłby całego budynku w kupkę popiołów.

– W takim razie co to twoim zdaniem było?

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Ale zaczynam się bać. To znaczy, tak na serio.

– Wcześniej bałaś się nie na serio?

Nie odpowiedziała. Marcin, leżący na materacu przy piecu, oddychał jakby nieco lżej, choć może tylko tak jej się wydawało. Może chciała, żeby chłopakowi się polepszyło, bo żadne z nich, ani Nina, ani Jacek, nie miałyby już sił zmierzyć się ze śmiercią kolegi.

Myśl o śmierci przyszła tak naturalnie, że dziewczyna aż się wzdrygnęła. On naprawdę mógł umrzeć, pomyślała, patrząc na bladą, pokrytą potem twarz chłopaka. I wciąż może.

– Pewnie coś ci się pomyliło – upierał się Jacek, stawiając czajnik na piecu. Przynajmniej wody z roztopionego śniegu im nie

brakowało. – Może tam nigdy nie było żadnych budynków.

– Może – przyznała dla świętego spokoju.

Jacek ugotował trochę kaszy, którą zjedli ze smalcem i kawałkiem przywędniętej marchewki. Nina nie była pewna, czy to późny obiad, czy może już wczesna kolacja. Przy szalejącej na zewnątrz wichurze słońca i tak nie było widać, a wskazówka dużego kuchennego zegara znieruchomiła na godzinie szóstej dwadzieścia – Bóg jeden wie, rano czy wieczorem. Marcinowi najwyraźniej nie przyszło do głowy, żeby zegar nakręcić, podobnie zresztą jak nie wpadł na to, żeby część zapasów wystawić za okno, by mogły zamarznąć. Dziś rano nakarmiła Aleksa kawałkiem mięsa, który zaczynał już śmierdzieć, a do śmietnika powędrowały dwa bochenki zapleśniałego chleba. W dodatku wczoraj, przekonani, że i tak nie zostaną tu długo, zjedli zapas suchej kiełbasy i gulasz z puszki. Teraz została im tylko kasza, fasola, smalec i trochę starych warzyw.

Marcin spał, oddychając równo. Nina ostrożnie dotknęła jego czoła – chłopak wciąż miał gorączkę, ale chyba już nie tak wysoką jak wcześniej.

– Włączę radio – powiedział Jacek. – Przynajmniej dowiemy się, która jest godzina.

Skinęła głową. Może złapią jakąś stację i posłuchają muzyki. Albo dowiedzą się, jaka będzie pogoda, albo... właściwie cokolwiek, pomyślała Nina, stęskniona za dźwiękiem ludzkiego głosu, który nie byłby głosem Jacka ani Marcina.

Radio tradycyjnie już przez dłuższą chwilę trzeszczało i szumiało, zanim z głośników wydobył się fragment przemówienia jakiegoś polityka.

– ...utworzenie zakładowych rozjemczych... Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii...

– Daj coś innego – mruknęła Nina, której desperacja nie była aż tak głęboka, by dziewczyna miała słuchać o takich rzeczach.

Złapali kawałek koncertu fortepianowego (Ninie się podobał, ale Jacek kręcił nosem, że nuda) i coś, co brzmiało jak fragment czytanej książki – niestety, w głośnikach tak szumiało, że słyszeli co drugie zdanie.

A potem z potępieńczych trzasków wyłonił się znajomy głos.

– ...jesteście tam? Nina Marczak i Jacek... podajcie... Tu porucznik Daniel Lis, tu porucznik...

Zerwali się z krzesel i dopadli stojącego na stole radia.

– Jesteśmy! – wrzasnął Jacek, w zdenerwowaniu nie do mikrofonu, tylko do głośnika. – Słyszysz nas pan? Halo? Słyszysz...?

– Słyszę, nie musisz krzyżeć. Jest z tobą Nina?

– Tak – odparła dziewczyna. Serce biło jej, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi, a głos Lisa jeszcze nigdy nie wydawał się tak miły. – Przyjedzie pan po nas?

– Próbowaliśmy przedrzeć się przez ten śnieg, ale samochody utknęły w zaspach...

– To niby jak zamierzacie nas stąd wyciągnąć? – Jacek szybko przeszedł od entuzjazmu do niemal jawnej wrogości. – Mamy tu siedzieć do wiosny?

– Oczywiście, że nie. Znajdziemy jakiś sposób. Możemy przyjechać po was pługiem śnieżnym, jak tylko pogoda się uspokoi. Wytrzymacie jeszcze trochę?

– A Tamara i Hubert? Gdzie oni są?

– Bezpieczni z nami. Co tam się w ogóle stało?

– Nie wiem, my niczego nie pamiętamy.

– Jak to nie pamiętacie?

– Zwyczajnie.

Pośpiesznie streściła swoje przebudzenie w sali balowej, a potem spotkanie z Jackiem. W głośniku trzeszczało coraz bardziej, głos Lisa z każdą chwilą stawał się mniej wyraźny. Ninie daleko było do eksperta, ale nawet ona rozumiała, że łączność lada moment zostanie zerwana.

– I jest tu jeden chłopak, miejscowy. Marcin Pietrzycki. I widzieliśmy anioła, on tego chłopaka chyba zaatakował! Teraz jest ranny i ma gorączkę. To znaczy Marcin, nie anioł, anioł mieszka na kościelnej wieży... I zniknął kawałek miasta, jakby ktoś wypalił do gołej ziemi wszystkie budynki... Mamy jeszcze jedzenie, więc trochę możemy przetrwać, ale nie wiem, jak długo... Boimy się i... Marcin chyba kłamie, ma ulotki i jest tu taki dziwny zamknięty

pokój...

Nina umilkła, zdyszana. Nie był to zbyt precyzyjny raport, ale tylko na taki potrafiła się teraz zdobyć.

Po drugiej stronie panowała cisza, przerywana trzaskami i szumami. Gdyby dziewczyna zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić setki ludzi uwieczonych w studni, krzyczących i drapiących paznokciami o kamienne ściany, na dnie, tak głęboko, że ich głosy docierały na powierzchnię stłumione i zniekształcone. Tak właśnie to brzmiało.

– Tymi wypalonymi do gołej ziemi budynkami bym się tak bardzo nie przejmował – dodał Jacek. – Ninie mogło się coś pomylić, sama...

– Uciekajcie stamtąd – powiedział Lis, kiedy straciła już nadzieję, że w ogóle się odezwie. – Nie teraz, ale jak tylko poprawi się pogoda. Weźcie ze sobą trochę jedzenia i znajdźcie jakieś bezpieczne schronienie. Zamknijcie za sobą drzwi i nikomu nie otwierajcie.

– Nie możemy zabrać ze sobą Marcina. Jest ranny, mówiłam...

– Zostawcie go i uciekajcie, jak tylko będziecie mogli. Zrozumiałaś?

– Pan wie, co tu się dzieje? Hubert i Tamara coś panu powiedzieli? Jeśli tak, to my też...

– Zrozumiałaś? – To już nie było pytanie, tylko cień pytania, a nawet cień cienia, tak cichy i zniekształcony, że Nina bardziej domyśliła się, co Lis mówi, niż usłyszała.

– Tak – potwierdziła – ale...

Łączność została zerwana. Nie odbyło się to w żaden dramatyczny sposób, po prostu szumy i trzaski stały się jeszcze głośniejsze, zagarniając dla siebie całą dźwiękową przestrzeń. Chłopak krzyczał do mikrofonu, domagając się odpowiedzi, o co tu chodzi, ale Nina wiedziała już, że porucznik Daniel Lis ich nie słyszy.

Wreszcie Jacek się poddał, wyłączył radio i odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Odbiło mu – powiedział z przekonaniem. – Dlaczego mielibyśmy...

Urwał, bo Nina nie patrzyła na niego, tylko na leżący przy piecu materac. Materac, na którym siedział Marcin, całkowicie już przytomny, obserwując dwójkę nastolatków jasnymi zielonymi

oczami.

– Zostawiliście mi coś do jedzenia? – zapytał.

Jacek dał mu trochę kaszy z omastą, a Nina podsunęła kubek z wodą. Chłopak wypił i zjadł – niezbyt dużo, ale i tak sporo jak na chorego, dziewczyna uznała więc, że najwyraźniej Marcin wraca do zdrowia i nie muszą się więcej martwić. Znaczący, przynajmniej o to nie muszą, bo poza chorobą tajemniczego nastolatka istniało mnóstwo rzeczy, które wciąż budziły w niej przerażenie.

– Jak się czujesz? – zapytała dla porządku.

– Nieźle. – Odsunął talerz i odruchowo pogłaskał psa, który przydreptał, gdy tylko chłopak się obudził. – Co się stało? Straciłem przytomność?

– Nie pamiętasz?

– Co niby miałbym pamiętać?

– Wyszedłeś z domu w środku nocy i spotkałeś się z aniołem – przypomniał mu Jacek. – A potem zemdlałeś i dostałeś gorączki. To dzięki nam żyjesz – dodał z odrobiną dumy. – Bo Nina poszła po lekarstwo.

– Kim jest ten anioł? – zapytała. – I czego od niego chciałeś?

– Musicie być tacy podejrzliwi? – Chłopak skrzywił się, a Nina przez chwilę zobaczyła w jego oczach niepewność i coś jeszcze, czego nie potrafiła rozpoznać. – Ledwo się człowiek obudził, a wy już rzucacie się z pytaniami. Dajcie trochę odetchnąć, a potem pogadamy, co?

Dziewczyna miała tego dość.

Wypadła z kuchni, pobiegła do pokoju i wróciła z garścią ulotek.

– A może wyjaśnisz mi to? – powiedziała, rzucając stertę papierów na kolana Marcina. – Znalazłam je w szufladzie. Jest ich tyle, że to nie mogą być ulotki pozbierane po prostu z ulicy. To ty je rozprowadzałeś.

– Albo ktoś z twojej rodziny – dodał Jacek, a Nina skinęła głową.

– Od początku nas okłamujesz. Kiedy miałeś gorączkę, majaczyłeś

i mówiłeś coś o tym, że weszłam dla ciebie na jezioro. Wiesz, co to znaczy?

– Nie, ale nie wątpię, że zaraz mi wyjaśnisz.

– Ja nie pamiętam jeziora, ty tak, więc jeśli się tam spotkaliśmy, to znaczy, że albo w ogóle nie straciłeś pamięci, albo straciłeś ją później niż ja.

– Nic nie wiem o żadnym jeziorze.

– W gorączce wiedziałeś – zwrócił mu uwagę Jacek, ale Marcin wzruszył tylko ramionami.

– Może zwyczajnie majaczyłem.

– A ulotki? O nich też nic nie wiesz?

– Nie. Mówiłem przecież, że ostatnie tygodnie to dla mnie czarna dziura. Nawet jeśli ja je włożyłem do tej szuflady, to tego nie pamiętam. Ale równie dobrze mógł to zrobić mój ojciec albo babcia. Ona pracuje w drukarni.

– A ten trzeci, zamknięty pokój?

– Mama trzyma tam swoje cenne kryształy i zawsze zamyka drzwi na klucz, kiedy Aleks jest w domu. Dałbym wam klucz, ale nie mam pojęcia, gdzie go położyła.

– A anioł? – upierała się Nina.

– Miałem gorączkę i niczego nie pamiętam.

– To jest twoja wersja? Tak po prostu sobie wylunatykowałeś z mieszkania, żeby pogadać z aniołem? Który wcześniej na ciebie napadł?

– Lunatykowanie się zdarza, a co do napadania, to nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Otworzyła usta, ale Jacek ścisnął jej ramię.

– Chodź na chwilę – powiedział, a potem rzucił w stronę Marcina: – Zaraz wrócimy.

– Jak dla mnie możecie wcale nie wracać. – Chłopak zamknął oczy, a pies położył łeb na jego kolanach i zaskomlał cicho.

Poszli do pokoju, który służył im za sypialnię. Jacek zapalił świecę,

rozpraszając panujący w pomieszczeniu półmrok. Na zewnątrz wiatr wciąż miotał się i sypał śniegiem, oblepiając szybę coraz wyższą warstwą zimnej bieli.

– Chyba niepotrzebnie naskoczyłaś na niego z tymi ulotkami – powiedział chłopak. – On chciał nam coś powiedzieć, ale potem się w sobie zaciął i kicha.

– Wiem – mruknęła Nina z poczuciem winy. Zauważyła przecież tamtą niepewność, tamten... ból? Tak, to chyba było to. Gdyby dali Marcinowi chwilę, o którą prosił, może chłopak wreszcie zdobyłby się na szczerość. – Ale on od początku nas okłamuje.

– Jesteś pewna? To znaczy... w niektórych kwestiach pewnie tak. Ale może nie we wszystkich? To o tym jeziorze to mogło być cokolwiek, może przypomniał mu się fragment książki, którą kiedyś czytał albo coś. W gorączce ludzie wygadują różne głupoty. Ja kiedyś wmawiałem mojej mamie, że jak tylko otworzy okno, to przez nie wylecę, miałem wtedy zapalenie płuc i...

– A spotkanie z aniołem?

– Widziałaś, żeby on z nim rozmawiał?

– Jasne, że widziałam. Ty zresztą też.

– Wcale nie. – Chłopak pokręcił energicznie głową. – Byliśmy za daleko i widzieliśmy tylko, że anioł się nad nim pochyla, jakby coś tłumaczył. A z tego wcale nie wynika, że Marcin był przytomny i poszedł z nim pogadać.

Nina zagryzła wargi, bo Jacek miał trochę racji. Powiedzmy, że Marcin naprawdę lunatykował, a anioł podszedł do niego, żeby zapytać, co chłopak robi w środku nocy na śniegu, ubrany tylko w piżamę. Mało prawdopodobne, jednak możliwe.

– Lis powiedział, że powinniśmy uciekać... – mruknęła.

Jacek parsknął.

– I dlatego zamierzasz zostawić rannego i chorego chłopaka? Bo jakiś popieprzony sukinsyn kazał ci wiać? Pamiętasz, co on mi zrobił?

Pamiętała, owszem. Lis z pewnością zasługiwał na nazwanie go sukinsynem, ale do tej pory... do tej pory był wobec Niny uczciwy. A przynajmniej w miarę uczciwy.

– Chyba mu nie ufasz? – zapytał Jacek, a dziewczyna potrząsnęła głową. Trochę zbyt wolno, ale chyba niczego nie zauważył.

Moglibyśmy zostawić Marcinowi jedzenie i resztę tabletek, a potem sobie pójść, pomyślała. Znaleźlibyśmy bezpieczne miejsce i poczekali, aż Lis przyjedzie po nas pługiem. Marcin by sobie poradził, w końcu to kwestia dnia – najwyżej dwóch. Wystarczy, że burza się uspokoi.

A Nina naprawdę oddałaby sporo, żeby spędzić choć jedną noc w normalnym mieszkaniu, bez śladów krwi na podłodze, bez tajemniczego zamkniętego pokoju i wszystkich sekretów, które osaczyły ich, gdy tylko spotkali zielonookiego chłopaka. Bez jego kłamstw – bo nawet jeśli Marcin w niektórych kwestiach był z nimi szczerzy, to z pewnością nie we wszystkich.

Spojrzała na Jacka, gotowa mu to wszystko wyjaśnić, ale chłopak miał zacięty wyraz twarzy i Nina zrozumiała, że przegrała, zanim zdążyła otworzyć usta.

– Ja nie zamierzam się stąd ruszać – oznajmił, po czym odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do kuchni, a dziewczyna, chcąc nie chcąc, poszła za nim, bo trochę już przemarzła.

Przez cały wieczór odzywali się do siebie wyłącznie półsłówkami. Jacek kręcił się po kuchni, nie potrafiąc znaleźć sobie zajęcia, Nina wyciągnęła z biblioteczki Quo vadis i czytała od momentu, w którym przerwała tamtej strasznej pierwszej nocy, a Marcin przysypiał pod piecem – albo przynajmniej udawał, że przysypia.

Zjedli resztkę kaszy, nakarmili psa, a potem Nina wyprowadziła go na chwilę na zewnątrz – zadymka już zelżała, ale śnieg wciąż padał i niezadowolony Aleks szybko umknął z powrotem do mieszkania. Gdy dziewczyna wróciła, strząsając z czapki biały puch, Jacek uniósł twarz znad czytanej właśnie gazety – był to numer „Trybuny Ludu”, jedyny, jaki mieli, i Nina podejrzewała, że chłopak zna go już na pamięć.

– Idę spać – oznajmił.

Skinęła głową.

– Ja tu jeszcze posiedzę. Chcę skończyć rozdział.

– Jasne.

Zapalił drugą świecę i powędrował z nią do pokoju. Nina została sama. Prawie sama, bo pod piecem leżał przecież pogrążony we śnie Marcin. Jej nie chciało się spać, ale prawdę powiedziawszy, nie miała też ochoty czytać. Przyglądała się więc tańczącym na ścianie ceniom. Złożyła dłonie i próbowała zrobić cień królika – kiedyś, dawno temu, nauczyła ją tego ciotka. Nie pamiętała jednak, w jaki sposób ułożyć palce, i królik wciąż przypominał zmokłą kurę. Zrezygnowała wreszcie, westchnęła i próbowała zainteresować się losami Ligii i Winicjusza (choć i tak najciekawszy był Petroniusz). Czytała przez dłuższy czas, coraz bardziej senna. Litery rozmazywały jej się przed oczami, ale dziewczyna uparcie nie chciała się położyć, jakby to, co czaiło się na zewnątrz, w każdej chwili mogło ich zaskoczyć.

Musiała jednak w pewnym momencie zasnąć, bo obudziła się kilka godzin później, cała zeszywniała, z głową na stole. Zadymka na zewnątrz ucichła już zupełnie i przez okno wpełzał nieśmiało szary zimowy świt. Nina roztarła obolały kark. Jacek niedługo powinien wstać, a to oznaczało, że mogłaby się położyć na chwilę w sąsiednim pokoju.

Przebrała się pośpiesznie przy ciepłym jeszcze piecu w kalesony i męską, za dużą koszulę – strój, który służył jej teraz za piżamę. Miała już wyjść, kiedy dobiegł ją cichy głos.

– Naprawdę zamierzacie przede mną uciekać?

Podskoczyła, odwracając się.

– Myślałam, że śpisz.

– Nie śpię, tylko myślę.

– I wymyśliłeś, że się ciebie boimy?

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła w półmroku charakterystyczne wzruszenie ramion.

– Nie musiałem niczego wymyślać. Słyszałem, jak ten człowiek ostrzegał was przez radio.

Podeszła bliżej. Marcin cofnął się głębiej w ciemność, Nina zdążyła jednak dostrzec cienie pod jego oczami i ból, wyraźnie wymalowany na twarzy.

– A powinniśmy się ciebie bać?

– Nie wiem, twoim zdaniem wyglądam groźnie?

Musiała przyznać, że nie. Wręcz przeciwnie, to Marcin sprawiał wrażenie, jakby się czegoś bał. Bał się i jednocześnie był cholernie nieszczęśliwy.

– Widziałem siniaki na twojej skórze – powiedział nagle, a dziewczyna wzdrygnęła się lekko. Marcin musiał to zauważyć, bo dodał pośpiesznie: – Nie podglądałem cię, po prostu zerknąłem przypadkiem i zaraz zamknąłem oczy. Ale siniaki zauważyłem, są stare, ale jeszcze widoczne.

– Co ty wiesz o siniakach... – mruknęła.

Chłopak zawahał się, a potem podciągnął koszulę i odwrócił się. Na jego plecach widniały cztery żółknące już pręgi, jak ślady po uderzeniu pasem. Nina bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że jeszcze niedawno te ślady były sine i nabiegnięte krwią.

– Mój ojciec – wyjaśnił Marcin. – Miał ciężką rękę, tak na to mówiła matka. Ale tylko dla mnie, mojej siostry nigdy nie tknął nawet palcem. Uważał, że chłopaka trzeba trzymać krótko, a ja ciągle mu podpadałem. Z różnych powodów.

– Nie żyje?

– Co?

– Mówisz o nim w czasie przeszłym.

Przez twarz nastolatka przemknął wyraz zakłopotania.

– Bo możliwe, że już go nigdy nie zobaczę. Prawdę powiedziawszy, chyba nawet bym nie chciał.

– A twoja siostra? Jak myślisz, gdzie jest teraz?

– Mam nadzieję, że w jakimś dobrym miejscu. To miłe dziecko – powiedział z nagłą czułością.

– Mój młodszy brat też jest miły. – Nina westchnęła. – I też nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę...

– A te siniaki skąd masz? Ojciec cię bije, jak mnie?

– Nauczycielka biologii – wyjaśniła z ociąganiem. – Zakonnica. Mieszkam w szkole z internatem, a nie z rodzicami. To dość skomplikowane.

– Możesz mi opowiedzieć, jeśli chcesz. Mamy mnóstwo czasu.

Dziwne, ale naprawdę miała na to ochotę – i to mimo tego, że Marcinowi wciąż niezbyt ufała. Nie mogła jednak zdradzić, co wydarzyło się w instytucie Totenwald, ostatecznie więc opowiedziała chłopakowi wersję po części oficjalną, po części prawdziwą – że magia przypadkiem zmieniła ją w sierotę, choć jej rodzice jeszcze żyją, i od tego czasu nie może się z nimi widywać. A komuniści zaopiekowali się nią z dobrego serca i umieścili w szkole z internatem. Nie dodała tego, co było najważniejsze: że w instytucie ktoś za nią umarł, a ona wciąż o nim (albo o niej) myślała, z każdym dniem coraz bardziej pewna, że anonimowy nastolatek istniał naprawdę. O tym nie potrafiłaby chyba jeszcze mówić, nawet gdyby nie wiązała jej tajemnica.

Skończyła, ale chłopak wciąż milczał, aż wreszcie Nina zdecydowała się odezwać.

– Naprawdę nie wiesz, co się w tym mieście wydarzyło?

Zaraz tego pożałowała. Może nie powinna była pytać, może to zniszczyło kruchą więź porozumienia, która między nimi powstała...

– Prawdziwy z ciebie detektyw, co? – Marcin parsknął. – Nigdy nie odpuszczasz.

Powiedział to jednak żartobliwie, bez wcześniejszego sarkazmu, i dziewczyna odetchnęła.

– Zostaniesz ze mną jeszcze przez chwilę? – zapytał. – Nawet jeśli zamierzacie jutro nawiać, to pięć minut cię nie zbawi.

Był w tym cień dawnej złośliwości, ale Nina widziała już wyraźnie, że Marcin jest zmęczony i wciąż przerażony. A przede wszystkim bardzo, bardzo samotny. To właśnie najbardziej ją uderzyło: jego samotność. Chłopak od początku budził w niej mieszane uczucia: irytację, żal, współczucie, może nawet odrobinę lęku. Teraz zdecydowanie przeważało współczucie.

– Zostanę.

Zasypiał, a Nina siedziała obok. Pomyślała w pewnym momencie, że może powinna wziąć go za rękę albo dotknąć ramienia, ale jakoś nie potrafiła się na to zdobyć. Nie przychodziło jej też do głowy nic mądrego ani pocieszającego, co mogłaby powiedzieć. Siedziała więc

w ciszy, za plecami mając okno, przez które coraz szerszą strugą wlewał się świt.

Myślała już, że Marcin zasnął, kiedy chłopak otworzył oczy i spojrzał na nią całkiem przytomnie.

– On zniszczy wszystko, co mu stanie na drodze, poza sobą samym.

Powieki zatrzepotały i opadły, pierś uniosła się w równym, głębokim oddechu. Teraz już na pewno spał.

Nina wstała.

Lis ostrzegał ich, żeby uciekali, gdy tylko skończy się zamieć.

Jacek upierał się, żeby zostać, głównie dlatego, że nie ufał Lisowi i najchętniej postępowałby zawsze na przekór radom porucznika.

A Nina musiała podjąć decyzję. Nieważne, że Marcin budził w niej współczucie i kiedy spał, wyglądał całkiem niewinnie. Dziewczyna wciąż miała wątpliwości i musiała je rozwiązać. Bo Marcin w żaden sposób nie wytłumaczył dziwnych rzeczy, które się wokół niego działy. Bo nazwał ją detektywem, chociaż Nina nigdy mu nie mówiła, że prowadzi śledztwo. To mógł być przypadek, ale równie dobrze mogło to oznaczać, że spotkali się już wcześniej i chłopak doskonale wszystko pamiętał.

Wyszła z kuchni i stanęła przed drzwiami tajemniczego pokoju. Nacisnęła klamkę, tak jak robiła to już wiele razy. Oczywiście były zamknięte, przysunęła więc oko do dziurki od klucza – to też robiła już wcześniej i za każdym razem widziała tylko kawałek zaciągniętej ciemnej zasłony. Przyłożyła ucho: cisza, wciąż ta sama.

Może naprawdę drzwi zamknęła matka Marcina, która nie chciała, by pies porozbijał jej cenne kryształki.

A może zamknął je sam Marcin.

Spróbowała wczuć się w rolę chłopaka. Jest ranna, ledwo potrafi się ruszać, krwawi, w głowie jej się kręci. A na schodach słyszy już kroki dwóch osób, które lada moment wpadną do mieszkania. Jednocześnie Nina doskonale wie, że w pokoju znajduje się coś, czego obcy absolutnie nie mogą zobaczyć. Nie ma czasu, żeby to coś wynieść i gdzieś ukryć. A nawet gdyby czas miała, to zabrakłoby jej siły.

Pozostało jakieś dwadzieścia sekund, żeby coś zrobić. Chwyta więc

tkwiący w zamku klucz, przekręca go, a potem... Właśnie, co potem? Nie może klucza schować do kieszeni, bo obcy z łatwością go znajdą, choćby opatrując jej ranę czy pomagając przy przebieraniu. Z oczywistych powodów nie może też zostawić go w zamku.

Co robi?

Rozejrzała się uważnie. Mętne światło świtu wyławiało z mroku wieszak, szafkę na buty i komódkę, na której stał pusty wazon.

Zimowe okrycia i buty wydawały się zbyt oczywiste – w sytuacji, kiedy wszyscy nosili znalezione w opustoszałym mieście ubrania, żaden płaszcz, kurtka czy para butów nie były bezpieczne. Pozostawał więc wazon.

Nina podniosła go i przechyliła. Na rękę wyciekło jej trochę mętnej, śmierdzącej wody, a potem wypadł srebrny klucz. Wytarła go o spodnie i wsunęła do zamka. Przekręciła i już miała nacisnąć klamkę, kiedy tknęła ją pewna myśl.

Kiedy Lis kazał im uciekać? Czy nie wtedy, gdy Nina wspomniała o zamkniętym pokoju?

Rozsądek podpowiadał, że powinna obudzić Jacka, jednak ciekawość okazała się silniejsza. Są takie chwile w życiu, kiedy najbardziej rozsądny człowiek zwyczajnie nie może się powstrzymać.

Pchnęła drzwi i wsunęła się ostrożnie do środka. W pokoju na pierwszy rzut oka nie było nic tajemniczego czy nietypowego – ot, zwyczajny salonik z przeszkloną szafką pełną cennych kryształów i dwoma wygodnymi fotelami pod ścianą. Na drugi... na drugi rzut oka dostrzegła leżący w kącie ciemny kształt i cofnęła się gwałtownie, potrącając stolik, z którego posypały się na podłogę czarno-białe szkice.

Rozdział dwunasty, w którym Nina idzie na bal.

Artystą? – Klimsza uniósł głowę znad leżących na stoliku czarno-białych szkiców. – Co to za dziwne pytanie?

Nina poczerwieniała.

– Mam na myśli te rysunki – powiedziała szybko, obrzucając szkice spojrzeniem. – Bo wcześniej widziałam pana ze skórzaną teczką i w ogóle... Wiem, że nie powinnam tak tu wpadać i pytać, ale to naprawdę ważne. Przepraszam, jeśli pana uraziłam.

– Nie uraziłaś mnie, po prostu się zdziwiłem. Osobliwe z ciebie dziecko, czy ktoś ci to już mówił?

– Tak, parę osób.

Klimsza westchnął.

– Jeśli to naprawdę takie ważne, możesz obejrzeć moje prace. Ale nie uważam się za artystę. Szkicuję tylko widoki miasta, nic więcej. Obawiam się, że moje rysunki niewiele się różnią od zdjęć czy zwykłych pocztówek.

Wciąż zarumieniona Nina podeszła do stolika i spojrzała na szkice. Wszystkie przedstawiały Wilcze Doły: rynek z kościołem, pałac Szczerbskich, park i aptekę na rogu. Było też parę scenek rodzajowych: kobieta kupująca na targu kurę, mężczyzna stawiający pod sklepem wielkie bańki z mlekiem i wybiegające ze szkoły dzieci. Nic podejrzanego, dziwnego czy choć trochę strasznego. Klimsza mówił prawdę: rysunki niewiele się różniły od zwyczajnych czarno-białych zdjęć. Dziewczyna nie miała pojęcia, jakim cudem ktoś mógłby posłużyć się nimi do rzucenia czaru, który sprawiałby, że krowy znikają z zamkniętych obór, a las się zmienia.

Nie ktoś, tylko anioł, upomniała samą siebie. Być może ten sam, którego Hubert zobaczył na wieży kościoła w pierwszy wieczór po przyjeździe. Trzeba go będzie znaleźć, pomyślała, ale na razie odsunęła to na dalszy plan. Anioły potrafiły się ukrywać, jeśli tylko tego chciały.

Przejrzała jeszcze kilka rysunków, aż wreszcie trafiła na ten, który

widziała wcześniej w kościele: zaprzężony w dwa konie wóz, a na nim podłużna wielka skrzynia. Dziewczyna zawahała się. Było w tym obrazku coś niepokojącego – może mina woźnicy, nie tyle nawet ponura, ile jakby wystraszona, a może fakt, że skrzynia znowu skojarzyła jej się z podwójną trumną.

– Wie pan, co jest w środku? – zapytała, ale Klimsza pokręcił głową. Spojrzenie zza okularów wciąż było uprzejme i czujne.

– To po prostu scenka, którą zobaczyłem na ulicy jakiś czas temu. Nie mam pojęcia, co to za skrzynia ani do czego służy.

– Ale zna pan dobrze Marcina, prawda? I specjalnie wysłał mnie pan nad ten staw, żebym go uratowała.

– Owszem, nie przeczę, że w pewnym stopniu cię wykorzystałem. – Mężczyzna wyglądał teraz na lekko zakłopotanego. – Zobaczyłem tych chłopaków ciągnących do lasu Marcina i domyśliłem się, że chcą go skrzywdzić. To się zdarzało już wcześniej, a ja jestem za stary i za słaby, żeby wdawać się w bójki z wyrostkami. Mam nadzieję, że wybaczysz mi narażenie cię na niebezpieczeństwo. Ale wiedziałem przecież, co potrafisz, dlatego...

Klimsza urwał. Nina milczała, intensywnie się nad czymś zastanawiając.

– Nie martw się, twój mały sekret będzie ze mną bezpieczny – dodał starszy pan.

Nina skwitowała to machnięciem ręki.

– Bardziej mnie interesuje, czemu wcześniej skłamał pan, że nie zna Marcina?

Mężczyzna westchnął po raz drugi, tym razem tak potężnie, że kamizelka na jego piersi wybrzuszyła się, grożąc oderwaniem się guzików.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale całe to twoje śledztwo jest wysoce irytujące. Ludzie nie lubią, kiedy mała dziewczynka zadaje im dziwaczne pytania i oskarża nie wiadomo o co. A ja chciałem tylko chronić Marcina, bo ten chłopak przeżył już wystarczająco dużo.

Nina zacisnęła dłonie w pięści. Wysoce irytujące, też coś! I mała dziewczynka! I przecież nikogo o nic nie oskarżała, tylko starała się

dowiedzieć, co dzieje się w mieście – dla dobra wszystkich.

Klimsza sprawiał jednak wrażenie całkiem szczerego, kiedy patrzył na nią łagodnym wzrokiem zza grubych szkieł, ostatecznie więc pożegnała się i wyszła. Ta rozmowa nie miała sensu.

Tego wieczoru wyglądała na zewnątrz długo po tym, jak Tamara zasnęła już na swoim łóżku. Okno pokoju dziewczyn wychodziło na wschód i Nina widziała w nim kawałek kościelnej wieży. Spodziewała się, że choć przez chwilę ujrzy anioła, ale rysująca się na tle granatowego nieba wieża była zupełnie pusta.

Zbudziła się, gdy za oknem było jasno. Zegar na półce pokazywał godzinę szóstą trzydzieści, Tamara smacznie spała, owinięta kołdrą aż po czubek nosa. Nina wiedziała, że już nie zaśnie, z natury zresztą była rannym ptaszkiem i rzadko kiedy zdarzało jej się leżeć długo w łóżku.

Wstała: w sypialni było chłodno, piecyk, wieczorem rozpalony do czerwoności, teraz emanował tylko ponurym lutowym ziąbem. Dziewczyna zadrżała, wciągając pośpiesznie bieliznę, która zdawała się wilgotna, choć była tylko zimna. Jeszcze koszulka, spodnie oraz sweter i już można wyjść, z butami w rękę, żeby przypadkiem nikogo nie obudzić.

Ostrożnie zamknęła drzwi i podskoczyła gwałtownie, kiedy za jej plecami rozległo się ciche „Cześć”. Odwróciła się.

– Hubert, nie strasz mnie. Myślałam, że wszyscy śpią.

– Obudziłem się jakieś piętnaście minut temu i usłyszałem, jak się tłuczysz w swoim pokoju.

– Byłam cicho – zaprotestowała, ale Hubert tylko wzruszył ramionami.

– Dokąd się wybierasz?

– Do kościoła. Jeśli anioł, którego widziałeś, tam się ukrywa, to może rano wyjdzie.

– Idę z tobą.

Nina skinęła głową. Nie planowała towarzystwa, ale kiedy już się

znalazło, była z niego zadowolona.

Wymknęli się z pensjonatu. Na zewnątrz padał śnieg, wielkie zimne płatki miękko opadały na białe chodniki i białe dachy domów. W dużym mieście o tej porze na ulicach spotkaliby sporo ludzi śpieszących na ranne zmiany w fabryce albo do wcześnie otwieranych urzędów, ale tutaj wokół nie było żywego ducha – tylko zmarznięty mleczarz wyładowywał przed spożywczym pobrzękujące bańki z mlekiem, zupełnie jak na obrazku pana Klimszy, a z pobliskiej piekarni rozchodził się zapach świeżego chleba.

Nina włożyła dłonie do kieszeni palta. Szli w milczeniu, ale cisza w żaden sposób im nie przeszkadzała. Zdarzały się takie chwile, kiedy dziewczyna wołała towarzystwo małomównego, spokojnego Huberta niż przebojowej Tamary czy energicznego Jacka. Chwile dokładnie takie jak ta, kiedy świat wyglądał jak ze świątecznej pocztówki albo z ilustracji w książeczce dla dzieci, a Nina i Hubert mogli się nim cieszyć, każde po swojemu.

– Szkoda, że jutro musimy wyjechać – powiedziała nagle.

– Szkoda – potwierdził Hubert.

– Tobie pewnie będzie trudniej – dodała ostrożnie.

– Czemu?

– Tamara mówiła, że znalazłeś sobie dziewczynę.

– Iżę, tak. – Hubert przybrał pełen bóleści wyraz twarzy. – Obawiam się, że nasza miłość pozostanie niespełniona.

Nina powstrzymała się od oczywistej repliki, że rodzice Izy mogliby mieć sporo przeciwko spełnieniu tej miłości, po czym stosowną chwilą ciszy uczciła tragiczny koniec młodzieńczego uczucia.

– A Tamara? – zapytała, kiedy uznała już, że może się odezwać. – Ona też kogoś sobie znalazła? Bo dziwnie się ostatnio zachowuje, znaczy, no wiesz, patrzy w lustro i parę razy nawet założyła sukienkę...

– Tamara chyba nie jest zdecydowana, chociaż kilku chłopaków ją podrywało. – Hubert wyglądał na lekko zdziwionego, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że jego koleżanka cieszy się powodzeniem.

Nina zdumiona wcale nie była. Tamara, owszem, nie grzeszyła jakoś szczególnie urodą, ale miała mnóstwo naturalnego wdzięku, a w

towarzystwie chłopaków zachowywała się bardzo swobodnie. Nina odwrotnie: była ładna (lustro pokazywało jej to każdego dnia), ale żadnych adoratorów jak dotąd nie zdobyła. Właśnie zaczęła zastanawiać się dlaczego, jednak nie doszła do żadnych sensownych wniosków, zresztą wchodzili już do kościoła i myśli o chłopakach wywietrzały jej z głowy.

– Halo? – odezwała się nieśmiało, zamykając za sobą ciężkie dębowe drzwi. – Jest tu ktoś?

Poczuła się jak idiotka, bo niby kto miałby jej odpowiedzieć? Kościelny? Jakaś staruszka, która wcześniej z rana przyszła się pomodlić?

Kościół był pusty. Pusty, zimny i ciemny, bo witrażowe szyby przepuszczały tylko odrobinę zimowego światła. Nina i Hubert przeszli wzdłuż głównej nawy aż do ołtarza, przed którym płonąła czerwona lampka. Dziewczyna uniosła głowę.

– Jeśli tu jesteś, odezwij się! – krzyknęła nieco śmielej w mrok. Nawet jeśli zachowywała się głupio, nie musiała się martwić, że zaraz obsztorcuje ją wkurzony ksiądz.

– Proszę! Chcemy tylko porozmawiać – dodał Hubert.

Nina wzdrygnęła się lekko – dokładnie to samo mówiła Wiktorowi, a chłopak jak dotąd nie dał znaku życia. Ciekawe, czy anioł się odezwie, pomyślała. I czy w ogóle ich słyszy.

– Może jest na wieży – zasugerował Hubert, kiedy podzieliła się z nim wątpliwościami.

Rozejrzeli się i po chwili znaleźli małe boczne drzwi, do których prowadziły trzy schodki. Dziewczyna nacisnęła klamkę – były zamknięte, tak jak się spodziewali.

– Spróbuj spinką – poradził nieco nerwowo chłopak.

Nina spróbowała. Kiedy ćwiczyli z panią Ewą, otwieranie zamków wytrychem wydawało się całkiem proste. Teraz męczyła się dobre dziesięć minut, ale zapadka wreszcie puściła.

Ostrożnie weszli na zakurzone wąskie schodki, które wiły się spiralnie w górę. A jeśli nas ktoś przyłapie? – pomyślała. Jakkolwiek by na to patrzeć, dokonali właśnie włamania. Nina nie miała jeszcze skończonych czternastu lat, co oznaczało, że jej nic nie groziło, ale

Hubert mógłby trafić do poprawczaka.

Uspokoila się zaraz myślą, że przecież pani Ewa jakoś by ich wybroniła, ale i tak zimny dreszcz przebiegł dziewczynie po plecach.

– Hop, hop! – zawołała. – Jest tu ktoś?

Od chodzenia w kółko coraz wyżej i wyżej zakreśliło jej się w głowie, kurz drapał w gardło, nogi bolały. Za plecami słyszała posapywanie Huberta, mrok przecinały od czasu do czasu pasma światła wpadającego przez wąskie okienka. Nina żałowała, że nie liczyła schodów, miałyby przynajmniej jakieś zajęcie. W górę i jeszcze w górę. Ile tu może być pięter? – myślała mętnie, walcząc z zawrotami głowy. Sześć, siedem? Więcej?

Wreszcie schody skończyły się i weszli na podest. Pachniało tu świeżym drewnem, a z belek zwisał wielki mosiężny dzwon, podwieszony na skomplikowanej konstrukcji. Kilka spłoszonych gołębi umknęło przez otwarte okno w jasne światło poranka, ale poza tym wieża wydawała się niezamieszкана.

Dopiero po chwili na zakurzonej podłodze, tuż przy drzwiach prowadzących na punkt widokowy, Nina znalazła pióro wyróżniające się wyraźnie wśród szarych piór gołębi, długie i czarne, tak jak czarna bywa bezgwiezdna noc. Wzięła je do ręki i przeciągnęła palcami wzdłuż lotek. A więc Hubert się nie mylił, anioł tu był, stał na wieży i patrzył na rozciągające się pod jego stopami miasto.

Wyszła na punkt widokowy i stanęła w tym samym miejscu. Śnieg wciąż padał, w dole widać było już zdecydowanie więcej ludzi – na ulicy mijaly się właśnie dwa wozy, jeden pusty, drugi wyładowany meblami, znalazł się nawet jeden samochód, który wzbudził entuzjazm miejscowej dzieciarni. Zakutani w palta i szaliki przechodnie z wysokości kilkudziesięciu metrów przypominali gromadę ruchliwych bałwanków.

Nina odetchnęła raz jeszcze mroźnym powietrzem, a potem uznała, że pora wracać. Tym razem nie zawracała sobie głowy zostawianiem listu – była pewna, że anioł ich odnajdzie, jeśli tylko będzie chciał.

Przez cały ranek ćwiczyli dzudo, potem pani Ewa uczyła ich na mieście, jak śledzić ludzi i odwrotnie – jak zgubić śledzących. Nina uznała to za zajęcie zabawne i zarazem pożyteczne, Tamara i Jacek też bawili się dobrze i tylko Hubert snuł się po Wilczych Dołach posepnie, zapewne rozpamiętując urodę jasnowłosej Izy. Piętnaście po czwartej opiekunka zebrała ich wszystkich w parku.

– Całkiem nieźle wam poszło – powiedziała, kiedy już upewniła się, że wokół nie ma nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. – I nie mam na myśli tylko dzisiejszych zajęć, ale wszystko, czego w te ferie się nauczyliście. Nie było tego dużo, bo mieliśmy tylko dwa tygodnie, ale liczę, że coś wam zostanie w głowach i przyda się na przyszłość. Niektóre rzeczy możecie też ćwiczyć sami, byle ostrożnie, jasne?

– Jasne – przytaknęli gorliwie, a Jacek odważył się zapytać:

– To już koniec?

– Koniec. Dzisiaj jest wasz ostatni dzień, więc do wieczora macie czas wolny. Pamiętajcie tylko, żeby nie wracać zbyt późno, bo jutro wyjeżdżamy przed siódmą.

– Co robimy? – zapytał Jacek, kiedy sylwetka kobiety zniknęła w parkowej alejce. Wyglądał przy tym na trochę rozczarowanego. Młodszy chłopak od początku był ulubieńcem pani Ewy, to jemu najlepiej wychodziła większość ćwiczeń i on najbardziej się angażował.

– Możemy pójść na pączki – zaproponowała Tamara. – W końcu dzisiaj jest tłusty czwartek. Albo na lody.

– Jest środek zimy...

– Co z tego? Lody lepiej jeść zimą, bo wtedy jest mniejsza różnica między wewnątrz a zewnątrz.

Zaczęli się kłócić, czy w Wilczych Dołach znajdzie się gdzieś czynna lodziarnia. Nina rozejrzała się dookoła – park nadal był pusty, choć z oddali dobiegały piski obrzucających się śniegiem dzieci.

– A może dokończylibyśmy śledztwo? – zapytała. – Moglibyśmy pójść do Wiktora, może teraz nam otworzy. I złapać jeszcze raz Karolinę, żeby zapytać o ten notes. Albo porozmawiać z Marcinem.

Hubert kopnął grudę śniegu.

– Próbowaliśmy przecież i nic to nie dało – mruknął. – Zresztą

czego możemy się dowiedzieć w parę godzin?

– A moim zdaniem to wcale nie jest głupi pomysł. – Tamara niespodziewanie poparła Ninę. – Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, to przynajmniej nie będziemy mieć wyrzutów sumienia, że odpuściliśmy. Możemy dać sobie czas do – spojrzęła na zegarek – siódmej. Jeśli do tego czasu niczego się nie dowiemy, to...

– ...zwijamy się i idziemy do Janka i Staszka – dokończył Jacek, a Hubert poróżwiał lekko.

Podzielili się w pary: chłopcy powędrowali w stronę domu z zielonym płotem, a dziewczyny poszły w kierunku kamienicy, w której mieszkali Pietrzyccy. Nina liczyła, że Karolina wyjdzie prędzej czy później na zewnątrz – w końcu były ferie i ładna pogoda – ale dziewczynka jak na złość tkwiła w domu. Albo odwrotnie, w domu po prostu jej nie było.

W końcu Tamara, stojąca od pół godziny przy śmietniku, nieco się zdenerwowała.

– Słuchaj, a może tak zwyczajnie zadzwonimy do drzwi i zapytamy, czy możemy pogadać z Karoliną?

Nina po chwili wahania skinęła głową.

– Dobra, ale ty idziesz, nie ja. Pietrzycki mnie nie lubi.

Starsza dziewczyna zniknęła w drzwiach klatki schodowej i wróciła parę minut później z ponurą miną.

– Nikogo nie ma w domu.

Albo jest, tylko nie otwiera, pomyślała Nina, która chwilę wcześniej widziała firankę poruszającą się w oknie na pierwszym piętrze. Wydawało jej się też, że dostrzegła za nią twarz Marcina, ale pewności nie miała.

Kręciły się przez jakiś czas po podwórku, niepewne, co ze sobą zrobić. Z klatki schodowej wyszła Czarna Dama, która, cała wystrojona, skierowała się w stronę kościoła, a na parterze wybuchła małżeńska awantura. Poza tym nie działo się nic ciekawego.

– Wracamy? – zapytała Tamara, a zniechęcona Nina skinęła głową.

Na ulicy minął je wóz, na którym piętrzył się przewiązany sznurkiem stos mebli, garnków i innych domowych sprzętów. Na jego szczycie tkwiła chybotająca się palma w doniczce. To już trzeci dzisiejszego dnia, pomyślała Nina.

– Naprawdę myślisz, że coś się wydarzy jutro o trzynastej? – zapytała Tamare, ale przyjaciółka wzruszyła ramionami.

– Oni w to wierzą, nie?

Nina skinęła głową. Z Wilczych Dołów wyjechało wystarczająco wiele osób, żeby sprawę uznać za poważną. I to nie mogła być tylko kwestia ulotek, nikt nie ucieka z całym dobytkiem z takiego powodu. Ci ludzie musieli wiedzieć coś więcej.

– Halo, proszę pana! – zawołała, pod wpływem nagłego impulsu biegnąc za oddalającym się wozem. – Chciałam... proszę się zatrzymać... Chciałam zapytać...

Woźnica zwolnił. Dziewczyna nabrała w płuca powietrza.

– Dlaczego pan wyjeżdża? Nie podoba się panu miasto?

Mężczyzna miał oszołomioną minę, zupełnie jakby nie zrozumiał pytania.

– Nie pamiętam – powiedział wreszcie. – Ale muszę wyjechać.

Zaciął konia batem i poskrzypujący wóz ruszył szybciej. Palma na szczycie meblowej piramidy chwiała się teraz mocniej, a siedząca z tyłu kobieta przyciskała do boku jasnowłosą dziewczuskę i patrzyła wzrokiem, który był jednocześnie zły, wystraszony i zacięty.

– Powinniśmy porozmawiać z panią Ewą – powiedziała Nina, kiedy Tamara do niej dołączyła. – Przekonać ją, że jutro koniecznie musimy zostać do trzynastej.

Kiedy wróciły do pensjonatu, nie było w nim ani chłopców, ani pani Ewy.

– Pani Wiśniewska wróci po ósmej – poinformowała krótko gospodyni. – Nie mówiła, dokąd idzie, kazała tylko przypomnieć, żebyście nie siedzieli zbyt długo u tych swoich znajomych.

Ninie mina się wydłużyła, ale Tamara klepnęła młodszą dziewczynę

w plecy.

– Pogadamy z nią, jak wrócimy z imprezy.

Pół godziny później zjawili się chłopcy. Hubert już w progu kręcił głową, a Jacek oznajmił, że w domu z zielonym płotem nikogo nie było.

Ninę coraz bardziej irytował ten schemat. Nikogo nie ma, nikt nie chce otworzyć drzwi, nikt z nimi nie rozmawia. Jakby całe miasto zmówiło się przeciwko obcym.

Ubrali się elegancko – a przynajmniej na tyle elegancko, na ile byli w stanie. Nina założyła sukienkę i uczesała się tak, żeby choć trochę zasłonić bliznę na czole. Tamara przeciągnęła grzebieniem po włosach, po czym, niezadowolona z efektu, rozwichrzyła czuprynę, tworząc na głowie artystyczny nieład.

Janek i Staszek mieszkali na południu Wilczych Dołów, w piętrowej willi otoczonej niewielkim ogrodem. Jak poinformowała Tamara, ojciec chłopaków był lekarzem, jedynym w miasteczku specjalistą od chorób serca.

Bogata rodzina, pomyślała Nina, kiedy wchodzili do salonu pełnego przedwojennych kryształów, z wiszącymi na ścianach olejnymi obrazami. Na podłodze leżał tłumiący kroki gruby dywan, dębowe meble lśniły w świetle lamp.

Pani domu przyniosła tacę z pokrojoną szarlotką, wciąż jeszcze ciepłą, i dzbanek herbaty. Życzyła wszystkim dobrej zabawy i zaraz się pożegnała – oboje z mężem wychodzili na brydża do znajomych i mieli wrócić dopiero późnym wieczorem.

Młodzież została sama.

Było ich w salonie ośmioro: czwórka obcych oraz czwórka miejscowych. Iza i Hubert od razu usiedli na kanapie i pograżyli się w cichej rozmowie, bracia Janek i Staszek, mimo różnicy wieku podobni do siebie jak bliźniacy, zaczęli przekomarzać się z Tamarą, a Jacek po chwili wahania do nich dołączył. Ninie zostało więc towarzystwo wysokiego rudego chłopaka, trochę patykowatego, ale poza tym całkiem przystojnego, który przedstawił się jako Bartek.

Ktoś nastawił na adapterze płytę i w salonie rozbrzmiała cicha jazzowa muzyka.

– Chcesz rumu do herbaty? – zapytał Bartek.
– Tak... to znaczy nie. – Nina zaplątała się. – Może trochę.
– Ile masz lat?
– Czternaście.
– Wyglądasz na dwanaście. – Chłopak ocenił ją krytycznym wzrokiem.

– Nieprawda... – Urwała, bo dalsza część tego zdania musiałaby brzmieć: mam dziecienną twarz, ale ostatnio urosły mi piersi i zaokrągliłam się tu i ówdzie. A na powiedzenie czegoś takiego nie pozwalała jej skromność.

– Wszystko jedno. – Bartek westchnął. – Chyba nic ci nie będzie, jak się napijesz.

Herbata z rumem smakowała paskudnie, ale Nina dzielnie upiła drugi łyk, starając się przy tym nie skrzywić.

– Dobra? – zapytał Bartek.

– Tak. – Uświadomiła sobie, że zaraz pewnie dostanie dolewkę. – To znaczy nie.

Bartek zachichotał, a dziewczyna poczerwieniała. Obok Tamara flirtowała z trzema chłopakami jednocześnie. Nie mówiła nic szczególnie mądrego czy dowcipnego, ale i tak słuchali jej jak urzeczeni. Może to kwestia wieku, uznała Nina, może jak będę miała piętnaście lat, to też tak będę potrafiła.

– Ciekawe, o czym myślisz. – Bartek przyglądał jej się z zainteresowaniem.

– Że chciałabym być starsza. – Zdecydowała się na szczerość. – No wiesz, jak bohaterka Rebeki, która chciała mieć trzydzieści lat i perły. Mnie by wystarczyło dwadzieścia, przy perłach też się nie upieram. No i ten mąż, który zamordował swoją pierwszą żonę. Mam nadzieję, że to nie jest, no wiesz, w komplecie.

Chłopak zamrugał.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– To mi się czasem zdarza. – Nina westchnęła, kątem oka dostrzegając Janka, który wychodził z salonu. W jednej ręce niósł talerzyk z ciastem, w drugiej szklanekę z herbatą.

– Skąd masz tę bliznę na czole? – Bartek zmienił temat.

– Zemdlałam i uderzyłam głową w stół. – Pomyślała, że jeśli teraz nie odzyska straconych punktów, to nie zrobi tego już nigdy. – Kiedy oglądałam zwłoki w piwnicy. Bardzo martwe, w bardzo mrocznej ciemnej piwnicy. Zamordowane zwłoki.

Chłopak gapił się na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Zabawna jesteś – uznał, po czym pożegłował w stronę rozbawionej grupki przy kominku. Nina została sama ze świadomością, że coś chyba poszło nie tak.

Staszek przykręcił światło i w salonie zapanował półmrok. Iza i Hubert rzucili się na siebie, jakby tylko na to czekali, i zaczęli się całować. Tamara zatańczyła z Jankiem, potem z Bartkiem i Staszkiem. Bardzo sprawiedliwie, pomyślała Nina.

Bartek otworzył drzwi na taras, bo w salonie zrobiło się trochę duszno, i dziewczyna wymknęła się na zewnątrz. Na taras wskoczył kot, jego oczy błyszczały zielenią w ciemności szybko zapadającej nocy.

– Kici, kici. – Wyciągnęła rękę. – Przyjdiesz tu, mały?

Kot otarł się o jej dłoń, ale kiedy spróbowała go pogłaskać, umknął w głąb zaśnieżonego ogrodu. Latarnia przed domem oświetlała kawałek drogi i rosnącą przy płocie sosnę, w żółtym blasku wirowały płatki śniegu. Skrzypnęła otwierana furtka i Nina usłyszała dziewczęcy śmiech, a potem terkotliwy dźwięk dzwonka przy drzwiach.

Przyszli nowi goście. Wiedziała, że powinna wrócić do salonu, ale dobrze jej było na zewnątrz. W grubym swetrze nie czuła nawet zimna. Usiadła na ogrodowym krześle i odetchnęła kilka razy głęboko. Może pani Ewa da się przekonać, żeby zostać do trzynastej, a może wyjadą jutro z samego rana i nigdy nie dowiedzą się, o co chodziło z tymi krowami, pokojami i zmieniającym się lasem.

Przygotowywała właśnie argumenty, którymi mogłaby przekonać opiekunkę, kiedy drzwi za jej plecami otworzyły się i na taras padł pękaty cień.

– Nie wejdiesz do środka? – zapytał Jacek.

– Za chwilę – mruknęła.

Usiadł obok. Minę miał niewyraźną, trochę zakłopotaną, a trochę

nieszczęśliwą.

– Co się stało?

– Przyszła nowa dziewczyna, Marta, i spróbowałem z nią pogadać...

– I co?

– Spławiła mnie – przyznał niechętnie.

– A co jej powiedziałaś?

– Zapytałem, czy lubi sklejać modele statków. Myślisz, że to zły tekst na podryw?

– Nie mam pojęcia. Jeśli dziewczyna interesuje się statkami, to pewnie niezły.

Kot znowu wszedł na taras i Jacek schylił się, wabiąc go do siebie.

– A jaki byłby lepszy? – zapytał, nie patrząc w stronę Niny. – Twoim zdaniem.

– Nie mam pojęcia. Ja raczej rzadko podrywam dziewczyny.

– Oj, wiesz przecież, o co mi chodzi. Co ty chciałabyś usłyszeć od chłopaka, gdyby próbował cię poderwać?

– W ogóle nie chciałabym nic słyszeć. Miłość powinna rozkwitać spontanicznie, w czasie walki na statku pirackim, w ogniu bitwy, na czarnych koniach pędzących gościńcem w bezgwiezdną noc.

Jacek odwrócił się, mrugając, a kot uciekł z powrotem w krzaki.

– Naprawdę mam nadzieję, że jesteś wyjątkiem. Inaczej mam przerabane.

Nina westchnęła i podniosła się z krzesła. Dopiero teraz poczuła, że robi jej się zimno.

– Chodź, bo zamarzniemy – powiedziała.

Jacek wstał.

– Ten statek i te konie to tak razem czy mogą być osobno? – zapytał jeszcze niepewnie, marszcząc brwi.

– Osobno – odparła stanowczo, po czym pchnęła przeszklone drzwi.

Gdy weszła do salonu, w oczy rzuciły jej się dwie rzeczy. Po pierwsze, Janek znów gdzieś wychodził, tym razem z talerzem pełnym kanapek. A po drugie, pod kominkiem w towarzystwie przysadzistej blondynki stało dwóch chłopaków, których Nina pamiętała z jeziora: ten wysoki, pryszczaty i bardzo chudy i drugi, niski, ale za to szeroki w ramionach.

– To na pewno oni – powiedziała Nina nerwowym szeptem, kiedy już udało jej się odciągnąć Tamarę w kąt salonu. Jacek stał obok, Hubert, wciąż przyklejony do Izy, chwilowo był nieosiągalny. – I nie mówcie mi, że się pomyliłam albo coś w tym rodzaju.

– Przecież ci wierzę – mruknęła Tamara. – Pytanie, co z tym robimy.

– Spotkaliście ich już wcześniej?

– Dwa razy. Ten przyszczyty to Karol, a niski nazywa się Olek. Jak z nimi gadaliśmy, to wydawali się raczej w porządku...

– A kojarzycie chłopaka z takim dziwnym bladym wąsem? I takiego pękatego?

– Wąsaty to pewnie Kazek, o pękatym nic nie wiem. Ale to wszystko jedno towarzystwo.

– Naprawdę pobili chłopaka na jeziorze? – zapytał naiwnie Jacek. – Marta też tam była?

Nina potrząsnęła głową. Chciała jeszcze powiedzieć, żeby Jacek nie martwił się o swoją dziewczynę, kiedy podszedł do nich Staszek.

– O czym tak szepczecie? – zapytał wesoło. Oczy mu już błyszczały, pewnie od kolejnych szklanek herbaty z rumem. Albo i rumu bez herbaty.

Tamara najszybciej znalazła w sobie odwagę, by głośno i wyraźnie powiedzieć to, co cała trójka myślała:

– Zastanawiamy się, co tu robią ludzie, którzy znęcają się nad słabszymi.

Bartek i Marta, tańczący dotąd na środku salonu, zatrzymali się i spojrzeli na dziewczynę niepewnie, Hubert oderwał się wreszcie od Izy i podszedł do przyjaciół. Ktoś podkręcił światło. Z adaptera wciąż płynęły jazzowe nuty, ale nikt już nie słuchał muzyki.

Karol i Olek patrzyli na Ninę z wyraźną złością. Tamara ścisnęła ramię młodszej dziewczyny, Jacek zrobił krok do przodu, gotów zasłonić ją własną, szeroką pierśią.

– Mówiliśmy ci, żebyś się nie wtrącała – odezwał się wreszcie Karol. – Myślisz, że twoja moc ci pomoże?

Przez salon przeszedł nerwowy szmer, ktoś wyłączył wreszcie adapter i muzyka urwała się gwałtownie.

Karol potoczył po zebranych triumfalnym spojrzeniem.

– Nie wiedzieliście, co? Ta dziewczyna może wysadzić cały ten dom w powietrze, jeśli będzie chciała. Ot, tak!

Nina chrząknęła. Nagle zamiast oskarżać, sama stała się obiektem oskarżeń i nie było to miłe uczucie.

– To niezupełnie tak. Moja moc... Mniejsza z tym. Przede wszystkim ja nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła! Nie krzywdzę ludzi tak jak wy!

– My tylko chcieliśmy dać mu nauczkę.

– Pobiliście go prawie do nieprzytomności!

Stojący obok Hubert poruszył się niespokojnie. Wzrok wciąż miał nieco mętny, ale chyba powoli zaczynał przytomnieć.

– Nina, a zastanawiałaś się może, czy oni przypadkiem... Nie chcę powiedzieć, że mają trochę racji, bo oczywiście nie powinni nikogo bić, ale może ten twój Marcin też wcale nie jest taki niewinny?

– Sama mówiłaś kiedyś, że nic nie jest tak całkiem czarno-białe – wytknęła jej Tamara, a Jacek odwrócił pośpiesznie wzrok.

Dziewczyna poczerwieniała. Dlaczego znowu wszyscy byli przeciwko niej?

– Marcin jest miły – powiedziała z uporem. – Nie zrobiłby niczego złego.

Gdzieś w tyle głowy pojawiła się wątpliwość, bo przecież tak naprawdę wcale go nie знаła. I już kilka razy miała wrażenie, że chłopak coś przed nią ukrywa. Nie potrafiła jednak uwierzyć, że on też mógł zawinić. Po prostu nie. Bo wciąż przed oczami miała jego zakrwawioną twarz. Bo przecież go ocaliła, a ktoś, kogo się ratuje, nie może być zły.

Nie i już.

Otworzyła usta, żeby bronić Marcina, kiedy do salonu wszedł Janek. Ręce miał puste, a Nina wreszcie dodała dwa do dwóch. Może i bywała uparta, może nie potrafiła flirtować, a nawet od czasu do czasu zrażała do siebie ludzi.

Ale miała nosa do tajemnic.

– Co się dzieje? – Janek zatrzymał się w progu i spojrzał niepewnie po zebranych w salonie. – Wyszedłem na chwilę...

– Trzymacie go tu gdzieś, prawda? – Nina wpadła mu w słowo. – Uwięziliście Marcina i teraz karmicie go ciastem i kanapkami i...

– Nina, czy ty trochę nie przesadzasz? – odezwał się nerwowo Jacek, a Olek jednocześnie zapytał:

– O co jej chodzi?

– Założę się, że Marcin tu jest, zamknięty gdzieś na górze.

– Jesteś chora – oznajmił Karol z niesmakiem. – Zwyczajnie masz źle w głowie.

– Jasne, a tłuczenie kogoś do krwi jest objawem zdrowia psychicznego!

– Powinni cię zamknąć w wariatkowie!

– A was w więzieniu!

Teraz już wszyscy wrzeszczeli jeden przez drugiego. Karol ruszył w stronę Niny, ale Hubert odsunął dziewczynę pod ścianę i stanął między nią a chłopakiem.

– Nawet o tym nie myśl – wycedził przez zaciśnięte zęby, a nad jego wyciągniętą dłońią pojawił się płomień. – Ja też mam moc.

Nina przymknęła oczy. Było jej duszno, zewsząd napierali na nią ludzie. Chce się stąd wydostać, pomyślała, czując, jak narasta w niej panika. Oddychała z coraz większym trudem, a moc szalała w jej żyłach. Chciała, żeby śnieg wreszcie przestał padać. Zanim zdarzy się coś strasznego.

Tamara wrzeszczała na kogoś, Iza rozplakała się i przytuliła do ramienia Huberta, który zaczął ją pocieszać, dość bezsensownie powtarzając, że wszystko będzie dobrze.

Wtedy Nina usłyszała dobiegające zza drzwi rytmiczne poskrzypywanie. Raz, dwa, trzy, cztery. I przerwa, a później znowu: jedno skrzypnięcie, drugie, trzecie.

Ktoś schodził po drewnianych schodach, które prowadziły na piętro.

Kroki znów ucichły, jakby nieznajomy nasłuchiwał, co dzieje się w salonie. A potem drzwi otworzyły się, pchnięte od zewnątrz zdecydowanym ruchem, i w progu stała wysoka, barczysta postać,

z twarzą niemal całkowicie zasłoniętą kapturem płaszcza.

Awantura umilkła, zupełnie jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Teraz wszyscy gapili się na mężczyznę w kapturze. A raczej chłopaka, poprawiła się w myślach Nina, bo przecież nie miała wątpliwości, że to Wiktor. Było w nim coś niesamowicie charyzmatycznego – nawet teraz, kiedy stał na środku salonu z zasłoniętą twarzą, czuło się, że przyciąga spojrzenia jak magnes.

Chłopak sięgnął do kaptura i zdjął go powolnym, wystudiowanym ruchem.

Nina wstrzymała oddech. Wszyscy wstrzymali oddechy, choć większość osób zebranych w salonie musiała już wcześniej widzieć tę twarz.

Wiktor nie był brzydki ani okaleczony. Wręcz przeciwnie, był oszałamiająco wręcz piękny. Nie przystojny ani nie ładny, tylko piękny. Miał włosy połyskujące w świetle lampy najczystszym złotem, oczy przejrzyste jak morska woda w jakimś egzotycznym kraju, regularne, subtelne rysy twarzy, nieskazitelną cerę, usta koloru malin i... Nina czuła, że zdecydowanie powinna przestać się gapić, ale nie potrafiła. Doskonałość Wiktora mącił tylko niewielki krwiak pod prawym okiem, ale nawet on nie szpecił chłopaka, tylko podkreślał jego urodę.

Oddychaj, upomniała samą siebie.

– Jesteś Wybrańcem – powiedziała, kiedy już udało jej się odzyskać głos.

Niespodziewanie sporo faktów wskoczyło na swoje miejsce. Wiktor, który poszedł do lasu i wrócił jako inny człowiek. Anioły przerabiające ludzi na Wybrańców, piękniejszych, silniejszych i mądrzejszych niż zwykli zjadacze chleba. Zmiany czasami były tak głębokie, że Wybrańca nie poznawała własna rodzina, nic dziwnego więc, że pani Michajło miała problem z zaakceptowaniem nowego Wiktora. Dla niej stary Wiktor, jej syn, zmarł, a jego miejsce zajął uzurpator.

Nina domyśliłaby się tego znacznie wcześniej, gdyby nie rozmowa z Marcinem.

– Powiedział, że jesteś brzydki – wymruczała z dość bezsensowną

pretensją.

Wiktor uśmiechnął się lekko, a dziewczyna znów musiała walczyć z brakiem oddechu i szaleńczo bijącym sercem.

– Jeśli masz na myśli Marcina, to on ma swoje powody, żeby być wobec mnie złośliwy.

– Nosisz kaptur. – W głosie Jacka brzmiała ta sama bezsensowna pretensja.

– Noszę, bo ludzie gapią się na mnie, jakbym był jakimś dziwadłem. A niektórzy uważają mnie za diabła i rzucają kamieniami. – Podniósł rękę i ostrożnie dotknął krwiaka pod okiem.

– Myśleliśmy, że mieszkasz w chacie koło młyna – tym razem odezwała się Tamara.

– Mieszkalem, ale zrobiło się za zimno, więc przyszedłem tutaj, a rodzice Janka i Staszka pozwolili mi zostać na tę ostatnią noc. A kiedy dowiedziałem się, że przychodzą goście, postanowiłem poczekać na piętrze. Jak mówiłem, ludzie różnie na mnie reagują, więc wolałem nie ryzykować.

– Zostawiłyśmy ci kartkę – przypomniała Nina.

– Wiem, ale uznałem, że i tak nie mamy sobie nic do powiedzenia. Mogę tylko przeprosić za nich. – Skinął głową w kierunku Olka i Karola. – Gdybym był na tym jeziorze, do niczego by nie doszło. To dobrzy chłopcy, tylko czasem ich ponosi, dlatego staram się ich pilnować.

Tłuczenie kogoś do krwi zdaniem Niny nie mieściło się w pojęciu „bycia dobrym”, ale dziewczyna postanowiła milczeć – ostatecznie nie chodziło o to, żeby znowu wybuchła awantura. Skupiła się za to na słowach, które już wcześniej zwróciły jej uwagę.

– Co to znaczy na ostatnią noc? – zapytała nieufnie.

W salonie znowu zapadło milczenie, tylko tym razem nie czuło się w nim napięcia, ale jakby... lekkie zakłopotanie?

– Jutro nas tu nie będzie – powiedział wreszcie Staszek. – Jesteśmy już spakowani i wyjeżdżamy wcześniej rano. Nie mówiliśmy wam, bo zaraz byście pytali, o co chodzi. Zresztą wy też przecież wracacie do siebie. Tylko Bartek i Marta zostają, bo rodzice im kazali. I oczywiście Wiktor.

- Uważam to za swój obowiązek – oznajmił piękny chłopak.
- A ja wcale nie zostaję z powodu rodziców – zaprotestował Bartek.
- To naprawdę...
- Tak, wiemy – przerwał mu Staszek. – Tobie ten cały pomysł od początku się podobał.

Nina przymknęła z rozpaczą oczy.

- Świetnie, a czy w takim razie ktoś będzie łaskawy wyjaśnić nam, co tu się właściwie dzieje?

Tym razem zakłopotanie było większe. Janek znów nalał sobie rumu, Olek gapił się we własne stopy, a Bartek spoglądał na szklanke po herbacie, jakby spodziewał się odnaleźć odpowiedź w fusach.

- Możemy im chyba powiedzieć, nie? – Staszek pierwszy przerwał milczenie.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Wiktora, który wzruszył ramionami.

- Nie mogę podejmować za was wszystkich decyzji. Sami decydujcie.

– Ja bym był za tym, żeby im powiedzieć – odezwał się niepewnie Staszek. – I tak przecież dużo wiedzą. Może zdecydują się zostać, a w razie czego anioły sobie z nimi poradzą.

Iza, Janek i Karol skinęli głowami, Bartek mruknął coś, co wyglądało jak zgoda – niechętna, bo niechętna, ale jednak zgoda. Tylko Olek stał z boku z zaciśniętymi ustami.

- Ja jestem przeciw – oznajmił wreszcie. – A wiecie czemu?

Nikt nie wiedział.

- Bo to są komuniści. Pieprzone komunistyczne świnie.

Staszek otworzył usta i zaraz je zamknął. Olek powiódł po zebranych triumfalnym spojrzeniem.

- Tego też wam nie powiedzieli, co? Ale ja pogadałem sobie dzisiaj z Marcinem...

- Przy pomocy pięści? – nie wytrzymała Nina.

Chłopak skrzywił się, ale odpowiedział zaskakująco spokojnie.

- Nie, nie przy pomocy pięści. Po prostu spróbowałem jeszcze raz przemówić mu do rozsądku. Nic z tego nie wynikło, ale przy okazji powiedział mi, że kobieta, z którą ci tutaj – ruchem głowy wskazał

czwórkę przyjaciół – mieszkają, jest agentką. To podobno jakaś ich ciotka czy coś. I ona ich też szkoli na agentów. Jeśli im powiemy, jutro będziemy mieć na głowie całe UB.

Rozejrzała się, rejestrując kolejno miny nieufne, podejrzliwe i jawnie wrogie. Nawet Iza odsunęła się nieco od Huberta.

Oni wszyscy wiedzą, co się dzieje w mieście, pomyślała Nina. Od początku wiedzieli. Za nic nie mogą się dogadać, czy to coś ma się dziać, czy nie, ale przed obcymi i tak będą trzymać sztamę. Zwłaszcza jeśli obcy to komuniści.

– Myślę, że najwyższa pora, żebyście sobie już poszli – powiedział Wiktor swoim aksamitnym głosem.

Nie mogli się z nim nie zgodzić.

– Wracamy do pensjonatu? – zapytała Tamara, kiedy skręcili w uliczkę prowadzącą do centrum Wilczych Dołów.

Drogę oświetlały im staroświeckie gazowe latarnie, rozstawione co dwadzieścia metrów, ale Jacek i tak wyjął z kieszeni latarkę i bawił się nią, zmieniając światło z czerwonego na zielone i z powrotem na czerwone. W zielonym blasku wyglądali, jakby byli ciężko chorzy, a w czerwonym z kolei jak grupa umazanych krwią wampirów. Śnieg wreszcie przestał padać i Nina poczuła ulgę: cokolwiek wydarzy się jeszcze tego wieczoru, ona przynajmniej nikogo nie skrzywdzi.

– Ja idę do pałacu – powiedziała. – Jedno z was może pójść ze mną, jeśli chce.

Tamara spojrzała na młodszą dziewczynę z ciekawością.

– Pani Ewa cię zabije, jak nie wrócisz przed północą. Naprawdę musisz tam iść?

– Postaram się wrócić. I tak, naprawdę muszę. To chyba nasza jedyna szansa, żeby się czegoś dowiedzieć. Ktoś idzie ze mną?

Tamara wzruszyła ramionami.

– Na mnie nie licz. Na tej ulotce było napisane, że trzeba się ubrać w suknię z gorsetem. W życiu czegoś takiego na siebie nie włożę.

Nina przeniosła wzrok na Huberta, ale on potrząsnął tylko głową. Iza na pożegnanie dała mu co prawda adres ciotki, u której miała się tymczasem zatrzymać jej rodzina, ale smętna mina chłopaka mówiła dość wyraźnie, że ta miłość jest już raczej stracona.

– Uwierzycie? Powiedziała, że mogę napisać, ale ona i tak nie będzie mnie pamiętać... – wymamrotał.

– Ja pójdę – zadeklarował Jacek. – Pod warunkiem, że nie każą mi włożyć sukni z gorsetem.

Tamara i Hubert poszli w stronę pensjonatu, a pozostała dwójka na rynek. Po drodze minęli jeszcze dwa wyładowane wozy i jedną ciężarówkę.

– Prawdziwy exodus – mruknęła Nina. – Uciekają jak szczury z tonącego okrętu.

– Może my też powinniśmy wyjechać? – Jacek spojrzał niepewnie w ślad za oddalającą się ciężarówką. – To znaczy, no wiesz, od razu...

– Cokolwiek ma się stać, mamy czas do jutra do trzynastej – uspokoiła go. – Poza tym nie myślisz chyba, że wysadzą to miasto w powietrze albo coś w tym rodzaju? Większość zostaje, a ci ludzie wcale nie wyglądają na wystraszonych.

Wskazała grupę zmierzającą bez wątpienia w tym samym kierunku co Nina i Jacek. Było tam kilkoro mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy ubrani w staroświeckie stroje, roześmiani i chyba już trochę podchmieleni. Jacek odprężył się, a Ninie udało się przekonać samą siebie, że tego wieczoru nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Wkrótce razem z rozbawioną grupą wkroczyli do jasno oświetlonego pałacu, gdzie w holu przechwyciła ich niska, zażywna kobieta. Na głowie miała kapelusz z pawim piórem, a na ramionach etolę z lisa.

– No, no, kogo my tu mamy – powiedziała. – Ty pewnie jesteś Niną Marczak? A ty osobą towarzyszącą?

– Mam na imię Jacek – zaprotestował chłopak, ale nikt go nie słuchał.

Kobieta w kapeluszu z piórem wepchnęła nastolatków w ręce innej kobiety, dla odmiany noszącej czarny kapelutek z woalką, która pociągnęła ich w głąb pałacu.

– Nie macie strojów, ale to nic, znajdziemy coś dla was – mówiła, krocząc energicznie przez kłębiący się w holu tłum.

Nina próbowała policzyć gości, ale zrezygnowała – musiała ich tu być ponad setka. Rozejrzała się więc w nadziei, że będzie mogła podziwiać wnętrze pałacu, widziała jednak tylko morze ludzkich głów, a ponad nim morze świec płonących w kandelabrach i przytwierdzonych do ścian świecznikach. Ani jednego światła elektrycznego, tylko same świece. Wysoko ponad głowami ludzi wisiał też transparent z napisem:

26 LUTEGO

13:00

PAMIĘTAJCIE!

– Widziałaś? – szepnął jej na ucho Jacek. – Tam był Janusz Klimsza.

– Gdzie? – Odwróciła się gwałtownie.

– Już zniknął. Ale to na pewno był on.

Zanim dziewczyna zdążyła wymyślić, co to wszystko znaczy, kobieta w kapelutku wepchnęła ich do pomieszczenia, które przypominało teatralną garderobę. Pod ścianami piętrzyły się cylindry i zdobne kapelusze, z krzesel zwisały spodnie, koszule, suknie, gorsety i pończochy, a na szafce leżało kilkanaście par rękawiczek, męskich i damskich, w różnych rozmiarach.

– Musimy się pośpieszyć. – Kobieta energicznie przekopywała stertę ubrań, z której po chwili wydobyła zapinane pod kolanami spodnie, koszulę i kamizelkę.

– Powinno pasować – powiedziała, podając ubrania Jackowi. – Możesz się przebrać tam, za parawanem, jeśli się wstydzisz. A dla ciebie... – Przyjrzała się krytycznie Ninie. – Jaki kolor lubisz?

– Różowy.

– Masz kasztanowe włosy, nie wiem, czy różowy będzie pasował...

– Będzie – oznajmiła Nina stanowczo.

I faktycznie, kiedy kobieta znalazła różową sukienkę z falbankami i bufkami, okazało się, że Nina wygląda w niej dobrze. Oryginalnie,

ale zdecydowanie dobrze. Zadowolona dziewczyna przejrzała się w lustrze i rozpuściła włosy. Gdyby nie gorset, w którym ledwo mogła oddychać, chętnie ubierałaby się tak na co dzień.

– To jakiś bal maskowy? – zapytała, obracając się. Sukienka zawirowała wokół jej nóg, a potem opadła miękko. – Ale wiecie, że epoki się nie zgadzają?

– Tak? – Kobieta, zajęta szukaniem odpowiednich butów, ledwo Niny słuchała.

– Mam na myśli tych ludzi w holu. Turniury to koniec dziewiętnastego wieku, a długie suknie w stylu orientalnym to z kolei początek dwudziestego.

Kobieta wyprostowała się, w rękę trzymając parę różowych atłasowych bucików.

– Uroczą jesteś – powiedziała z roztargnieniem, po czym uszczypnęła Ninę w policzek, jakby miała do czynienia z pięciolatką. – Będiesz świetnie do nas pasować. Załóż te buty, powinny być dobre. I weź jeszcze pelerynkę, bo w sali może być trochę chłodno. Niestety, nie mamy pończoch w twoim rozmiarze, ale myślę, że możesz pójść z gołymi nogami. W tak młodym wieku to jeszcze wypada. Masz jakieś dwanaście lat, prawda?

Nina spojrzała ponuro, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, kobieta wypchnęła ich z garderoby i skierowała w stronę prowadzących na piętro schodów. Poszli za grupą rozchichotanych dziewczyn, które zaprowadziły ich do sali balowej. Z wysokiego sklepienia zwieszały się kandelabry pełne płonących świec, ściany od podłogi aż po sufit wyłożono lustrami, w których odbijał się kolorowy tłum. Na podeście orkiestra grała już jakąś klasyczną melodię, pierwsze pary ruszyły do tańca na wypolerowanej czarno-białej posadzce.

– Uszczypnij mnie – jęknął Jacek. – Bo nie uwierzę w to, co widzę.

Ninie mignął w tłumie Marcin – chyba z rodzicami i siostrą – ale zanim zdążyła do nich podejść, już odpłynęli gdzieś w bok. Zauważyła też inne znajome twarze: pani ze sklepiku ze słodyczami skinęła jej głową, brodaty zbój uśmiechnął się grzecznie, sącząc szampana z wysokiego kieliszka. A potem...

– Anioł – syknął Jacek, ściskając łokieć dziewczyny. – Patrz!

Odwróciła się. Przez salę szła wysoka, jasnowłosa postać, ni to męska, ni żeńska, piękna jakąś nieludzką, zimną urodą, w białej szacie – i nawet fakt, że szata ta została niewątpliwie uszyta z firanki, nie psuł efektu. Bez wątpienia anioł.

– Pogadamy z nim? – zaproponował Jacek.

Nina skinęła głową.

– Za chwilę.

Odsunęła się pod ścianę, bo tańcząca walca para przemknęła jej tuż koło nosa. Dziesięć minut, pomyślała, przez dziesięć minut zamierzała cieszyć się balem, muzyką i różową suknią, a potem mogła wrócić do śledztwa. Rozejrzała się. Niektóre panie zdążyły już poluzować ciasne gorsety, panowie mieli przekrzywione kapelusze i cylindry. Nina była chyba jedną z nielicznych osób, które w staroświeckich strojach czuły się w miarę swobodnie – przywykła przecież do noszenia długich sukni, może bez gorsetów, ale niemal równie niewygodnych. I naprawdę kochała przeszłość.

Oczywiście cały ten bal niewiele miał wspólnego z dawnymi balami, nie było starych ciotek pilnujących panien na wydaniu ani karnecików, w które wpisywało się tańce, a grupki młodych ludzi rozmawiały ze sobą całkiem swobodnie, co pięćdziesiąt lat temu byłoby nie do pomyślenia. Nina nie zamierzała jednak narzekać, nie teraz, kiedy wszystko wokół wyglądało jak piękny sen, roześmiane oczy połyskiwały w świetle świec, a członkowie orkiestry grali z takim zapałem, jakby zależało od tego ich życie.

– Zatańczymy? – zaproponowała.

Jacek zamrugnął nerwowo.

– Nie umiem...

– Owszem, umiesz. Zapomniałeś już, że w spadku po Wybrańcu dostałeś zręczność?

– Zręczność to nie to samo co poczucie rytmu – wymamrotał. – I, no wiesz, chyba wolałbym nie.

– Jak chcesz. – Nina też nie powinna tańczyć, bo odrobinę za duże buty w każdej chwili mogły spaść jej ze stóp.

Ale i tak dobrze się bawiła. Lustra odbijały roześmiane twarze, suknie z perłami i haftowane złotymi nićmi kamizelki. Dziewczyna

wiedziała, że perły i złoto są fałszywe, że większość tych strojów została uszyta całkiem niedawno z tanich materiałów i tylko blask świec sprawiał, że wydawały się piękne, ale to wszystko nie miało znaczenia – dopóki grała muzyka, trwał czar.

Nina pożałowała, że nie ma z nią Huberta, on pasowałby do tego balu bardziej niż Jacek. Jednak starszy chłopak miał tego wieczoru swoje problemy i pewnie nadal rozpamiętywał piękną Izę, która dała mu adres, a jednocześnie powiedziała, że nie ma sensu do niej pisać, bo i tak nie będzie Huberta pamiętać.

Swoją drogą, czemu, u licha, miałyby o nim zapomnieć? Było to jedno z pytań, które dręczyło Ninę, bynajmniej nie najważniejsze.

Dziewczyna z żalem wróciła myślami do śledztwa. Powinni znaleźć Marcina i porozmawiać z nim. Albo anioła, a najlepiej jednego i drugiego. Dowiedzieć się, co stanie się jutro o godzinie trzynastej.

– Szampana? – Kelner w ociekającej złotem liberii wyrósł jak spod ziemi i podsunął Ninie tacę, na której stały smukłe kieliszki. A dla ścisłości: podsunął i zaraz cofnął.

– Ile masz lat? – zapytał niepewnie.

– Dwadzieścia pięć – warknęła, chwytając jeden z kieliszków. – A co, nie wyglądam?

Oszołomiony kelner powędrował dalej, a Jacek zachichotał.

– Wypijesz? – Nina podała mu szampana.

– Ty nie chcesz?

– Nie.

Jacek pociągnął ostrożny łyk i jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Całkiem niezłe. Naprawdę nie chcesz?

– Nie, dzięki. Po tamtym rumie...

Urwała, bo muzyka umilkła nagle, a wodzirej (ten sam chudy mężczyzna ze złodziejską miną, którego karykaturę widziała w gazetce) uderzył kilka razy w gong. Pary zatrzymały się w tańcu, ucichł gwar, a wszystkie twarze skierowały się w stronę podestu.

– Panie i panowie – zaczął donośnym głosem wodzirej – pora na najważniejszy punkt naszego wieczoru. Proszę, odsuńcie się i zróbcie przejście.

Zgromadzeni posłusznie cofnęli się pod ściany, zostawiając na środku sali balowej szeroki wolny pas. Nina wstrzymała oddech, w oczach Jacka widać było narastający niepokój.

– Co to...

– Ciii. – Stojący obok starszy mężczyzna przyłożył palec do ust i chłopak posłusznie umilkł.

Po chwili usłyszeli odgłos kroków. Łup, łup, łup. Nina przełknęła ślinę, czując, jak robi jej się gorąco.

Łup, łup, łup – ciężkie, miarowe dźwięki, jakby po schodach maszerował oddział żołnierzy.

Łup.

Po chwili ujrzała ich w drzwiach sali: sześciu postawnych, barczystych mężczyzn, dźwigających na ramionach wielką drewnianą skrzynię, wyglądającą trochę jak podwójna trumna.

Przemaszerowali przez salę i zatrzymali się przed podestem. Nina wreszcie odważyła się odetchnąć i zaraz znowu wstrzymała oddech, bo mężczyźni zdjęli z ramion skrzynię – bardzo ostrożnie, jakby bali się uszkodzić zawartość – i postawili ją pionowo. Dopiero teraz dziewczyna dostrzegła, że przednia ściana skrzyni to tak naprawdę zamknięte na kłódkę drzwi.

Wodzirej wyjął z kieszeni klucz, włożył go do zamka i przekręcił. Szczęknięta otwierana kłódką i przez salę przetoczył się cichy szmer. Przez krótką przerażającą chwilę Nina myślała, że ze skrzyni zaraz coś wyskoczy (potwór, oczywiście to byłby potwór), ale nic się nie stało. Wodzirej zaklaskał.

– Panie i panowie – podjął tym samym donośnym, lekko nosowym głosem – ustawcie się, proszę, w kolejkę.

Rozdział trzynasty, w którym Nina przeprowadza autopsję.

Co tu się dzieje?

Zaspany Jacek stanął w progu, tuż za nim zatrzymał się pies, który zjeżył sierść i warknął.

– Co to jest? – zapytał słabym głosem chłopak. – Czy to... nie żyje?

– Nie żyje. – Dziewczyna wreszcie odzyskała głos.

– To jest... to, co myślę?

– Aha.

– Skąd ona... Skąd się...

– Skąd się wzięła? – Nina miała więcej czasu, żeby się oswoić z widokiem leżącego na podłodze ciała, i teraz myślała zdecydowanie jaśniej niż chłopak. – Nie mam pojęcia, ale liczę, że Marcin nam to wytłumaczy. – Wypchnęła Jacka z pokoju i zamknęła drzwi. Pies warknął jeszcze raz, szczeknął i skoczył na klamkę, ale dziewczyna zdążyła już przekręcić klucz.

– Co tam robicie? – Od strony kuchni dobiegł głos Marcina i po chwili chłopak, rozczochrany i wciąż blady, wyszedł do przedpokoju. Zatrzymał się na widok psa skaczącego na klamkę, potem przeniósł wzrok na klucz w ręku Niny i pobladł jeszcze bardziej.

– Znaleźliśmy twojego potwora – powiedziała cicho. – Możesz nam wyjaśnić, skąd to się wzięło w pokoju, który przed nami zamknąłeś?

Oparł się o futrynę, jakby z trudem utrzymywał równowagę, ale wzrok miał hardy, bez śladu poczucia winy. Jakby chłopak, z którym rozmawiała całkiem niedawno, zniknął, a jego miejsce zajął zupełnie inny człowiek. Albo jakby Marcin przekroczył granicę, zza której nie ma już powrotu.

– Po pierwsze, to nie jest mój potwór. Po drugie, nie muszę się przed wami z niczego tłumaczyć, jasne? Może to ja go zabiłem, a może sam zdechł. Może zamknąłem ten pokój, bo nie chciałem, żebyście uciekli, dopóki mi nie pomożecie. A może od początku

wiedziałem, że ciągle będziecie tylko zadawać te swoje głupie pytania, i chciałem tego uniknąć. Co za różnica? I tak mi przecież nie uwierzycie. Wracam do łóżka, wy róbcie, co chcecie. Chodź, Aleks, pośpimy jeszcze trochę.

– Wierzysz mu? – zapytał Jacek, kiedy za nastolatkiem i psem zamknęły się drzwi.

– Nie wiem. – Nina przetarła czoło. Miała wrażenie, że odkąd spotkali Marcina, bezustannie kręcą się w zakętym kole kłamstw i półprawd. – To znaczy tak, jestem w stanie uwierzyć, że zamknął drzwi, bo wystraszył się, że jak wejdziemy do tego pokoju, to zwiemy i zostawimy go samego. Jasne. Ale za nic nie uwierzę, że on ją zabił.

– Czemu? Jest przecież ranny, nie? Mogła go zaatakować, a on się bronił i...

– I niby jak miałby ją zabić? Gołymi rękami?

– A jeśli tak? Co my właściwie o nim wiemy? Ty jesteś inteligentna, a ja zręczny, może Marcin ma zdolność pokonywania potworów? Nie takie rzeczy przecież widzieliśmy.

Nina zawahała się. Nie chciała tego robić, naprawdę bardzo nie chciała, jednak przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Jacek pozieleniał.

– Co ty...

– Chcę zrobić coś w rodzaju autopsji – powiedziała. – Jeśli ktoś ją zabił, to powinny zostać jakieś ślady, nie?

– Odbiło ci? To pieprzony potwór z kosmosu, po cholere chcesz mu robić autopsję? I co to w ogóle jest?

– Po prostu jej się przyjrę, nic więcej. Idziesz ze mną?

Jacek nie wyglądał na szczęśliwego, ale skinął głową i oboje weszli do pokoju.

W coraz jaśniejszym świetle dnia potwór nie wyglądał już tak strasznie jak w półmroku, ale wciąż robił wrażenie. Nina kucnęła i dotknęła czarnych jak smoła błoniastych skrzydeł. Były zimne, trochę jakby śliskie. Wzdrygnęła się, przesunęła dłońmi po uzbrojonych w ostre pazury łapach i ostrożnie musnęła rogi wyrastające z potężnej byczej czaszki.

– Paskuda – skrzywił się Jacek.

– Pomóż mi ją obrócić.

Zwłoki rzeczywiście wyglądały paskudnie, ale Nina z niejakim zdumieniem odkryła, że nie robi jej się słabo. Może dlatego, że nigdzie nie było widać otwartych ran ani krwi.

Postępując, przewrócili martwego potwora na brzuch, a dziewczyna dotknęła pokrytych guzowatymi wypustkami pleców. Nadal żadnej otwartej rany. Szukała czegoś, co mogłoby być odpowiednikiem siniaka u człowieka, ale skóra miała jednolity ciemnoczerwony kolor psującego się mięsa. Nina potrząsnęła głową, marszcząc brwi, a Jacek ostrożnie pociągnął nosem.

– Nie śmierdzi – powiedział ze zdziwieniem. – Myślisz, że leży tu od niedawna?

– Albo nie rozkłada się tak jak ciało człowieka.

W oczach chłopaka błysnęło zainteresowanie.

– Może on jest inaczej zbudowany? No wiesz, na Ziemi wszystkie organizmy mają w sobie węgiel, to może on ma coś innego, skoro jest z kosmosu?

Ninę nie interesował węgiel, przynajmniej nie w tej chwili. Wstała, przy okazji odruchowo podnosząc leżące na podłodze czarno-białe szkice.

– Chodź – powiedziała. – Pogadamy na zewnątrz.

– I co wydedukowałaś z tej całej autopsji? – zapytał Jacek, kiedy zamknęli za sobą drzwi.

– Nie było żadnych fizycznych śladów ataku. Czyli albo Marcin zabił ją w jakiś dziwny sposób, albo zdechła sama, chociaż w takim przypadku naprawdę chciałabym wiedzieć, dlaczego wybrała akurat ten pokój...

– Albo coś przegapiliśmy, bo guzik wiemy o tym, jak takie potwory działają.

Niechętnie musiała przyznać mu rację.

– Dobra, ja mam dość. – Jacek ziewnął szeroko. – Spróbuję się jeszcze trochę przespać, w końcu dziś wyjeżdżamy. Idziesz?

Potrząsnęła głową w milczeniu, ale z uporem. Chłopak przetarł oczy.

– O co ci chodzi? Nie ufasz Marcinowi? W porządku, nie musisz

mu ufać. Wystarczy, że wytrzymamy z nim parę godzin. Poza tym, nawet jeśli on kłamie, to co z tego? Jest ranny i słaby, tak że pięciolatek dałby mu radę. Poważnie myślisz, że zamierza się na nas rzucić z nożem czy jak?

Nina nadal uparcie potrząsała głową.

– Chodzi o to, co powiedział Lis, tak? – Jacek zacisnął usta. – Wierzysz mu?

– Nie o to – odparła, chociaż owszem, trochę chodziło. – Po prostu... Słuchaj, nie wydaje ci się, że powinniśmy znaleźć tego anioła?

– Po co? Za parę godzin przecież i tak nas tu nie będzie. Zresztą rób, jak chcesz. Chce ci się łązić po tym zimnie, to twoja sprawa.

Odwrócił się na pięcie, wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi, tak jak wcześniej Marcin. Nina została sama.

Spojrzała na czarno-białe szkice, które wciąż trzymała w rękach. Większość przedstawiała miasto: kościół, targ czy kawiarnię, ale był też jeden portret. Dwóch chłopców, siedzących obok siebie na kanapie tak blisko, że niemal stykali się głowami. Jednym z nich niewątpliwie był Marcin, drugiego Nina nie rozpoznała, choć twarz wydawała jej się niejasno znajoma.

Wiktor?

Odłożyła szkice na komódkę w przedpokoju. Nie miała pojęcia, kto je narysował. Ktoś z rodziny Pietrzyckich? A może jakiś anonimowy lokator, bo Marcin wspomniał raz, że jego rodzice czasem wynajmowali jeden z pokoi.

Mniejsza z tym.

Zdjęła z wieszaka kurtkę, włożyła buty i wyszła z mieszkania. Męczyły ją wyrzuty sumienia, ale Jacek chyba miał rację: ze strony Marcina nic im przecież nie groziło. A jeśli chodzi o inne niebezpieczeństwa, dziewczyna i tak nie potrafiłaby pomóc. Nie teraz, kiedy pogoda była idealnie słoneczna i na niebie nie majaczyła ani jedna śniegowa chmurka.

Ciężkie drzwi zamknęły się, odcinając ją od światła na zewnątrz. Zamrugła, starając się przyzwyczaić oczy do półmroku. W kościele wciąż unosił się delikatny zapach kadzidła, stłumiony przez woń wilgotnych kamiennych murów. Nina odetchnęła, walcząc z *déjà vu*. Mogłaby się założyć o całe swoje kieszonkowe, że kiedyś tu była. I szukała wtedy drzwi prowadzących na wieżę, bo teraz znalazła je bez najmniejszego trudu. Przystanęła, patrząc na zamek. Z jakiegoś powodu pomyślała o spince do włosów, ale spinek przecież od dawna nie nosiła. Odsunęła nieprzyjemną myśl, jak musi w tej chwili wyglądać: brudna, w kalesonach i za dużej męskiej koszuli, z tłustymi włosami, które przedwczoraj zaplotła w warkocz i od tego czasu nawet nie pomyślała, żeby je uczesać. Jak żebraczka albo włóczęga.

Gdy nacisnęła klamkę, drzwi na wieżę okazały się otwarte. Nina ruszyła w górę spiralnymi schodami, coraz bardziej pewna, że to też już wcześniej robiła. Wspięła się na dzwonnice, a stamtąd wyszła na punkt widokowy. Zimny wiatr uderzył ją w twarz i na moment odebrał oddech, od wysokości trochę zakręciło się w głowie. Dziewczyna oparła łokcie o barierkę. Rozpościerające się pod jej stopami miasto było tak ciche i spokojne – tylko szare mury kamienic i śnieg, oślepiająco biały w jaskrawym świetle słońca. Przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, dostrzegła mały czarny punkcik kołujący nad miastem. Ptak. Uśmiechnęła się szeroko i pomachała, zupełnie jakby ptak mógł jej odpowiedzieć. Pierwsze zwierzę, które dostrzegła, odkąd odzyskała przytomność na podłodze sali balowej. A więc do Wilczych Dołów wracało życie.

Chciała już odwrócić się i zejść z wieży, kiedy coś przyciągnęło jej uwagę. Z początku nie wiedziała nawet, czy to dźwięk, czy może widziany kątem oka ruch. Po prostu nagle coś się zmieniło, miasto nie było już ciche ani spokojne. Nina wiedziała o tym, jeszcze zanim jej uszy wychwyciły szmer, z początku tak cichy, że wydawał się bardziej cieniem dźwięku niż samym dźwiękiem. A potem szmer zaczął narastać i nie przypominał już wcale szmeru, teraz brzmiał jak odgłos oleju skwierczącego na patelni. Dziewczyna zamarła.

Miasto wyglądało tak jak wcześniej: szare kamienice, biel śniegu, idealna nieruchomość pustej przestrzeni. Prawie pustej, bo na

obrzeżach coś się działo: teraz nie tylko słyszała dźwięk, ale też dostrzegała ruch. Budynki... budynków na obrzeżach już nie było, całe ulice znikwały z powierzchni ziemi, zapadały się, jakby wchłaniała je rozrastająca się czarna plama. I ta plama posuwała się w głąb miasta metr po metrze, pożerając wszystko, co stało jej na drodze.

Nina zacisnęła palce na barierce, tłumiąc krzyk. Nie chciała patrzeć, ale patrzyła, szeroko otwartymi oczami. W czarnej plamie coś połyskiwało, coś migotało hipnotyzująco. Błysk. Jakby ktoś przecinał ciemność sztychami światła. Znowu błysk. I kolejny. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że czarna plama to popiół, który pozostał, kiedy przez miasto przeszła wysoka postać, przypominająca strzelający w niebo płomień. Postać z ognistym mieczem, którym ścinała budynki, jakby to była wiosenna trawa.

– Niszczyciel.

Odwróciła się gwałtownie. Za jej plecami na barierce stał anioł w białej połyskującej szacie (uszytej niewątpliwie z firanki, ale Nina ledwo zwróciła na to uwagę). W rękę trzymał coś, co oszołomiona dziewczyna w pierwszej chwili wzięła za jeszcze jeden miecz, ale co mieczem wcale nie było – kolejny szczegół, który zarejestrowała zupełnie bezmyślnie.

– Co? – wykrztusiła. – To znaczy słucham...? To znaczy... Kim jesteś?

– Niszczyciel – powtórzył cierpliwie. Był bosy i jakimś cudem utrzymywał równowagę, stojąc na barierce nie szerszej niż centymetr, może dwa. – Tamto to jest Niszczyciel. Ja jestem Sadkiel.

– On niszczy miasto! – wrzasnęła Nina.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie anioł. – Dlatego właśnie nazywamy go Niszczycielem.

– Powstrzymaj go!

– Dlaczego miałbym to robić, skoro sam go stworzyłem?

– Ale... Czemu? – wykrztusiła bezradnie.

– Żeby zatarł ślady. Miasto musi zostać starte w proch, tak aby nikt nigdy nie poznał prawdy, co tu się wydarzyło.

Przełknęła ślinę, pokonując rosnącą w gardle gulę.

– Czy to oznacza także... usunięcie wszystkich świadków?

Oczy anioła pociemniały. Gdyby to było możliwe, Nina pomyślałaby, że Sadkiel przez chwilę – tylko przez chwilę – wyglądał na zakłopotanego.

– Nie powinno was tutaj być – powiedział. – Nie taki był plan.

– Ale jesteśmy! – wrzasnęła. – A Niszczyciel zaraz nas zabije! Nie zdążymy przed nim uciec!

– Nie zdążycie – przyznał spokojnie. – Według moich obliczeń Niszczyciel dotrze do centrum za pół godziny.

– Ty draniu!

Nina rzuciła się na anioła z pięściami. Przez ulotną chwilę sądziła, że jej się uda, że anioł spadnie z wieży, ale on tylko rozpostarł czarne, połyskujące skrzydła i uniósł się w powietrze.

– Nie waż się mnie dotykać, ludzka istoto – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Mój miecz...

– To rapier! – krzyknęła. – Zabytkowy! Powinieneś go oddać do muzeum!

Znowu przez twarz Sadkiela przemknęło coś, co wyglądało jak wyraz zakłopotania. Jednak anioł opanował się szybko.

– Śmiesz mi rozkazywać, ludzka istoto?

Ostrze rapiera dotknęło szyi dziewczyny. Nina cofnęła się. Krok i kolejny – prosto na zamarznąłą kałużę, która rozlewała się po drugiej stronie punktu widokowego. Poślizgnęła się i upadła do tyłu. Gdy przymknęła oczy, na szyi znów poczuła ostrze, a po chwili strużka krwi, łaskocząc, spłynęła pod kurtkę.

– Przepraszam...

– Powiedziałem Marcinowi, jak możecie ocaleć. Jeśli on nie zechciał podzielić się z wami tą wiedzą, to już nie moja wina. Widać uznał, że nie może wam zaufać. Że nie będziecie milczeć.

– Będziemy milczeć – jęknęła Nina, otwierając oczy.

Anioł cofnął już rapier, ale wciąż pochylał się nad nią, groźny, z rozpostartymi skrzydłami i marsem pomiędzy idealnymi brwiami.

– Jego przekonaj, nie mnie.

To jakieś szaleństwo, pomyślała. Kompletne, całkowite szaleństwo. A my umrzemy i nawet nie będziemy wiedzieć, za co. Jeśli to prawda, że Niszczyciel dotrze do centrum za pół godziny... Oszołomiona

dziewczyna spróbowała policzyć, jakie mają szanse. Latem, biegnąc po utwardzonej drodze, może zdążyliby dotrzeć do granicy miasta. Zimą, kiedy przy każdym kroku buty zapadały się w śniegu, nie mogło im się udać żadnym cudem.

– Dlaczego? – wykrztusiła. – Proszę, skoro mamy umrzeć, chcę wiedzieć przynajmniej, co tu się stało. Czemu zniknęli wszyscy ludzie? I zwierzęta? Gdzie oni teraz są? Czemu my zostaliśmy? O co chodzi z tymi ulotkami?

Anioł przyglądał się Ninie z wyraźnym zainteresowaniem, może nawet z odrobiną podziwu. Jakby po raz pierwszy dziewczyna zdołała go czymś zaskoczyć. Chwilę później jednak podziw – jeśli to był podziw – zniknął.

– Miałaś wszystkie potrzebne odpowiedzi – powiedział. – I pozwoliłaś je sobie odebrać.

– Niczego nie pamiętam!

– Właśnie o tym mówię. Ale przypomnisz sobie. Już sobie zaczęłaś przypominać.

Spinka do włosów włożona w zamek, spiralne schody wiodące na wieżę, czarne anielskie pióro leżące w smudze światła pośród gołębich piór.

– Nie pamiętam... – szepnęła, choć to nie do końca była prawda.

Anioł pochylił się nad nią. Na jego twarzy wciąż malowało się zainteresowanie, teraz chłodne, jak ciekawość naukowca badającego jakiś szczególnie osobliwy obiekt.

– Czasami sama dążysz do zapomnienia – powiedział. – Nie mówię o wspomnieniach z Wilczych Dołów, ale o wcześniejszych. Instytut Totenwald, jesień, poczekalnia. Dzieci z czerwonymi kartkami.

Bezradnie zacisnęła dłonie w pięści. Wciąż leżała na lodzie wysoko ponad ziemią, nad sobą mając czyste błękitne niebo. Nie ośmieliła się wstać ani niczego powiedzieć. Nie potrafiła się bronić. A anioł czytał jej w myślach, sięgał do głębin umysłu, o których sama nie wiedziała, że istnieją.

– Ktoś umarł za ciebie. Wiesz o tym, a jednocześnie nie chcesz wiedzieć. Wolisz udawać, że nic się nie stało. Tak jest łatwiej i jednocześnie trudniej, bo on idzie za tobą krok w krok, jak duch.

On albo ona, bo nie wiesz nawet, czy to był chłopiec, czy dziewczyna. Twój wyrzut sumienia, który będziesz nosiła do końca życia.

– Wiesz... jak on się nazywał? Albo ona?

Anioł pokręcił głową.

– Nie. Ale widzę w twojej głowie, że jest człowiek, który wie. Rude włosy, jasne oczy. Spytaj jego.

Lis, pomyślała, a anioł rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze.

Biegła spiralnymi schodami w dół wieży, potem boczną nawą do wyjścia z kościoła i dalej do kamienicy, w której mieszkali Pietrzyccy. Zapadała się w śniegu i potykała, upadała, kalecząc dłonie o twardą zmarzlinę, i zaraz wstawiała, by dalej biec.

Wciąż mieli szansę, niewielką, bo niewielką, ale jednak. Jeśli dopadną Marcina i zmuszą go, żeby zdradził im sposób na uniknięcie Niszczyciela. Nina gotowa była w tej chwili prosić, grozić, a nawet użyć mocy, gdyby śnieg jakimś cudem zaczął padać.

Zwolniła trochę, z trudem łapiąc oddech. Mięśnie płonęły żywym ogniem, w głowie jej się kręciło – wcześniej myślała, że to z powodu wysokości, ale tak naprawdę to był chyba po prostu głód. Ostatni porządny posiłek zjadła przedwczoraj, potem mieli już tylko kaszę z omastą na obiad i kolację. Teraz z każdym przebytym metrem Nina czuła, jak słabnie, a mimo to zmusiła się, żeby przyśpieszyć. Widziała już kamienicę, a przed nią Jacka, który machał do niej i krzyczał coś, czego nie rozumiała.

Zatrzymała się przed chłopakiem i zgięła w pół, walcząc z kłującym bólem w boku.

– Rany, Nina, co się stało?

– Marcin... jest... w mieszkaniu?

– Nie, właśnie chciałem ci powiedzieć. Marcin nawiał, razem z psem. Przysnęło mi się na parę minut, a jak otworzyłem oczy, to już ich nie było. A Lis odezwał się znowu przez radio i mówił, że będą za jakieś pół godziny. Helikopterem, wyobrazasz sobie? Dlatego poszedłem szukać Marcina, chociaż Lis pewnie i tak...

– Musimy... go znaleźć... teraz...
– Czemu? Myślałem...
– Bo tylko on wie, jak możemy przeżyć. – Nina wreszcie odzyskała oddech. – Słyszysz ten dźwięk?

Jacek zmarszczył brwi.

– Jakby... jakby coś się paliło? – zapytał niepewnie. – Następny pożar?

– To Niszczyciel. Ma cztery metry wzrostu i płonący miecz i... i zadanie, żeby zniszczyć całe miasto. Wypalić je do gołej ziemi, tak żeby nie został żaden ślad, rozumiesz?

W miarę jak mówiła, twarz chłopaka bladła coraz bardziej, przechodząc od niedowierzania do przerażenia i szoku. Nina szok miała już za sobą, teraz ogarnęła ją rozpacz. Czas uciekał, zostało im – jeśli dobrze liczyła – jakieś dwadzieścia minut.

– I tylko Marcin wie, jak go powstrzymać?

– Jak się przed nim uchronić, a nie jak powstrzymać. Wszystko jedno. Musimy znaleźć Marcina.

– Może pójdziemy po jego śladach? – zaproponował Jacek.

Skinęła głową. Żadne z nich nie miało lepszego pomysłu.

Chwilę trwało, zanim znaleźli ślady odbiegające w bok od wydeptanego już miejsca przed wejściem do kamienicy i poszli za nimi. Dziewczyna nie miała siły biec, ale starała się przynajmniej iść tak szybko, jak tylko pozwalał na to głęboki śnieg. Jacek, wypoczęty i zręczniejszy, radził sobie zdecydowanie lepiej, ale i on milczał, oszczędzając siły. A może zwyczajnie nie miał w takiej sytuacji nic do powiedzenia.

Ślady prowadziły na północ, a do Niny coraz bardziej docierało, że Marcina i psa nie dogonią – chłopak mógł być osłabiony po chorobie, ale tak czy inaczej miał nad nimi przewagę co najmniej piętnastu minut.

– Idzie do centrum – powiedział Jacek. – Po co...

– Czekał. – Zatrzymała się gwałtownie. – Daj mi chwilę. Muszę pomyśleć.

– Ale...

– Cicho!

Zamilkł posłusznie i gapił się tylko na dziewczynę wielkimi oczami. Nina ukryła twarz w dłoniach. Dokąd Marcin się wybrał?

Nie do kościoła, bo minęliby się po drodze.

Może więc na rynek? Ale po co miałby tam iść?

Nie chodzi o rynek, uświadomiła sobie.

Chodzi o pałac, o skrzydło, które zostało. I o salę balową.

– On mi powiedział. – Oderwała ręce od twarzy. – Tak naprawdę już wcześniej mi powiedział, jak możemy przeżyć. Tylko że to i tak nam nic nie da. Nie zdążymy dobiec do pałacu. – Usiadła na śniegu, nagle zrezygnowana. – To znaczy ty może zdążysz, jeśli się pośpieszysz. Ja nie dam rady. Idź i schowaj się w sali balowej. Tam będziesz bezpieczny.

– Nina...

– Zostaw mnie. Masz mało czasu. On jest coraz bliżej.

Zamknęła oczy, a potem zatkała jeszcze uszy, żeby nie słyszeć narastającego z każdą sekundą odgłosu ognia pożerającego miasto. Oczywiście to nie był prawdziwy ogień, nie było płomieni, dymu ani pękających od żaru kamieni. Miasto po prostu zniknęło, kamienice padały pod ciosami miecza jak ścięte kosą zboże i zmieniały się w popiół. Może to nie jest najgorszy rodzaj śmierci, pomyślała. Na pewno lepiej zginąć tak niż spłonąć.

Może nie będzie za bardzo bolało. Jeśli będę miała odrobinę szczęścia.

– Wstawaj. – Jacek złapał ją za ramię i potrząsnął.

– Jeszcze tu jesteś? – Nina otworzyła oczy. – Mówiłam ci...

– Wiem, co mówiłaś, ale nie zamierzam cię zostawiać. Wstawaj, pójdziemy razem.

– Nie zdąż...

– Nie do pałacu, tylko na dach, wszystko jedno jaki. Może helikopter da radę nas stamtąd zabrać. No już, ruszaj się. On zaraz tu będzie.

Nie miała pojęcia, czy Jacek ma na myśli Niszczyciela, czy może Lisa, i nie zamierzała się nad tym zastanawiać. Nagle tknęła ją pewna myśl.

– Pójdziemy na wieżę – powiedziała, prostując się.

Biegli w stronę kościoła: Jacek z przodu, Nina kilka kroków za nim. Jakimś cudem znalazła w sobie jeszcze odrobinę sił i przyśpieszyła, walcząc z napływającymi obrazami. Coraz więcej jej się przypominało. Bal w pałacu, wniesiona po schodach skrzynia i kolejka wijąca się przez całą salę...

Rozdział czternasty, w którym Nina po raz pierwszy w życiu budzi w kimś lęk.

Kolejka posuwała się powoli. Mniej więcej co pięć minut ktoś wchodził do skrzyni, a potem z niej wychodził – Nina specjalnie zwracała uwagę, czy któraś z tych osób wygląda na przerażoną albo w jakikolwiek sposób skrzywdzoną, ale nie. Ludzie, którzy wychodzili ze skrzyni, sprawiali wrażenie nieco oszołomionych i nic poza tym.

Kolejka przesunęła się o kolejne pół metra. Nina policzyła, ile osób jest przed nimi – osiem, nie, siedem, bo wysoki siwowłosy mężczyzna właśnie wszedł do skrzyni.

Spojrzała na Jacka, który pokręcił głową, odpowiadając na nieme pytanie: Co teraz?

Mogliby wyjść z kolejki, a potem po prostu opuścić pałac. Prawdopodobnie nikt by ich nie zatrzymał, tylko że wtedy Nina straciłaby szansę na poznanie jakiegokolwiek odpowiedzi. Mogliby też zapytać kogoś, o co tu chodzi, ale wtedy z kolei zdradziliby się, że nic nie wiedzą, i zostaliby wyrzuceni. Dziewczyna oczywiście nie miała pewności, ale nie zamierzała ryzykować, zwłaszcza że wszyscy wokół sprawiali wrażenie świetnie zorientowanych.

Siwowłosy mężczyzna wyszedł, jego miejsce w skrzyni zajęła przysadzista starsza kobieta w przekrzywionym kapeluszu.

Sześć osób.

Nie wejść do tej skrzyni, pomyślała Nina. Niezależnie od tego, co tam jest – albo czego nie ma – z całą pewnością nie zamierzam tam wejść.

Kobieta w przekrzywionym kapeluszu ustąpiła miejsca młodej dziewczynie, która przed wejściem do skrzyni uściskała i wycalowała stojącą za nią przyjaciółkę.

Pięć. Nina czuła, jak robi jej się coraz bardziej gorąco. Kelner w liberii roznosił przekąski i kieliszki z szampanem, ludzie w kolejce zaczęli się chyba nudzić, bo im dalej od skrzyni, tym większy

podnosił się gwar.

– Nie mogę tam wejść – szepnęła do Jacka.

– Czemu? Może dzięki temu czegoś się dowiemy.

– Mam klaustrofobię!

– To znaczy, że co?

– Boję się zamkniętych ciasnych pomieszczeń!

– Myślisz, że mogą ci zrobić krzywdę?

– Nie, po prostu... po prostu źle się w nich czuję, jasne? Zaczynam się dusić i... i... Wszystko jedno. Nie zamierzam tam wchodzić i już.

Trzy. Tym razem do skrzyni wszedł kościsty, blady młodzieniec, który jako jedyny wyglądał na wystraszonego. Prawdę powiedziawszy, stojący za nim pękaty mężczyzna chyba nawet chłopaka do skrzyni wepchnął.

Rozejrzała się w panice. Kolejka ciągnęła się za drzwi sali balowej. Ci, którzy stali bliżej skrzyni, wydawali się spięci i niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę. Ci stojący dalej byli jeszcze rozbawieni, rozmawiali w grupach i pili szampana. Nina widziała w kolejce parę znajomych twarzy, jednak nikogo, komu ufałaby na tyle, by zapytać go, o co tu chodzi. Z przyciszonych rozmów wychwytywała czasem pojedyncze słowa „zmiana”, „komuniści”, „lepszy świat”, ale nadal niewiele z tego rozumiała.

Dwie.

Zastanawiała się, czy nie przepuścić stojącej za nimi pary starszych kobiet – w ten sposób zyskaliby kilka dodatkowych minut – kiedy Jacek trącił ją łokciem w bok.

– Patrz. To ta mała od Pietrzyckich, nie?

Podążyła wzrokiem za jego wyciągniętym palcem i dostrzegła Karolinę. Dziewczynka stała obok ojca, tuląc do piersi coś, co z daleka wyglądało jak zeszyt w przetartej skórzanej oprawie.

Serce Niny zabiło mocno. Karolina patrzyła w jej stronę uparcie i jakby... znacząco? Nie robiła nic poza tym, tylko się gapiła, ale Nina nagle nabrała pewności, że dziecko nie patrzy na nią przez przypadek. Mała starała się jej coś przekazać.

– Muszę iść na chwilę do ubikacji – powiedziała Nina głośno i wyraźnie. – Popilnujcie mi kolejki, zaraz wracam.

Kilka starszych osób spojrzało na dziewczynę z dezaprobatą – przed wojną głośne mówienie o potrzebach fizjologicznych uchodziło za nietakt, ale poza tym, tak jak się spodziewała, nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Zatrzymała się za drzwiami sali balowej i udała, że podziwia wiszący na ścianie obraz. Na schodach siedział jeden z kelnerów w rozpiętej pod szyją liberii i podjadał z tacy kanapki. Chłopak nie mógł mieć więcej niż szesnaście, siedemnaście lat, czyli nie był dużo starszy od Niny. Wsuwając do ust ostatnią kanapkę, mrugnął do dziewczyny, a potem zbiegł na parter. Nina nie bardzo się znała na profesjonalnej służbie, ale była przekonana, że kelnerzy nie powinni się tak zachowywać. Prawdopodobnie to był jakiś miejscowy dzieciak, któremu obiecano parę złotych i możliwość najedzenia się za darmo, jeśli przez cały wieczór w dziwacznym stroju będzie nosił tacę.

Z sali balowej wymknęła się Karolina. Nina chwyciła ją za ramię i zanim mała zdążyła cokolwiek powiedzieć, wepchnęła ją do staroświeckiej toalety. Potem przekreśliła w zamku klucz. Dziewczynka wciąż patrzyła w ten dziwny, intensywny i zarazem znaczący sposób, jakby próbowała wzrokiem wypalić dziurę w czole Niny.

– Nie możesz mówić, prawda?

– Mogę. – Karolina wciąż przyciskała do piersi zeszyt, który wcale nie był zeszytem, tylko oprawionym w skórę notatnikiem.

– Ale nie o wszystkim, tak?

Dziewczynka energicznie pokiwała głową, po czym machnęła rękami, jakby naśladowała ptaka.

– Skrzydła? – Nina zmarszczyła brwi. – A, anioł. Anioł sprawił, że nie możesz mówić o niektórych rzeczach.

Kolejne energiczne skiniecie.

– Dlatego zaszywałeś usta lalkom: żeby pokazać, że magia nie pozwala ci mówić, tak?

Mała otworzyła notatnik na jednej z ostatnich stron i pokazała kolorowy rysunek pieska.

– Tak, jemu też zaszyłaś pyszczek, wiem. Dostałaś tego pieska

od pani Michajło, kiedy pozbywała się starych zabawek syna.

– Potem mi go zabrała! – W głosie Karoliny zabrzmiało szczere oburzenie.

– To też wiem. – Nina rozsądnie pominęła informację, że odzyskana maskotka miała posłużyć, by symbolicznie Wiktora pochować. – Mogę zobaczyć ten notatnik? Widzisz, on należał do pewnego pana, który umarł w lesie, i być może jeśli go obejrzę... Mniejsza z tym, po prostu mi go daj. Tylko na chwilę.

Mała wzruszyła ramionami i podała notatnik.

Jest naprawdę stary, to była pierwsza myśl dziewczyny, kiedy dotknęła wytartej do połysku skóry. Ostrożnie rozchyliła okładki. Kartki wewnątrz były pożółkłe i gdzieniegdzie poplamione, ale rysunki pozostały wyraźne.

Rysunki, nie pismo.

Nina, która spodziewała się zwykłego dziennika, gapiała się przez dłuższą chwilę na czarno-biały szkic przedstawiający rynek w Wilczych Dołach. Budynek ratusza w tle i fontanna na pierwszym planie, nieco dalej kawałek osiemnastowiecznej kamienicy – to wszystko się zgadzało. Ale były też różnice. Figurka na fontannie nie miała odłamanej ręki, w kamienicy mieścił się sklep kolonialny, a nie pracownia szewca, jak obecnie. A przed ratuszem stał zaprzężony w dwa konie elegancki powóz z gatunku tych, jakie ostatni raz jeździli po polskich drogach przed wojną.

Podpis pod rysunkiem głosił: „Wilcze Doły, 1905”.

Przerzuciła kilka kartek. Na każdej stronie znajdował się precyzyjnie wykonany szkic przedstawiający scenę z życia miasta przed pięćdziesięciu laty. Było tu wszystko: fronty budynków i widoki ulic, wnętrza zwyczajnych mieszkań i wnętrze pałacu, stroje i powozy. Prawdziwa historyczna kronika Wilczych Dołów. Czarno-białe szkice kończyły się po około stu stronach, ostatnie kartki zabazgrane były kolorowymi dziecinnymi rysunkami. Nie miało to znaczenia, bo Nina już wiedziała, nagle poszczególne elementy układanki, dotąd rozsypane jak puzzle, wskoczyły na swoje miejsce.

– Dziękuję – powiedziała, oddając notes Karolinie.

– Zabierzesz mnie ze sobą? – zapytała dziewczynka.

– Posłuchaj...
– Nie zabierze cię. – Drzwi toalety otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Janusz Klimsza. – Wracaj do ojca.

– Ale...
– Powiedziałem, że masz wracać do sali. Już cię tu nie ma.
Mała odeszła ze spuszczoną głową, a na pożegnanie rzuciła jeszcze Ninie pełne żalu spojrzenie.

Dziewczyna zmierzyła się wzrokiem z Klimszą.
– To damska toaleta – powiedziała. Chciała, żeby zabrzmiało to stanowczo i z oburzeniem, ale w jej głosie było zdecydowanie za dużo strachu.

– Dlatego chciałbym porozmawiać w innym miejscu. Chodź.
Nie ruszyła się z miejsca, a mężczyzna westchnął ciężko.
– Nie wiem, co sobie o mnie myślisz, ale naprawdę nie zamierzam robić ci krzywdy. Po prostu sobie porozmawiamy w jednym z pokoi. Twój kolega zresztą już tam jest i zaryczam, że nic złego mu się nie stało.

Nina zawahała się, ale ostatecznie nie mogła wiecznie stać na środku toalety, uciekać też przecież nie chciała. To byłoby głupie, zwłaszcza teraz, kiedy miała szansę dowiedzieć się, czy jej podejrzenia okazały się słuszne.

– W porządku, pójdę z panem. Ale w razie czego...
– Masz magiczną moc, wiem. Nie będziesz musiała jej używać, obiecuję.

Zaprowadził ją do niewielkiego, wysoko sklepionego pomieszczenia, w którym na kominku płonął ogień. Niedaleko stał niski stoliczek otoczony trzema głębokimi fotelami. W jednym siedział Jacek. Chłopak wyglądał na zdezorientowanego i nieco wystraszonego, ale najwyraźniej był cały i zdrowy.

– Zapraszam. – Klimsza machnął ręką w stronę pustego fotela. – Pozwoliłem sobie poprosić jednego z naszych młodych pomocników, żeby przyniósł nam herbatę i ciasteczka. O, to chyba on.

Poszedł otworzyć drzwi i wrócił z pełną tacą, którą postawił na stoliku. Jacek patrzył na Ninę, a w jego oczach widać było dwa wielkie pytajniki. Dziewczyna pokręciła głową, jakby mówiła: „Nie

teraz, zaczekaj chwilę”.

– Częstujcie się. – Klimsza zatarł ręce, siadając w fotelu. – To bardzo dobre herbatniki, sprowadzone specjalnie na dzisiejszy wieczór z Anglii.

– Naprawdę się postaraliście, co? – mruknęła Nina, sięgając po mały porcelanowy czajniczek.

Klimsza uśmiechnął się.

– To szczególny wieczór. Wigilia najważniejszego wydarzenia w dziejach Wilczych Dołów. – Pochylił się do przodu, jego oczy błyszczały. – Wiecie już o tym? A może nie?

– Ja niczego nie wiem – zastrzegł pośpiesznie Jacek, pakując do ust oblanego czekoladą herbatnika. – Ale ona pewnie wie sporo. Poznaję po jej minie.

Mężczyzna przeniósł spojrzenie na dziewczynę, która upiła łyk herbaty. Kiedy odstawiała filiżankę na stolik, ręce lekko jej drżały.

– Ja wiem, że nie jest pan tym, za kogo się pan podaje.

– Naprawdę? – Uniósł brwi. – A kim wobec tego twoim zdaniem jestem?

– Konstantym Rygłem.

– Ach. – Na twarzy starszego pana pojawił się wyraz, którego Nina nie potrafiła odczytać. Satysfakcja? Tak, to chyba było to. – Jak do tego doszłaś?

– Dzięki notatnikowi, który pokazała mi Karolina. Te szkice są bardzo stare, ale już jako nastolatek rysował pan podobną kreską jak dziś. Widziałam w życiu wystarczająco dużo rysunków, żeby rozpoznać indywidualny styl. A pan był kiedyś w Wilczych Dołach, dawno temu. Porucznik Lis nam mówił. To miasto... To miasto z jakiegoś powodu musi być dla pana ważne, bo rysował pan je tak szczegółowo i zatrzymał notatnik przez te wszystkie lata. Dwie wojny i w ogóle... A potem wrócił pan tutaj...

– Żeby podszyć się pod jakiegoś niewinnego człowieka?

– Nie sędzę, żeby od początku miał pan taki cel. Myślę... Myślę, że jechał pan do Wilczych Dołów, a po drodze wydarzył się wypadek. Przy wjeździe do miasta jest miejsce, w którym ścieżka dla pieszych wychodzi na drogę tuż za zakrętem i łatwo kogoś potrącić. Sami omal

tam nie przejechaliśmy człowieka. Panu przydarzyło się coś podobnego. Tamten mężczyzna, Janusz Klimsza, wpadł panu pod koła, a pan zatrzymał się, jak przystało na porządnego człowieka, i wpakował go do samochodu. Chciał pan go zawieźć do szpitala, ale Klimsza zmarł po drodze – żył tylko tyle, żeby przed śmiercią powiedzieć parę słów o sobie. Na przykład, że jest ornitologiem i nie ma żadnej rodziny. Wtedy wpadł panu do głowy pomysł, żeby zamienić się z nim miejscami. Byliście w podobnym wieku, a szansa, że ktoś zacznie przyglądać się fotografii w dowodzie osobistym, nie jest duża. I uznał pan, że lepiej wrócić do miasta anonimowo, jako inny człowiek.

– Nie bałem się, że ktoś mnie rozpozna?

Nina potrząsnęła głową.

– Nosił pan kapelusz nasunięty głęboko na czoło, okulary i postawiony kołnierz. A większość czasu i tak spędzał pan w swoim pokoju.

– Dlaczego miałyby mi zależeć, żeby udawać kogoś innego?

Wzruszyła ramionami.

– Zgaduję, że dzięki swoim dawnym kontaktom wiedział pan o przyjeździe pani Ewy. Ona pana nie знаła, więc nie musiał się pan martwić, że rozpozna pana z twarzy, ale oczywiście gdyby się dowiedziała, że w miasteczku przebywa ktoś o nazwisku Rygiel, to zaraz by się tym zainteresowała. A w takich małych miejscowościach plotki rozchodzą się bardzo szybko. Pech chciał, że zamieszkaliście w jednym pensjonacie – nie wiem, może pan liczył, że zatrzymamy się w pałacu, a może uznał pan, że to w sumie nie ma znaczenia.

– Wcześniej mieszkałem w pokoju gościnnym u Pietrzyckich – powiedział Rygiel. – Ale ten pokój... powiedzmy, że był nam potrzebny w innych celach. Na apartament w pałacu mnie nie stać, niestety.

– W każdym razie – rozpędzona Nina ledwo mężczyzny słuchała – unikał pan wspólnych posiłków na wszelki wypadek, gdyby pani Ewa okazała się bardziej domyślna, niż pan sądził, i wyczuła w panu innego agenta. Pan oczywiście od początku wiedział, kim ona jest –

łatwo się było tego domyślić, jeśli się wiedziało, że do miasta ma przyjechać ktoś z UB. Podzielił się pan zresztą swoją wiedzą z Marcinem, a on powiedział jednemu ze swoich... – dziewczyna zawahała się – znajomych.

– Co mnie zdradziło? Tylko rysunki?

– Różne drobiazgi. Podawał się pan za ornitologa, ale chodził pan tylko po mieście, chociaż przecież większość ptaków mieszka w lesie. I rysował pan jedynie miasto, nie zwierzęta. Nie miał pan lornetki ani aparatu fotograficznego, a pana buty zupełnie nie nadają się do chodzenia po wertepach. I na pogrzebie Klimszy powiedział pan, że zmarły był samotny, tak jak pan. Skąd by pan o tym wiedział, gdyby nie spotkał pan tego człowieka wcześniej? I czasami dziwnie się pan zachowywał. Na przykład wtedy, w jadalni, wcale nie chodziło panu o wspomnianie dzieciństwa, tylko o to, żeby się dowiedzieć, ile my wiemy. Z początku nie chciał się pan przyznać, że zna Marcina, bo to mogłoby naprowadzić nas na trop tego, co się dzieje w mieście, ale kiedy zobaczył pan, że tamci chłopcy ciągną go do lasu, nie miał pan wyjścia i poprosił mnie o pomoc.

– Moment. – Jacek zamachał desperacko rękami. – Skąd ty to wszystko wiesz? Na przykład o wypadku samochodowym? Przecież cię przy tym nie było!

– Nie, ale wszystko wydedukowałam. – Nina wyprostowała się dumnie. – Ten milicjant mówił, że zmarły miał tak duże obrażenia, że nie mógł ich spowodować żaden człowiek. Ale samochód to co innego, prawda? Poza tym zastanawiała mnie sprawa tego podpalonego siedzenia. Gdyby ktoś chciał zniszczyć samochód, tak żeby nie dało się go rozpoznać, zająłby się przede wszystkim tablicami rejestracyjnymi, a te były nietknięte. Podpalenie siedzenia ma sens tylko wtedy, jeśli coś, co chcemy ukryć, jest w środku auta, a nie na zewnątrz.

– I co tam było? – zainteresował się Jacek.

– Krew. – Nina przełknęła ślinę, walcząc z wyobraźnią. – Jeśli wiezie się w samochodzie ciężko rannego człowieka, to na siedzeniu zostaje sporo krwi. Pan Rygiel nie miał czym wyczyścić tapicerki, a zresztą pewnie brakowało mu na to czasu. Dlatego podпалиł

siedzenie. I zastanawiam się jeszcze...

– Tak? – Mężczyzna patrzył na nią zachęcająco, zupełnie tak, jak nauczyciel mógłby patrzeć na pilnego ucznia.

– Zastanawiam się, czy pan nie chciał przypadkiem, żeby ten samochód został znaleziony. Dlatego powiedział pan o nim Pietrzyckiemu. Znaliście się już wcześniej, oczywiście, skoro mieszkał pan u nich w domu, i Pietrzycki był jedną z nielicznych osób, przed którymi nie ukrywał się pan po powrocie. Dlatego poprosił go pan, żeby pojechał do lasu. Miał pan nadzieję, że jak ludzie zobaczą samochód, to zainteresują się, kto był kierowcą, i znajdą ciało, a wtedy Klimsza będzie miał porządny pogrzeb...

Rygiel uśmiechnął się.

– Miło, że uważasz mnie za tak przewidującego i jednocześnie moralnego. Ale muszę cię rozczarować: powiedziałem Pietrzyckiemu o samochodzie zupełnym przypadkiem, a on okazał się na tyle chciwy, że przyciągnął moją warszawę i postawił ją sobie na podwórku. Ale reszta mniej więcej się zgadza. – Spojrzał na Jacka. – Muszę przyznać, że masz bardzo inteligentną koleżankę. Jeśli teraz jeszcze mi powie, co się stanie jutro o trzynastej, będę zachwycony.

– Wiesz? – Jacek gapił się na dziewczynę pełnym podziwu wzrokiem.

– Wiem. – Obracała w dłoniach filiżankę stygnącej herbaty. – To znaczy domyślałam się.

– Słuchamy uważnie. – W głosie Rygla zabrzmiała lekka ironia, ale Nina postanowiła ją zignorować.

– Lis mówił, że pan jest uczciwy i lojalny. Nie lubi pan komunistów, ale jeszcze mniej lubi pan magię i anioły. Zastanowiłam się w takim razie, co mogłoby pana skłonić, żeby zdradził pan swoich pracodawców, wysłał im fałszywy raport...

– Raport był prawdziwy – poprawił ją spokojnie. – Kiedy go pisałem, Wilcze Doły były całkowicie wolne od magii.

– W porządku, ale potem wrócił pan tutaj, ukrywając swoją tożsamość, co już samo w sobie jest mocno podejrzane. A teraz jest pan na balu razem z Marcinem i aniołem. I zamawia pan tu sobie herbatę z ciasteczkami, co oznacza, że nie jest pan po prostu jednym

z szeregowych gości: jest pan kimś ważnym, kimś, kogo tu słuchają. A cokolwiek ma się jutro stać, na pewno ma coś wspólnego z aniołem i z magią. No więc – Nina potarła swędzący nos – wracając do pytania, co mogłoby pana skłonić do współpracy z aniołem i porzucenia niechęci do magii...

– Tak?

– Wyszło mi, że coś takiego byłoby możliwe, gdyby anioły obiecały zwrócić świat z czasów pana młodości. Ma pan do niego straszny sentyment, prawda? Dlatego zachował pan notatnik przez te wszystkie lata. A Lis nazwał pana przedwojennym dżentelmenem. Dla czegoś takiego byłby pan gotów zawrzeć pakt choćby z samym diabłem. Szukałam artysty, na którego dziełach anioły mogłyby się wzorować, bo wydawało mi się, że bazą dla tych wszystkich dziwnych wydarzeń musi być jakaś szalona wizja. Ale tak naprawdę wystarczyły zwyczajne rysunki, te z notatnika. Anioły odtwarzają to, co zobaczą albo o czym przeczytają, i wcale nie musi to być coś wymyślonego. W tym przypadku postanowiły odtworzyć miasto z początku wieku.

– Dlaczego miałyby to robić? – Jacek był sceptyczny.

– A dlaczego nie? Anioły nie przepadają za nowoczesnymi wynalazkami i nienawidzą komunistów. Świat, w którym nie ma ani jednego, ani drugiego, byłby dla nich rajem.

– I wydedukowałaś to na podstawie czego? Tych szkiców i ulotek z rysunkami ludzi w starożytnych strojach?

– To też, ale są inne rzeczy. Na przykład te incydenty na obrzeżach miasta. Znikające pokoje i pojawiające się chaty, dziwny las i ścieżki, które prowadzą na manowce...

– Masz na myśli, że wszystkie te miejsca zmieniają się w takie, jakie były pięćdziesiąt lat temu? A potem wracają z powrotem do normalnego wyglądu? Jakby czas tam falował i przeszłość przebijała spod teraźniejszości?

– Coś w tym rodzaju. Myślę, że magia... próbuje zaznaczyć granice miasta? Bo Wilcze Doły są teraz trochę większe niż w tysiąc dziewięćset piątym roku, niewiele większe, ale jednak.

– I to wszystko to był jego pomysł? – Jacek ruchem brody wskazał

Ryglu, który uśmiechnął się i spojrzał na Ninę.

Odpowiedz, mówił wzrok starszego pana.

– Nie wiem. – Dziewczyna była już trochę zmęczona, a przede wszystkim zaczynała czuć, że coś tu jest mocno nie w porządku. Rygiel wydawał się zbyt uprzejmy, zbyt spokojny jak na kogoś, kogo mroczne knowania zostały właśnie ujawnione. Nie potrafiła jednak się powstrzymać i mówiła dalej: – Myślę, że na początku było ich trzech: Konstanty Rygiel, Marcin i Wiktor. Jeden starszy pan i dwóch nastolatków, wszyscy zafascynowani przeszłością...

– Dla ścisłości, Marcin zafascynowany był nie tyle przeszłością, ile swoim przyjacielem. Ale mów dalej.

– Było was trzech, a potem... potem anioł zmienił Wiktora w Wybrańca, nie wiem, czemu...

– Sądziłem, że tak będzie łatwiej przekonać do naszego planu mieszkańców Wilczych Dołów. Wybrańcy mają naturalną charyzmę i ludzie ich słuchają.

– Ale coś poszło nie tak, zgadza się? Wiktor zmienił się, owszem, fizycznie i psychicznie. Tak bardzo, że własna matka uznała, że nie jest już jej synem. Ale przy okazji zrobił się też... – Nina szukała właściwego słowa – ...bardziej porządny? Moralny? Wcześniej uważał, że cały ten plan z cofnięciem miasta do przeszłości jest świetny, ale potem zmienił zdanie.

– Owszem, Wiktor nagle doszedł do wniosku, że robimy tym wszystkim ludziom krzywdę. – Rygiel skrzywił się lekko. – Powtarzaliśmy mu wiele razy, że przecież nikogo nie będziemy zmuszać, każdy dostanie swoją szansę na opuszczenie Wilczych Dołów, jeśli tylko będzie chciał. Ale on się uparł, że nikt nie może podjąć takiej decyzji, nie znając wszystkich konsekwencji. Cóż – mężczyzna zakołysał trzymaną w ręku filiżanką – moim zdaniem nigdy nie jest tak, że znamy absolutnie wszystkie konsekwencje. A wszyscy zostali uczciwie ostrzeżeni.

– Jest pan pewien, że wszyscy? Że w całym miasteczku nie ma ludzi, którzy nie wiedzą, co się dzieje? Albo którzy zwyczajnie wam nie uwierzyli?

Rygiel zacisnął lekko usta.

– Nawet jeśli, to nie ma ich wielu. I sami są sobie winni, bo naprawdę się staraliśmy, żeby każdy mieszkaniec został dokładnie poinformowany. Mieliśmy w tej sprawie kilka zebrań, a potem rozrzucaliśmy ulotki na wszelki wypadek, gdyby ktoś zapomniał o dacie.

– Pan wie, co pan zamierza zrobić? – oburzył Jacek. – W tysiąc dziewięćset czternastym roku zacznie się wojna! A potem będzie dwadzieścia lat spokoju i zaraz wybuchnie kolejna! Kto chciałby coś takiego przeżywać drugi raz?

– Ależ mieszkańcom Wilczych Dołów nic nie grozi. Nie wiedzieliście? To miasteczko miało zawsze niesamowite szczęście, zresztą leży na uboczu i może dlatego obie wojny jakoś je ominęły. Nigdy żadna bomba nie spadła na Wilcze Doły, nigdy nie przechodził tędy front. To dlatego większość zabudowy zachowała się w tak doskonałym stanie.

– Ale przecież młodzi mężczyźni z Wilczych Dołów i tak pójdą walczyć! – krzyknęła Nina z rozpaczą.

– Za moich czasów – powiedział chłodno Rygiel – walka w obronie ojczyzny uważana była za honor i zaszczyt. Widocznie nie wszyscy dzisiejsi chłopcy są tchórzami. Zresztą bardzo niewielu młodych mężczyzn z Wilczych Dołów zaciągnęło się do armii w czasie pierwszej wojny. Druga to trochę inna sprawa, ale do roku trzydziestego dziewiątego zostanie jeszcze mnóstwo czasu.

– Jasne, wtedy będą walczyć ich synowie.

Rygiel wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, nikogo nie zmuszamy do pozostania. Może po prostu mieszkańcy uznali, że niebezpieczeństwo to cena, jaką warto zapłacić za stary, dobry świat pełen harmonii, bez komunistów i...

– Kobiet pokazujących nogi – wpadła mu w słowo. – I chodzących na studia. I chłopów z prawem do głosowania.

– Skoro tak to chcesz ujmować, to owszem. – Rygiel wyglądał na urażonego. – Ale zapewniam cię, że nawet ty byłabyś szczęśliwa w tamtych czasach.

– Jasne, tak samo jak tyrający w polu chłopcy i biegający z tacami

służący.

– Mieszkańcy Wilczych Dołów sami się na to zgodzili.

– Ale przecież... – Nina urwała, bo nagle dotarła do niej prawda. – Nie wypuścilibyście tak po prostu w świat ludzi, którzy znają prawdę. Jeśli Wilcze Doły nagle zostaną przeniesione w czasie, to ktoś się tym zainteresuje. Komuniści będą prowadzić śledztwo i zaczną wypytywać ludzi, którzy stąd uciekli. A nie możecie liczyć na to, że wszyscy będą trzymać język za zębami. To znaczy... To znaczy, że musicie mieć jakiś sposób na to, żeby zamknąć tym wszystkim ludziom usta. Coś jak anielska magia, która sprawia, że Karolina nie może mówić o niektórych rzeczach.

– Mamy taki sposób, owszem. Trochę inny od tego, co sobie wyobrażasz, ale mamy.

– Mnie interesuje, czy nikt nie próbował tego ominąć – wtrącił się Jacek. – No wiecie, wymknąć się z miasta i powiadomić kogoś z zewnątrz?

– Oczywiście, że próbowali – mruknęła Nina. – Dlatego anioły patrolują drogę wychodzącą z miasta. Sam jednego spotkałeś.

– Ktoś mógł pójść przez góry.

– Mógł – przyznała. – Ale zimą, kiedy wszędzie leży śnieg, to nie jest takie proste. Zresztą założę się, że górskie szlaki anioły też od czasu do czasu sprawdzają.

Rygiel przyglądał się Ninie z wciąż tą samą łagodną ciekawością. Jakby był dumny – z niej albo, co bardziej prawdopodobne, z tego, że sprawdziły się jego przypuszczenia.

Odłożyła herbatnik, nagle zupełnie straciwszy apetyt. Przeczucie, które dręczyło ją już od pewnego czasu, właśnie zamieniło się w pewność.

Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku.

– Nie zawiodłem się na tobie – powiedział Rygiel. – Porucznik Lis mówił mi, że jesteś bystra, i niewątpliwie miał rację. Zdajecie sobie jednak sprawę, że z taką wiedzą, jaką macie, nie mogę tak po prostu puścić was wolno?

– Ja niczego nie wiem! – zaprotestował Jacek, na co mężczyzna obdarzył go jeszcze jednym łagodnym uśmiechem.

– Wiesz, bo twoja koleżanka wszystko ci właśnie powiedziała.

Chłopak wyglądał, jakby miał zamiar się uprzeć, że przez ostatnie pół godziny wcale Niny nie słuchał, ale nie powiedział nic. Zabrakło mu słów, bo w dłoni Rygla nagle zmaterializował się niewielki pistolet.

Nina gapiła się na niego jak zahipnotyzowana, Jacek pobałdł lekko.

Musiał go mieć przez cały czas w kieszeni, myślała dziewczyna. A my, jak kompletni idioci, niczego nie zauważyliśmy.

W zgęstniałej ciszy głos mężczyzny zabrzmiał jasno i wyraźnie.

– Nie zamierzam was zastrzelić, jeśli tego się boicie. Broń jest tylko na wszelki wypadek, gdyby wpadł wam do głowy jakiś głupi pomysł. Nie, nie ruszaj się. Wiem, że jesteś nadzwyczaj zręczny, ale z całą pewnością nie szybszy niż kula. Doradzam więc rozsądek. I wiem również, że moc twojej nad wyraz inteligentnej koleżanki działa tylko wtedy, kiedy pada deszcz albo śnieg, o wschodzie słońca i o zachodzie. Lis mi powiedział. Noc zapowiada się na wyjątkowo pogodną, a przed wschodem słońca po was przyjdziemy, nie liczyłbym więc na pomoc z tej strony. Plan jest taki: ja teraz wyjdę i przekręcę w zamku klucz, a wy zostaniecie tu do rana. Teraz, niestety, nie jestem w stanie nic z wami zrobić, zbyt dużo ludzi kręci się po pałacu. Rano jednak przejdziecie procedurę identyczną jak wszyscy, którzy opuścili miasto, i wróćcie do pensjonatu, by wyjechać wraz z miłą panią Ewą.

Rygiel wycofywał się powoli w stronę drzwi, wciąż trzymając ich na muszce. Następnie ostrożnie wyciągnął rękę w tył, namacał klamkę i nacisnął ją. A potem wyszedł, przekręcając w zamku klucz z drugiej strony.

– Naprawdę musiałaś się popisywać?

Nina otworzyła okno i odetchnęła świeżym powietrzem. Tak było zdecydowanie lepiej, klaustrofobiczne uczucie zamknięcia nieco zelżało. Co, rzecz jasna, w niczym nie zmieniało faktu, że wciąż byli zamknięci.

Za jej plecami chłopak wciąż się wściekał.

– Nie mogłaś choć raz w życiu udać idiotki?

– Udawanie idioty zostawiam tym, którym to lepiej wychodzi – burknęła.

– Znaczy, że to wszystko moja wina? Taka niby jesteś inteligentna, a nie przyszło ci do głowy, że jak wszystko wygadasz, to on nas stąd nie wypuści?

– Tobie też nie przyszło to do głowy.

– Ja nie jestem pieprzonym detektywem! Gdybyś się skupiła bardziej na myśleniu, a nie na demonstrowaniu, jaka jesteś mądra, tobyśmy tu teraz nie tkwili.

Odwróciła się.

– Wiem, przepraszam.

Jacek zamrugał, wyraźnie zaskoczony. Dziewczyna westchnęła.

– Naprawdę przepraszam. I wiem, że się bez sensu popisywałam. W porządku?

Niechętnie skinął głową.

– Może damy radę wydostać się przez okno?

– Moim zdaniem nie, ale możesz sam sprawdzić.

Jacek wychylił się przez parapet, a Nina z powrotem zwinęła się w fotelu. Wiedziała, co chłopak zobaczy, patrząc w dół: płaski mur wysokości kilkunastu metrów, bez żadnego występu czy rynny, której można by się chwycić. Rygiel z pewnością wiedział, co robi, kiedy wybierał to pomieszczenie.

Zniechęcony Jacek przymknął okno i podszedł do kominka. Ogień powoli dogasał, a w pokoju zrobiło się chłodno, dorzucił więc kilka szczap.

– Moglibyśmy skrócić sznur z prześcieradła i zejść na dół – powiedział.

– Nie mamy prześcieradła.

– No to z czegoś innego. Na przykład z naszych ubrań. Jak zdejmiesz sukienkę...

– Mam wrażenie, że w rezultacie tego planu nadal będziemy zamknięci, tylko całkiem goli. Albo, co gorsza, będziemy goli leżeć na dole z połamanymi nogami.

– To wymyśl coś lepszego – zirytował się.

– Możemy spróbować wołać do ludzi i prosić ich o pomoc. To znaczy za jakiś czas, kiedy bal się skończy i zaczną wychodzić. Chociaż większość pewnie i tak pójdzie do głównych drzwi...

– Nie pomagasz, wiesz?

Wzruszyła ramionami, Jacek sięgnął po herbatnik i schrupał go z apetytem.

– Może gdybyśmy napisali teraz list i ukryli go przy sobie – zastanawiała się głośno Nina – to nawet jeśli jutro nie będziemy mogli mówić, pokażemy go pani Ewie i ona wszystkiego się dowie.

– A masz coś do pisania?

Nina rozejrzała się. Kominek, stolik z tacą, trzy stare fotele, pusty talerzyk po ciastkach i równie pusty czajniczek – nie wyglądało to zbyt zachęcająco. Kawałkiem nadpalonego drewna mogliby na upartego coś napisać, ale na czym? Przez chwilę myślała o koszuli Jacka, ale to było bez sensu, popisaną koszulę ktoś z pewnością by zauważył.

– Nie masz przypadkiem chustki do nosa? – zapytała.

Chłopak miał chustkę do nosa, na szczęście czystą. Nina wyłowiła szczypczykami kawałek zwęglonego polana i trzymając go niezgrabnie, spróbowała napisać literkę K – jak Klimsza. Wyszła kulfoniasta, niekształtna i co gorsza, zajmowała prawie całą chusteczkę.

– Do kitu. Tą metodą nie zmieści nam się nawet jeden wyraz, a co dopiero cały list – wytknął jej Jacek.

Drewno złamało się, popiół obsypał chustkę i sporą część podłogi. Nina zakląła, po czym sfrustrowana wrzuciła resztę drewnianka do kominka.

– Moglibyśmy użyć krwi. – Zawahała się. – W książkach przygodowych więźniowie często tak pisali listy. Ale i tak nie mamy nic, co można by w tej krwi zamoczyć.

– Jakiś gwóźdź? – Jacek już był przy ścianie i powoli przesuwał po niej rękami. – Jeśli kiedyś tu wisiał jakiś obraz... O, patrz.

Łebek niewielkiego gwoździka, częściowo pokryty zaschniętą farbą, wystawał z boazerii na wysokości głowy dorosłego człowieka.

Chłopak spróbował podważyć gwóźdź paznokciem. Nina podała mu łyżeczkę.

– Spróbuj tym.

Posapując, wyjął gwóźdź ze ściany i triumfalnie pokazał go Ninie.

– Powinien się nadać. Na wszelki wypadek jeszcze tylko wsadzę go na chwilę w ogień, no wiesz, żeby zdezynfekować. Czekać.

Złapał gwóźdź szczypcami do węgla i przysunął ostrożnie w stronę kominka. Nina wstrzymała oddech, patrząc, jak metalowa końcówka rozżarza się do czerwoności. Nie podobała jej się ta metoda ani trochę – z dezynfekcją czy bez, pisanie krwią wydawało się niebezpieczne i niehigieniczne. Ale jakie mieli inne wyjście?

– Dobra, kto pierwszy? – Jacek wyjął gwóźdź z ognia. – W sumie mogę ja...

– Poczekaj, aż trochę ostygnie, bo się poparzysz.

Odczekał, aż gwóźdź znów zmieni kolor, i ostrożnie wziął go do ręki. Nina otworzyła szerzej okno, bo znowu zrobiło jej się duszno.

Nie patrzyła, kiedy Jacek kłuł się w palec, a potem wyciskał z ranki kroplę krwi.

– Co napisać?

Zastanowiła się. Liścik powinien być jak najkrótszy, a jednocześnie precyzyjnie przekazujący to, co najważniejsze.

– Klimsza to Rygiel, żyje. Pracuje z anioł i Marcin P. Jutro trzynasta przeniesie W.D. do tysiąc dziewięćset piętego. Zamknęci w pałac Sz.

– Przecież to jest niegrammatyczne.

– A serio chcesz pisać wszystkie końcówki?

Jacek westchnął i sądząc po pracowitym sapaniu, przerywanym od czasu do czasu jękami bólu, zabrał się do pisania. Nina odczekała uczciwą chwilę, a potem spojrzała na chłopaka.

– Teraz ja.

– Nie zemdlejesz na widok krwi?

– Nie zamierzam patrzeć na krew.

Odwróciła się, wyciągając jednocześnie dłoń w bok. Jacek nakłuł jej palec – trwało to chwilę, bo gwóźdź był dość tępy, ale zacisnęła zęby i wytrzymała. Potem chłopak dokończył list, co trwało jeszcze dłużej: kilka upiornie długich minut, kiedy Jacek na przemian

to skrobał gwoździem po chusteczce, to znów wyciskał z palca Niny krew. Wreszcie skończył, a dziewczyna owinęła palec kawałkiem materiału oderwanym z sukienki.

– Może być – oceniła, spoglądając na list. Litery były niekształtne i w paru miejscach niezbyt czytelne, przeszkadzały też niewątpliwie rozmazane po chusteczce smugi sadzy, ale tekst przy odrobinie dobrej woli i domyślności dało się rozszyfrować.

– Gdzie ją schowamy? – zapytał Jacek, zanim jednak dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, zza okna dobiegł radosny śmiech. Wychylili się przez parapet. Z pałacu wychodziła właśnie grupa rozbawionych gości. Nagle jedna z kobiet zatrzymała się, a Nina wychwyciła strzępy rozmowy.

– Dziwne... Pamiętam... To chyba nie działa...

Wysoki mężczyzna, mocno już pijany, objął ją ramieniem.

– Wszystko w porządku. Chodź.

– Hej! – wrzasnęła Nina. – Jesteśmy uwięzieni! Uwolnijcie nas!

– Pomóżcie nam! – zawtórował jej Jacek.

Kobieta nie zwróciła na nich uwagi, mężczyzna uniósł twarz i pomachał radośnie. Reszta grupki już dawno zniknęła w ciemnej uliczce.

– Tu jesteśmy! – darł się Jacek. – Pomocy!

– Pomocy!

Mężczyzna pomachał im jeszcze raz, a potem odwrócił się i pobiegł za oddalającą się kobietą.

– On chyba uważa to za jakiś żart – mruknęła Nina. – Dobra, przymknijmy to okno, bo zaraz tu zamarzniemy.

– Czekaj. – Jacek chwycił dziewczynę za ramię i ścisnął.

Na tylnym dziedzińcu pojawiła się jeszcze jedna postać, tym razem znacznie niższa i drobniejsza. Mała dziewczynka ubrana w staroświecką sukienkę i narzucony na nią współczesny płaszczyk.

Karolina Pietrzycka.

– Hej! – krzyknęła Nina. – Słyszysz nas?

Mała, doskonale widoczna w świetle latarni, przytaknęła.

– Jesteśmy tu uwięzieni, możesz nas uwolnić? Klimsza ma klucz! – wrzasnął Jacek. – To znaczy Rygiel!

Karolina gwałtownie potrząsnęła głową.

– Boisz się go? – domyśliła się Nina.

Tym razem głowa poruszyła się z góry na dół. Tak.

Jacek drgnął, jakby tknęła go nagła myśl.

– Wiesz może, gdzie jest pensjonat Świerk? – zapytał, wychylając się tak bardzo, że dziewczyna odruchowo złapała go za pasek od spodni.

Kolejne skiniecie. Tak.

– Mogłabyś tam zanieść list? Do pani Ewy Wiśniewskiej?

Tak.

– To chyba nie jest dobry pomysł – zaprotestowała Nina. – Skąd wiesz, że możemy tej małej zaufać?

– A ty skąd wiesz, że damy radę ukryć przy sobie chustkę? I w ogóle ją potem wykorzystać? A jeśli pani Ewa teraz dowie się wszystkiego, to przyjdzie nam z pomocą.

Musiła przyznać mu rację.

– Zrzucę ci coś, a ty zanieziesz to prosto do Świerka, zgoda? – krzyknął Jacek.

Tak.

Zawinął w chustkę kawałek drewna i zrzucił z okna. Pakunek wylądował tuż obok dziewczynki, która chwyciła go, po czym pobiegła w ciemność.

Nina przymknęła okno, pełna złych przeczuć.

Mijał czas, odgłosy dobiegające z sali balowej stawały się coraz cichsze. Jacek poluźnił gorset Niny, a potem ułożył się wygodnie w fotelu i drzemał. Dziewczyna siedziała z otwartymi oczami i myślała o Karolinie, dziewczynce, która dawno powinna leżeć w łóżku, a tymczasem biegła przez zimowy mrok, uciekając przed przeszłością, której tak bardzo się obawiała. Czy panią Ewę też poprosi, żeby ją ze sobą zabrała?

Nina nie miała wątpliwości, że tak. Czy pani Ewa się zgodzi – tego dziewczyna już nie wiedziała. Ale ktoś powinien Karolinie wyjaśnić,

że niezależnie od tego, jak straszna wydawała jej się przeszłość, w teraźniejszości bez rodziny może być jeszcze gorzej.

Zaczynała zasypiać, kiedy usłyszała ciche pukanie do drzwi. Poderwali się jednocześnie, oboje od razu całkiem przytomni.

– Kto tam? – zapytała dziewczyna niepewnie z mieszaniną nadziei i strachu. Bo przecież Rygiel by nie pukał, prawda?

– Marcin.

Spojrzała na Jacka niepewnie, a chłopak pokręcił głową. On też nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Wypuścisz nas stąd? – zapytał.

Za drzwiami przez chwilę panowało milczenie, w którym Nina wyczuła jakby odrobinę zakłopotania.

– Nie mogę – powiedział wreszcie Marcin. – Rygiel mi zabronił, a poza tym i tak nie mam klucza.

– To po co przyszedłeś?

– Bo chcę zapytać, czy nie widzieliście przypadkiem mojej siostry. Zniknęła jakąś godzinę temu i nie możemy jej znaleźć.

Serce Niny z radości zatańczyło kankana. A więc Karolina ich nie zawiodła.

– Nie widzieliśmy twojej siostry – warknął Jacek, jednocześnie szczerząc do Niny zęby. – Może związała, bo wcale nie chce przenosić się z wami do roku dziewięćset czwartego.

– Dziewięćset piątego – poprawił Marcin. – A Karolina nie ma w tej kwestii nic do gadania.

– Przecież to jakaś bzdura – zirytowała się Nina. – Tobie też wcale nie zależy na życiu w przeszłości. To Wiktorowi zależało, póki się nie zmienił.

Tym razem milczenie było dłuższe, za drzwiami słyszeli niespokojny oddech.

– Wiktor wciąż tęskni za przeszłością, po prostu teraz jest zbyt szlachetny, żeby się do tego przyznać. Ale kiedy obaj się tam znajdziemy, wszystko się zmieni. Wiktor będzie mi wdzięczny i...

– Znowu będziecie przyjaciółmi? – odpowiedział Jacek.

– Tak, znowu będziemy przyjaciółmi. To wszystko... zrobiłem dla niego, rozumiecie? A on prędzej czy później to doceni. Zresztą nie

wasza sprawa. Zobaczymy się rano. Spróbujcie się trochę przespać.

– Czeka! – krzyknęła Nina.

– Co znowu? – W głosie Marcina zabrzmiała irytacja. – Mówiłem, że nie mogę was wypuścić, nawet gdybym chciał. Rygiel pilnuje tego klucza...

– Nie chodzi o to. Co się z nami stanie rano?

– Nie strasznego, nie musicie się martwić.

– Chcemy wiedzieć – uparła się, a Jacek zaraz do niej dołączył:

– Właśnie, chcemy wiedzieć.

Marcin westchnął.

– Odbiorą wam pamięć, jasne? To znaczy nie całą, tylko to, czego dowiedzieliście się w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Dziewczyna poczuła, jak w jej serce wsącza się panika, a stojący obok Jacek zeszywniał wyraźnie.

– Jak... jak to jest możliwe?

– O rany, nie wiem. Ta cała magia to sprawa aniołów, nie moja. Wiem tylko, że one mają takie jakby... stworzenie, które przywiozły w wielkiej drewnianej skrzyni. Przez pewien czas trzymali tego stwora u nas w dodatkowym pokoju, ale ja go nigdy nie widziałem. Podobno on woli ciemność. Sadkiel mówił, że te stworzenia są bardzo niebezpieczne, ale ten to jakiś stary, słaby egzemplarz, dlatego można go kontrolować. Mój ojciec zajmował się tym stworem na zmianę z Klimszą. To znaczy z Rygłem, trochę mi się mylą te jego nazwiska.

Nina nerwowo przełknęła ślinę. Bestia, pomyślała, on mówi o Bestii, takiej jak ta z Kręgu. Jakim cudem oni chcą kontrolować takiego potwora?

– Dzisiaj w sali balowej to też był ten stwór? – zapytał ostrożnie Jacek. – Odbieraliście tam ludziom pamięć?

– Nie całą pamięć, tylko fragmenty. I ludzie sami tak zdecydowali. Nie każdy chce się przenieść do roku tysiąc dziewięćset piątego z pełną świadomością, no wiecie...

– Na przykład tego, że za parę lat wybuchnie wojna. Albo że u dentysty mogliby dostać znieczulenie, albo...

– Rygiel miał rację, jesteście beznadziejni. – Marcin najwyraźniej się obraził, bo usłyszeli odgłos oddalających się kroków. –

Do zobaczenia rano!

Jacek zasnął, zwinięty w kłębek na fotelu, Nina spała nakryta pelerynką przy uchylonym oknie, tak żeby czuć na twarzy powiew zimnego powietrza. Obudził ją przenikliwy lutowy ziąb i słońce, miękko opierające się o policzki. Otworzyła oczy, nagle pewna, że stało się coś tak potwornego, że w pierwszej chwili w ogóle nie potrafiła sformułować tej myśli.

Jacek wciąż spał, posapując lekko, w kominku tliły się resztki żaru – widocznie chłopak wstawał w nocy i dokładał do ognia. Ale było późno, świt dawno minął, minęło już chyba nawet południe...

– Wstawaj. – Spanikowana Nina potrząsnęła Jacka za ramię. – Obudź się!

Otworzył oczy.

– Co się dzieje?

– Nie przyszli po nas. A zaraz miasto znajdzie się w przeszłości.

– Szlag! – Chłopak zerwał się z fotela. – Co teraz?

– Nie mam pojęcia. Wal w drzwi, a ja zawołam przez okno.

– Wypuście nas! – wrzeszczał, bijąc pięściami w drzwi.

– Pomocy! – Nina krzyczała przez okno, wpuszczając jeszcze więcej lodowatego powietrza do już i tak mocno wyziębionego pomieszczenia. – Na pomoooc!

Ulica pod oknem była wyludniona, jedynie u wylotu przemknęła zakutana w płaszcz postać – zbyt daleko, by dziewczynę usłyszeć. Świeży śnieg przykrył ślady gości wychodzących nocą z pałacu, teraz został po nich tylko wystający z niewielkiej zasy czarny cylinder. Nina jęknęła w duchu. A więc dwa razy stracili swoją szansę: raz o świcie, drugim razem, kiedy zaczęło padać. Albo odwrotnie, może śnieg padał, zanim słońce wstało. Wszystko jedno. Ważne, że przespali dwie okazje, żeby rozwalić drzwi.

– Chyba nikogo nie ma – powiedział Jacek, podchodząc do dziewczyny. Włosy miał rozczochrane, a policzki zaczerwienione od wrzasków. – Słuchaj, a może teraz, kiedy jest jasno, dałoby się

jednak wyjść przez to okno? Gdybym zdjął koszulę i użył jej jak sznura, to mógłbym się rozbijać i sięgnąć okna po lewej, widzisz?

Nina wychyliła się.

– Za daleko. Poza tym koszula cię nie utrzyma.

– To mocny materiał. Moim zdaniem warto zaryzykować.

– Spadniesz i połamiesz sobie nogi!

– Nie spadnę. Jestem zręczny, pamiętasz?

– Ale nie jesteś cholernym kotem!

Jacek wskoczył na parapet i zdejmował już kamizelkę, kiedy na korytarzu rozległ się odgłos kroków, a w zamku zazgrzytał klucz.

– Wybierasz się dokądś? – zapytał Rygiel, stając w progu.

– Oszukał nas pan! – krzyknęła Nina. – Jak teraz mamy wyjechać z miasta? Przecież nie zdążymy!

– Obawiam się, że istotnie nie zdążycie. – W ręku mężczyzny pojawił się znajomy pistolet. – Jacku, zjedź, proszę, z parapetu. Naprawdę nie chciałbym mieć cię na sumieniu. Teraz pójdziemy do sali balowej...

– Nigdzie z panem nie pójdziemy!

– ...i tam przygotujemy się do powitania nowego, lepszego świata.

– To nie będzie żaden nowy, lepszy świat – zaprotestowała Nina. – Tylko stary i dobry dla bardzo nielicznych. Na przykład służba...

– Nie przyszedłem tutaj, żeby słuchać wykładu na temat stosunków społecznych sprzed pierwszej wojny. Chociaż nie wątpię, że jak na tak młody wiek sporo o tym wiesz. Twoja wiedza jest imponująca, ale i tobie zdarza się pomylić. Uważasz na przykład, że jestem przyzwoitym człowiekiem. To nieprawda. Zabijałem już wcześniej i nie zawaham się zabić teraz, nawet gdybym miał zastrzelić parę nastoletków. Macie więc do wyboru iść ze mną albo zginąć tu na miejscu.

On nie żartuje, pomyślała Nina. Naprawdę nas zastrzeli.

Jacek zeskoczył z parapetu i zapiął kamizelkę. Dziewczyna przełknęła ślinę, z trudem przepychając ją przez ściśnięte gardło.

– Pójdziemy z panem – powiedziała. – Ale... właściwie dlaczego? Sam pan powiedział, że nie zdążymy dobiec do granicy miasta. Równie dobrze mógłby nas pan po prostu wypuścić, bo i tak przecież

znajdziemy się w przeszłości razem z całymi Wilczymi Dołami. I dlaczego nie przyszedł pan po nas wcześniej, tak jak pan obiecywał? Moglibyśmy przecież zapomnieć o ostatnich dwóch tygodniach i miałby pan problem z głowy.

– To interesujące. – Rygiel patrzył na nią, przekrzywiając lekko głowę. – Nawet w takiej chwili nie przestajesz pytać dlaczego. Cóż, mogę chyba zaspokoić twoją ciekawość. Otóż nie przyszedłem po was, ponieważ nasza... Bestia? Tak ją chyba nazywaliście w Markotach? Otóż nasza Bestia ze względu na zaawansowany wiek stopniowo traci swoje zdolności i czyszczenie pamięci mogłoby nie być tak idealne, jak bym sobie tego życzył. A nie zostaniecie wypuszczeni, bo wolę was mieć na oku. Już i tak dość szkód narobiliście, kto wie, co bylibyście w stanie wymyślić przez te ostatnie minuty. Proszę za mną.

Szli wolno, starając się zyskać na czasie, choć Nina nie miała pojęcia, co mogłoby im to dać. W pewnym momencie Jacek wziął ją za rękę, a ona na to pozwoliła. Dzięki temu było trochę łatwiej.

– Nie będzie tak źle – powiedział chłopak, blady niczym sama śmierć. – W tysiąc dziewięćset piątym roku na mapach były jeszcze białe plamy, moglibyśmy więc zostać odkrywcami i mieć mnóstwo przygód. I chyba wtedy nawet po morzach pływali piraci...

– Jasne – potwierdziła. – Nie będzie tak źle.

Moglibyśmy zrobić mnóstwo dobrych rzeczy dla świata, myślała. Na przykład ocalić księcia Ferdynanda w Sarajewie i zabić Hitlera, zanim rozpęta drugą wojnę. Moglibyśmy...

Jacek ścisnął jej rękę i wtedy to poczuła – odległe na razie mrowienie powracającej mocy. Gdzieś na zewnątrz spadł pierwszy płatek śniegu.

Na końcu sali balowej stała znajoma już drewniana skrzynia z drzwiami, a przed nią czekał anioł w towarzystwie Marcina. I psa. Na widok Rygla wilczur leniwie zamachał ogonem.

– Po co go tu przyprowadziłeś? – Mężczyzna zmarszczył brwi.

Marcin wyglądał na niewyspanego i nieszczęśliwego, a kiedy Nina na niego spojrzała, zacisnął usta i odwrócił głowę.

– Wiktor prosił, żebym się nim opiekował. On będzie miał ważniejsze sprawy na głowie. Tak powiedział.

Rygiel westchnął ciężko, najwyraźniej spychając „ważne sprawy” do worka z fanaberiami nastolatków, po czym przeniósł spojrzenie na Ninę oraz Jacka. Milczeli przez chwilę, patrząc na siebie nawzajem.

– Powiedział pan... – Dziewczyna pierwsza przerwała ciszę, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła. – Powiedział pan, że odbieranie nam pamięci nie ma sensu, bo...

– Nie miałyby sensu, gdybym zamierzał was zostawić w teraźniejszości, owszem. Ale skoro tak czy inaczej idziecie z nami, to jest wasza szansa. Możecie znaleźć się w przeszłości, jak teraz stoicie, pamiętając o wszystkim, co zdarzyło wam się do tej pory, o waszych rodzicach, szkole, kolegach i przeżytej wojnie. A możecie też... zapomnieć. Sadkiel – skinął w stronę anioła – potrafi skłonić Bestię, żeby wymazała wam ze wspomnień ostatnie dwa tygodnie, a także to, czego nie będziecie chcieli pamiętać.

– I to zadziała? Mówił pan przecież, że Bestia jest już stara i...

– Nie przeczę, istnieje pewne ryzyko. Ale to wasza jedyna szansa na szczęśliwe życie. Gwarantuję, że pozbawieni świadomości tego, co zostawiliście za sobą, będziecie znacznie mniej cierpieć. Wasz wybór.

– Nie musimy tam wchodzić? – upewniła się.

– Nie, nie musicie. Możecie, jeśli chcecie.

– Ja wejdę – powiedział nagle Jacek. – Nie chcę pamiętać o tym, że zostawiłem moją mamę i że ona się o mnie martwi i... Po prostu nie chcę i już.

Nim zdążyła zaprotestować, wyrwał dłoń z jej ręki, otworzył drzwi i wskoczył do skrzyni. Nina krzyknęła, moc krążyła w jej żyłach z każdą chwilą szybciej i szybciej, jak potok, w którym po wiosennych roztopach wzbiera woda, i dziewczyna musiała wkładać coraz więcej wysiłku w powstrzymanie się przed wybuchem.

Mogę ich wszystkich zabić, pomyślała w nagłym, bardzo jasnym

rozbłysku. Nie chciała tego, ale po raz pierwszy tak dobitnie uświadomiła sobie, że gdyby tylko się zdecydowała, mogłaby zburzyć ściany i rozbić okna, a potem wypchnąć wszystkich na zewnątrz, łamiąc im przy okazji karki. I może nawet ona by to przeżyła.

Ale Jacek, wciąż tkwiący w skrzyni, raczej nie.

Za oknem coraz gęściej padał śnieg, jednak nikt nie zwracał na niego uwagi.

Drzwi skrzypnęły i Jacek wyszedł. Wystraszony, z niezbyt szczęśliwą miną, a przede wszystkim mocno oszołomiony – ale cały i zdrowy. Chyba.

– Wszystko w porządku? – zapytała nerwowo.

Nie odpowiedział, tylko puścił się biegiem w stronę drzwi, jakby ścigało go stado diabłów. Rygiel powstrzymał Marcina, który chciał biec za nim.

– Zostaw. Nic mu nie będzie. Nino, ty również zostań. Teraz twoja kolej.

– Nie wejdę tam.

– Tłumaczyłem przecież...

– Nie.

– Wolisz żyć w dziewięćset piątym roku ze świadomością wszystkiego, co tu zostawiasz?

– Tak, wolę. Nie, nie wejdę tam. Może pan sobie darować wszystkie tłumaczenia.

Rygiel westchnął.

– W takim razie obawiam się, że będziemy musieli użyć siły. Sadkielu, pomożesz?

Anioł złapał ją za ramiona, Nina wrzasnęła.

– Ale... dlaczego?

– Zadziwiająca. – Rygiel uśmiechnął się lekko. – Nawet teraz... Cóż, twojemu przyjacielowi mógłbym darować spotkanie z Bestią. Tobie nie. Jesteś zbyt niebezpieczna, żeby żyć w naszych spokojnych czasach z twoją obecną wiedzą.

Otworzył drzwi i anioł wepchnął ją do środka.

A Rygiel założył kłódkę i przekreślił klucz.

– Trzy minuty – powiedział Rygiel. – Zdążę jeszcze wyjść na rynek i przywitać tam nowy świat. Zechcecie mi towarzyszyć?

– Chętnie – odparł anioł łagodnym, dźwięcznym głosem.

– Marcinie?

– Ja zostanę.

– Świetnie. Gdy tylko znajdziemy się w tysiąc dziewięćset piątym roku, możesz otworzyć drzwi. To nie potrwa długo.

Nina usłyszała odgłos oddalających się kroków, a potem ciche:

– Przepraszam... Naprawdę przepraszam.

– Otwórz te drzwi – wychrypiała przez wzbierającą panikę. Bestia była tuż obok, oddzielona drewnianym przepierzeniem. Dziewczyna wyczuwała jej obecność, była też świadoma, że potwór, gdyby tylko miał dość siły, bez trudu by to przepierzenie zniszczył. Ale tak naprawdę przerażało ją zamknięcie, nie Bestia. Z każdą chwilą czuła coraz bardziej, jak ściany skrzyni napierają na nią, gotowe zmiażdżyć ją i wycisnąć z płuc ostatni oddech, przestrzeń kurczyła się z każdą sekundą, a panika pulsowała w głowie jak wielkie czerwone światło.

– Nie mogę.

– Otwórz te pieprzone drzwi!

– Nina...

Znowu usłyszała odgłos kroków i domyśliła się, że Marcin cofa się powoli w stronę wyjścia z sali balowej. Być może siedł tyłem, z psem u boku, wpatrzony uważnym spojrzeniem w skrzynię.

Boi się mnie, pomyślała Nina.

Miał rację. Powinien się bać.

Rozdział piętnasty, w którym Nina znowu wykazuje się uporem.

Pośpiesz się!

– Śpie... szę... jak tylko mogę. – Posapując, biegła po kręconych schodach. Dotarli do dzwonnicy, chłopak odwrócił się, podał Ninie rękę i wciągnął ją na podest. Drzwi były otwarte, tak jak je zostawiła. Wybiegli na punkt widokowy.

Miasto pod nimi obracało się w popiół. Anioł z płonącym mieczem był już na wysokości biblioteki i szedł uparcie w stronę centrum, zostawiając za sobą pas spalonej ziemi. Miał cztery metry wzrostu, włosy błyszczące niczym słońce i szatę tak nieskazitelnie białą, że od patrzenia na nią bolały oczy. Unoszący się wszędzie pył nie pozostawiał na niej najmniejszych śladów. Twarz anioła przypominała twarz greckiego posągu: piękna, z pustymi oczami, które wyglądały jak wykute w marmurze. Miecz w jego dłoni wibrował śpiewnie, przesuwał się z prawa na lewo i z lewa na prawo hipnotyzującym ruchem. Budynki, których dotknęło ostrze, rozżarzały się do czerwoności, po czym wybuchały w chmurę popiołu, który opadał na śnieg miękko niczym czarny całun. Anioł szedł niepowstrzymany, pchając przed sobą falę gorącego, suchego powietrza, które Ninie kojarzyło się z pustynią, z aniołami z czasów Starego Testamentu, wyganiającymi ludzi z raju i obracającymi miasta w gruzy.

– Nadlatują! – krzyknął Jacek.

Na niebie pojawił się czarny punkt, szybko zbliżający się do kościoła.

– Tu jesteśmy! – Jacek zaczął podskakiwać, wymachując jednocześnie rękami. – Tutaj!

– Hop, hop! – Nina dołączyła do chłopaka. – Tutaj!

Anioł był coraz bliżej, dziewczyna czuła już na twarzy gorący podmuch, jakby stanęła przy otwartych drzwiach pieca. Odgłos

skwierczącego na patelni oleju wypełniał jej uszy.

– Hop, hop! – Jacek krzyczał, zdzierając sobie gardło. Przerazenie w jego oczach zamieniło się już w bezrozumną, zwierzęcą panikę.

Helikopter zniżył się i zawisł tuż nad punktem widokowym.

– Właźcie! – Lis wychylił się, przekrzykując hałas obracającego się śmigła.

Z helikoptera zsunęła się sznurowa drabinka. Jacek chwycił ją i błyskawicznie wspiał się do kabiny.

– Teraz ty! – Lis krzyknął w stronę Niny.

– Nie!

– Co?!

– Najpierw chcę wiedzieć, kto za mnie umarł. W instytucie Totenwald!

– Zwariowałaś? Nie mamy czasu! Właź!

– Nazwisko!

– Chcesz tu zginąć?

– Nazwisko!

– Leszek Strachoń. Właź wreszcie!

Chwyliła dolny szczebel drabinki. Helikopter poderwał się, dziewczyna zawisła, zawieszona między niebem a ziemią. W tym samym momencie wieża kościelna pod nią rozżarzyła się jak węgiel, po czym wybuchła czarną chmurą popiołu.

Kiedy wpełzła wreszcie do kabiny, popiół miała wszędzie: na ubraniu i na twarzy, w gardle i w oczach. Kaszła spazmatycznie, przecierając powieki, ale osiągnęła jedynie tyle, że rozmazała pył razem z łzami.

– Nie trzymaj tego – powiedział Lis. – Spróbuj wypłukać.

Wcisnął jej w rękę manierkę. Nina nalała wody na dłoń i przemyła twarz. Lepiej. Nadal daleko do ideału, ale zdecydowanie lepiej.

Kiedy otworzyła oczy, pierwszym, co zobaczyła, był Jacek, czerwony z wściekłości i na granicy płaczu.

– To wszystko pana wina! Miał pan po nas przyjechać wcześniej!

– Nie mogliśmy...

Chłopak zamachnął się i uderzył Lisa. W twarz, pięścią, z całej siły. Nina zamarła. To przeczyło absolutnie wszystkiemu, co do tej pory jej wpajano. Dzieci ani nastolatki nie były dorosłych. Nigdy. Dorosłych można było nie lubić, można było się z nimi kłócić i sprzeciwiać im się, ale Ninie nie przyszłoby do głowy podnieść rękę na kogoś dorosłego. Coś takiego równałoby się zamachowi na samego Boga.

A Lis mu pozwolił. Nie cofnął się, nawet nie odwrócił twarzy. Przyjął cios, wytarł ciekącą z nosa krew i spojrzał na skamieniałego ze zgrozy Jacka.

– Usiądź – powiedział spokojnie. – Za dziesięć minut będziemy na miejscu.

– A Marcin? – zapytała Nina, próbując wstać.

– Wrócimy po niego. Ty też siedź spokojnie.

Nie zamierzała słuchać. Wychyliła się, a Lis złapał ją za rękaw swetra.

– Czasem naprawdę mam was dość – powiedział, ale nie próbował posadzić jej siłą na miejscu.

Dziewczyna patrzyła. Na anioła, który niezmordowanie szedł na wschód, wciąż wymachując mieczem, choć nie było już niczego, co mógłby zniszczyć, na rozciągającą się pod nimi czarną pustynię, która do niedawna była miastem, i na sterczący z popiołów jeden jedyny zachowany budynek, a raczej fragment budynku: pozbawione dachu skrzydło pałacu, cztery ściany godzące w niebo i chłopca, maleńkiego z tej wysokości jak figurka z plasteliny, siedzącego na resztkach sufitu w sali balowej pod rzędem wysokich na cztery metry, brudnych i popękanych luster, które odbijały wstrząsane łkaniem ramiona.

– To dlatego Marcin poszedł do pałacu, tak? – domyślił się Jacek. – Niszczyciel atakuje wszystko poza sobą samym, a to znaczy, że ominął salę balową, kiedy zobaczył własne odbicie.

– Widzisz, też potrafisz dedukować, jak tylko trochę się postarasz.

Nina owinęła się kocem, który dał im Lis. Lecieli teraz nad połyskującymi w słońcu ośnieżonymi szczytami gór. Piękny widok, pomyślała, walcząc z drżeniem, które nagle ogarnęło całe jej ciało. Na początku myślała, że to z zimna, bo do wnętrza helikoptera zawiewał przenikliwy, mroźny wiatr, ale to był zwyczajny strach. Mało brakowało, a bym tam umarła – wreszcie to do niej dotarło.

Przymknęła oczy, obejmując kolana rękami. W jej głowie znowu pojawiły się obrazy, z początku niejasne, niepowiązane ze sobą jak sceny z ledwo zapamiętanego snu, a potem coraz wyraźniejsze, układające się w logiczny ciąg zdarzeń.

– Lustro w zwyczajnym domu by nie wystarczyło? – Głos Jacka docierał do niej stłumiony, jak zza ściany.

– Nie, bo żadne inne lustro nie byłoby tak wysokie.

– Aha. Dobrze się czujesz?

– Tak – wymamrotała. – Ja chyba... chyba zaczynam sobie przypominać.

– Ja też.

Helikopter wylądował na niewielkim placu przed budynkiem z piaskowego kamienia. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jacek zeskoczył na ziemię sam, Lis pomógł wysiąść dziewczynie. Jakiś żołnierz popchnął ich w kierunku wejścia do budynku, gdzie wpadli w ramiona Tamary i Huberta.

– Ale się o was martwiliśmy! – Przyjaciółka wyściskała Ninę, a potem objęła Jacka.

– Chcieli, żebyśmy poczekali na was w wiosce, ale my się uparliśmy, że będziemy czekać tutaj – dodał Hubert.

– Mamy wasze rzeczy, możecie się przebrać i umyć... – Tamara spojrzała na Ninę sceptycznie, a młodsza dziewczyna nagle zawstydzila się swojego wyglądu. Pod kurtką wciąż miała strój, w którym spała, czyli kalessony i za dużą męską koszulę. O reszcie wolała nawet nie myśleć. – Chodźcie, pokażę wam prysznic.

Łazienka okazała się niewielka, ale czysta, z rzędem wyszorowanych do połysku umywalek i dwiema kabinami prysznicowymi. Nina z ulgą rozebrała się i puściła wodę. Stała przez chwilę, pozwalając, żeby gorący strumień uderzał w jej plecy,

rozluźniając napięte mięśnie, a potem kawałkiem szarego mydła zaczęła zmywać z siebie warstwę kilkudniowego brudu. Tamara mówiła w tym czasie, starając się przekrzyczeć szum wody.

– No więc jak poszliście do pałacu na ten cały bal, to my wróciliśmy do pensjonatu. Pani Ewa wściekła się, jak zobaczyła, że was nie ma. Chciała nawet iść was szukać, ale jej to wyperswadowaliśmy. Teraz żałuję, ale już za późno, nie? I tak czekaliśmy, a was nie było i nie było, aż wreszcie w środku nocy, kiedy pani Ewa wkładała płaszcz, żeby po was iść, przybiegła Karolina z tym dziwnym listem i wszyscy się porządnie wystraszyliśmy. Pani Ewa próbowała jeszcze tę małą wypytywać, ale ona tak dziwnie odpowiadała, czasem tylko „tak” i „nie”, a czasem w ogóle nic nie mówiła. Ale kiedy pani Ewa dała jej kartkę, to narysowała na niej anioła, samą siebie z zaszytymi ustami i jeszcze coś, jakby... zamkniętego w pokoju potwora, podobnego do tego z kręgu w Markotach.

Dlatego Lis kazał mi uciekać, pomyślała Nina, myjąc zawzięcie głowę.

– I wiesz, co pani Ewa wtedy zrobiła?

– Nie mam pojęcia! – odkrzyknęła, po czym wyplukowała z uszu mydło.

– Zawołała panią Kociubę, która przydreptała w szlafroku i kapciach, wyraźnie zła, że ktoś ją budzi w środku nocy. A pani Ewa zaczęła ją wypytywać, co wie o aniołach i o co chodzi z tym rokiem dziewięćset piątym. Pani Kociuba z początku kręciła, że o niczym nie ma pojęcia, ale pani Ewa, sama wiesz, ona jest z UB i wie, jak przycisnąć człowieka.

O, tak, pomyślała Nina. Podobnie jak Lis.

– No i pani Kociuba w końcu powiedziała wszystko.

– I co dalej? – Nina zakręciła wodę i zaczęła wycierać się ręcznikiem, który Tamara rzuciła jej nad drzwiami kabiny.

– To jest ta część, z której nie jesteśmy dumni. – Starsza dziewczyna westchnęła. – Pani Ewa kazała nam się spakować i wsadziła do auta. Myśleliśmy, że pojedziemy po was, ale ona wyjechała z miasta... Droga wyglądała okropnie, mówię ci, ślisko,

śnieg i pełno pełznących w żółwym tempie wyładowanych wozów. I jakiś anioł, który czytał każdemu w myślach i decydował, czy wolno mu wyjechać. My się przemknęliśmy, bo jeden z wozów się przewrócił i zrobiło się straszne zamieszanie. Nawet anioły nie są idealne, co?

Nie są, pomyślała Nina.

– W końcu jednak dojechaliśmy do Krzesza, to taka mała wioska niedaleko stąd. Większość pojechała dalej, zatrzymaliśmy się tylko my, dwa wozy i jedna ciężarówka. Jechał w niej milicjant, ten młody, który bywał u pani Kociuby. Pani Ewa odciągnęła go na bok, chwilę pogadali, a potem podeszła do nas i powiedziała, że zostawia nas pod opieką milicjanta, a sama wraca po was. Powiedziała, że to nie potrwa długo, że weźmie samochód i raz-dwa was przywiezie, a my... my jej uwierzyliśmy, bo, cholera, ona zawsze wydawała się taka strasznie pewna siebie i kompetentna, i w ogóle...

– Wiem. – Nina ubierała się pośpiesznie, depcząc bosymi stopami po mokrej posadzce. – Też bym tak zrobiła na waszym miejscu. A gdybyście pojechali razem z nią... Ona została w przeszłości, tak?

– Na to wygląda – przyznała Tamara niechętnie. – My potem też chcieliśmy po was wrócić, naprawdę, ale drogi były już nieprzejezdne, bo wszędzie leżał śnieg.

– A co z Karoliną? – Nina otworzyła drzwi.

– Nie wiem, potem już jej nie widziałam.

Może jej też udało się przemknąć z wiedzą, którą miała. A może została w Wilczych Dołach razem z ojcem i matką. Pewnie nigdy się tego nie dowiedzą, tak samo jak nie będą wiedzieć, co się stało z kompetentną i pewną siebie panią Ewą. Samochód utknął w śniegu, a ona wysiadła i próbowała dobiec do pałacu przed trzynastą? Ktoś ją zatrzymał? Stało się jeszcze coś innego, czego nie przewidziała?

Wyszły na korytarz, gdzie czekali Hubert i Jacek – ten ostatni miał już na sobie własne ubranie.

– Idziesz pod prysznic? – zapytała Nina, ale chłopak pokręcił głową.

– Najpierw chcę coś zjeść.

W milczeniu szli w stronę stołówki. Hubert i Tamara wydawali się

po prostu zamyśleni, ale Jacka wyraźnie coś gnębiło.

– Myślisz, że on mi teraz coś robi? – zapytał, kiedy wchodzili do niewielkiej sali. Na stole stał już garnek z parującym gulaszem, a on, czyli porucznik Lis, nakładał porcje na talerze.

– Siadajcie i jedzcie – powiedział. – Musicie być bardzo głodni.

Jacek z ociąganiem wziął do ręki łyżkę.

– O incydencie w helikopterze zapomnę, jeśli obiecasz, że coś takiego już nigdy się nie powtórzy – dodał Lis, a chłopak z wyraźną ulgą pokiwał głową.

Gulasz na wojskowej konserwie wydał się Ninie najsmaczniejszą potrawą, jaką miała w ustach od dawna, może nawet od czasów pobytu w domu. Jadła więc szybko i dopiero kiedy była w połowie porcji, tknęła ją niejasna dotąd myśl.

– Którego dziś mamy?

– Szóstego marca – odpowiedział Hubert. – A co, straciliście rachubę czasu?

– Trochę. Ale nie o to chodzi. Czy wy nie powinniście być przypadkiem w szkole?

– Powinniśmy – przyznała Tamara z szerokim uśmiechem. – I nawet próbowali nas odesłać, ale się nie daliśmy. Ja od początku wiedziałam, że żyjecie.

– A ja, prawdę powiedziawszy, zakładałem, że raczej już po was – przyznał uczciwie Hubert. – Ale nie chciałem wyjeżdżać, dopóki nie będę miał stu procent pewności. W końcu jesteśmy drużyną.

– Lis załatwił to jakoś z moim ojcem i szkołą Huberta – dodała Tamara. – Na początku w ogóle przez trzy dni siedzieliśmy jak para kompletnych idiotów na tej zabitej dechami wsi.

– Kto był idiotą, ten był idiotą. – Hubert wyglądał na urażonego.

– Jasne, w sumie ty tylko patrzyłeś ponuro przed siebie...

– Myślałem!

– I co ci z tego myślenia przyszło?

– Nie kłóćcie się, tylko opowiedzcie po kolei, jak było. Zostaliście pod opieką milicjanta, a pani Ewa wróciła do Wilczych Dołów. Co dalej?

– Czekaliśmy na was do wieczora. – Teraz opowieść podjął Hubert.

– A potem zaczął padać śnieg, zamieć taka, że nie dało się wyjść na zewnątrz. Jakoś zdołaliśmy zasnąć, chociaż wiedzieliśmy już wtedy, że pani Ewa prawdopodobnie nie wróci. A rano...

– Rano nasz milicjant zniknął – weszła mu w słowo Tamara. – Odjechał swoją ciężarówką i nawet się z nami nie pożegnał. Widocznie uznał, że skoro pani Ewa się nie pojawiła, to nie jest jej nic winien.

– A my zostaliśmy i nikt na dobrą sprawę nie wiedział, co z nami zrobić. Z początku nasz gospodarz myślał, żeby nas wsadzić na wóz i zawieźć na stację kolejową, ale żona mu to wyperswadowała. W taką pogodę, mówiła, samochód jakoś przejedzie, ale wóz i konie utkną w śniegu. My zresztą też wcale się nie spieszyliśmy do wyjazdu.

– Czemu? – zapytał z ciekawością Jacek.

– Bo wszędzie po drogach kręciły się anioły, które czytały ludziom w myślach. Chyba się domyśliły, że komuś udało się wymknąć. A my wiedzieliśmy, że jak nas dopadną, to nie darują, dlatego siedzieliśmy w domu, bo tam byliśmy najbezpieczniejsi. Nasi gospodarze to było takie starsze małżeństwo, mili ludzie, chociaż prości. Nawet za bardzo nas nie wypytywali, tylko dali dwa sienniki na strychu i jedzenie. W miarę możliwości staraliśmy się im odwdziaczyć i pomóc przy gospodarstwie.

– Hubert doił nawet krowę – wtrąciła Tamara.

– Doilem, co z tego? Moja ciotka była ze wsi, spędzałem z nią sporo czasu. To nic trudnego.

– A potem przyjechał Lis – domyśliła się Nina.

– Aha – przytaknęła starsza dziewczyna. – Powiedział, że kiedy pani Ewa się z nim nie skontaktowała, wpadł na to, że coś się stało, i zaraz przyjechał, tylko trochę mu zajęło, zanim nas znalazł. Pojechaliśmy z nim do innej wsi, trochę większej.

– Luboń, jakieś pięć kilometrów stąd. Teraz tam mieszkamy.

Tamara skinęła głową.

– Jak się okazało, że nie damy się przekonać i nie wrócimy do domów, Lis wynajął nam pokój u jednych takich ludzi, a sam spał tutaj.

– To znaczy w bazie Wojsk Ochrony Pogranicza – dodał Jacek.

– Domyśliłam się, że to baza WOP.

– Przyjechali z nim jacyś ludzie, nawet nie wiemy skąd, i najpierw strasznie nas przemaglowali. Wypytywali, czy zauważyliśmy coś dziwnego w Wilczych Dołach i tak dalej. Nie mam pojęcia, czy nasza wiedza im w czymkolwiek pomogła, ale kręcili się tu przez jakiś czas.

– I ciągle kombinowali, jak się dostać do Wilczych Dołów. Na początku próbowali przejechać terenówką, potem pługiem śnieżnym, ale wszystko utykało w zaspach. Wtedy Lis wymyślił, żeby ściągnąć helikopter. Podobno pożyczyci go od Rosjan, którzy przylecieli do Polski na jakiś pokaz.

Jak na zawołanie za oknem rozległ się odgłos pracującego śmigła i po chwili na placu przed bazą wylądował helikopter. Czwórka nastolatków podbiegła do okna w samą porę, by zobaczyć wyskakującego na ziemię wyraźnie zdegrustowanego psa. Za nim wysiadł Marcin. Chłopak nie płakał już, ale kiedy szedł w stronę bazy, na widok jego twarzy Ninę ścisnęło w żołądku. Potem z kabiny wyskoczył żołnierz, który ku zdumieniu dziewczyny wyciągnął za sobą Sadkiela. Anioł miał skute z tyłu ręce, potargane złote włosy, brudną szatę i rozlewającego się pod okiem wielkiego siniaka.

– Cholera – sapnęła Nina.

– O rany – zawtórował jej Jacek.

– A ten drugi? – pytał Jacek, biegnąc za żołnierzem, który prowadził anioła. – Ten wielki, który niszczył miasto...

– Tamten twierdzi, że dużego wcale nie było – młody kapral miał nieufny wyraz twarzy – że to taka speronizowana magia. Ale i tak najgorszy był ten cholerny kundel, pół godziny minęło, zanim złapaliśmy go z Pietią i wsadziliśmy do kabiny...

Spersonifikowana magia, poprawiła Nina w myślach.

Kapral dołączył do pilota i zagadnął go po rosyjsku, a dziewczyna zwolniła, pozwalając, by wyprzedziła ją grupa składająca się z anioła, nastolatków i żołnierzy. Potem, kiedy tamci zniknęli już w głębi budynku, skręciła w stronę porucznika Lisa, który siedział na schodku

i palił papierosa.

– To było głupie – powiedział, gdy dziewczyna usiadła obok. – Głupie i dziecinne.

– Chciałam wiedzieć. – Nina nie miała najmniejszych wątpliwości, o czym porucznik mówi.

– Wiedza nie zawsze wychodzi człowiekowi na dobre. – Lis wydmuchnął dym, który rozwiewał się powoli w zapadającym zmierzchu.

– Nie zawsze, ale czasem tak. I nie można podjąć w tym przypadku racjonalnej decyzji, bo dopóki człowiek tej wiedzy nie ma, to nie wiadomo, czy wyjdzie na dobre, czy na złe.

Lis odwrócił się, ale Nina mogłaby przysiąc, że przez chwilę widziała lekki uśmiech na jego twarzy.

– Co teraz będzie? – Zmieniła temat. – Z Marcinem i z aniołem?

– Z Marcinem nic. Odeślemy go do krewnych, jeśli jakichś ma, albo do domu dziecka. UB nie może opiekować się wszystkimi sierotami, Nino.

Tylko tymi szczególnymi, pomyślała. Jak ja albo Hubert.

– A anioł? Jeśli oni byli w stanie najpierw przenieść miasto do przeszłości, a potem zniszczyć całkowicie to, co zostało, to znaczy, że ich magia jest znacznie silniejsza, niż zakładaliśmy.

– Wiem.

– I jeśli władze się o tym dowiedzą... Może dojść do poważnego konfliktu. Albo nawet do wojny.

– Wiem – powtórzył Lis. – Właśnie temu próbuję zapobiec.

– Bijąc Sadkiela?

– Nie tknąłem go palcem. – Porucznik westchnął. – Ale on by przecież nie poszedł z nami dobrowolnie.

– Dlatego nie miał pan nic przeciwko, żeby bili go inni.

– Jeśli chcesz to tak ująć. A teraz pójdę do niego, przeproszę grzecznie, zapytam, czy nie chciałby coś do jedzenia... Co jadają anioły?

– To samo co ludzie.

– Znakomicie. Zaproponuję mu w takim razie trochę gulaszu, a potem ponegocjujemy.

- A co my będziemy robić w tym czasie?
 - Wy pójdziecie spać. A wcześniej obiecacie, że nikomu nie powiecie o tym, co się wydarzyło w Wilczych Dołach. Potraficie dochować tajemnicy?
 - Ostatnio przecież nic innego nie robimy.
- Lis uśmiechnął się, tym razem znacznie szerzej, po czym zgasił papierosa i wszedł do budynku, a Nina poszła za nim.

Marcin siedział w stołówce i jadł gulasz, karmiąc przy okazji psa. Na stole wciąż leżały cztery brudne talerze, Nina wzięła je więc i zaniósła do kuchni. Marcin nie spojrzał na nią, ani kiedy wychodziła, ani kiedy wróciła i usiadła naprzeciwko.

– Jacek właśnie sobie poszedł – wymamrotał. – Specjalnie pofatygowałem się, żeby oznajmić, że nie chce mnie więcej widzieć na oczy. Powiedział, że próbowałem was zabić i dlatego on nie ręczy za siebie, jeśli kiedyś jeszcze wejdę mu w drogę. Też zamierzasz na mnie wrzeszczyć?

– Ja już się przyzwyczałam, że ludzie od czasu do czasu próbują mnie zabić, i staram się być wobec nich wyrozumiała.

Chłopak skrzywił się lekko, a Nina westchnęła.

– Przepraszam, kiepski żart. Poza tym nie jestem pewna, czy niezdradzenie komuś sposobu na ocalenie to dokładnie to samo co zabójstwo.

– Chciałem wam powiedzieć o tych lustrach. – Marcin grzebał w talerzu, nadal nie unosząc głowy. – Naprawdę.

– Ale?

– On powiedział, że nie powinienem, bo każdy świadek pozostawiony przy życiu zwiększa ryzyko, że komuniści o wszystkim się dowiedzą.

– Anioł?

– Aha.

– Ten sam, który dźgnął cię rapierem? Bo to był on, tak? Nie walczyłeś z żadną Bestią?

Niechętnie skinął głową.

– Bestia zdechła sama. Wieczorem pierwszego dnia po... zniknięciu ludzi przywlokła się do naszego mieszkania, wlaźła do pokoju, w którym ją trzymaliśmy, i zwyczajnie zdechła. Anioł przyszedł później. Wpadł przez okno, wymachując tym swoim mieczem, i wrzeszczał, że przecież umawialiśmy się nie zostawiać żadnych świadków, co w takim razie robię w mieście ja i jeszcze dwie osoby. Próbowałem mu tłumaczyć, że nie mam pojęcia, jak to się stało, ale on nie słuchał, tylko się na mnie rzucił. A potem dodał, że i tak wszyscy zginiemy, bo on wezwie Niszczyciela. Nie mogłem zapytać, co właściwie ma myśli, bo prawie traciłem przytomność, ale...

– Poszedłeś do kościoła, żeby z nim porozmawiać.

Marcin wzruszył ramionami.

– Teraz już wiesz wszystko. I jak, zadowolona? Czy masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie mam żadnych pytań...

– To sobie idź.

– Ale...

– Idź sobie. Chcę dokończyć w spokoju obiad.

Nina wstała. W progu spojrzała ostatni raz na Marcina, który jadł powoli, wciąż z opuszczoną głową. Liczyła jeszcze, że chłopak coś powie, ale nie odezwał się ani słowem.

Marcin został w bazie, a pozostała czwórka nastolatków wraz z młodym żołnierzem pomaszerowała w stronę niedalekiej wioski. Gospodarze, u których spali Tamara i Hubert, niezbyt entuzjastycznie przyjęli wiadomość, że noclegu szukają jeszcze dwie osoby.

– Chyba że na podłodze na sienniku – powiedziała kobieta, patrząc sceptycznie na Jacka i Ninę. – Albo niech u sąsiadów próbują, może kto ich weźmie.

– Siennik wystarczy – zapewnił pośpiesznie Jacek, a Nina gorliwie skinęła głową.

– Zapłacimy podwójnie – dodał żołnierz i tym samym targ został

dobity.

Do późnej nocy przy świetle lampy naftowej rozmawiali w niewielkim pokoiku za kuchnią. Najpierw Nina i Jacek, przerywając sobie nawzajem, jeszcze raz opowiedzieli wszystko, co przydarzyło im się w opuszczonym mieście, potem Tamara z niewielką pomocą Huberta powtórzyła całą ich historię.

– Nie rozumiem tylko jednego – powiedział na koniec Jacek. – Jakim cudem nie zostaliśmy przeniesieni w przeszłość? Nina?

– Czemu patrzycie na mnie? – zirytowała się dziewczyna. – Wiem tyle samo co wy.

– Ale pewnie się czegoś domyślasz. Ja pamiętam tylko mętnie, że dokądś biegłem, a potem wszystko nagle się zatrzęsło, jakby pałac zaczynał się walić, i upadłem. Potem obudziłem się na schodach i resztę już wiecie.

– Też pamiętam to trzęsienie – przyznała Nina. – Chyba w tym momencie spanikowałam, użyłam mocy i rozwaliłam skrzynię i okno, i... musiałam wypuścić Bestię. A ona nie zrobiła mi krzywdy, kiedy leżałam nieprzytomna. Ani tobie, chociaż idąc w stronę wyjścia, musiała cię minąć. – Nagle coś wpadło jej do głowy. – To ona nas ocaliła. To znaczy Bestia, tak myślę.

– Niby czemu? – Tamara miała sceptyczną minę.

– Nie wiem. Prawdopodobnie nie z powodu sympatii. Może postanowiła być złośliwa – wiedziała, że anioły chcą przenieść w przeszłość miasto, uznała więc, że w ostatnich chwilach życia pokrzyżuje im plany. To znaczy trochę pokrzyżuje, bo siły starczyło jej tylko na powstrzymanie przed przeniesieniem trzech znajdujących się najbliżej osób.

– I jednego psa – dodał dla porządku Jacek.

– I jednego psa. Albo po prostu chciała umrzeć tam, gdzie czuła się bezpieczna, w znajomym miejscu, a my ocaleliśmy przez przypadek, bo znajdowaliśmy się najbliżej. To logiczne, nie? Skoro anioły potrafią przenosić ludzi w czasie, to czemu Bestie nie mogłyby zatrzymać ich w teraźniejszości? W końcu i Bestie, i anioły pochodzą z jednego świata.

– Dla mnie brzmi wystarczająco logicznie. – Hubert ziewnął

dyskretnie. – A teraz proponuję jednak iść spać, bo zaraz będzie świtać.

Rano zjawiał się Lis, który zebrał wszystkich na podwórku przy studni. Słońce grzało, zwisające z dachu sople topniały, kapiąc na rozmiękły śnieg grubymi kroplami, a w powietrzu czuło się coś, co od biedy można by wziąć za pierwszy, nieśmiały powiew wiosny.

– Musicie zdecydować, czy chcecie wracać, czy wolicie zostać jeszcze parę dni – powiedział. – Jacku, powiadomiłem twoją matkę, że jesteś cały i zdrowy.

Chłopak skinął głową. Podziękowanie nie przeszło mu przez usta, ale na pucułowatej twarzy widać było ulgę.

– Ja zostaję – zadeklarowała natychmiast Nina, a Hubert ją poparł.

– Jak wy, to ja też – dodała Tamara.

Najdłużej zastanawiał się Jacek, a Nina chyba domyślała się, o co chodzi. Ona i Hubert byli piątkowymi uczniami i nadrobienie kilku czy nawet kilkunastu straconych dni nie sprawiało im problemów, a Tamara nauką i tak za bardzo się nie przejmowała. Jacek natomiast w szkole radził sobie średnio i dla niego dodatkowe opuszczone lekcje mogły stanowić większy kłopot. A poza tym oczywiście myślał o zamartwiającej się matce.

– Może ty wróc – powiedziała cicho. – Twoja mama...

– Zostaję. – Chłopak wbił wzrok w śnieg. – Zresztą to pewnie nie potrwa długo?

– Nie. Albo dogadamy się z aniołami w ciągu kilku dni, albo wszystko szlag trafi.

Dziewczyna poczuła, jak mimo grzejącego słońca robi jej się zimno.

– Myśli pan, że dogadanie się z nimi jest możliwe?

– Myślę, że tak. Anioły też nie chcą otwartego konfliktu. Ich magia jest silna, ale wymaga długich przygotowań. My mamy broń palną, która może nie jest tak efektywna, ale za to działa od razu. Poza tym ludzi jest zwyczajnie więcej.

– Czyli gdyby doszło do wojny, tobyśmy wygrali? – zapytała

Tamara.

- Prawdopodobnie, ale... – Lis wzruszył ramionami.
- Za wysoką cenę – odpowiedziała Nina, a porucznik przytaknął.

Mieszkali w wiosce przez trzy dni. Po południu wpadał Lis, by przynieść im najnowsze wieści, ale przez większość czasu nie mieli nic do roboty. Tamara i Hubert bez szczególnego entuzjazmu pomagali w gospodarstwie – teraz, kiedy gospodarze dostawali za niespodziewanych gości uczciwą zapłatę, żadne z nich nie czuło się w obowiązku, żeby to robić. Nina raz spróbowała wydoić krowę i choć uznała to doświadczenie za pouczające, wolałaby go więcej nie powtarzać; kury, kaczki i prosiaki w chlewie też niespecjalnie ją interesowały. Jedynie Jacek szczerze polubił proste wiejskie prace. Poza tym spędzali czas, jeżdżąc na sankach po coraz bardziej rozmakającym śniegu i włącząc się po niedalekim lesie. Był początek marca, lód na strumyku puścił, słońce przygrzewało z każdym dniem mocniej, a kiedy kładli się spać, towarzyszyło im monotonne ciurkanie topniejących sopli.

W wiosce od czasu do czasu pojawiały się anioły: wysokie, świetliste postacie w jasnych szatach, bosa i z rozpuszczonymi włosami w kolorach złota, srebra i ciepłego mahoni. Nie rozmawiały z nikim, a mieszkańcy Lubonia woleli trzymać się od skrzydlatych z daleka. Nina sądziła, że to z szacunku i lęku, ale kiedy powiedziała gospodarzowi, że anioły wcale nie są aniołami, ten tylko pokiwał głową.

- Tak jakoś właśnie mi się zdawało – mruknął.

We wtorek dziewiątego marca pojawił się Lis. Wyglądał na zmęczonego, oczy miał podkrążone, a jego włosy, zazwyczaj ścięte tuż przy skórze, urosły na tyle, że widać było intensywny rudy kolor.

- Chodźcie ze mną – powiedział – to zobaczycie coś ciekawego.
- Udało się? – zapytała Tamara, kiedy szli już w stronę bazy.
- Tak. Ostatecznie stanęło na tym, że pozwolimy im zatrzymać miasto w przeszłości, pod warunkiem że raz w roku wszyscy, którzy

tego zechcą, będą mogli wrócić do czasów współczesnych.

– To jest możliwe? – zdziwiła się Nina. – Znaczący, gdybyście ich zmusili, anioły mogłyby sprawić, że mieszkańcy Wilczych Dołów znajdą się z powrotem w teraźniejszości?

– Owszem. Podejrzywałem to już od pewnego czasu, bo aniołom za bardzo zależało, żeby usunąć wszystkich świadków. Ale dopiero wczoraj przyznali się, że to możliwe. Dzisiaj rano doszliśmy do kompromisu.

Dotarli do bazy, gdzie na placyku czekały już dwie półciężarówki. Tamara i Hubert wsiedli do jednej, a Nina z Jackiem do drugiej. W tym samym samochodzie znaleźli się także porucznik Lis i Marcin. Jacek milczał, lekko naburmuszony, Nina starała się patrzeć w bok. Półciężarówki ruszyły, rozchlapując wokół błoto. Kierowali się na północ. Dziewczyna przymknęła oczy i otworzyła je, dopiero kiedy wjechali na znajomą szosę. Wszystko wyglądało podobnie, a jednak zupełnie inaczej: nie było już śniegu skrzącego się w blasku reflektorów, tylko oświetlony wiosennym słońcem mokry asfalt, a rosnące na poboczu świerki dawno straciły białe czapy. Minęli miejsce, w którym przed miesiącem (to wydawało się tak dawno temu) omal nie potracili człowieka, i zaczęli zjeżdżać w stronę Wilczych Dołów, a raczej tego, co zostało z miasta. Nina znowu zamknęła oczy, nie chcąc patrzeć na rozciągającą się w dolinie czarną pustynię, Jacek lekko dotknął jej łokcia.

– Jesteśmy – powiedział po chwili, kiedy samochód zaczął zwalniać.

Zatrzymali się przed pałacem i po zasypanych gruzem schodach weszli do sali balowej. Popękane i brudne lustro wciąż odbijały sylwetki pięciorga nastolatków i grupy żołnierzy. Niebo nad nimi było czyste i błękitne, wiatr niósł z zachodu świeży zapach lasu. Nina zdjęła czapkę, pozostali, idąc za jej przykładem, rozpinali palta i kurtki. Tylko żołnierze zostali w pełnym umundurowaniu. Stali teraz, celując bronią w podest, pod którym stała niedawno drewniana skrzynia. Miny mieli niepewne, broń w ich rękach lekko, ale zauważalnie drżała.

– Jest pan pewny, że oni pojawią się właśnie tutaj? – zapytała Nina.

Porucznik Lis skinął głową. Jako jedyny wydawał się całkowicie rozluźniony albo przynajmniej takiego udawał. Zapalił papierosa i woń dymu dołączyła do zapachu topniejącego śniegu i świerków.

– To jest centrum. Tak twierdzi Sadkiel.

Mógł was wszystkich oszukać, pomyślała. Przyszło jej do głowy, że komuniści prawdopodobnie jakoś się zabezpieczyli przed taką ewentualnością, ale nie chciała pytać jak. Po raz pierwszy uznała, że pewnych rzeczy może faktycznie lepiej nie wiedzieć.

Lis kończył papierosa, kiedy ocalałe skrzydło pałacu nagle zadrżało. Nina zachwiała się i gdyby nie stojący obok mężczyzna, który złapał ją za łokieć, pewnie wylądowałyby w błocie. A potem na podeście powietrze zgęstniało i pojawiła się tam wysoka, wyprostowana sylwetka. Pani Ewa, która w staroświeckiej długiej sukni z początku wieku wyglądała tak samo elegancko jak zawsze. Zeskoczyła lekko, po czym podeszła do Lisa. Przywitali się krótko, jak ludzie, którzy znają się od tak dawna, że większość informacji przekazują sobie bez słów.

– Wracamy – rzucił porucznik.

– Nie! Zaczekajcie! – zaprotestował Marcin. – Może ktoś jeszcze przyjdzie.

– Twój ojciec i twoja matka wolą zostać – powiedziała pani Ewa. – Karolina chciała iść ze mną, ale nie mogłam jej zabrać wbrew woli rodziców. Jak będzie pełnoletnia, to sama zdecyduje.

– Nie chodziło mi o rodziców ani o Karolinę.

Czekali więc w narastającym cieple, kręcąc się bez sensu po sali. Jacek szeptał coś do Tamary, która chichotała cicho, Hubert gapił się w niebo z taką miną, jakby szukał tam co najmniej inspiracji do wiersza, Nina rozważała, czy nie usiąść z boku podestu, ale wszystko tu było teraz brudne od gruzu i topniejącego śniegu, wyrzwała więc przez okno. Na zewnątrz przemknął wychudzony po zimie lis, zostawiając za sobą odcisnięty w popiele trop drobnych łapek. Wiatr wzmógł się, niosąc nawoływanie jakiegoś ptaka.

W sali balowej nikt więcej się nie pojawił.

– Chodźmy – powiedział porucznik do Marcina, który przez cały czas stał nieruchomo, wpatrując się w podest.

Ramiona chłopaka lekko drżały, kiedy odwracał się powoli i ruszał w stronę wyjścia. Lis szedł obok niego i mówił coś przyciszonym głosem, a kiedy wsiadali do półciężarówki, objął jeszcze chłopaka i przytulił na kilka sekund.

On jest miły, pomyślała Nina i coś ścisnęło ją w żołądku. Wcześniej z uporem nie chciała tego widzieć, ale porucznik Lis naprawdę miał wszelkie odruchy człowieka troszczącego się o innych. Pocieszanie Marcina w żaden sposób nie przynosiło mu korzyści, a jednak to robił, naturalnie i bez chwili zastanowienia, tak samo jak jesienią, jeszcze w drodze do instytutu Totenwald, ocierał łzy płaczącemu dziecku.

Porucznik Daniel Lis był miłym człowiekiem, co nie przeszkadzało mu wepchnąć Jacka do zimnej wody i trzymać go tam tak długo, aż chłopak powiedział wszystko, co wiedział. Nina zastanawiała się przez chwilę, czy czyni go to mniej, czy bardziej niebezpiecznym, ale nie doszła do żadnych sensownych wniosków.

Epilog

Trzy tygodnie po swoich czternastych urodzinach Nina wstała przed piątą i na palcach, nie budząc współlokatorek, wymknęła się do łazienki. Umyła się, ubrała w rzeczy, które przygotowała poprzedniego wieczoru, po czym otworzyła okno. Już parę miesięcy temu zorientowała się, że z łazienki dziewczyn na pierwszym piętrze można wydostać się na zewnątrz – wystarczy tylko zeskoczyć na niski daszek nad salą biologiczną, a stamtąd na ziemię.

Do tej pory to była teoria, teraz należało wypróbować ją w praktyce.

Przełożyła nogę przez parapet i całkiem zgrabnie wylądowała na daszku. Dachówki były jeszcze mokre po nocnej burzy, z poprzylepianymi do nich liśćmi klonu, które wiatr zerwał z pobliskich drzew. W ogrodzie unosiła się poranna mgiełka, powietrze pachniało chłodem i świeżością. Nina zsunęła się na skraj daszku, spuściła nogi i skoczyła na ścieżkę. Żwir zachrząścił pod jej stopami. Naprawdę coraz lepiej mi idzie, uznała, poprawiając podwiniętą spódnicę.

Przemknęła przez ogród aż do wysokiego klonu, który rósł wystarczająco blisko muru, by się po nim wspiąć, a potem przejść po grubej gałęzi na drugą stronę. Starsze dziewczęta często używały tego sposobu, kiedy wymykały się na spotkania z chłopakami z miasteczka albo z bliźniaczej męskiej szkoły. A zakonnice chyba coś podejrzewały, bo ostatnio mówiło się o ścięciu drzewa.

Pięć minut później Nina maszerowała w stronę dworca. Do odjazdu pociągu został kwadrans, miała więc sporo czasu. W kasie poprosiła o bilet do Torunia, starając się przy tym zrobić pewną siebie minę, jakby w tym, że nastoletnia dziewczyna wybiera się sama w podróż tak wcześnie rano, nie było nic dziwnego. Udało się, bo kasjerka ledwo zwróciła na nią uwagę – możliwe zresztą, że kobieta była po prostu zbyt zasnana, by zastanawiać się nad wiekiem Niny.

Wyszła na peron. Stała tam już staruszka z wielkim koszem,

z którego wystawały jakieś badyle. Ona z kolei obrzuciła Ninę podejrzliwym spojrzeniem, ale dziewczyna bez problemu wytrzymała jej wzrok.

Pociąg nadjechał o czasie, pogwizdując i wyrzucając z komina kłęby białego dymu. Nina i staruszka z koszem wsiadły – dziewczyna na wszelki wypadek usiadła w pustym przedziale, daleko od nieznanym. Miała przed sobą kilka godzin jazdy i już zaczynała żałować, że nie zabrała niczego do jedzenia ani do picia. Wczoraj wieczorem myślała nawet, żeby zwinąć z kolacji parę kromek chleba, ale ostatecznie zabrakło jej odwagi; zresztą gdyby przyłapano ją na wynoszeniu i ukrywaniu jedzenia, nie miałyby jak się wytłumaczyć.

W Toruniu kupiła w sklepiku obok stacji bułkę i kefir. Prowizoryczne śniadanie (a może już wczesny obiad) zjadła na ławce w parku, zwiedziła jeszcze niedaleki kościół i ruszyła w dalszą podróż, rozsądnie zaopatrzywszy się wcześniej w dwie butelki oranżady.

Do Siedlec dotarła po czwartej, głodna i spragniona, bo oranżada nie starczyła na długo. Ulicę Karpacką znalazła, pytając napotkanych ludzi, potem odszukała odpowiedni numer i klatkę schodową. Przed odrapanymi drzwiami omal nie stchórzyła. Przecież to nie ma sensu, pomyślała, czując, jak ogarnia ją lodowaty strach. Po co ja tu w ogóle przyjechałam?

Jednak gdyby teraz tak po prostu wróciła do Bogusławca, cała jej wyprawa miałaby jeszcze mniej sensu, ostatecznie więc pchnęła drzwi i na uginających się nogach, powoli, jakby wlokła się za własnym pogrzebem, weszła na drugie piętro.

Nacisnęła dzwonek, wdychając jednocześnie zapach starego drewna. Nad schodami unosiły się podświetlone słońcem drobinki kurzu, w jednym z mieszkań grało radio, w drugim szumiała woda i szczękały myte naczynia. Tylko w środkowym, tym, przed którym stała, panowała cisza i Nina już nabrała nadziei, że nikogo nie ma w domu, kiedy za drzwiami rozległo się ciche szuranie. Ktoś szedł, a raczej skradał się ostrożnie. Klapka wizjera uchyliła się, a potem cichy głos zapytał:

– Kto tam?

– Nina Pa... Marczak. Nie zna mnie pani. Przyszłam porozmawiać o pani synu. O Leszku – dodała szybko, bo uświadomiła sobie, że kobieta może mieć kilkoro dzieci.

– Leszek nie żyje.

– Wiem.

Miała przygotowaną całą przemowę, ale nagle zabrakło jej słów. Stała więc tylko przed drzwiami w wirującym złocistym kurzu, wdychając suchy zapach drewna. Nie otworzy, pomyślała, po chwili jednak szczęknął łańcuch i drzwi uchyliły się lekko.

– Wejdz.

Kiedy pół godziny później wychodziła z kamienicy przy ulicy Karpackiej, już się nie bała, za to usta jej drżały od tłumionego szlochu. Rozplakała się jednak dopiero za rogiem. Wycierając łzy rękawem, szła w stronę dworca. Ludzie, których mijała, dziwnie na nią patrzyli, ale ona nie zwracała na nich uwagi, zupełnie tak samo, jak w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na samochód, który nadjechał z tyłu, zwolnił, a potem całkiem się zatrzymał.

– Wsiadaj – powiedział znajomy głos.

Nina przyśpieszyła, samochód ruszył za nią.

– Nino, proszę cię.

Szła, uparcie wbijając wzrok przed siebie, byle tylko nie patrzeć na sunące obok auto. Dotarła tak do dworca, wyszła na peron i usiadła na ławce. Chwilę później przysiadł się do niej porucznik Lis.

– Chcesz chusteczkę? – zapytał.

– Nie. I wcale nie płaczę.

– W porządku. – Mężczyzna przyjął to oczywiste kłamstwo bez mrugnięcia okiem. – Masz pieniądze na powrót?

– Tak.

– Ale założę się, że na obiad już ci nie starczyło, co? Może powinniśmy podnieść ci kieszonkowe.

Nie odpowiedziała. W ogóle nie zamierzała się odzywać. Czas

jednak mijał, a Lis wciąż siedział obok.

– Pociąg masz dopiero za dwie godziny – powiedział. – Jeśli dobrze policzyłem, chcesz jechać przez Toruń, a to znaczy, że do Bogusławca dotrzesz jutro koło szóstej rano. O ile faktycznie masz pieniądze.

Nina milczała.

– Dlatego proponuję układ taki: pójdziemy coś zjeść, porozmawiamy, a potem odwiozę cię do szkoły. Jeśli się pośpieszymy, będziemy tam przed zmrokiem, a siostrze Anzelmie wciśniemy jakąś bajeczkę. Co ty na to?

Nie odezwała się ani słowem, zdawała sobie jednak sprawę, że w gruncie rzeczy już przegrała. Była głodna i spragniona, a poza tym nie miała pewności, czy starczy jej na bilet powrotny. Jeszcze wczoraj sądziła, że tak, teraz... Teraz sama już nie wiedziała.

Lis dał jej jakieś pięć minut, żeby mogła zachować odrobinę dumy. Potem wstał.

– To jak, jesteś zainteresowana obiadem?

Ocierając ostatnie łzy, ruszyła za nim do wyjścia.

– Jak mnie pan znalazł? – zapytała, kiedy siedzieli w restauracji nad sznyclem po wiedeńsku.

– Siostra Anzelma zadzwoniła dzisiaj rano z informacją, że gdzieś zniknęłaś, ja się domyśliłem, dokąd mogłaś się wybrać, i przyjechałem. Proste. Ważniejsze pytanie brzmi, jakim cudem ty znalazłaś Leszka.

Nina zawahała się, a potem wyjęła z kieszeni spódnicy wymiętą kopertę. Lis otworzył ją i rozprostował kartkę papieru, na której wyraźnym pismem skreślono:

Szanowny panie Kubisiewicz!

W odpowiedzi na list Pańskiej kancelarii informujemy, iż Lesław Strachoń był do niedawna członkiem naszej parafii. Niestety, chłopiec zmarł jesienią. Być może dalszych informacji będzie w stanie udzielić

Panu matka dziecka, pani Katarzyna Strachoń, zamieszkała przy ulicy...

– Co to jest?

– Odpowiedź na jeden z moich listów. Wysłałam ich ponad pięćset, do wszystkich większych parafii w kraju.

– Podając się za mecenasa Piotra Kubisiewicza?

Skinęła głową.

– Napisałam, że w imieniu mojego klienta z Ameryki szukam chłopca w wieku dziesięciu do czternastu lat, o imieniu Lech lub Lesław i nazwisku Strachoń, zamieszkałego na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dodałam też, że według niepotwierdzonych informacji chłopiec ten mógł umrzeć lub zaginąć jesienią zeszłego roku, a jeśli tak, to proszę o kontakt do najbliższych krewnych. Jako adres zwrotny podałam skrzynkę poste restante, na znaczki wydałam całe moje kieszonkowe. Papier listowy z kancelarii pomogła mi zdobyć Lilka, nowa dziewczyna w szkole. Jej wujek jest adwokatem. Pożyczyła też jego pieczętę, żeby podbić te wszystkie listy. I nawiasem mówiąc, nie powiedziałam pani Strachoń niczego, czego nie powinna wiedzieć. Nie narażałabym jej w ten sposób. Nie jestem głupia.

– Wiem, że nie jesteś. Zastanawiam się tylko, czy podziwiać twoją przedsiębiorczość, czy raczej cieszyć się, że wreszcie masz jakąś koleżankę.

Nina pomyślała o Lilce, która przyszła do szkoły w połowie drugiego semestru. Była to wysoka, niezgrabna dziewczyna o sentymentalnym usposobieniu – jej ulubionym zajęciem było przesiadywanie w kinie i wzdychanie do co przystojniejszych aktorów, zwłaszcza do Clarka Gable’a, którego kiedyś miała nadzieję poślubić. Nina z pewnym poczuciem winy (bo Lilka była przecież nieszkodliwa i miła) uznała ją za dość głupią, a ona z kolei prawdopodobnie widziała w Ninie zadzierającą nosa dziwaczkę. Mimo to dziewczyny trzymały się razem, obie tak samo odtrącone przez resztę szkolnej społeczności: jedna ateistka, druga Żydówka.

– Tak, mam koleżankę. A siostra Immaculata nie uczy już biologii, bo została przeniesiona do pracy w kuchni. Pomyślałam sobie...

– Co takiego? – Lis odsunął pusty talerz.

– Że może Marcin powiedział panu o niej i o mnie, a potem...

Umilkła, zdając sobie sprawę, jak głupio brzmi to, co właśnie sugerowała. Dlaczego Marcin miałby rozmawiać z Lisem akurat o Ninie? I jakim cudem komuniści mogliby sprawić, że zakonnica została zdegradowana z nauczycielki do zwykłej pomywaczki?

Niemniej fakt pozostawał faktem: siostra Immaculata nie uczyła już biologii, a Nina nie musiała się więcej bać. I jeśli Lis miał z tym coś wspólnego, powinna mu podziękować.

– Skończyłaś? – Lis skinął głową w kierunku talerza Niny, na którym leżało jeszcze pół sznycla.

Przytaknęła, czując, że do oczu znów napływają jej łzy. Czego ona się właściwie spodziewała? Że matka zmarłego rzuci się w jej ramiona, przytuli i wszystko wybaczy? Owszem, musiała przyznać, że właśnie coś takiego roіło jej się w głowie. Tymczasem pani Strachoń najpierw płakała, w ogóle dziewczyny nie słuchając, a kiedy Nina wykrztusiła: „To powinnam być ja, przepraszam”, uspokoiła się nagle i twardym głosem powiedziała: „Tak, to powinnaś być ty”.

Trzydzieści kilometrów za Siedlcami niebo zachmurzyło się i wkrótce o dach samochodu zabębnił deszcz. Lis zwolnił, Nina patrzyła na poruszające się rytmicznie wycieraczki. To musiało być oberwanie chmury, a nie zwyczajna ulewa; pojedyncze krople szybko zmieniły się w strugi grube jak warkocze, a potem w istny wodospad. Lis zwalniał coraz bardziej, aż wreszcie auto zatrzymało się na poboczu.

– Przeczekamy – powiedział, po czym zapalił papierosa.

Dziewczyna milczała, patrząc na spływający po szybie deszcz. Porucznik uchylił okno, by wypuścić dym, i do środka wtargnął zimny, mokry powiew wiatru.

– Śmierć tego chłopca to nie była twoja wina – odezwał się po chwili.

– Wiem, to pana wina.

– Czasami mi się wydaje, że o tym nie pamiętasz.

– Pamiętam bardzo dobrze. A jeśli myśli pan...

– Tak?

– Jackowi pozwolił pan się uderzyć. Zrobił to pan specjalnie, żeby dać mu szansę chociaż trochę się odegrać. Żeby nie mógł już pana tak bardzo nienawidzić. Ale ze mną nie pójdzie tak łatwo. To znaczy...

Poczuła, że za moment zacznie się plątać, i desperacko spróbowała zebrać myśli. Ona nie miała powodu, żeby Lisa nienawidzić, na swój sposób była mu nawet wdzięczna – chociaż ta wdzięczność jednocześnie wywoływała w niej wyrzuty sumienia. W rezultacie na samą myśl o poruczniku głównie się wściekała: dlaczego, ratując jej życie, musiał jednocześnie poświęcić kogoś innego i sprawić tym samym, że bezustannie czuła się winna?

– Jeśli wydaje się panu, że... że użyję mocy, żeby pana skrzywdzić, a potem będę tego żałować i zostaniemy przyjaciółmi albo coś w tym rodzaju, to bardzo się pan myli.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wszystko jedno. – Dziewczyna uparcie patrzyła w szybę. – Po prostu chcę, żeby pan o tym wiedział.

Kiedy ulewa zelżała, ruszyli w dalszą drogę – teraz na wszelki wypadek rozmawiali na zupełnie neutralne tematy, takie jak literatura angielska (Lis lubił Dickensa, który Ninie zupełnie się nie podobał) i malarstwo wczesnego baroku (oboje zgadzali się, że Caravaggio był znakomitym artystą).

Tylko raz spróbowała zapytać o panią Ewę i o to, co się z nią działo w 1905 roku, jednak porucznik odparł, że kobieta, jeśli będzie chciała, sama o tym opowie.

Do Bogusławca dotarli późno, bo po dziesiątej, ale siostra Anzelma jeszcze nie spała. Wyszła na podjazd i patrzyła surowym wzrokiem na parkujący samochód, a potem na wysiadającą z niego dziewczynę.

– Idź – powiedział Lis. – Ja wszystko załatwię. Zobaczymy się za miesiąc.

– Na początku wakacji?

– Tak. Przyjadę po ciebie i Huberta.

Kiedy wchodziła po schodach, Lilka w nocnej koszuli wychyliła się przez poręcz.

– I jak? – zapytała szeptem. – Udała się ta twoja tajemnicza misja?

– Tak – odparła Nina, bo w jakimś stopniu przecież się udała.

Nie myślała jednak o wyprawie do Siedlec. Myślała o wakacjach. Przyjazd Lisa oznaczał spotkanie z Tamarą, Jackiem i Hubertem (choć tego ostatniego miała szansę spotkać wcześniej, bo widywali się od czasu do czasu w mieście), a także mnóstwo nowych niebezpieczeństw i przygód.

Poczuła nagle, że już nie może się doczekać.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Julia Topolska, Artur Kaniewski
Ilustracje na okładkę i projekt okładki: Dominik Broniek

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5542-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo